

ZESZYT SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1984

ZESZYT SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1984

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 388

ISBN 2-7168-0044-8

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Władysław BARTOSZEWSKI

ROZWAŻANIA O POWSTANIU WARSZAWSKIM*

Pozwolę sobie przywołać wyrażoną w pobliskiej Kruszwicy¹ przed dziesięciu laty, we wrześniu, opinię Księdza Kardynała Wyszyńskiego, który mówiąc o stosunku Kościoła do dziejów Narodu zwrócił uwagę, że „okruchy dziejów narodu są mocą jego ducha, trzeba więc podawać młodemu pokoleniu to pożywienie, aby naród nie zatracił związku z dziejami. Naród bez dziejów, bez historii, bez przeszłości staje się wkrótce narodem bez ziemi, narodem bezdomnym, bez przyszłości. (...) Ci, którzy godzą w dzieje, czarne nazywają białym, a białe czarnym, godzą w byt narodu”. To samo można by odnieść do kłamstw i przemilczeń, ćwierć-prawd i pół-prawd, manipulowania umysłami, uczuciami, nastrojami, a pewne zagadnienia najnowszych dziejów Polski nie były wolne od różnych tego rodzaju zabiegów.

Najpierw były pierwsze powojenne lata, dosłownie pierwsze lata, dwa, trzy, kiedy wprowadzie tępiono żołnierzy Armii Krajowej, ale zachowywano pewne pozory, a nawet dopuszczono odsłonięcie w Warszawie na cmentarzu wojskowym małego pomnicz-

* Pierwodruk niniejszego tekstu ukazał się w niezależnym miesięczniku społeczno-politycznym *Głos* nr 4/39 z sierpnia 1982 roku.

© Copyright by Wydawnictwo GŁOS, Warszawa 1983.

1. Nieautoryzowane fragmenty tekstu konferencji prof. Władysława Bartoszewskiego o moralno-historycznych wartościach Powstania Warszawskiego zaczerpnęliśmy z nagrania magnetofonowego, dokonanego jesienią 1980 roku w Akademickim Kościele O.O. Dominikanów w Poznaniu.

ka z napisem „Gloria victis” i uczczenie pamięci żołnierzy AK. Potem przyszły jednak lata, które panowały aż do tzw. „polskiego października”, w których zbieranie się na cmentarzu wojskowym w Warszawie na grobach powstańców było aktem podejrzanym. W krzakach przewijali się ludzie fotografujący, a nawet filmujący tych, którzy przychodzili na groby swoich najbliższych czy bliskich, przyjaciół czy kolegów, próbowano zastraszać, utrudniać jeden z najbardziej podstawowych nawyków i obowiązków chrześcijanina, człowieka wychowanego w tym kręgu kultury — oddawanie czci pamięci zmarłych, poszanowanie pamięci narodu. Po roku 1955/1956 nastąpiła częściowa „rehabilitacja”. O Powstaniu Warszawskim znowu można było nieco mówić, nieco pisać, z ograniczeniami cenzuralnymi dopuszczano różne wypowiedzi. Sam korzystałem z tej wolności, publikując w granicach możliwości na łamach *Tygodnika Powszechnego* szereg przyczynków. Ale prawie żaden z nich nie ukazał się w treści integralnej, związanej z moim zamiarem. Musiałem za każdym razem, podobnie jak i inni ludzie wyważać w swoim sumieniu, czy zgoda na opublikowanie czegoś niepełnego jest mniejszym złem niż całkowita rezygnacja, czy jest już złem, którego nie mogę przyjąć i rezygnuję z opublikowania. W niektórych przypadkach zapadały takie, w drugich inne rozstrzygnięcia.

W ostatnich latach jesteśmy świadkami nader osobliwego zjawiska. Mianowicie następuje jak gdyby kontrofensywa połączona z manipulowaniem. Właściwie nie wiadomo już, kto to Powstanie Warszawskie zrobił (no, niby my, „lud”). W rocznicę ukazują się afisze z kotwicą. Odebrano ostatnią rzecz, która była bliska, droga, a może nawet w pamięci i sentymentach wielu ludzi niemal święta — upaństwowiono ją. To mogło zadać poważny cios Powstaniu Warszawskiemu w świadomości społeczeństwa, ale i tę próbę społeczeństwo wytrzymało. I kiedy dorocznie dnia 1 sierpnia milknie odgłos werbli, bębnow i trąb, które towarzyszą uroczystościom oficjalnym na cmentarzu warszawskim, gdzie leży znaczna część poległych powstańców — zaczynają napływać na cmentarz tysiące, dziesiątki tysięcy (w ciągu dwóch dni — jak się szacuje — więcej niż 100.000) ludzi, w ogromnej części młodych, którzy nie idą tam na groby kolegów; którzy idą tam z wolnego wyboru, świadcząc swą obecnością o opcji na rzecz wartości tradycji narodowej i niedawnej historii. I płoną nad cmentarzem wojskowym w Warszawie światła zapalone wierzonymi rękami w takich ilościach i wymiarach, że łuna unosi się nad północno-zachodnią częścią Warszawy, widoczna z nadlatu-

jącego samolotu czy jadącego w tym kierunku — spoza Warszawy — auta. Łuna, która wprowadza w zdziwienie ludzi nieświadomych przyczyny.

A więc skoro po trzydziestu kilku latach wytworzyła się w tym przekornym społeczeństwie jakaś konieczność obchodzenia, manifestowania tego wydarzenia, wydaje mi się, że to powinno nam dać niemało do myślenia.

Tak więc od Powstania Warszawskiego upłynęło 36 lat. Jest to w dziejach narodu okres niezbyt długi, ale w dziejach jednego ludzkiego pokolenia okres bardzo znaczny. Nie ma już między nami większości głównych aktorów tego wielkiego, historycznego wydarzenia, nie żyje już — z nielicznymi wyjątkami — większość wyższych dowódców i polityków, a najmłodsi nawet uczestnicy powstania przeszli — no, powiedzmy to — w ostatni okres swego życia, przekroczyli lat pięćdziesiąt kilka. Ale nawet my, żyjący uczestnicy powstania, świadkowie wydarzeń — choć powstanie nigdy nie przestanie być dla nas jednym z ważnych, a może najważniejszych elementów naszego życiorysu, naszych osobistych przeżyć — również i my, a tym bardziej następujące po nas, a dorosłe i dojrzałe już półtora pokolenia coraz bardziej widzi Powstanie Warszawskie w perspektywie historii, jako jeden z bardzo ważnych etapów na tej samej bardzo trudnej drodze Polaków od końca XVIII wieku, która prowadziła przez Insurekcję Kościuszkowską, przez Legiony Dąbrowskiego, przez Powstanie Listopadowe, przez Wiosnę Ludów, przez Powstanie Styczniowe, przez walki 1905 roku, przez zryw pierwszej wojny światowej, przez wykuwanie w latach 1919/1921 — w Powstaniach Wielkopolskim i Śląskich i obronie Lwowa — zachodnich i wschodnich granic Rzeczypospolitej, przez obronę Polski i Europy nad Wisłą w sierpniu 1920 roku; widzimy coraz bardziej to wydarzenie z 1944 roku jako jeszcze jedno podobne do tamtych polskich NIE, wypowiedane wobec różnych kolejnych okupantów, zaborców i uzurpatorów, pragnących ograniczyć albo zniweczyć nasz suwerenny byt narodowy.

Wiadomo, że do dzisiaj właściwie trwają w piśmiennictwie historycznym różne kontrowersje fachowe dotyczące okoliczności wybuchu, szans polityczno-wojskowych czy metod działania w czasie Powstania Styczniowego. Wie o tym każdy, kto studiuje historię — mimo, że upłynęło lat sto kilkanaście. Ale uprzytomnijmy sobie, że w pierwszych pokoleniach postyczniowych, w tym pokoleniu do którego należał Józef Piłsudski, Stefan Żeromski, Andrzej Strug, w tym pokoleniu, które żyło w latach dzielących upadek powstania 1863/1864 roku i szubienice w Cytadeli

od wydarzeń 1904/1905 na ziemiach polskich w tym pięćdziesięcioleciu, jakie upłynęło od złożenia polskiego oręża w 1864 do jego podniesienia w dniu 6 sierpnia 1914 roku, problematyka skutków społecznych, gospodarczych, psychologicznych, a nade wszystko ideowych tamtych walk o niepodległość obecna była na co dzień na kartach najlepszych dzieł literatury polskiej i w życiu tysięcy świadomych polskich rodzin. Dzisiaj, w innych przecież warunkach, gdy do szkół chodzą już wnuczki warszawskich powstańców w 1944 roku, sprawa powstania — jak wspomniałem — pozostaje wciąż żywa w myśleniu młodej generacji.

Nie wygasło zainteresowanie problematyką okoliczności wybuchu i politycznych kulis losów powstania, choć rzetelne naświetlenie tych problemów — zarówno ze względu na niedostępność wielu archiwaliów z archiwów wielkich mocarstw, jak i na warunki subiektywne panujące u nas — jest bardzo trudne. W każdym razie odczucie społeczne zgodne jest tu z wypowiedzią Ojca Świętego Jana Pawła II o walce, w której Warszawa została opuszczona przez sprzymierzone potęgi. Coraz częściej jednak ogół myślących ludzi, a nie badaczy specjalistów, obraca się jak gdyby ku nadrzędnemu problemowi trwałych moralno-historycznych wartości Powstania Warszawskiego jako wielkiego wydarzenia w dziejach Polski, jako jednego z symbolicznych ogniw walki o niepodległość i suwerenność Polski. I z tej perspektywy nie najważniejsze wydaje się, że wiele ocen — jak dziś wiemy — podejmowano w 1944 roku mylnie, albo w sposób niepełny, albo wręcz nieprawidłowy rozumiano czy oceniano sytuację międzynarodową, uwarunkowaną już w grudniu 1943 roku podpisaniem układu w Teheranie o podziale Europy na strefy wpływów, stan gotowości wojskowej, realne możliwości i zamiary działania aliantów zachodnich, Związku Sowieckiego, a w pewnej mierze także siły strony niemieckiej. Oceniano przecież również niedoskonale, w sposób w szczegółach błędny, możliwości przy podjęciu walki w 1939 roku, a jednak obrona Warszawy we wrześniu 1939, która nie mogła przynieść — w tamtych warunkach politycznych i wojskowych — odmiany losu kampanii wojennej uważana była i jest powszechnie — co uznała nawet propaganda polityczna w Polsce Ludowej — za czyn nieodzowny i pozytywny. Rozmiar poniesionych w 1939 roku ofiar ludzkich i ofiar materialnych — jak na ten czas i na ówczesne doświadczenie — znaczny, uznawano też w okresie okupacji za ofiarę bolesną ale usprawiedliwioną i zrozumiałą. Fakt, że stolica Polski jako pierwsza na świecie i jedyna stolica okupowanego kraju stawiała

agresji i obłężeniu bezpośredni opór do wyczerpania wszystkich możliwości w 1939 roku — stał się nie tylko źródłem narodowej dumy, stał się zupełnie realnie źródłem podtrzymania godności w najtrudniejszych latach okupacji, a element psychologiczny podtrzymania godności jest równie wymierny, sprawdzalny i doniosły, jak każdy inny realistycznie mierzony element wsparcia jakimś okolicznościami określonych działań i ludzi w określonej sytuacji. W Warszawie tradycja ofiarnego i solidarnego działania, męstwa i głębokiego przywiązania do wolności, zmanifestowana we wrześniu 1939 roku była żywotna i owocowała przez całą wojnę działaniami całego patriotycznego ruchu podziemnego, Harcerstwa, Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej, licznych organizacji społecznych; owocowała we wszystkim, wskazując na odrębność zrodzoną z tej tradycji. I słusznie pisał poeta w znanym powszechnie wierszu — mam na myśli K. I. Gałczyńskiego — „w śródek Warszawy spłyniemy w dół żołnierze Westerplatte”, wskazując na dziedzictwo tej tradycji, tej obrony w warunkach walki podziemnej, na dziedzictwo niesienia wysoko sztandaru w obronie honoru, a tym samym działania wychowawczego, a nie tylko wojskowego. I nie jest zapewne rzeczą przypadku, że w całej okupowanej Europie nie ma faktu porównywalnego do tego, którego bohaterami stali się wszyscy warszawscy Żydzi, podnosząc ogień buntu i broń w beznadziejnym starciu w kwietniu 1943 roku; *genius loci* — tradycja miejsca, atmosfera otoczenia — wszystko to odegrało rolę. Świadomość celów wojny i celów walki toczonej z przemocą okupanta (a taka wspólna świadomość — powszechna świadomość — była) stała się jednym z podstawowych źródeł siły społeczeństwa w tamtych latach. Walkę o wolność, o suwerenność państwa utożsamiano w okupowanej Warszawie z walką o prawa ludzkie, o godność każdego człowieka, o godność osobistą. Straszliwe ciśnienie terroru okupanta w latach masowych deportacji do obozów koncentracyjnych, w latach potajemnych egzekucji, po których zostały kałuże krwi na bruku, próby poniżania, poniewierania ludzi — to wszystko uważano za zjawiska przemijające. Powszechnie wierzano, że u kresu tego zjawiska przyjdzie otwarte, zbrojne, powszechne wystąpienie — osobisty udział społeczeństwa w odzyskaniu wolności.

Ten specyficzny sposób myślenia i ten sposób odczuwania dyktował wówczas w hierarchii wartości zdecydowany odruch protestu, uznawanego za niezbędny bez względu na realne szanse i konsekwencje, gdy przebrała się miara nieprawości i zbrodni. W tym proteście, w samej gotowości do niego zawierało się

ogromne przywiązanie owej minionej generacji do imponderabiliów. Prawdą jest, że decyzja o wybuchu powstania podjęta była w niewielkim gronie ludzi przez konspiracyjne, legalne władze polskiego państwa podziemnego. Ale prawdą jest również, że decyzję poprzedziła spontaniczna, solidarna, masowa decyzja społeczna, decyzja stawienia jawnie oporu woli okupanta, decyzja równa rzuceniu rękawicy przez społeczeństwo bez żadnych wezwań i bez żadnych dyrektyw, a mianowicie: 27 lipca 1944 roku ówczesny hitlerowski, niesławnej pamięci gubernator Ludwik Fischer ogłosił przez megafony — poparte potem plakatami — wezwanie do stawienia się następnego dnia, czyli 28 lipca 1944 roku, w sześciu punktach Warszawy stu tysięcy mężczyzn w wieku od 17 do 65 lat do przymusowych robót fortyfikacyjnych. A wiemy, że te nonsensowne zresztą w praktyce poczynania fortyfikacyjne prowadzone były w wielu punktach okupowanej Polski przez szereg miesięcy, że mimo powszechnej przecież niechęci do świadczeń na rzecz wroga — ludzie, radzi nie radzi, bojąc się konsekwencji, pod naciskiem, w tych robotach uczestniczyli. Ten zbiorowy, manifestacyjny bojkot spotkał wtedy okupanta tylko w Warszawie. Logika wskazuje, że niewątpliwie musiałyby on pociągnąć za sobą w następnych dniach konsekwencje. Do nich należałyby przede wszystkim całkowita ewakuacja tak wrogo nastawionej ludności z miasta i obrócenie w ten sposób Warszawy w bazę przyfrontową, czy twierdzę. Realizowano to wszak potem wśród ruin stolicy w październiku po powstaniu.

Nie ma do dziś sensownej odpowiedzi, czy wobec polityki hitlerowskiej i jej znanych reguł działania istniała w ogóle możliwość zabezpieczenia miasta Warszawy i ludności Warszawy przed zniszczeniem podyktowanym zbrodniczymi celami okupanta. Wiadomo jednak, że było nie do pomyślenia zachowanie przez to milionowe niemal miasto, skupisko Polaków, bierności na linii frontu przez szereg miesięcy. A wiadomo również, że front stał do 17 stycznia, a więc od sierpnia jest to prawie pół roku! Jest czystą teorią, utopijną politycznie i historycznie, aby Niemcy cierpieli na bezpośrednim swoim zapleczu, przy toczącej się na linii Wisły walce, Warszawę integralną, nienaruszoną, najeżoną ukrytą bronią i dyszącą chęcią wzięcia odwetu na okupancie. Faktem jest, że kiedy powstanie wybuchło, to zmusiło to nawet niechętnych powstaniu komunistów polskich do przyznania w organie prasowym *Armia Ludowa* w numerze z 27 sierpnia 1944 roku, że: „żadne jeszcze z powstań, których widownią była Warszawa, nie miało tak jednolitego poparcia społeczeństwa”. Po latach nieco przerezagowano tę myśl, tak, że mianowicie

powstanie było w ogóle sprawą społeczeństwa, tak jakby jakiekolwiek społeczeństwo mogło zorganizować się i bez sił kierowniczych, dowódczych, przez dziewięć tygodni trwać w prawie milionowym mieście w zorganizowanym oporze z najrozmaitszymi służbami, które były niezbędne do funkcjonowania życia.

Przywódcy Powstania Warszawskiego należeli do uczestników walk o niepodległość w konspiracji przed pierwszą wojną światową i w czasie pierwszej wojny światowej. Ludzie, którzy byli młodzieńcami przed rokiem 1914 i w latach 1914-1920, mieli w chwili wybuchu Powstania Warszawskiego lat 50, czterdzieści kilka, pięćdziesiąt kilka. Walka o wolność była ich życiorysem, a ogromna większość uczestników powstania, młodzieży, była wychowana w niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej, w wielkim poszanowaniu patriotycznych tradycji niepodległościowych i powstańczych, była przywiązana do wolności i do suwerenności jako do oczywistego elementu swojego osobistego życia, swojego osobistego bytu, a w konsekwencji nigdy nie pogodzona z samym już faktem okupacji, zbuntowana przeciwko wszystkiemu, co stało się udziałem tej generacji w ciągu tak straszego pięciolecia od 1939 roku. W czasie wojny postępowała zaś prawdziwa demokratyzacja opinii, autentyczna i oddolna; szeroki i coraz szerszy udział młodzieży robotniczej, młodzieży rzemieślniczej, młodzieży chłopskiej w podziemiu, w konspiracji wojskowej, w konspiracji politycznej, w konspiracji harcerskiej sprzyjał upowszechnieniu się pojęć wolności, w których znak równości stawiano między gotowością do ofiar i walki a prawem do niepodległego bytu. I w tym sensie Powstanie Warszawskie było wprawdzie zespołem działań militarnych, ale było też czymś o wiele większym. Było uzewnętrznieniem tęsknot społecznych, było uzewnętrznieniem wiary ogółu.

Jeden z surowych krytyków Powstania Warszawskiego, znany historyk wojskowości Jerzy Kirchmayer uznał w kilkanaście lat po wojnie przy — jak powie — negatywnym nastawieniu do koncepcji powstania, że „bohaterstwo, ofiarność i zaciętość powstańców są największym w naszej historii przejawem walki o wolność jako wartości wyższej niż życie ludzkie, kalectwo, wszystkie dobra materialne. Byłoby ciężkim błędem nie doceniać, a co gorsza odżegnywać się od takich wartości duchowych”. Takiego błędu niedoceniań i odżegnywania się społeczeństwo polskie potrafiło się — mimo nacisku lat dokuczliwych dolegliwości — ustrzec przez całe trzydziestolecie, a żołnierze Powstania Warszawskiego — w świadomości społeczeństwa sukcesorzy i współtwórcy historii narodu — wpisali się w długi ciąg

ofiar na rzecz lepszej przyszłości Polski, na rzecz przyszłego zwycięstwa sprawiedliwości dziejowej.

Istnieje kilka generalnych ocen Powstania Warszawskiego. Najpozytywniejszą ocenę sprawności organizacyjnej AK, która potrafiła wytrwać w walce zamierzonej na 3-4 dni w ciągu 63 dni, bohaterstwa, konsekwencji, wytrwałości, umiejętności, efektów, skutków jakie powstanie spowodowało dla wroga, dla armii niemieckiej, znajdujemy o dziwo w materiałach naukowych ogłoszonych przez historyków zachodnioniemieckich.

Krytyka wychodzi, niekiedy bardzo ostra, spod pióra Polaków. I tak Jerzy Kirchmayer uważa — generalnie rzecz biorąc, oczywiście w pewnym skrócie — że Powstanie Warszawskie było błędem, bo było nie na rękę polityce sowieckiej. A historyk polskiego pochodzenia, Brytyjczyk wychowany w brytyjskich uczelniach, Jan Ciechanowski w Londynie uważa, że powstanie było błędem, bo było nie na rękę polityce brytyjskiej. Nikt się nie zastanowił nad tym, że mieliśmy i mamy prawo prowadzenia jeszcze, oprócz [szanowania] interesów różnych bloków i państw — jakkolwiek z szacunkiem, sympatią, czy tolerancją odnosilibyśmy się do nich — prawo prowadzenia własnej polityki, nawet popełniania własnych błędów. I ktoś powiedział bardzo wnikliwie, że Powstanie Warszawskie, kto wie czy nie na długie lata, było ostatnim suwerennym aktem dawnej Rzeczypospolitej, podjętym jako decyzja przez Polaków w interesie długofalowej racji stanu Polski.

Można zapytać, co to jest racja stanu i czy zgodne to było z racją stanu. Na to nie ma odpowiedzi w skrócie uniwersalnej. Nie zawsze ci, którzy wchodzili w układ kompromisowy bez walki, wyszli w ogólnym rozrachunku dziejowym na tym lepiej, niż ci, którzy podejmowali walkę pozornie beznadziejną. Ażebym sięgnąć tylko do przykładów z historii sprzed czterdziestu czy dwudziestu kilku lat, a więc niewątpliwie faktów już historycznych, a nie bieżących — pozostaje sprawą otwartą, czy słusniejszą była droga którą wybrała mała Finlandia broniąc swej niepodległości w grudniu 1939 roku, czy też droga, którą wybrały Litwa, Łotwa i Estonia ustępując bez walki? Konsekwencje są przecież różne... Czy słusniejsza była droga, którą wybrali Węgrzy w 1956 roku, którzy wcale nie najgorzej do dziś — w perspektywie, jeśli chodzi o możliwości samorządności — na swoich strasznych ofiarach, ciężkiej, krwawej, zdawałoby się bezsensownej tragedii wyszli?

Z perspektywy historyka widzi się wiele spraw inaczej, bo — niestety i wbrew naszym najgłębszym odczuciom — z pers-

pektywy historyka trzeba patrzeć nie w kategorii jednego pokolenia. My wszyscy chcemy patrzeć w kategorii naszego życia, a historia patrzy w kategorii pokoleń, wielu generacji, nie jednej. I to trzeba brać pod uwagę. Mówi się nieraz, że Powstanie Warszawskie było wywołane bez w kalkulowania możliwości udzielenia mu pomocy. Nie mogę tu wchodzić w najeżone liczbami i faktami rozważania szczegółowe. Faktem jest, że Powstanie Warszawskie było jedynym w okupowanej wówczas przez Niemcy hitlerowskie Europie działaniem wojskowym o tak wielkim natężeniu i zasięgu, w którym uczestniczyło bezpośrednio kilkadziesiąt tysięcy ludzi, a pośrednio kilkaset tysięcy ludzi. Ale chociaż dyktowane podobną intencją uwolnienia własnymi siłami stolicy kraju akcje powstańcze w Paryżu w sierpniu 1944 roku i Pradze czeskiej w kwietniu 1945 roku nie mogą być jak wiadomo porównywane z Powstaniem Warszawskim ani pod względem powszechności, ani długotrwałości, ani natężenia walki, a w konsekwencji i strat obu stron walczących — to jednak w Paryżu Francuzi spotkali się ze zmianą strategicznych planów amerykańskich i Amerykanie, którzy spieszenie zmierzali do opanowania Renu, zatrzymali się w swej akcji ażeby pomóc Paryżowi i nigdy nie mieli za złe Francuzom, że chcieli na własną rękę wyzwolić własną stolicę, choć to nie było z Amerykanami uzgodnione. A kiedy wybuchło krótkotrwałe i mało — na szczęście dla Czechów — krwawe powstanie w Pradze czeskiej w kwietniu 1945 roku, odbył się istny wyścig broni pancерnej sowieckiej i amerykańskiej, kto pierwszy przyjedzie, by wyzwolić (w domyśle — opanować) Pragę. Tak więc nie zagadnienie prawa czy bezprawia decydowania o własnym losie czy walki własnymi siłami o własną stolicę, ale zagadnienie innych konfiguracji dużo bardziej skomplikowanej natury jedynie może tłumaczyć przykładanie innej miary do naszych praw, a innej miary do praw innych walczących w innych krajach w gruncie rzeczy o te same swobody decyzji.

Skoro postanowiliśmy mówić o wartościach historyczno-moralnych czy moralno-historycznych towarzyszących powstaniu, podnieść tu trzeba zagadnienie ogromnej solidarności ludzi, która w toku Powstania Warszawskiego osiągała częstokroć formę prawdziwego braterstwa, a różnice poglądów odgrywały stosunkowo nikłą rolę. W oswobodzonych częściach miasta społeczeństwo dawało — po 5-ciu latach okupacji i nieistnienia żadnych jawnych form organizacji życia publicznego — dobitny wyraz swemu demokratyzmowi i swej dojrzałości politycznej. Do charakterystycznych zjawisk życia politycznego w ciągu tych dwóch miesięcy należało między innymi zupełne nieskrępowanie w wyrażaniu myśli

i poglądów na łamach prasy powstańczej wszelkich kierunków. Bibliografowie odnotowują dzisiaj około 135 tytułów prasy, która ukazywała się na terenach objętych powstaniem, reprezentujących wszystkie stronnictwa polityczne oraz — oczywiście — Armię Krajową i Delegaturę Rządu na Kraj. Kilkanaście spośród tych pism wydawali komuniści, którzy byli zdecydowanymi przeciwnikami dowództwa Armii Krajowej, Delegatury Rządu, rządu polskiego w Londynie i krytykowali w swojej prasie te czynniki. Prasę jednak wydawali w drukarniach przydzielonych im przez AK, na papierze przydzielonym im przez AK, farbą przydzieloną im przez AK i włos z głowy żadnemu z tych ludzi nie spadł na terenie działania Armii Krajowej. Były to właściwe obyczaje, godne chrześcijańskiego narodu z wielowiekową tradycją tolerancji i poszanowania ludzi o odmiennych poglądach.

W Powstaniu Warszawskim, w obliczu — jak się zdawało wtedy — ostatniej i rozstrzygającej walki o wolność i suwerenność niepodległej Polski, ogromną rolę odgrywała wiara. W połączeniu z patriotyzmem była ona dla wielu ludzi — można zaryzykować twierdzenie, że wówczas dla większości ludzi — czynnikiem podtrzymującym, czynnikiem utrzymującym nadzieję, źródłem siły moralnej. Żołnierze Powstania Warszawskiego towarzyszyli niezmienne w jego codziennej służbie — duchowny katolicki, kapelan wojskowy AK, sanitariuszka, siostra zakonna — w kościele czy piwnicznej kaplicy. Na mszy odprawianej wśród ruin świeżo zniszczonych domów, pod gołym niebem, na kwaterze w domach i powstańczym szpitalu wśród ciężko rannych a często bezpośrednio przy barykadach — księża umacniali, krzepili na duchu słowami miłosierdzia i odwagi, opiekowali się, spowiadali, udzielali komunii świętej, dysponowali na śmierć, zamykali oczy umierającym, zastępowali bardzo często rodziców i najbliższych członków rodziny. Stąd też jako historyk muszę się odwołać do pamięci takich żyjących i nieżyjących duchownych, których postaci przeszły do dziejów Powstania Warszawskiego jak: Tomasza Roztworowskiego na Starym Mieście, księdza Jana Zieji na Mokotowie, księdza Zygmunta Trósznińskiego i księdza Stefana Sydrego na Żoliborzu, czy Prymasa Polski ks. Stefana Wyszyńskiego — kapelana współdziałającej z powstaniem grupy AK — Kampinos. To tylko niektóre spośród dziesiątków nazwisk, które weszły trwale na karty historii powstania.

W niedziele i dni świąteczne żołnierze i ludność cywilna uczestniczyli tłumnie w mszy świętej wszędzie tam, gdzie na wyzwolonych terenach miasta uzewnętrzniało się polskie życie społeczne. Do komunii świętej przystępowały tysiące ludzi, bardzo

często takich, którzy za kilka czy za kilkanaście godzin mieli wziąć udział w walce, niekiedy ostatniej. Kiedy w miarę rozwoju wydarzeń i potęgujących się zniszczeń większość warszawskich świątyń była obrócona w gruzy, skupiano się po prostu na podwórkach domów, wokół prostych kapliczek, słuchano mszy świętych w pomieszczeniach piwnicznych; księża, zakonnicy, siostry zakonne ponosili wspólną, równą i równie dotkliwą ofiarę krwi razem z ludźmi, którym służyli. Padali ofiarą morderstw zbiorowych w dzielnicach, w których zdziczałe żołdactwo wyrzynało ludzi, dom po domu; tak zginęli jezuici warszawscy, redemptoryści, tak zginęły benedyktynki, samarytanki, ginęli pod gruzami świątyń i klasztorów jak siostry sakramentki na rynku Nowego Miasta. Byli zawsze z nami, razem z ludnością. Byli jej bliscy. Przypadająca w czasie powstania w dniu 26 sierpnia uroczystość Matki Bożej Jasnogórskiej, Królowej Korony Polskiej, obchodzona była w Warszawie uroczystie i oficjalnie. Armia Krajowa była armią polską i chrześcijańską, komendant okręgu warszawskiego AK „Monter”, Antoni Chruściel, dowodzący walką prowadzoną w Warszawie, wydał z okazji dnia 26 sierpnia specjalny rozkaz, zalecający odpowiednie uczczenie tego święta w szeregach żołnierzy AK.

Powstanie we wszystkim tym co wzniosłe i piękne i z tym wszystkim co było też ludzką słabością i małością, odgrywa ważną rolę na drodze do odzyskania i utrwalenia niepodległości Polski, a co najmniej pojęć o niepodległości, stałych dążeń narodowych, pojęć o suwerenności i stałych dążeń w tym zakresie. Wydaje mi się, jako historykowi tego okresu, a nie jako uczestnikowi, który nie był wtedy tego świadom, będąc tylko jednym z dziesiątków tysięcy spełniających swój obowiązek codzienny, że dziś jeszcze nie umiemy w pełni ocenić, jak wielkie jest znaczenie wydarzeń Powstania Warszawskiego dla ugruntowania pojęć o niepodległości i tęsknoty do niepodległości.

Zanim przejdę do innych jeszcze, końcowych zagadnień — przytoczę dwa — jak mi się wydaje — ciekawe szczegóły niezbyt powszechnie znane. W ostatniej chwili przed wybuchem powstania z Londynu przybył kurier rządu i dowództwa Jan „Nowak”-Jeziorański. Rozmawiał on z pełnomocnikiem Rządu na Kraj, wicepremierem Janem Stanisławem Jankowskim w Warszawie 29 lipca 1944 roku. Ponieważ wicepremier Jankowski nie żyje (zmarł w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach i terminie w więzieniu w Moskwie) i nie pozostawił po sobie — o ile wiem — pamiątek, przeto relacja człowieka, który rozmawiał z nim na kilkadziesiąt godzin przed wybuchem powstania ma wagę

dokumentu historycznego. Oto, co odnotował w swoim pamiętniku Jan Nowak z wypowiedzi Pełnomocnika Rządu w odpowiedzi na jego pytanie, czy nie można jeszcze powstrzymać tych wydarzeń, bo kurier przybyły z Londynu sceptycznie zapatrywał się na możliwość uzyskania pomocy z Zachodu. Wicepremier Jan Stanisław Jankowski odpowiedział dosłownie: „My tu nie mamy wyboru. 'Burza' — kryptonim akcji — nie jest w Warszawie czymś odosobnionym, to jest ogniwo w długim łańcuchu, który zaczął się we wrześniu. Walki w mieście wybuchną, czy my tego chcemy, czy nie. Za dzień, dwa lub trzy Warszawa będzie na pierwszej linii frontu. Nie wiem, może Niemcy wycofają się od razu, może dojdzie do walk ulicznych, jak w Stalingradzie. Czy pan sobie wyobraża, że nasza dysząca żądzą odwetu młodzież, którą myśmy szkolili od lat, sposobili do tej chwili, daliśmy jej broń do ręki, będzie się biernie przyglądała albo da się Niemcom bez oporu wywieźć do Rzeszy? Jeżeli my nie damy sygnału do walki, ubiegna nas w tym komuniści, ludzie wtedy rzeczywiście uwierzą, że chcieliśmy stać z bronią u nogi”.

Chciałem zwrócić uwagę na okoliczność, że w roku 1965 po raz pierwszy po wojnie (w 19 lat po wojnie!) historyk marksistowski Antoni Przygoński w tomie szkiców wydanych wtedy w Wydawnictwie Ministerstwa Obrony Narodowej o Powstaniu Warszawskim podał do wiadomości, że Armia Ludowa szykowała się, aby — kiedy Armia Sowiecka wkraczać będzie w lecie 1944 r. do Warszawy — skoncentrować wszystkie swe siły, opanować ratusz, zabarykadować się, wywiesić czerwoną flagę, proklamować objęcie władzy i wzywać pomocy. To bardzo realistyczny plan, bo czterystu kilkudziesięciu ludzi którymi dysponowała w Warszawie Armia Ludowa w sam raz mogło — gdyby się skoncentrowali — w wielkim wysiłku zająć jeden budynek, wywiesić flagę i stać się w ten sposób właścicielami ratusza, właścicielami zarządu miasta, właścicielami Polski. Tak, że — bez względu na sarkazm, którego tu się nie mogę ustrzec — mniemanie Jankowskiego wypowiedziane w rozmowie 29 lipca 1944 roku znalazło (zanim jeszcze ta rozmowa została w 1978 roku ogłoszona) nie bezpośrednio, ale całkiem wystarczające potwierdzenie w kilku zdaniach ukrytych w tekście marksistowskiego historyka tego okresu.

Inny problem, już ostatni z problemów, które wprawdzie dotyczą moralności, ale nie są czysto moralne, a który porusza bardzo wielu ludzi — to pytanie hamletowskie — czy Warszawa można było pomóc i się nie chciało, czy nie można było pomóc? Ja nie dam odpowiedzi na to pytanie, ale kieruję się do „Wielkiej Encyklopedii Powszechnej” PWN (13-tomowej), tom

IX, strona 356, hasło: Powstanie Warszawskie. Nie wiem, jaka zaćma smutna naszła na oko cenzora, ale w encyklopedii tej znalazło się zdanie następującej treści: „8 sierpnia [a więc w 7 dni po wybuchu powstania — uwaga moja, W.B.] w sztabie I Frontu Białoruskiego opracowano projekt natarcia na Warszawę z Przyczółka Magnuszewskiego. Plan operacji przewidywanej na koniec sierpnia przedstawiono Stalinowi, który jej nie zaakceptował ze względu strategicznego, wymagającego wyrównania frontu, oraz ze względów politycznych, czemu dał wyraz w swojej odpowiedzi skierowanej 22 sierpnia do Churchilla i Roosevelta”. Mam głębokie zaufanie do wiedzy fachowej generalicji sowieckiej i sądzę, że jeżeli generalicja opracowała w sztabie projekt natarcia na Warszawę w obrębie miesiąca sierpnia i przedłożyła go wodzowi naczelnemu i dyktatorowi państwa, to znaczy, że uważała w ramach swoich wieloletnich już doświadczeń ten projekt za realny i wykonalny. Tak więc w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej można co najmniej znaleźć odpowiedź na dręczące nas pytanie: czy w ogóle było to niemożliwe, czy tylko się nie udało. Sądzę z tego tekstu, który zacytowałem, że było to zdaniem sztabu sowieckiego możliwe, a zdaniem Stalina niepożądane. Jest to jedyny logiczny wniosek, jaki można wysnuć z normalnej egzegezy historycznej tego rodzaju tekstu.

Na zakończenie pragnę tutaj odwołać się do niezapomnianych dni z czerwca 1979 roku, do dni pielgrzymki Ojca Świętego do ojczyzny. Wiemy, że Ojciec Święty nie był wychowany w Warszawie i że nie łączyło go z Warszawą osobiście tak wiele, jak z rodzinnymi jego stronami, co jest całkowicie zrozumiałe. Wiemy jednak przy tym, z jak ogromną rozważą, jak ogromną odpowiedzialnością za słowo, za ton słowa, za każdy odcień słowa wypowiadał się w swojej pielgrzymce do ojczyzny. Nie możemy więc przypuścić, że jakiegokolwiek sformułowania były przypadkowe. Przeciwnie, możemy być przekonani, że były zamierzone, wyważone, w odpowiednim czasie i miejscu wyrażone w taki sposób, w jaki wypowiadający chciał je wyrazić. I oto w parę godzin po przyjeździe do Polski, w Warszawie 2 czerwca 1979 roku, na wielkim Placu Zwycięstwa, zwanym odtąd w Warszawie powszechnie Placem Zwycięstwa Jana Pawła II, wypowiedział Ojciec Święty w swej homilii od ołtarza co następuje:

„Nie sposób zrozumieć tego miasta, Warszawy, stolicy Polski, która w roku 1944 zdecydowała się na nierówną walkę z najeżdżącą, na walkę w której została opuszczona przez sprzymierzone potęgi, na walkę, w której legła pod własnymi gruzami, jeśli się nie pamięta, że pod tymi samymi gruzami był również Chrystus

Zbawiciel ze Swoim krzyżem sprzed kościoła na Krakowskim Przedmieściu. Nie sposób zrozumieć dziejów Polski od Stanisława na Skałce do Maksymiliana Kolbego w Oświęcimiu, jeśli się nie przyłoży do nich jeszcze jednego, tego podstawowego kryterium, któremu na imię Jezus Chrystus. (...) Chrystus nie przestaje być wciąż otwartą księgą nauki o człowieku, o jego godności i jego prawach, a zarazem nauki o godności i prawach narodu. (...) Stoimy tutaj w pobliżu grobu Nieznanego Żołnierza. W dziejach Polski, dawnych i współczesnych, grób ten znajduje szczególne pokrycie, szczególne uzasadnienie. Na ilu to miejscach ziemi ojczystej padał ten żołnierz, na ilu miejscach Europy i świata przemawiał swoją śmiercią, że nie może być Europy sprawiedliwej bez Polski niepodległej na jej mapie, na ilu to polach walk świadczył o prawach człowieka wpisanych głęboko w nienaruszalne prawa narodu, ginąc za wolność naszą i waszą? 'Gdzie są ich groby, Polsko, gdzie ich nie ma, ty wiesz najlepiej i Bóg wie na niebie'.

Dzieje ojczyzny napisane przez grób jednego, nieznanego żołnierza. Pragnę przykleknąć przy tym grobie, aby oddać cześć każdemu ziarnu, które padając na ziemię i obumierając w niej przynosi owoc”.

Te słowa, które pozwoliłem sobie przed chwilą przytoczyć, nadają trwały wymiar walce i sprawie walki powstańczej, jedynej tu przywołanej, nie trzynastu innym oblężeniom Warszawy w jej dziejach, nie walce Warszawy w 1939 roku, nie — tej, która wiąże się z poczuciem ogromnej, ciężkiej, dotkliwej krzywdy i która leżała u podłoża wielu ludzkich dramatów.

Tę walkę uznał za słuszną i potrzebne przywołać jako jedyny konkretny przykład dotyczący Warszawy — Ojciec Święty w swojej homilii na Placu Zwycięstwa.

Możemy my żyjący, a w szczególności ludzie z pokolenia, które pamięta tamte ofiary i cierpienia, głęboko żałować, że tysiące naszych kolegów i koleżanek, młodzieży, nigdy nie doczekało w swoim ziemskim bytowaniu i życiu takich słów Namiestnika Chrystusowego na warszawskiej ziemi w odległości bardzo niewielkiej od miejsca ich męki, konania i śmierci za ojczyznę. Ale możemy przypomnieć tu słowa, które należą do klasycznego skarbku literatury polskiej, są bowiem zakończeniem dzieła laureata Nagrody Nobla, Henryka Sienkiewicza „Quo vadis”: „I tak minął Neron, jak mija wichry, burza, pożar, wojna lub mór, a bazylika Piotra panuje dotąd z wyżyn watykańskich miastu i światu”.

Władysław BARTOSZEWSKI

Z. S. SIEMASZKO

PŁK PRAWDZIC-SZLASKI ORGANIZATOR AK NA NOWOGRÓDCZYŹNIE

W jesieni 1940 roku komendant główny ZWZ, Grot-Rowecki, zdecydował wysłać na wschód, pod okupację sowiecką do Białegostoku, trzech oficerów, którzy mieli działać na terenie ówczesnego Obszaru nr 2, obejmującego województwa Białostockie, Nowogródzkie i Poleskie. Na czele tej grupy stał mjr Józef Spychalski (Maciej Samura, Scibor, Grudzień), a w jej skład wchodził kapitanowie Janusz Szlaski (Prawdzie, Borsuk) i Władysław Liniarski (Mścisław). Jedyne Szlaski był oficerem rezerwy; dwaj pozostali byli oficerami służby stałej. Grupa ta przekroczyła granicę 26 października 1940. Po stronie sowieckiej przyjął ich nisko postawiony w hierarchii wojskowej ppor. rez. Antoni Iglewski (Antoni, Vanadi), z zawodu chyba nauczyciel szkoły powszechnej. Przyczyną takiego przyjęcia była niewyraźna sytuacja dotychczasowego komendanta Obszaru nr 2 ppłka Adama Obtulowicza, gdyż nie było wiadomo, czy uciekł on z sowieckiego więzienia, czy też został wypuszczony „na przynętę”, aby łatwiej wykryć polską tajną sieć organizacyjną.¹

Wobec tego zaraz po przybyciu do Białegostoku Spychalski objął komendę Obszaru nr 2, Szlaski został szefem wywiadu, a Liniarski szefem operacji sztabu tegoż Obszaru. Ale pod okupacją sowiecką społeczeństwo było o wiele bardziej spenetro-

1. Obtulowicz został później zastrzelony, a może popełnił samobójstwo lub zginął w walce z NKWD. Sprawa ta nie została wyjaśniona.

wane przez NKWD niż pod okupacją niemiecką przez Gestapo i już w cztery tygodnie po przekroczeniu granicy, 17 listopada 1940, Spychalski został aresztowany w czasie przeprowadzania inspekcji w terenie. Razem z nim aresztowano Iglewskiego. Komendę Obszaru nr 2 objął Szlaski, a jego zastępcą został Liniarski. Po upływie zaledwie trzech miesięcy, 21 lutego 1941, aresztowano w Białymstoku Szlaskiego, a komendantem Obszaru nr 2 i Okręgu Białostockiego został Liniarski. Funkcję tę pełnił on aż do końca wojny. Aresztowany został dopiero przez UB. Przeszedł śledztwa i kilkuletnie więzienie. Obecnie mieszka w Warszawie i podobno opracowuje dzieje Białostockiego Okręgu AK.

Spychalski i Iglewski przeżyli śledztwa i łagry sowieckie, zostali zwolnieni na skutek tzw. „amnestii” w 1941 roku i znaleźli się w armii Andersa w ZSSR wraz z szeregiem dawnych działaczy podziemia na Kresach Wschodnich, którzy przeszli tę samą drogę — generałowie Boruta-Spiechowicz, Januszajtis i Karaszewicz-Tokarzewski, pułkownicy Leopold Okulicki, Klemens Rudnicki, Stanisław Pstrokoński, Nikodem Sulik, Władysław Kamiński i inni. Wielu spośród nich zgłaszało się po wystąpieniu do armii Andersa do pracy w kraju, ale wysłano jedynie trzech — Spychalskiego w marcu 1942, Iglewskiego w lutym 1943 i Okulickiego w maju 1944. Iglewski przeżył wojnę i zmarł w kraju kilka lat temu, natomiast Spychalski miał mniej szczęścia: został aresztowany w Krakowie w marcu 1944 i zginął w obozie koncentracyjnym Gross Rosen. Zresztą nawet po śmierci nie zaznał spokoju, bo w czasie procesu „polskich titoistów” — jego przyrodniego brata, marszałka PRL Mariana Spychalskiego i Władysława Gomułki — był wielokrotnie wymieniany jako ten, przez którego oskarżeni kontaktowali się ze światem „kapitalistycznym”.²

Ale wróćmy do losów Szlaskiego. Przez pewien czas był on

2. O ile mi wiadomo, Józef i Marian Spychalscy byli synami tej samej matki, ale różnych ojców, z których jeden, ojciec młodszego (Mariana), pochodził z zamożnej rodziny żydowskich przemysłowców w Łodzi. Rodzina ta nie tylko wspierała matkę, ale również finansowała naukę obu synów, dzięki czemu jeden z nich został zawodowym oficerem, a drugi (popularnie znany jako Moniek) architektem. W przeciwieństwie do Mariana starszy brat Józef skłonności komunistycznych nie zdradzał. Zachodzi pytanie, skąd wzięło się rzadko spotykane nazwisko Spychalski? Podobno nazwisko matki (panieńskie lub może po mężu, ojcu Józefa) miało brzmienie ludowe — Spychała, czy coś podobnego, ale rodzina żydowska, która opiekowała się chłopcami sądziła, że może im to przeszkadzać w karierach i przeprowadziła zmianę nazwiska obu chłopców na Spychalski.

badany na Łubiance, potem przywieziono go z powrotem do Mińska i tam w pierwszych dniach czerwca 1941 skazano na śmierć. Od tej chwili czekał na wykonanie wyroku. Ale 22 czerwca Niemcy zaatakowały ZSSR i już 24 czerwca wieczorem NKWD rozpoczęło ewakuację więźnia mińskiego w kierunku wschodnim, traktem na Ihumeń (Czerwień) i Mohylew. Do więźniów, którzy nie mogli nadążyć strzelano, jednak i to nie pomagało, kolumny posuwały się zbyt wolno, a niemieckie bombardowania były coraz częstsze. NKWD zdecydowało zatem więźniów porzucić, ale przedtem wystrzelać bardziej niebezpiecznych lub silniejszych. Szlaski, dzięki wrodzonemu zmysłowi praktycznemu, zdołał się uratować, bo nie zgłosił się kiedy wywoływano jego nazwisko (tych, którzy się zgłosili, rozstrzelano), ani też nie poderwał się z traktu, kiedy więźniom kazano uciekać do lasu (do tych, którzy się poderwali, strzelano). Wreszcie w nocy z 27 na 28 czerwca 1941 Szlaski wyzwolił się spod opieki NKWD i zawrócił z powrotem na zachód. Niemcy mu zbytnio w tej podróży nie przeszkadzali.

Najpierw Szlaski skierował się do Białegostoku, ale stwierdziwszy, że Liniarski działa sprawnie, udał się do Warszawy. Tam go odkarmiono (po wyjściu z rąk NKWD ważył jedynie 47 kg) i wstawiono mu wybite przez bolszewików zęby. Jednocześnie został awansowany do stopnia majora i 1 września 1941 r. mianowany osobiście przez Grota-Roweckiego komendantem Okręgu Nowogródzkiego.

Do Szczuczyna przybył Szlaski 11 listopada 1941 i rozpoczął działanie. Potem przeniósł się do Lidy. Ale początki nie były łatwe.

W tym czasie panowała na tamtych terenach euforia uwolnienia spod panowania sowieckiego, wobec czego o działalności antyniemieckiej można było mówić jedynie w gronie bardziej zaufanym. W tej sytuacji organizacja okręgu posuwała się dość powoli. Jednak Niemcy szybko zaczęli zrażać sobie ludzi. Jednocześnie rozwijająca się partyzantka sowiecka przypominała mieszkańcom Nowogródziny, że zagrożenie sowieckie nie zniknęło, a nacjonalisci białoruscy, działający po stronie niemieckiej, nie wzbudzali zaufania. Z biegiem czasu wśród mieszaney polsko-białoruskiej ludności województwa Nowogródzkiego, gdzie według przedwojennych spisów ludności procent Polaków był mniejszy niż w jakimkolwiek innym województwie, popularność idei odrodzonego państwa polskiego, a co za tym idzie polskiej organizacji podziemnej, coraz bardziej wzrastała.

Okręg Nowogródzki AK został dość dobrze opisany, bo zarówno twórca i komendant tego okręgu, Szlaski, jak i jego szef sztabu, zrzutek z Anglii mjr dypl. Stanisław Sędziak, pozostawili swoje „raporty”. Relacja Szlaskiego została wydana w Londynie (Oficyna Poetów i Malarzy) w 1976 r. pt. „Nowogródzczyzna w walce”, a Sędziak, który zmarł w kraju w 1978 roku, pozostawił obszerny maszynopis (około 140 str.) pt. „Działalność Nowogródzkiego Okręgu AK”. Jest on dostępny zarówno w kraju, jak i w Londynie.

Szlaski był przeciwny zbyt szybkiemu ujawnianiu istnienia polskiej organizacji wojskowej na terenie Nowogródzczyzny i dlatego początkowe akcje były przeprowadzane pod pozorem działania oddziałów partyzantki sowieckiej. Dopiero 3 maja 1943 roku AK na tym terenie dała publicznie dowody swego istnienia zarówno okupantom, jak i ludności. Od tego czasu rozpoczął się jej lawinowy rozrost. Doprowadziło to do tego, że latem 1944 okręg ten posiadał oddziały partyzanckie o charakterze bez mała normalnego, umundurowanego wojska, składające się z 8 batalionów piechoty, 7 szwadronów kawalerii i 4 kompanii technicznych. Ilość dobrze uzbrojonych żołnierzy (a broni na tych terenach nie brakowało) Szlaski (str. 139) szacuje na 6.400, a Sędziak (str. 91) na 5.500.

Okręg Nowogródzki otrzymał znaczny przydział „cichociemnych”, tzn. zrzutków spadochronowych z Zachodu. Tak się też złożyło, że do Okręgu Nowogródzkiego przybyło szereg znanych osobistości. Najpierw, na sugestię „cichociemnego” sztabowca — mjra dypl. Macieja Kalenkiewicza, por. Józef Świda, dawny „hubalczyk”, żołnierz, który od 1939 roku „nie zdjął munduru”. W lipcu 1943 Szlaski mianował go dowódcą tzw. Nadniemeńskiego Zgrupowania oddziałów partyzanckich. W październiku 1943, na skutek uprzedniej decyzji Grota-Roweckiego, przybył na teren Nowogródzczyzny Bolesław Piasecki z resztkami swojej niezależnej organizacji wojskowej Konfederacji Narodu. Dowodził on potem 3 batalionem 77 pułku piechoty. W styczniu 1944, na żądanie Szlaskiego, przybył z Kom. Gł. AK mjr Kalenkiewicz w celu rozstrzygnięcia sprawy skierowanego uprzednio przez siebie swego kuzyna Józefa Świdę, który zaczął działać na własną rękę kontaktując się z Niemcami. Wreszcie w kwietniu 1944 przybył Jan Piwnik, „cichociemny”, najbardziej znany partyzant nie tylko z powodu odbicia więźniów „Wachlarza” w Pińsku, ale również z okresu swego działania w Górach Świętokrzyskich. Objął on dowódz-

two 7 batalionu 77 p.p. i poległ 15 czerwca 1944 w bitwie pod Jewłaszami.

Popularność polskiej organizacji na terenie Nowogródzki wzrastała nie tylko dlatego, że zawiodły zarówno prosowieckie, jak i proniemieckie nadzieje poszczególnych odłamów lokalnego społeczeństwa, ale również dlatego, że tamtejsza organizacja akowska za jeden ze swoich zasadniczych obowiązków uważała ochronę ludności i z tego powodu występowała przeciwko tym czynnikom, które najbardziej tej ludności zagrożąły. W pewnych sytuacjach byli to Niemcy, a w innych partyzantka sowiecka. Jednocześnie organizacja polska na tym terenie widocznie dobrze wywiązywała się z nieuniknionego wymierzania sprawiedliwości, pomimo, że w Okręgu Nowogródzkim wykonano 300 wyroków śmierci, a wobec braku więzień za mniejsze przewinienia stosowano karę chłosty. Zarówno Szlaski jak Sędziak (str. 203 i 98) piszą, iż była to kara skuteczna. Więc chyba stosowano ją w miarę możliwości sprawiedliwie, bo poza niewielką ilością „warszawiaków”, których przyprowadzili ze sobą Piasecki i Piwnik, znaczną większość żołnierzy stanowili lokalni „malcy”, wśród których, według Szlaskiego, było około 40 procent Białorusinów (str. 110).

Okręg Nowogródzki miał swoją Bazę w Warszawie, która dopomagała mu w zdobywaniu wszelkiego rodzaju materiałów potrzebnych na terenie Okręgu. Z Bazą tą kontaktował się Okręg przy pomocy zalegalizowanej u Niemców firmy przerzutowej. Często też zachodziła konieczność wyjazdu do Warszawy komendanta Okręgu lub szefa sztabu. Jeden z takich wyjazdów komendanta opisuje Sędziak.

„Odwoziłem kiedyś jadącego na odprawę K.G. 'Prawdźica' do stacji Różanka. Wyglądał jak żołnierz wracający z frontu. Porządny mundur, płaszcz, furażerka z bączkiem niemieckim, trochę za duża, włożyła mu na uszy i czyniła go prawdziwym *Gemeine*. Wypchany słoniną plecak, z którego zwisały dwa gęsie oskubane łby zastępował dowód i był okazem tego, jak powinien wyglądać plecak każdego porządnego żołnierza Rzeszy, jadącego do rodziny na urlop. Niemcy, z rozczeruleniem spoglądając na zwisające z plecaka gęsie głowy, klepali 'Prawdźica' po ramieniu mówiąc: — 'Sehr gut, Vater, sehr gut. Es wird ein Fest für die ganze Familie sein'. (Bardzo dobrze ojczulku, bardzo dobrze. Co to będzie za święto dla całej rodziny!)” (str. 36).

Z relacji zarówno Szlaskiego jak i Sędziaka można wnioskować, że za czasów Grota-Roweckiego mieli oni dobre stosunki z KG w Warszawie, jednak po jego aresztowaniu stosunki te zaczęły się pogarszać i KG zaczęła przypisywać nadrzędną władzę

nad Okręgiem Nowogródzkim komendantowi Okręgu Wileńskiego ppłk. Krzyżanowskiemu, pomimo że nie miał on do tego formalnego tytułu.

Wspomina o tym w swej relacji Sędziak, pisząc o memoriale Okręgu Nowogródzkiego złożonym KG w sprawie współpracy z Białorusinami na terenie Okręgu.

„W Warszawie oświadczono mi, że przysłany przez nas uprzednio memoriał nie zostanie załatwiony, gdyż problemem tym zajmuje się obecnie komendant Okręgu Wileńskiego 'Wilk' (Krzyżanowski) i on, a nie kto inny, będzie prowadził rozmowy w tych sprawach z działaczami białoruskimi w Wilnie” (str. 103).

Jednocześnie wobec ataku sowieckiego na polskie oddziały w Puszczy Nalibockiej i przychwycenia sowieckiego rozkazu o likwidacji polskiej partyzantki w listopadzie 1943 Szlaski wysłał do Warszawy w celu załatwienia tych spraw Sędziaka, który pisze:

„W następnej rozmowie z szefem Oddz. III K.G. gen. Tatarem wysunął projekt, aby K.G. zezwoliła nam na rozmowy z przedstawicielami partyzantki radzieckiej, uprawniając nas jednocześnie do ustalenia z nimi sfer działania obu stron, w celu unikania jakiegokolwiek konfliktów. Otrzymałem na to kategoryczną odmowę, gdyż podobną rozmowę na ten temat prowadził za nas ppłk Krzyżanowski” (str. 111).

Wkrótce stosunki z Okręgiem Wileńskim zaczęły komplikować się jeszcze bardziej. Mjr Kalenkiewicz rozprawiwszy się ze sprawą swego kuzyna Świdy (który został skazany na śmierć z zawieszeniem i przeniesiony do Okręgu Krakowskiego), nie wrócił do Warszawy, a pozostał w swoich stronach rodzinnych, obejmując dowództwo Zgrupowania Nadniemeńskiego nowogródzkich oddziałów partyzanckich. A jednocześnie, jak przystało na rasowego sztabowca, ale z własnej inicjatywy, rozpoczął planowanie akcji „Ostra Brama”, o której Sędziak pisze tak:

„Taki kryptonim miała akcja wileńskich i nowogródzkich oddziałów AK, której celem było zdobycie Wilna z chwilą wejścia Armii Radzieckiej na teren Wileńszczyzny. Z planem jej zetknąłem się na początku kwietnia 1944 roku, gdy był jeszcze w brudnopisie. Czytał mi go mjr Kalenkiewicz po swym powrocie z Wilna, gdzie jak się dowiedziałem, nie bez zdumienia, miała miejsce konferencja, na której Kalenkiewicz, występując z ramienia Nowogródzkiego Okręgu AK, rozmawiał z ppłk. Krzyżanowskim, komendantem Wileńskiego Okręgu AK, oraz z przedstawicielami politycznymi tego Okręgu. Zostałem z miejsca zaskoczony wieloma sprawami. Nie utrzymywalismy stosunków z Wilnem, więc zdziwiło mnie, skąd Kalenkiewicz dostał kontakt na ppłka 'Wilka' i dlaczego pojechał tam sam. Skąd tak nagle wy-

skoczył ten projekt? Wszystko to świadczyło, że poza naszymi plecami decydowano w sprawach, o których Szlaski ani ja nie mieliśmy pojęcia. Większego jeszcze zaskoczenia doznałem po zaznajomieniu się z założeniami planu i akcji, jeśli chodziło o stronę polityczną. Wynikało z nich, że jeśli chodzi o Wilno — stoimy twardo w roli gospodarza. W wypadku zniszczenia lub rozbrojenia naszych oddziałów przez wojska sowieckie nastąpiłoby, jak przewidywano w koncepcji planu, wbicie klina między Anglię i Związek Radziecki. Zapytany przez Kalenkiewicza, co myślę o tym planie wcale nie ukrywałem tego, iż jego autorzy widzą w nim tylko koniec własnego nosa. Ppłk Szlaski po zaznajomieniu się z projektem planu ustosunkował się do niego bardzo krytycznie. Nie wiem dlaczego mimo tylu zastrzeżeń w ostateczności położył pod nim swój podpis" (str. 78).

Zdaniem Szlaskiego nie zaakceptował on ani też nie podpisał tego planu, a nie chcąc wkraczać w stosunki pomiędzy Oddziałem III KG w Warszawie i jego uprzednim oficerem Kalenkiewiczem, zgodził się jedynie na przesłanie tego planu do Warszawy (na podstawie ustnej relacji Prawdzica-Szlaskiego).

Po kilku tygodniach wezwano zarówno Krzyżanowskiego jak i Szlaskiego na odprawę do Warszawy na 12 czerwca 1944. Oświadczone tam Szlaskiemu (z którym Bór-Komorowski rozmawiał osobno, a osobno z Krzyżanowskim), że w celu przeprowadzenia akcji „Ostra Brama” oba Okręgi zostaną połączone pod dowództwem Krzyżanowskiego. O dalszym przebiegu tych rozmów Szlaski pisze:

„Gdy poruszyłem sprawę rozkazu gen. 'Grota', że ludzie zagrożeni mają wraz ze mną wycofać się na zachód, usłyszałem, że rozkaz ten został anulowany, a ja mam opuścić ten teren i zostaję przeniesiony do K.G., a wszystkie oddziały nowogrodzkie idą na Wilno. Powiedziałem, że z tym nie mogę się zgodzić. ... Zaproponowałem, że sam przejdę do partyzantki na zgrupowanie. Po moim oświadczeniu gen. Bór wyszedł do drugiego pokoju, aby porozumieć się z 'Wilkiem'. Po powrocie oświadczył, mi, że zgadza się, abym przeszedł do partyzantki" (str. 217).

A dalej pisze Sędziak tak:

„Powrócił (Szlaski) dość szybko i oświadczył mi, że obaj zostaliśmy zwolnieni ze swych stanowisk. Ucieszyłem się bardzo. ... Decyzja K.G. była zaskakująca, gdyż na nowego komendanta Okręgu wyznaczony został ppłk Adam Szydłowski (Poleszuk). Był on skoczkiem spadochronowym i jeszcze niecałe półtora miesiąca temu przebywał we Włoszech. A więc nie tylko praca konspiracyjna, ale rzeczywistość polska była dla niego nowością. Wraz z nim miał przybyć do nas ... mój następca kpt. dypl. Kazimierz Fortuna (Siła). Było dla nas jasne, że jest to zmiana wprost skandaliczna" (str. 79).

Szydłowski przybył przez Wilno do m.p. sztabu Okręgu Nowogrodzkiego dopiero 25 czerwca 1944. A następnego dnia

„Przyszedł rozkaz komendanta Okręgu Wileńskiego, który podobno otrzymał awans na generała³, aby obaj nasi komendanci, stary i nowy, połączyli przekazywanie sobie oddziałów z jednoczesną ich inspekcją przez nowego dowódcę całości, 'gen. Wilka' (Krzyżanowskiego). Zdziwienie moje nie miało granic. Widocznie źle oceniałem sytuację na froncie” (Sędziak, str. 82).

W dniu 2 lipca 1944 Krzyżanowski w mundurze generalskim i w obecności Szydłowskiego i Szlaskiego dokonał przeglądu nowogródzkich batalionów 2, 5 i 7. Po tym przeglądzie, na skutek wiadomości radiowych o szybkim tempie posuwania się sowieckiego na zachód, Szlaski i Szydłowski zwrócili się do Krzyżanowskiego z sugestią przerwania dalszych przeglądów i wydania natychmiastowych rozkazów celem przegrupowania batalionów, by wykonać uderzenie na Wilno. Jednak Krzyżanowski oznajmił, że będzie kontynuował przeglądy.

Wówczas Szlaski zameldował:

„że nie chce brać odpowiedzialności za następstwa, które jego zdaniem mogą wyniknąć i na dalsze przeglądy nie pojedzie, gdyż jest na nich zupełnie zbyt ciężki, a wraca natychmiast do Zgrupowania Zachód i czeka dalszych rozkazów. Na co otrzymał zezwolenie” (Szlaski, str. 147).

Widocznie na skutek tego incydentu Krzyżanowski (Dziemido) wysłał do Kom. Gł. w Warszawie depezę nr 19/vv następującej treści:

„Odsyłam ppłk. Prawdzica do dyspozycji K.G. Dziemido”.

Data podpisania tej depezy nie jest znana, ale wiadomo, że centrala radiowa Sztabu NW pod Londynem po odebraniu tej depezy spod Wilna nadała ją do jednej z radiostacji warszawskich w dniu 6 lipca 1944⁴.

Jednak wkrótce po demonstracyjnym wyjeździe Szlaskiego

3. Choć Krzyżanowski włożył mundur generalski na początku lipca 1944, o czym zawiadomił Bora-Komorowskiego depezą nr 556 z 12 lipca, był on w tym czasie zaledwie podpułkownikiem. Dopiero 28 września 1944 został awansowany do stopnia pełnego pułkownika. W tym czasie był już internowany w Riazaniu, skąd uciekł do Wilna w sierpniu 1947. Został repatriowany do PRL w listopadzie tegoż roku. Kilka miesięcy później, w lipcu 1948, został aresztowany przez władze PRL. Zanim śledztwo zostało ukończone, Krzyżanowski zmarł na gruźlicę w więzieniu na Mokotowie 29 września 1951 roku.

4. Kiedy depezę tę pokazałem płk. Szlaskiemu w 1979 roku, jasne było, że nie znał on jej treści. Wynika stąd, że pomimo wysłania tej depezy Krzyżanowski w pierwszych dniach lipca 1944 nie wydał Szlaskiemu rozkazu odejścia do Warszawy.

do Zgrupowania Zachód Krzyżanowski zmienił zdanie i rozpoczął przygotowania do akcji wileńskiej; Sędziak pisze:

„Było bodajże 3 lipca, kiedy w południe zjawił się w naszym m.p. ppłk Szydłowski. Towarzyszyła mu jedynie sekcja ułanów. Wszyscy upadali ze zmęczenia po forsownym 90-ciokilometrowym marszu. Pułkownik polecił mi, abym natychmiast wydał rozkaz dla 2-go i 7-go batalionu, żeby ciągnęły one pod Wilno. Kazał mi zabrać resztę sztabu, rezerwę sprzętu łączności, archiwum, kancelarię i kasę Okręgu, w ogóle wszystko i szykować się jak najszybciej do odmarszu. Byłem przeciwny, aby w tych warunkach ciągnąć to wszystko pod Wilno i próbowałem przekonać o tym ppłka Szydłowskiego, ale był nieustępliwy. ... 'Gen. Wilk' kazał zabrać wszystko. Jako dodatek do tego ppłk Szydłowski polecił mi przekazać w teren rozkaz 'gen. Wilka', aby wszyscy nasi żołnierze obowiązkowo, choć bez uzbrojenia, organizowali się w oddziały i jak najszybciej maszerowali pod Wilno. Byłem tym oburzony. Znow więc miała się powtórzyć stara historia prowadzenia Polaków na bój bez broni. Napisałem krótko odpowiedni rozkaz, dałem go do podpisu, zostawiłem sobie jeden egzemplarz, a resztę podarłem. ... Już po południu tego dnia opuściliśmy nasze m.p. Na dwóch samochodach ciężarowych jechało poza sprzętem 5 oficerów, 2 szyfrantki i 6 żołnierzy. Samochód osobowy przeznaczyłem dla dowódcy (tzn. Szydłowskiego — Z.S.S.). To, do czego przywiązywałem tak wielką wagę, to jest aparat dowodzenia, miałem teraz całkowicie rozbite. Siadając na samochód musiałem wyrzec się ostatnich dwóch sekcji (kilkunastu ułanów — Z.S.S.) i ułanów ze szwadronu ochrony sztabu. ... Obecnie w tej grupie, w jakiej mieliśmy jechać, drogę do celu marszu i oparcie o pomoc siatki konspiracyjnej znałem tylko ja jeden” (str. 84).

Następnego dnia, 4 lipca 1944, przybył Szydłowski do Zgrupowania Zachód, którym dowodził Szlaski, z rozkazami natychmiastowego marszu w kierunku na Wilno. Zgrupowanie to stacjonowało w rejonie Szczuczyna i w myśl rozkazów miało stawić się w dniu 7 lipca rano w majątku Stare Rakliszki nad rzeką Solcżą w rejonie Puszczy Rudnickiej. Stanowiło to odległość około 90 km, czego piechota nie mogła pokonać w ciągu dwóch dni (5 i 6 lipca). Nic więc dziwnego, że dopiero 8 lipca rano na południowym skraju Puszczy Rudnickiej spotkał Szlaski (przy którym był 7 batalion 77 pp. i szwadron 26 p. ułanów) Sędziaka wraz z jego dwoma sztabowymi samochodami. Przy nim był 2 batalion pod dowództwem por. Jana Borysewicza (Krysi), który skontaktował się z nim 5 lipca 1944⁵.

W tym czasie miało miejsce również inne spotkanie.

„Po krótkim odpoczynku wyszliśmy z Puszczy i przed wsią Butrymańce spotkaliśmy kolumnę kopiasto naładowanych wozów jadącą na północ w kie-

5. Skutek opóźnienia w podciąganiu oddziałów nowogródzkich pod Wilno był taki, że zaledwie dwa bataliony, 3 dowodzony przez Bolesława Piaseckiego i 6 dowodzony przez Stanisława Dedelisa, brały czynny udział w natarciu na Wilno nad ranem 7 lipca 1944.

runku Wilna. To nasz szef BIP-u 'Ligenza' — Wawrzyniak, wykonujący ściśle rozkaz jaki osobiście otrzymał od 'gen. Wilka', wioził pod Wilno do słownie wszystko, a więc drukarnię, powielacze, maszyny do pisania, cały zapas papieru i tak jak my archiwum" (Sędziak, str. 88).

Z natury rzeczy Szlaski objął dowództwo nad tym zgrupowaniem składającym się z dwóch batalionów i jednego szwadronu ułanów. Wkrótce zgrupowanie to nawiązało kontakt z 1 Moskiewską Dywizją Gwardii maszerującą wzdłuż południowej ściany Puszczy Rudnickiej.

„Piechota radziecka nie nadążała za cofającym się nieprzyjacielem. Oddziały dywizji miały 60-70 % strat marszowych, tak, że kompanie liczyły niekiedy tyle żołnierzy, co normalny pluton. Dowództwo radzieckiej dywizji było zadowolone z przyłączenia się do jej składu dwóch świeżych i doskonale uzbrojonych batalionów polskich. Dla usprawnienia dowodzenia otrzymaliśmy do każdego batalionu po jednym oficerze łącznikowym wraz z patrolem łączności radiowej...

Po naradzie z ppłk. Szlaskim postanowiliśmy zakopać archiwum i część sprzętu kancelaryjnego...

Dnia 12 lipca otrzymałem od 'gen. Wilka' przez specjalnego gońca rozkaz zatrzymania dalszego marszu na zachód i przejścia z oboma batalionami do rejonu Turgiel, gdzie odbywała się koncentracja wszystkich polskich oddziałów. 16 lipca przed świtem przybyliśmy do wyznaczonego nam miejsca koncentracji 7 batalionu, przy którym znajdowałem się teraz (wraz ze Szlaskim — Z.S.S.). Wkrótce w godzinach rannych przybył samochodem ppłk Szydłowski. Był zadowolony, że wszystkie oddziały jego Okręgu były na miejscu. Ppłk Szydłowski z radością podał nam treść dotychczasowych rozmów, jakie prowadził 'gen. Wilk' z gen. Czerniachowskim, dowódcą 3 Frontu Białoruskiego. (...) Tego dnia po południu miała zapadć ostateczna decyzja w sprawie zatwierdzenia przez stronę radziecką projektu utworzenia przez nasze oddziały dywizji piechoty i brygady kawalerii. Ppłk Szydłowski był pełen wiary w jak najlepszą przyszłość i i teraz przypominał cały mój pesymizm, z jakim odnosiłem się do planu 'Ostra Brama' i poszczególnych rozkazów. Proponował mi, abym wraz z nim tego dnia był również na wspólnej polsko-radzieckiej odprawie. Zrezygnowałem, gdyż po nocnym długim marszu byłem zmęczony, a poza tym, jak się dowiedziałem, zjawiał się już w sztabie przyszedł mój następca, więc uważałem, że będzie lepiej, abyśmy wraz z ppłk. Szlaskim i dowódcami 2-go i 7-go batalionu przyjechali wprost do Wołkorabiszek, gdzie stacjonował sztab 'gen. Wilka', już po odprawie polsko-radzieckiej. Ppłk Szydłowski, widząc nasze zmęczenie, zgodził się na mój projekt, wyznaczając nam czas przybycia na godz. 20.00" (Sędziak, str. 88-90).

Będąc w 7 batalionie Szydłowski rozmawiał również ze Szlaskim, który go zapytał:

„Po co właściwie robicie koncentrację? Jeżeli, jak zapewniamie, umowa będzie dotrzymana, to wtedy należy robić koncentrację, gdyż w przeciwnym wypadku Sowietci wybiorą nas jak kartofle z worka. Ppłk 'Poleszuk' zarzuca mi, że jestem wrogo ustosunkowany do bolszewików, więc mam dużo zarzutów" (str. 220).

W tym miejscu należy wyjaśnić, że tego dnia miały miejsce dwie odprawy. Jedna wczesnym popołudniem w Wilnie u gen. Czerniachowskiego, dowódcy 3 Frontu Białoruskiego, na której byli jedynie ppłk Krzyżanowski i mjr dypl. Stanisław Cetys, szef Oddziału Operacyjnego w Okręgu Wileńskim, oraz druga w folwarku Bogusze, około 25 km na południe od Wilna, a 5 km od majątku Wołkorabiszki, gdzie mieścił się sztab Krzyżanowskiego.

Należy poruszyć jeszcze jedną ważną sprawę. Nie ma absolutnej pewności, czy te wszystkie wypadki miały miejsce w niedzielę 16 lipca, czy też w poniedziałek 17 lipca 1944. Wspomnienia zarówno Szlaskiego jak i Sędziaka sugerują, że było to 16 lipca, natomiast inne źródła, jak na przykład relacja Cetysa, mówią o 17 lipca. Tego samego zdania jest również uczestnik tych wypadków i autor obszernej pracy doktorskiej dotyczącej akcji „Ostra Brama”, Korab-Zebryk⁶.

O dalszych wypadkach tego pamiętnego dnia pisze Sędziak następująco:

„Wieczorem, wypocząwszy po marszu, postanowiliśmy wraz z ppłk. Szlaskim przyjechać do Wołkorabiszek jeszcze przed godziną 20.00. Zyliliśmy wśród swoich. Wszędzie stały nasze oddziały. Dlatego też, rezygnując z samochodu lub jazdy konnej jako zwolnieni ze stanowisk, jak najskromniej, bez żadnych pocztów i ubezpieczeń pojechaliśmy w szóstkę zwykłym wozem towarowym. Przed Wołkorabiszkami, w odległości 2 km, zwrócił naszą uwagę dość nagły ruch gońców. Motocykliści, cykliści i konni pędzili w różne strony jak na złamanie karku. Wkrótce przed nami zjawił się konno por. Borysewicz (Krysia) ze swym pocztem. Jego 2 batalion stał trzy km od nas i był bliżej Wołkorabiszek, dlatego też poleciłem por. 'Krysi', aby na odprawę jechał osobno, nie czekając na nas. Domyśliliśmy się już, co nastąpiło zanim por. 'Krysia' złożył meldunek” (str. 90).

Tymczasem w Boguszach rozbrojono, załadowano na ciężarówki i wywieziono około 40 ludzi, głównie oficerów Okręgu Wileńskiego. Z Okręgu Nowogródzkiego był tam jedynie następca Sędziaka, kpt. dypl. Fortuna, kapelan 3 batalionu, ks. Mieczysław Suwała i pchor. tegoż batalionu Ryszard Damrosz. Powody nieobecności oficerów nowogródzkich były różne. Mjr Kalenkiewicz, któremu podlegał 5 i resztki 8 batalionu, przyjechał na odprawę, ale tuż przed przybyciem sowieckich przedstawicieli odjechał samochodem. Czyżby przeczuwał, co się stanie, a może dokuczała mu prawa ręka po niedawnej amputacji? Pia-

6. Dr Roman Korab-Zebryk, „Operacja Wileńska 1944”, maszynopis, stron ponad 400. Ostatni rozdział tej pracy ukazał się w kraju w druku poza cenzurą — „Epilog, Wileńszczyzna 1944”, Biblioteka Literacka i Historyczna, Warszawa 1981, str. 93.

secki, dowódca 3 batalionu, sam nie przybył, ale przysłał swego reprezentanta por. Stanisława Bristemeistera wraz z ks. Suwałą i pchor. Damroszem. Przyjechali oni już w czasie rozbrajania oficerów. Znający rosyjski Bristemeister szybciej zorientował się w sytuacji, wskoczył z powrotem do samochodu, z którego właśnie wysiedli i uciekł. Oficerowie dwóch batalionów nowogródzkich podporządkowanych mjr. Czesławowi Dębickiemu z Okręgu Wileńskiego zrozumieli (dzięki przekreśnionemu przy ustnym przekazywaniu rozkazowi), że mają przybyć do Bogusz dopiero na godz. 19.00 i to ich uratowało, bo w drodze dowiedzieli się o aresztowaniach w Boguszach. Jak już wiemy, oficerowie batalionów podległych Szlaskiemu (2 i 7 — dowódcy por. Jan Borysiewicz i por. Bojomir Tworzyński) nie mieli wcale jechać do Bogusz. Natomiast komendant Okręgu Nowogródzkiego, ppłk Szydłowski, w ostatniej chwili został wraz z szefem sztabu wileńskiego ppłk. Krzeszowskim wezwany przez oficerów sowieckich z Wołkorabiszek do Wilna. Tam zostali oni z miejsca aresztowani. Krzeszowskiego trzymano osobno, natomiast Szydłowskiego dołączono do Cetysa, którego uprzednio odseparowano od Krzyżanowskiego. Ich obu przewieziono z willi na Antokolu, gdzie miała miejsce „odprawa” z Czerniachowskim, do więzienia śledczego na Ofiarnej przy Placu Łukiskim⁷.

Wróćmy jednak na teren koncentracji pod Wilnem.

Spotkanemu Borysewiczowi kazał Szlaski maszerować do Puszczy Rudnickiej, a sam wraz z oficerami będącymi przy nim pojechał do Wołkorabiszek. Tam dowiedział się, że wobec nieobecności Krzyżanowskiego, Szydłowskiego i Krzeszowskiego (w tym czasie nie było jeszcze wiadomo, że zostali oni w Wilnie aresztowani), dowództwo nad całością objął starszy już wiekiem (około 50 lat) ppłk Zygmunt Izidor Blumski (Strychański), który wobec aresztowań w Boguszach przekazał dowództwo nad oddziałami nowogródzkimi Szlaskiemu. A Sędziakowi

„zapropoŃował funkcję szefa sztabu u siebie. Nie zgodziłem się, gdyż nie popierałem nigdy planu 'Ostra Brama' i nie chciałem obecnie jako odpowiedzialny dowódca spożywać owoców, jakie wydała” (str. 90).

Więc po staremu Sędziak pozostał przy Szlaskim, ale w

7. Powyższe informacje dotyczące aresztowań pochodzą głównie z pracy Żebryka. Natomiast Szlaski podaje, że Szydłowski spóźnił się do Bogusz i wiadomość o aresztowaniach zastała go w Wołkorabiszkach. Traktując poważnie 'słowo generała sowieckiego', sądził on, iż jest to jedynie jakieś nieporozumienie, udał się do Wilna w celu wyjaśnienia sytuacji i tam został aresztowany (str. 220). Sędziak natomiast (str. 90) sądzi, że Szydłowskiego aresztowano w Boguszach.

praktyce nie mogli oni objąć w pełni dowództwa nad swoimi dawnymi oddziałami, bo ich uprzedni aparat dowodzenia został już całkowicie zdeorganizowany.

Blumski i Szlaski ustalili, że każdy z nich będzie postępował tak, jak będzie uważał za stosowne, ale obaj wyrazili zamiar marszu do Puszczy Rudnickiej. Jak można wnioskować, taką samą decyzję powzięły samorzutnie oddziały, do których nie dotarły żadne rozkazy.

Tegoż wieczoru Blumski wysłał depeszę zaadresowaną zarówno do KG w Warszawie jak i do Sztabu NW w Londynie.

„W dniu 17.7 podstępnie sztab Okręgów Nów i Wilno aresztowany. Oddziały AK w sile około sześć tysięcy w marszu na Puszcę Rudnicką, gdzie przyjmijmy walkę”.

Depesza ta została nadana przez centralę radiową Sztabu NW pod Londynem do kraju jeszcze tego samego wieczoru, 17 lipca 1944.

W drodze powrotnej z Wołkorabiszek do swego m.p. w Pawłowie spotkał Szlaski dowódcę 6 batalionu kpt. Stanisława Dedelisa i kazał mu maszerować do Puszczy Rudnickiej. Po powrocie do Pawłowa Sędziak przygotował rozkaz mówiący o mianowaniu Szlaskiego komendantem Okręgu Nowogródzkiego i nakazujący marsz do Puszczy Rudnickiej w ogólnym kierunku na Jaszuny, z wyznaczeniem miejscowości na skraju Puszczy, w której następnego dnia miało odbyć się spotkanie dowódców.

Tej nocy (najprawdopodobniej z 17 na 18 lipca) maszerujące oddziały nie zdążyły osiągnąć Puszczy i dotarły jedynie do jej skrajów pokrytych krzakami. Maszerowały one dalej już przy świetle dziennym. Z nastaniem dnia sowieckie samoloty obserwacyjne, tzw. kukuruźniki, krążyły nad maszerującymi kolumnami. Szef Oddz. II Okręgu Nowogródzkiego za zezwoleniem Szlaskiego zestrzelił jednego kukuruźnika, trafiając widocznie pilota.

W tym czasie oddziały nowogródzkie maszerowały kilkoma nieco przypadkowymi kolumnami. Szlaski miał przy sobie 2, 6 i 7 batalion (dowódcy Borysewicz, Dedelis i Tworzyński). Kalenkiewicz maszerował osobno⁸. Był przy nim 5 i niepełny 8 batalion (dowódcy kpt. Bolesław Wasilewski i ppor. Józef Zwinogrodzki). Bolesław Piasecki wraz ze swoim 3 batalionem maszerował oddzielnie.

8. Potem, 21 sierpnia 1944, poległ Kalenkiewicz walcząc z oddziałami sowieckimi w Surkontach koło Radunia.

Późnym przedpołudniem, jeszcze przed wydaniem obiadu w 7 batalionie, odbyła się na skraju Puszczy odprawa, na której byli obecni: Blumski, Szlaski, Sędziak, Borysewicz, Dedelis i Tworzyński. Ostrzelało ich lotnictwo sowieckie. Na tej odprawie postanowiono, że każdy dowódca będzie działał na własną rękę. Szlaski mówił, że idzie na zachód, Borysewicz uważał, że należy pozostać i bronić ludności, a Blumski nie wypowiadał się. Wynika z tego, że podjęcie walki z Sowietami w Puszczy Rudnickiej, zapowiadane przez Blumskiego w depeszy do KG i Sztabu NW dnia poprzedniego, zostało zaniechane. Po odprawie dowódcy rozjechali się do swoich kolumn.

„Ruch poszczególnych kolumn dozorowany był przez lotnictwo radzieckie. Około południa samoloty radzieckie zrzuciły nad poszczególnymi kolumnami rozkazy dowództwa radzieckiego, w celu powstrzymania dalszego marszu, a na jednej z polan wylądowali oficerowie radzieccy, dla poinformowania naszych dowódców o dyspozycjach radzieckiego dowództwa. Według wydanych przez nich instrukcji, oddziały nasze miały udać się do stacji Gudełki, na linii kolejowej Bieniakonie-Wilno i tam oczekiwać dalszych rozkazów. Stro-
na radziecka nie zobowiązywała się do niczego. Ta forma zdania się na łaskę i niełaskę nie odpowiadała większości” (Sędziak, str. 91).

Okoliczności te spowodowały, że Blumski rozwiązał oddziały wileńskie, a Dedelis swój 6 batalion. Borysewicz odesłał część swych żołnierzy, którzy tego pragnęli, do Gudełek, a z pozostałymi powrócił na swój dawny teren, gdzie prowadził akcję partyzancką. Poległ on w styczniu 1945. Większość dowódców doradzała mniej zagrożonym żołnierzom lokalnego pochodzenia przedzieranie się do domów, a pozostanie jedynie tych, którzy byli przygotowani na dalszą tułaczkę. Szlaski wraz z Sędziakiem i Tworzyńskim mieli przy sobie 1 szwadron 26 p. uł. i 7 batalion, oba o zmniejszonych stanach.

„O zmroku rozpoczyna się szaleńczy marsz przez bagna jeziora Kiernowo ku rzece Solczy. Nocą z 18 na 19 lipca poszczególne grupy odrywają się od Puszczy Rudnickiej i ile sił prą pod osłoną nocy w kierunku na Puszcę Bersztańską (Ruską). Świt zastaje je w rejonie szosy Ejczyszki-Orany. Dzień spędzają jedni w krzakach, inni w samotnych koloniach, zdani na łaskę lub niełaskę losu. Dzień, który nerwowo może być najcięższy, mija. Zbawienne cienie nocy stwarzają możliwości dalszego marszu” (Szlaski, str. 156).

Posuwając się w kierunku południowo-zachodnim spotkał Szlaski Piaseckiego wraz z jego „warszawiakami” z 3 batalionu i dłuższy czas szli razem. W tym składzie dotarli do miejscowości Nacza, gdzie zatrzymali się na parę dni (może 20 i 21 lipca).

Dalsze wypadki już w Puszczy Ruskiej opisuje Szlaski następująco :

„Jest tam już z wileńskich oddziałów mjr 'Jarema' (Dębicki), por. 'Tońcio' (Boryczka), por. 'Piotr', a z nowogródzkich mjr 'Warta' (Sędziak), por. 'Ostoja' (Tworzyński), por. 'Juliusz' (Lewandowski), szef łączności konspiracyjnej 'Kotka' (por. Regina Danowska) i około 250 żołnierzy. Odprawa, którą rozpoczyna ppłk 'Prawdzic' nie dochodzi do skutku, przerwana przez nagły najazd bolszewików. Całość odskakuje w głąb puszczy. W pobliżu słynnej z 1863 roku polany Narbutta grupa bolszewików zachodzi Polakom drogę. Krótka, gwałtowna walka, ginie w niej pchor. 'Czarny' i żołnierz 'X'. Droga zostaje oczyszczona, następuje dalszy marsz. Krótkie oddanie hołdu bojownikom z 1863 roku pod krzyżem na polanie Narbutta. Następnego dnia generalna odprawa. Zdania podzielone. Mjr 'Jarema' i por. 'Tońcio' pozostają na miejscu. Ppłk 'Prawdzic' i grupa oficerów z 7 batalionu i komendy Okręgu, oraz szczątki 7 batalionu (około 100 żołnierzy) decydują się wraz z resztkami 3 batalionu UBK na bardzo ciężki marsz w kierunku Grodna i Białegostoku, z zamiarem przedostania się do Warszawy” (str. 156).

Spośród wymienionych tutaj mjr Dębicki rozwiązał swój oddział i usiłował przedzierać się z powrotem do Wilna, ale został schwytany przez bolszewików. Lewandowski, Tworzyński i Boryczka wydostali się na Zachód, ale Boryczka poszedł znowu do kraju jako kurier i wpadł w ręce UB. Dowódcą 3 batalionu Piasecki został potem przywódcą krajowego PAX-u.

W Naczy pożegnał się ze Szlaskim jego szef sztabu Sędziak, mówiąc :

„Ty siedziałeś u bolszewików, to idź, a ja zostanę, może nie poznają, a ktoś musi zostać”. (Ustna relacja Szlaskiego z 25 lutego 1979).

Przed odjazdem Sędziaka Szlaski mianował go swoim zastępcą na stanowisku komendanta Okręgu Nowogródzkiego. Sędziak działał jeszcze w Nowogródzkim dłuższy czas i do września 1944 utrzymywał jeszcze łączność radiową z Londynem. Jednak sytuacja stawała się coraz bardziej nieznośna, więc Sędziak przeniósł się do Okręgu Białostockiego, gdzie w dalszym ciągu komendantem Okręgu był Liniarski, który przybył na te tereny wraz ze Szlaskim w jesieni 1940 roku. Sędziak dostał się w ręce UB w czasie likwidacji podziemia na Białostocczyźnie zorganizowanej przez gen. Gustawa Paszkiewicza i został zwolniony z więzienia dopiero w 1956 roku.

Dalsze swoje dzieje opisuje Szlaski następująco :

„Grupa ppłka 'Prawdzica' kieruje się na Marcinkance, nocą przechodzi tory kolejowe Grodno-Wilno i zapada w lasach nadleśnictwa Druskieniki. Najcięższe zadanie, to przejść szosę Porzeche-Druskieniki. Szosą bez przerwy ciągną kolumny wojsk sowieckich. W nocy oddział, po dokładnym rozpoznaniu, w przerwach między jedną kolumną a drugą, grupkami po kilku ludzi,

przeskakując na drugą stronę. Zdawałoby się, że zadanie wykonane, 400 metrów dzieli żołnierzy od lasów grodzieńskiego nadleśnictwa Hoża. Cicho, jak wilki, zbliżają się do lizjery. Nagle krzyki i gwałtowny ogień straży sowieckich. Wycofania się już nie ma. Grupa bez namysłu atakuje i przebijają się, ginie tylko jeden człowiek, spadochroniarz ppor. 'Dzwon'. Atak był tak skuteczny, że wprowadził całkowite zamieszanie wśród oddziałów sowieckich i przez dwie godziny dochodziły odgłosy walki, jaka powstała między zdeorientowanymi oddziałami sowieckimi.

Pierwsze wieści o wybuchu powstania w Warszawie dochodzą do nas w rejonie Białegostoku. ... Grupa ppłka 'Prawdźica' osiągnęła rejon Otwock-Swider-Józefów w dniu 15 sierpnia 1944. (...) Nie mogąc w żadnym wypadku przejść Wisły, grupa zostaje zakonspirowana" (str. 157).

Szlaski ukrywał się w okolicach podwarszawskich do zakończenia wojny. Potem został aresztowany przez UB, ale wkrótce zwolniono go na skutek interwencji ppłka Mazurkiewicza. Jednak Szlaski wiedział, że nie uniknie powtórnego aresztowania, więc rozpoczął starania o wyjazd na Zachód i wkrótce wydostał się do II Korpusu we Włoszech. W ślad za nim przybyła w listopadzie 1945 jego żona, Wanda z domu Krąkowska, podporucznik AK, która uprzednio, za czasów niemieckiej okupacji, była zaangażowana w bazie Okręgu Nowogródzkiego w Warszawie.

Wraz z II Korpusem przybyli Szlascy do Londynu, gdzie zawód farmaceutyczny pani Szlaskiej dopomógł im w osiągnięciu dostatnich warunków życia.

W czasie zatargu pomiędzy prezydentem Zaleskim i Andersem Szlaski stanął po stronie tzw. Zamku i jakiś czas był członkiem Rady Narodowej w tym obozie. W 1968 został mianowany pełnym pułkownikiem w Korpusie Oficerów Kawalerii (vide *Zeszyty Historyczne* nr 16, sierpień 1969, str. 135). W okresie powojennym Szlaski nie miał najlepszych stosunków z oficjalnymi kołami akowskimi, chyba głównie dlatego, że był w dalszym ciągu krytycznie nastawiony do akcji „Ostra Brama” i do Powstania Warszawskiego. Natomiast utrzymywał dość żywe kontakty z dawnymi żołnierzami Okręgu Nowogródzkiego w kraju.

Szlaski był odznaczony Orderem Virtuti Militari, Krzyżem Niepodległości i Krzyżem Walecznych. Zmarł w Londynie 23 sierpnia 1983 roku po przewlekłej chorobie, pozostawiając po sobie żonę, działaczkę Zjednoczenia Polek na Emigracji. Zwłoki jego zostały spopielone. Trumnę zegnał w imieniu żołnierzy nowogródzkich zrzutek spadochronowy Franciszek Rybka, który działał w najbardziej na wschód wysuniętym obwodzie stołpeckim.

Z. S. SIEMASZKO

18 grudnia 1983

DOKUMENTY

TRZY DOKUMENTY

ujawniające mechanizmy przemocy i gwałtu w Polsce w latach 1947-1955

Publikujemy trzy dokumenty różnej proveniencji, ale dotyczące tego samego tematu, gdyż ujawniają one mechanizmy przemocy i gwałtu, stosowane w Polsce w latach 1947-1955. Mieliśmy wprawdzie dostęp tylko do odpisów, nie do oryginałów, co do których nie wiadomo, gdzie się znajdują i czy w ogóle jeszcze istnieją. Znana jest bowiem praktyka zacierania śladów, niszczenia dokumentów, ukrywania ich w niedostępnych archiwach. Wiemy jednak, że odpisy są wierne, a dokumenty — autentyczne.

Pierwszy dokument to *Notatka w sprawie nadużyć w śledztwie w organach Informacji*, sporządzona prawdopodobnie w początku roku 1957, w której podano nazwiska siedemdziesięciu czterech oficerów, winnych fizycznego i psychicznego torturowania aresztowanych przez Główny Zarząd Informacji oraz omówiono na podstawie przesłuchań zeznania dotyczące piętnastu z nich. Dokument ten ujawnia metody śledztwa, sposoby wymuszania od więźniów zeznań zgodnych z zaplanowanym wcześniej scenariuszem.

Drugi dokument, z 11 kwietnia 1957 roku, to *Sprawozdanie Komisji powołanej przez Podstawową Organizację Partyjną przy Prokuraturze Generalnej w celu zbadania przejawów łamania praworządności przez pracowników, czyli prokuratorów i wice-*

prokuratorów. Dokument ten odzwierciedla metody łamania prawa przez nadzór prokuratorski, podporządkowanie go aparatowi bezpieczeństwa. Interesujący w nim jest również system wymierzania kar winnym.

Trzeci dokument to *list Włodzimierza Lechowicza do jego obrońców* z 15 maja 1956 roku, opisujący tortury, jakim był on poddawany przez przeszło 7 lat przez aparat bezpieczeństwa i służby więziennej. Dokument ten mówi sam za siebie.

Wszystkie dokumenty zostały opatrzone przypisami, które się wzajemnie uzupełniają.

Jesteśmy przekonani, że te trzy dokumenty nie tylko poszerzą naszą wiedzę o okresie minionym, ale że ponadto stanowią przyczynek do wyjaśnienia mechanizmów systemu policyjnego i łamania praworządności w naszym państwie również dzisiaj.



Notatka w sprawie nadużyć w śledztwie w organach Głównego Zarządu Informacji Wojska Polskiego, czyli w kontrwywiadzie wojskowym, sporządzona została przez prokuratora Naczelnej Prokuratury Wojskowej (NPW) majora Zbigniewa Domino i przez wiceprokuratora NPW kapitana Edwarda Wiącka. Dokument ten nie ma daty. Przypuszczać jednak można, że był on wyprodukowany w początku 1957 roku (w jednym miejscu jest mowa o prośbie Ryszarda Hermana o odszkodowanie, wniesionej 4 stycznia 1957 roku, dokument nie mógł więc być wcześniejszy).

Możemy się tylko domyślać, że *Notatka* została napisana na zamówienie nowego październikowego kierownictwa partii (PZPR) z Władysławem Gomułą na czele. Podobny dokument napisał — również w tym czasie — sędzia Mieczysław Szerer w odniesieniu do sprawy zwanej w skrócie sprawą Tatara-Kirchmayera — wyższych oficerów WP, sądzonych latem 1951 roku — oraz innych spraw, tzw. pochodnych. Dokument ten został opublikowany w 1981 roku w tygodniku *Solidarność* na krótko przed ogłoszeniem stanu wojennego, oraz w paryskich *Zeszytach Historycznych* (nr 49). Odpowiadał on negatywnie na pytanie, czy postawić w stan oskarżenia sędziów wojskowych, którzy w latach 1951-1953 skazywali oficerów WP pod fałszywymi zarzutami konspiracji w WP na kary śmierci, dożywocia lub długoletniego więzienia. Należy przypuszczać, że *Notatka*, którą publikujemy, miała również stanowić podstawę do odpowiedzi na pytanie, czy pociągnąć do odpowiedzialności karnej oficerów Głównego Zarządu Informacji (GZI), którzy byli odpowiedzialni za nadużycia w śledztwie w latach 1947 i później. Jak wiadomo, taki proces nigdy się w Polsce nie odbył. Płk Dymitr Wozniesiński, szef Głównego Zarządu Informacji, i jego zastępca, płk Antoni Skulbaszewski, byli sądzeni w ZSSR, dokąd ich odwołano (prawdopodobnie już

w 1954 roku). Każdy z nich został skazany na 10 lat więzienia, o czym ukazała się w prasie polskiej drobna wzmianka.

Na pytanie — dlaczego w Polsce nigdy nie sądzono winnych przestępczych działań w Głównym Zarządzie Informacji — odpowiadamy, że taki proces stanowiłby oskarżenie pod adresem oficerów sowieckich, którzy zbrodnicze sprawy przeciw niewinnym ludziom inicjowali, organizowali i przeprowadzali. A tego Wł. Gomułka chciał uniknąć, obawiając się pogłębienia nastrojów antysowieckich w Polsce. Sądzimy, że takie domniemanie ma podstawy. W Polsce sądzono tylko winnych nadużyć wyższych funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego — R. Romkowskiego, wiceministra MBP, i dwóch dyrektorów departamentu — A. Fejgina i J. Różańskiego (odbył się poza tym proces oficerów śledczych, m.in. Duszy i Kaskiewicza). Żydowskie pochodzenie trzech pierwszych, jak nam się zdaje, odgrywało pewną rolę. Stwarzano wrażenie, jakoby „Żydzi byli wszystkiemu winni” (jak mówiono wówczas ironicznie — *parch pro toto*). Zdjęto odpowiedzialność za bezprawie z Bolesława Bieruta i ministra MBP — Stanisława Radkiewicza. Proces funkcjonariuszy Informacji nie odbył się, choć zapewne w początkach 1957 roku zastanawiano się jeszcze nad tą sprawą w Biurze Politycznym KC PZPR.

Jak bezpośrednio lub pośrednio wynika z *Notatki*, oprócz szefa GZI WP i jego zastępcy również inni funkcjonariusze GZI byli obywatelami ZSSR, a więc ppłk Sergiusz Malkowski — szef Zarządu Śledczego GZI WP, ppłk Naum Lewandowski — szef Zarządu Informacji Wojsk Lotniczych, ppłk Aleksander Andruszewicz — oficer śledczy GZI WP, ppłk Niedzielin (imię nieznane) — szef Wydziału Śledczego Zarządu Informacji Marynarki Wojennej, a również być może ppłk Mateusz Frydman — zastępca szefa Zarządu Śledczego GZI WP i płk Sołopienko. Tak więc ośmiu, lub w każdym razie sześciu wyższych oficerów Głównego Zarządu Informacji WP było obywatelami ZSSR i część z nich opuściła Polskę w latach 1954-1955 (odwołani zapewne po straceniu Ł. Berii w ZSSR).

Notatka wymienia nazwiska 68 oficerów śledczych GZI WP oraz 6 oficerów śledczych Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, którzy brali udział w fabrykowaniu spraw: „bydgoskiej” (1947-1948), „zamojsko-lubelskiej” (1948-1949), „sprawy Tatara-Kirchmayera” i pochodnych (1948-1952) oraz sprawy podoficerów: Wł. Cempy, Józefa Bachyrycza i Parzyńskiego. W tych sprawach łącznie aresztowanych zostało pod fałszywymi zarzutami należenia do tajnej organizacji w wojsku czy prób organizowania zamachów terrorystycznych blisko 220 osób, które poddano torturom i maltretowaniu w śledztwie. W 20 wypadkach wykonano wyroki śmierci na oficerach WP. Zapadło jednak takich wyroków więcej. Wielu aresztowanych zmarło w więzieniu na skutek bicia i pastwienia się nad nimi, kilku popełniło samobójstwo.

Notatka została oparta na rozlicznych materiałach, jak moż-

na zorientować się z analizy tekstu. Są to głównie protokoły przesłuchań i zeznań, składanych w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej (NPW) począwszy od lutego 1955 roku, zarówno przez oficerów śledczych GZI WP, jak i dawnych aresztowanych. Miało to miejsce w trakcie rewizji poszczególnych spraw i umarzania dochodzeń. Autorzy *Notatki* odwołują się przeważnie do teczek: I, IV, VIII-X, XII, XIII, XV-XVII. Poza tym autorzy powołują się na akta rozprawy przed Najwyższym Sądem Wojskowym, która odbyła się 27 listopada 1956 roku. Nie wiemy jaką sprawę wówczas rozpatrywano, może rehabilitacji skazanych?

Mimo że w *Notatce* wymieniono 74 oficerów, przeprowadzających śledztwa, szczegółowo omówiono oskarżenia o nadużycia, stosowanie sadystycznych metod, tortur fizycznych i psychicznych tylko w stosunku do piętnastu z nich. Pominęto np. oskarżenia pod adresem oficerów sowieckich, odgrywających dużą rolę — Wozniesińskiego, Małkowskiego i Lewandowskiego oraz innych (w sumie — 59). W tekście oryginalnym nazwiska owych piętnastu wyróżniono dużymi literami. Są to (według kolejności w tekście *Notatki*): KUHL, SKULBASZEWSKI, FEJGIN, KOCHAN, FRYDMAN, NOTKOWSKI, KULAK, URBANIAK, MARKIEWICZ, LINDAUER, LIS, OLEJNICZAK, BAJRASZEWSKI, KUREK i SARNOWSKI. Większość z nich pracowała w organach Informacji od 1945 roku (należy więc domniemywać, że stosowali oni podobne metody od początków istnienia PRL).

Nie jesteśmy w stanie sprawdzić niektórych rozbieżności w imionach lub w pisowni nazwisk. Tak np. Frydman raz występuje jako Tadeusz, w innych wypadkach jako Mateusz. Jan Krzyska występuje również jako Kryska lub innym razem jako Krysko, Zientkiewicz pisany jest także przez ę. Mogą to być również omyłki w maszynopisie. Nie mogliśmy jednak tego sprawdzić z oryginałem, gdyż mieliśmy dostęp tylko do odpisu *Notatki*. Brak w wielu wypadkach imion aresztowanych, zwłaszcza tych, którzy w 1955 roku już nie żyli.

Autentyczność *Notatki* nie ulega najmniejszej wątpliwości. Waler jej trudno przecenić. Rozszerza ona naszą znajomość faktów o nowe dane, zwłaszcza jeśli idzie o nieznane dotychczas sprawy „bydgoską”, „zamojsko-lubelską” i sprawy trzech sierżantów. Unaocznia nam metody śledztwa, zakres tortur fizycznych i psychicznych, jakim poddawani byli w śledztwie aresztowani. Wielu oficerów śledczych pracowało jeszcze w WP do 1956 roku. Wielu z nich zapewne cieszy się dzisiaj „zasłużoną emeryturą”. Wydaje się rzeczą słuszną ujawnienie po tylu latach zbrodniczych, przestępczych działań GZI WP. Aby każdy — i dzisiaj — wiedział, że tego rodzaju działalność pozostawia ślady i zawsze — prędzej czy później — ujrzy światło dzienne. Oby było to przestrogą dla zło czyniących dzisiaj!

Dokument Nr 1

Odpis z odpisu

NOTATKA

W sprawie nadużyć w śledztwie w organach Informacji

W latach 1947 do 1954 w b. Głównym Zarządzie Informacji miały miejsce liczne nadużycia w śledztwie. Znalazły one przede wszystkim wyraz w stosowaniu wobec aresztowanych niedopuszczalnych metod śledczych, polegających na biciu aresztowanych, stosowaniu tzw. „konwejerów”¹, „stójek”, osadzaniu w karcu, łżeniu i szantażowaniu aresztowanych itp. Stosowanie tego rodzaju metod w większości wypadków doprowadziło do sfabrykowania spraw karnych i skazywania niewinnych ludzi.

Miedzy innymi wynikiem stosowania wyżej opisanych praktyk były takie sprawy jak:

- sprawa „Tatara-Kirchmayera”² i pochodne,
- sprawa grupy oficerów b. Okręgu Wojskowego VII w Lublinie, tzw. „zamojsko-lubelska”,
- sprawa grupy oficerów Pomorskiego Okręgu Wojskowego w Bydgoszczy, tzw. „bydgoska” i inne mniejsze, jak np. sprawa sierż. Cempy Władysława i sierż. Bachyrycza Józefa.

W sprawie „Tatara-Kirchmayera” i pochodnych w latach 1949-

1. *Konwejer* — metoda śledztwa, polegająca na tym, że oficerowie śledczy zmieniają się jeden po drugim, dzięki czemu można przesłuchiwać aresztowanego bez przerwy, pozbawiając go snu i odpoczynku przez wiele dni i nocy.

2. Sprawa „Tatara-Kirchmayera” rozpoczęła się 31 lipca 1951 roku przed Najwyższym Sądem Wojskowym w Warszawie jako proces „kierownictwa organizacji dywersyjno-spiegowskiej” w Wojsku Polskim. Przed N.S.W. stanęło dziewięciu oskarżonych. 9 sierpnia 1951 roku zeznawał jako świadek b. wiceminister obrony narodowej, Marian Spychalski. Wszyscy oskarżeni przyznali się do winy. Gen. bryg. Józef Kuropieska, którego nazwisko często padało w trakcie rozprawy, nie był oskarżonym, ani świadkiem, gdyż do winy się nie przyznał. 13 sierpnia 1951 roku zapadł wyrok: gen. bryg. Stanisław Tatar — dożywocie, płk Marian Utnik — 15 lat, płk Stanisław Nowicki — 15 lat, gen. bryg. Franciszek Herman — dożywocie (zmarł w więzieniu), gen. bryg. Jerzy Kirchmayer — dożywocie, gen. dyw. Stefan Mossor — dożywocie, płk Marian Jurecki — 15 lat, mjr Władysław Roman — 12 lat, kmdr ppor. Szczepan Wacek — 10 lat. Wszyscy skazani w tym procesie zostali później całkowicie zrehabilitowani.

1953 aresztowano ogółem 129 osób. Z tego 91 osób zostało skazanych przez sądy. Spośród osób skazanych 20 oficerów zostało rozstrzelanych, 3 zmarło w okresie odbywania kary (gen. Herman, gen. Luśniak i kmdr ppor. Krzywiec). Z aresztowanych przebywających w śledztwie 2 popełniło samobójstwo (płk Dzida, mjr Wierusz-Kowalski) i jeden zmarł (płk Wereszczyński). W okresie 1954-1956 wszyscy aresztowani w tej sprawie zostali zrehabilitowani.

W sprawie „zamojsko-lubelskiej” w latach 1948-1950 aresztowano ogółem 65 osób. Z tego 48 osób zostało skazanych na długoterminowe kary więzienia. Z aresztowanych w tej sprawie ppłk Załęski po bestialskim pobiciu w śledztwie zmarł, por. Wołoszyn zmarł w więzieniu w czasie odbywania kary, ob.ob. Nowicka i Uznańska leczyły się w szpitalu dla nerwowo chorych, 4-ch aresztowanych poniosło poważniejsze obrażenia na ciele. Sprawa „zamojsko-lubelska” została zbadana przez Naczelną Prokuraturę Wojskową i obecnie przygotowany jest wniosek rewizyjny o wznowienie postępowania karnego, które następnie zostanie umorzone z braku dowodów winy.

W sprawie „bydgoskiej” w latach 1947-1948 aresztowano ogółem 19 osób. Z tego 17 skazano na długoterminowe więzienie, jeden popełnił samobójstwo (mjr Lis) i przeciwko jednemu umorzono postępowanie z braku dowodów. Spośród skazanych, płk Meksz Józef zmarł w więzieniu w czasie odbywania kary. W 1956 roku wszyscy aresztowani w tej sprawie zostali zrehabilitowani.

Sierż. Cempa Władysław został aresztowany przez Organa Informacji bez sankcji prokuratora, pod zarzutem przygotowywania zamachu na członków rządu PRL. W śledztwie, po bestialskim pobiciu go pałką gumową i kablem oraz kilkudniowym słuchaniu tzw. „konwejerem” — zachorował on psychicznie i do obecnej chwili nie udało się go wyleczyć. Aresztowanie Cempy nastąpiło na podstawie niesprawdzonego meldunku agentki Organów Informacji. Śledztwo przeciwko Cempie umorzono z braku dowodów winy.

Sprawa sierż. Bachyrycza Józefa została sprowokowana przez Organa Informacji przy pomocy dwóch tajnych informatorów. W 1951 roku aresztowano w tej sprawie sierż. Bachyrycza i st. sierż. Parzyńskiego pod zarzutem przynależności do tajnej organizacji. Bachyrycz został skazany na karę śmierci, wyrok wykonano, zaś Parzyński na 15 lat więzienia. W sprawie tej Naczelna Prokuratura Wojskowa przygotowuje wniosek o wznowienie postępowania.

Wykaz oficerów Informacji pozostających pod zarzutami nadużyć w śledztwie:

1. ppłk rez. KUHL Stefan — b. Szef G.Z.I.
2. płk SKULBASZEWSKI Antoni — b. z-ca Szefa G.Z.I.
3. płk rez. FEJGIN Anatol — b. z-ca Szefa G.Z.I.
4. płk rez. KOCHAN Władysław — b. Szef Zarządu Śledcz. G.Z.I.
5. ppłk rez. FRYDMAN Tadeusz³ — b. z-ca Szefa Zarządu Śledcz. G.Z.I.
6. ppłk rez. NOTKOWSKI Mieczysław — b. z-ca Szefa Zarz. Śledcz. G.Z.I.
7. mjr rez. KULAK Jan — b. oficer śledczy G.Z.I.
8. mjr rez. URBANIAK Marian — b. oficer śledczy G.Z.I.
9. mjr rez. MARKIEWICZ Czesław — b. oficer śledczy G.Z.I.
10. ppłk SARNOWSKI Stefan — b. Szef I Oddz. II Zarządu G.Z.I.
11. mjr rez. LIS Mieczysław — b. oficer śledczy G.Z.I.
12. kpt. rez. LINDAUER Zygmunt — b. Szef Wydz. Śledcz. Zarz. Inf. W. Lot.
13. mjr rez. BAJRASZEWSKI Lucjan — b. oficer śledczy G.Z.I.
14. mjr OLEJNICZAK Henryk — b. oficer śledczy G.Z.I.
15. kpt. rez. KUREK Władysław — b. oficer śledczy G.Z.I.

Odnośnie wyżej wymienionych oficerów sporządzono oddzielne notatki obrazujące ich nadużycia w śledztwie.

16. płk WOZNIESIENSKI Dymitr — b. z-ca a następnie szef G.Z.I. — był jednym z kierowników śledztwa w sprawie „zamojskiej”. Na jego polecenie i w jego obecności bito aresztowanych. Następnie jako szef G.Z.I. wspólnie ze Skulbaszewskim kierował śledztwem w sprawie Tatara i pochodnych. Również wspólnie z płk. Dobrowolskim wydał decyzję przeprowadzenia śledztwa w sprawie sierż. Bachyrycza, wiedząc o tym, że w tej sprawie w toku rozpracowania stosowano prowokację.
17. ppłk MALKOWSKI Sergiusz — b. szef Zarz. Śledczego G.Z.I. — obecnie w ZSRR. — Jeden z kierowników śledztwa w sprawie „bydgoskiej”. Dawał polecenia bicia aresztowanych, stosowania konwejerów, osadzania w karczerze. Dał polecenie bicia ppłk. Załęskiego Lucjana, który po pobiciu zmarł.

3. W innych miejscach *Notatki* występuje jako Mateusz.

18. ppłk MAŁYSKA Józef — b. oficer śledczy G.Z.I.
19. mjr DYMEK — b. oficer śledczy G.Z.I.
20. mjr SŁABIAK — b. oficer śledczy G.Z.I.
21. kpt. rez. JURKIEWICZ Jan — b. oficer śledczy G.Z.I.
22. kpt. rez. STASZCZUK — b. oficer śledczy G.Z.I.
23. kpt. rez. KONDRACIOŃEK — b. oficer śledczy G.Z.I.
24. kpt. rez. STANKIEWICZ — b. oficer śledczy G.Z.I.
25. por. rez. GRZELAK Edward — b. oficer śledczy G.Z.I.
26. kpt. rez. KNAPIUK — b. oficer śledczy G.Z.I.
27. mjr rez. WÓJCIK Władysław — b. oficer śledczy G.Z.I.
28. kpt. rez. LITWINIOŃEK — b. oficer śledczy G.Z.I.
29. kpt. KULIK — b. oficer śledczy G.Z.I.

— Oficerowie wymienieni w porządku od 18-29 brali udział w śledztwie w sprawie „zamojskiej”, uczestniczyli w biciu aresztowanych i w stosowaniu innych udręczeń.

30. por. rez. OSTROWSKI — b. oficer operacyjny Wydz. Inf. 3 DP.
31. mjr rez. MOSIEJCZUK — b. oficer operacyjny Wydz. Inf. 3 DP.

— Brali udział w operacyjnym rozpracowaniu sprawy „zamojskiej”, przy czym — jak wynika z materiałów badań tej sprawy — rozpracowanie to prowadziło w sposób prowokacyjny.

32. kpt. rez. WALCZAK — b. oficer śledczy G.Z.I.
— brał udział w sprawach „bydgoskiej” i „zamojskiej”, uczestniczył w biciu aresztowanych m.in. Krzyski⁴ Jana. „Przygotowywał” podejrzanych do rozpraw sądowych.
33. kpt. rez. POTEŃPSKI — b. oficer śledczy G.Z.I.
— brał udział w biciu i znęcaniu się nad aresztowanymi w sprawie „bydgoskiej”.
34. płk PARTYŃSKI Lucjan — b. pom. szefa Zarz. Śledczego G.Z.I., który na polecenie Skulbaszewskiego namawiał Jareckiego — obiecując mu wolność i ulgi w śledztwie — do składania zeznań obciążających inne osoby.
35. ppłk LEŚNIEWSKI Edward — Dyr. Dep. M.S.W. (MBP)
— prowadził śledztwo w sprawie Nowickiego Stanisława, wobec którego stosował konwejerę oraz uderzył go w twarz.
36. ppłk KORŃEL Ignacy — b. oficer śledczy G.Z.I. — Prowadził śledztwo w sprawie gen. bryg. Floryanowicza i Kuropieski. W stosunku do gen. Kuropieski wspólnie z mjr.

4. W innych miejscach *Notatki* — Krysko.

Markiewiczem i por. Majem stosowali szczególnie wymyślne udręki.

37. ppłk LEWANDOWSKI Naum — b. szef Zarz. Inf. W. Lot. — obecnie w ZSRR. — Brał udział w śledztwie w sprawie „zamojskiej”, kierował śledztwem wspólnie ze Skulbaszewskim w sprawie 13 oficerów lotnictwa ze sprawy Tatara. Na polecenie Lewandowskiego oficerowie stosowali względem aresztowanych oficerów lotnictwa szczególnie ostry konwejer i inne udręczenia, a nadto agent celny⁵ Okoński stosował prowokację. Lewandowski wydał również polecenie bicia sierż. Cempy, w wyniku czego Cempa zachorował psychicznie. Wspólnie z płk. Sołopieką nadzorowali oraz osobiście brali udział w rozpracowaniu sierż. Bachyrycza, nie reagując na prowokację stosowaną przez podległych im oficerów.
38. ppłk rez. STĘPNIEWSKI Jerzy — b. oficer śledczy G.Z.I.
39. ppłk ANDRUSZEWICZ Aleksander — b. oficer śledczy G.Z.I. — obecnie w ZSRR.
40. ppłk CZEKAŁA Edward — b. szef Wydz. Śledcz. Zarz. Inf. Śląskiego O.W. i warszawskiego O.W.
41. ppłk MICHAŁOWSKI Zdzisław — b. oficer śledczy G.Z.I.
42. mjr POPIOŁEK Marian — b. oficer śledczy G.Z.I.
43. mjr KRAUZE Zbigniew — b. oficer śledczy G.Z.I.
44. mjr WENELCZUK Jerzy — b. oficer śledczy G.Z.I.
45. mjr rez. MACICHOWSKI Ignacy — b. oficer śledczy G.Z.I.
46. mjr STERN Michał — b. oficer śledczy G.Z.I.
47. mjr JARZEMSKI — b. oficer śledczy M.B.P.
48. mjr JAŁKOWSKI — b. oficer śledczy M.B.P.
49. kpt. TURCZYŃSKI Kazimierz — b. oficer śledczy G.Z.I.
50. kpt. MIROŚLAWSKI Władysław — b. oficer śledczy G.Z.I.
51. kpt. JURCZAK Tadeusz — b. oficer śledczy G.Z.I.
52. kpt. RĘBAK Ryszard — b. oficer śledczy G.Z.I.
53. kpt. SOKOŁOWSKI Leopold — b. oficer śledczy G.Z.I.
54. kpt. PATIA Stanisław — b. oficer śledczy G.Z.I.
55. kpt. MORKIS Włodzimierz — b. oficer śledczy G.Z.I.
56. kpt. LATKA Antoni — b. oficer śledczy G.Z.I.
57. kpt. BEDNAREK Lucjan — b. oficer śledczy G.Z.I.
58. kpt. MAJ Mikołaj — b. oficer śledczy G.Z.I.
59. kpt. BARTCZAK Józef — b. oficer śledczy G.Z.I.
60. kpt. GIEC Jan — b. oficer śledczy G.Z.I.
61. kpt. BORKOWSKI Tadeusz — b. oficer śledczy G.Z.I.

5. Agent celny — kapuś, więzień, który donosi do administracji więziennej na współtowarzyszy celi.

62. kpt. TRĄCIK Antoni — b. oficer śledczy M.B.P.
63. por. ANTOLAK Antoni — b. oficer śledczy G.Z.I.
64. kpt. rez. TRUTKOWSKI Wiesław — b. oficer śledczy M.B.P.
65. por. KUŹNIAK — b. oficer śledczy G.Z.I.
66. por. PRZEPIÓRKA Zdzisław — b. oficer śledczy G.Z.I.
67. por. ŚWISTEK — b. oficer śledczy M.B.P.
68. chor. BRATKOWSKI — b. oficer śledczy M.B.P.

— Oficerowie wymienieni w kolejności od 38 do 68 brali udział w śledztwie w sprawie Tatara i pochodnych. Wszyscy oni w większym lub mniejszym stopniu — działając na polecenie kierowników śledztwa — stosowali niedopuszczalne metody śledcze jak: konwejer, „stójki”, łżenie aresztowanych, groźby pozbawienia życia itp.

69. ppłk MATELA — b. szef Wydz. Inf. Dywizji⁶.
70. mjr URBĄSKI — b. oficer śledczy Zarz. Inf. Dywizji⁷.
— W 1950 roku osadzili nago na dwie doby w betonowym karcu aresztowanego Żywockiego.
71. mjr WOJDA Mieczysław — b. szef Wydz. Śledcz. Zarz. Inf. Śl.O.W.⁸
72. kpt. BORYL — b. oficer śledczy G.Z.I.

— Obydwaj w lecie 1949 roku bili po twarzy pchor. Domasiewicza, kazali mu się rozbierać do naga i bili go deską oraz żelaznym prętem po całym ciele. Kazali Domasiewiczowi kłaść ręce na brzegu biurka i bili go kantówką po paznokciach. Kpt. Wojda ponadto osadził go na 10 dni w karcu. (Zarzut oparty na wyjaśnieniach Domasiewicza).

73. ppłk NIEDZIELIN — b. szef Wydz. Śl. Zarz. Inf. Mar. Woj. Prowadził i osobiście nadzorował śledztwo w sprawach oficerów i podoficerów Marynarki Wojennej pochodnych sprawy tatarskiej. Na jego polecenie stosowano względem aresztowanych ostry konwejer i inne niedozwolone metody.
74. ppłk MICHALIK Władysław — b. szef II Wydz. Zarz. Inf. W. Lot. Nadzorował i brał udział w rozpracowaniu operacyjnym grupy Bachyrycza. Dawał prowokacyjne zadania informatorowi. Brał udział w naradzie, na której zapadła decyzja o przeprowadzeniu śledztwa p-ko Bachyryczowi mimo sprowokowania „dowodów”.

6. Brak numeru dywizji.

7. Jak wyżej.

8. Śl.O.W. — Śląski Okręg Wojskowy.

Płk rez. KUHL Stefan

W organach Informacji pracował od 1947 roku do wiosny 1950 roku na stanowisku Szefa Głównego Zarządu Informacji M.O.N.

Jak obecnie podają b. oficerowie organów Informacji (płk Kochan, płk Frydman, mjr Bajraszewski i inni), płk Kuhl wiedział o stosowanym w owym czasie biciu w śledztwie aresztowanych, w niektórych wypadkach sam polecił bić i niekiedy był obecny przy biciu. Oto co wyjaśniają w tej sprawie:

— *ppłk Frydman*, oficer Informacji, podaje, że do końca 1947 roku w organach Informacji nagminnie bito aresztowanych w śledztwie. Na przełomie lat 1947/1948 częste bicie aresztowanych zostało zahamowane. Od tego czasu na użycie siły fizycznej względem aresztowanych wymagana była zgoda szefa G.Z.I. płk. Kuhla lub jego zastępcy płk. Fejgina. Sankcje na bicie płk Kuhl i płk Fejgin wydawali ustnie lub na piśmie. W jednym wypadku płk Kuhl był obecny przy pobiciu aresztowanego (prot. z dnia 23. X. 1954).

Mjr Bajraszewski — oficer Informacji, podał, że w czerwcu 1948 roku był obecny na przesłuchaniu kpr. Roszyckiego — aresztowanego w sprawie „zamojsko-lubelskiej”. Przesłuchanie to prowadził płk Fejgin i płk Kuhl, a nadto obecni byli kpt. Dymek i kpt. Urbaniak. Roszycki nie potwierdził stawianych mu zarzutów, w związku z czym płk Fejgin polecił mu zdjąć spodnie, położyć się na krześle, po czym kpt. Dymek i kpt. Urbaniak na polecenie płk. Fejgina bili Roszyckiego pasem po pośladkach, natomiast płk Kuhl liczył uderzenia. Na skutek bicia Roszyckiemu pękała skóra na pośladkach.

Sitkowski Zygmunt, aresztowany do sprawy „zamojsko-lubelskiej”, podaje, że wiosną 1949 roku płk Kuhl groził mu w czasie przesłuchania, że jeśli nie przyzna się, to „spłynie kanałami” (k. 16 - 24, t. IV).

Płk SKULBASZEWSKI

— kierował osobiście całością śledztwa w sprawie Tatara i pochodnych, osobiście dokonywał różnorodnych czynności w śledztwie. W G.Z.I. pracował od października 1944 do połowy 1954 roku, kiedy to wyjechał do ZSRR.

Gen. bryg. b. aresztowany Stanisław Tatar. Skulbaszewski robił mu nadzieję, że w wypadku przyznania się zostanie rychło

zwolniony, przedstawiał mu się przez cały czas jako Naczelny Prokurator Wojskowy, wymyślał brutalnie Tatarowi, karał go karcerem i raz uderzył go ręką w twarz. Straszył Tatara aresztowaniem żony w wypadku gdyby odwołał zeznania. Po wyroku sugerował Tatarowi, który otrzymał dożywocie, że to wcale nie znaczy, że Tatar musi tak długo siedzieć. O ile bowiem będzie obciążał w dalszym ciągu innych, to na wolność wyjdzie wcześniej.

Płk b. aresztowany Marian Utnik. Podczas jednego z przesłuchań Skulbaszewski uderzył go w twarz i posłał na kilka godzin do karceru.

Płk b. aresztowany Stanisław Nowicki. Skulbaszewski deptał mu po palcach nóg, śmiał się z niego, że został uderzony w twarz przez oficera śledczego (Leśniewskiego), straszył rozstrzelaniem bez sądu, obiecywał wolność w razie złożenia zeznań, przekonywał Nowickiego, że taki proces jest potrzebny dla wychowania społeczeństwa.

Gen. brygady b. aresztowany Jerzy Kirchmayer. Skulbaszewski okazywał mu zeznania szeregu osób, a także zdjęcia aresztowanych. Zawarł „umowę” z nim, że w wypadku kiedyłoży zeznania zostanie skazany najwyżej na półtora roku więzienia, że żonie zostaną zapewnione odpowiednie warunki. Skulbaszewski sugerował mu wprost, co ma zeznawać. Kirchmayer uprzedził Skulbaszewskiego i Kochana, że w to co zezna nikt nie uwierzy. Kiedy Kirchmayer zaczął zeznawać, otrzymał istotnie szereg ulg w śledztwie. Skulbaszewski zapewniał Kirchmayera, że jego proces będzie tajny, że nikt nie dowie się, co on zeznał. Straszył go aresztowaniem żony.

Gen. dyw. b. aresztowany Stefan Mossor. Skulbaszewski kierował całym reżimem śledczym, który zwłaszcza w przypadku Mossora był szczególnie surowy i niehumanitarny. Skulbaszewski straszył go niechybnym rozstrzelaniem. Za wiedzą i aprobatą Skulbaszewskiego Mossor przez 15 miesięcy przesłuchiwany był 15-20 godzin na dobę, zamykano go do karceru, oblewano wodą itp. Skulbaszewski pokazywał mu urywki zeznań innych osób, straszył represjonowaniem rodziny. Był moment, że Mossor gotów był złożyć zeznanie, ale w ostatniej chwili, kiedy Skulbaszewski zapisał już połowę protokołu, odwołał je. Wtedy Skulbaszewski osadził go w karcerze na kilka tygodni. (Mossor usiłował popełnić samobójstwo).

Mjr b. aresztowany Władysław Roman. Skulbaszewski bywał przy intensywnych przesłuchaniach Romana (konwejer) i groził mu w wypadku nieprzyznania się stosowaniem męczących przesłu-

chań. Kiedy zaczął zeznawać, Skulbaszewski podał mu rękę, sugerował zeznania.

Mjr oficer Informacji Czesław Markiewicz. Skulbaszewski dyrygował całym śledztwem, nakazał wielogodzinne przesłuchania, odczytywał Kuropiesce zeznania innych aresztowanych. Powiedzenie Skulbaszewskiego: „Niech ta bładź stoi tak długo, aż zdechnie albo zacznie mówić”. Kuropiesce puchły nogi. Skulbaszewski przedstawiając się jako naczelny prokurator wojskowy groził Kuropiesce, że zleci mu głowa.

Kpt. oficer Informacji Mirosławski. Widział jak Skulbaszewski podczas jednej rewizji domowej pobił obywatela Wasilewskiego. Skulbaszewski zwymyślał go, kiedy pozwolili przesłuchiwanemu usiąść.

Mjr rez. oficer Informacji Lis. Skulbaszewski osobiście wulgarnie odnosił się do aresztowanych i dawał podobne nastawienie oficerom śledczym. Skulbaszewski zwymyślał Lisa ordynarnie za to, że ten zaprotokołował odwołanie zeznań Wacka. Polecał stosowanie „stójek”.

Płk rez. oficer Informacji Jerzy Stępniewski. Wie od Jureckiego, a częściowo od płk. Kochana, że Skulbaszewski zawarł z Jureckim „umowę”, w której za składanie zeznań i obciążenie innych obiecał Jureckiemu odzyskanie wolności.

Mjr rez. oficer Informacji Maciechowski. Całym śledztwem i to w sposób despotyczny kierował prawie wyłącznie Skulbaszewski. Od niego zależało stosowanie konwejeru, „stójek” itp. Skulbaszewski obchodził się wulgarnie nie tylko z aresztowanymi, ale i z oficerami śledczymi.

Płk oficer Informacji Mateusz Frydman. „System prowadzenia śledztwa przez Skulbaszewskiego był moim zdaniem niewłaściwy, ponieważ w czasie przesłuchania sugerował ludzi i obiecywał, że zostaną zwolnieni o ile złożą obciążające zeznania”.

Płk rez. oficer Informacji Władysław Kochan. Skulbaszewski kierował całym śledztwem, które było chaotyczne i bezplanowe. Skulbaszewski nie pozwalał sprawdzać zeznań. Zdaniem Kochana, Skulbaszewski orientował się, że Kirchmayer mówi nieprawdę i nie pozwolił na sprawdzenie jego wyjaśnień. Orientował się, że część zeznań Tatara nie odpowiada prawdzie. Skulbaszewski uderzył Tatara w twarz. Wobec aresztowanych Skulbaszewski często powoływał się na autorytet najwyższych czynników, oświadczał, że ma zezwolenie na stosowanie przymusu. W imieniu tychże czynników Skulbaszewski gwarantował Kirchmayerowi wolność, o ile ten złoży zeznania.

Wyżej przedstawiono jedynie fragmentaryczne zestawienie faktów charakteryzujących postępowanie Skulbaszewskiego, które to fakty udokumentowane są zeznaniami poszczególnych osób z b. aresztowanych i oficerów śledczych. Fakty te znajdują całkowite, a nawet szersze potwierdzenie i uzasadnienie w wielkiej ilości prośb, jakie nadeszły do N.P.W.⁹ w sprawie Tatara i pochodnych, a także w notatkach i dokumentach, jakie znajdują się w b. G.Z.I.

Na podstawie powyższego stwierdzić należy, że płk Skulbaszewski był prawie wyłącznym kierownikiem śledztwa w sprawie Tatara i pochodnych. On zaprowadzał i nadzorował system konwejerów, przesłuchań w pozycji stojącej, sugerowanie zeznań, obietnic, szantażu, gróźb, obelg itp.

Skulbaszewski przez swoje zabiegi (groźby, przymus, obietnice, powoływanie się na autorytet najwyższych postawionych osobistości państwowych i partyjnych) świadomie doprowadził do sfabrykowania sprawy Tatara, a zwłaszcza spraw pochodnych.

Płk Anatol FEJGIN

W organach Informacji pracował od początku 1946 do lata 1949 roku na stanowisku z-cy Szefa Głównego Zarządu Informacji M.O.N. i głównie nadzorował śledztwo prowadzone przez oddział śledczy G.Z.I. oraz sekcje śledcze Zarządów Okręgowych w terenie.

W niektórych ważniejszych sprawach płk Fejgin osobiście uczestniczył w przesłuchiowaniach aresztowanych.

Obecnie szereg osób skazanych, których śledztwo prowadzili oficerowie organów Informacji skarży się, że płk Fejgin w celu wymuszenia od nich przyznania się do czynów niepopołnionych stosował względem nich przymus fizyczny i psychiczny.

Skazani w 1948 roku w sprawie „bydgoskiej” podają:

Płk b. aresztowany Krysko Jan. W śledztwie był nieludzko torturowany. Na przesłuchania przychodził niekiedy płk Fejgin i widział stan jego wyczerpania. Fejgin go nie bił, jednakże użył wulgarnymi wyzwiskami. Po każdej obecności Fejgina był osadzany w karcu. Fejgin i Frydman straszili go, że żonę zamkną do karca (k. 4 i 5 prot. rozpr. przed N.S.W. z dnia 27. XI. 1956 r.).

Płk b. aresztowany Krzysik Kazimierz. Na pierwszym przesłuchaniu był Fejgin, Frydman i pięciu innych. Grożono mu wtedy, że jeśli się nie przyzna, to zastosują względem niego takie

9. N.P.W. — Naczelna Prokuratura Wojskowa.

środku jak wobec Kryski, który na kolanach płacząc przyznawał się. Głównie groził mu płk Kuhl (prot. rozpr. przed N.S.W. z dnia 27. XI. 1956 r.).

B. aresztowany Popiel Michał. W październiku 1947 roku był bity przez Frydmana. Na przesłuchanie to przyszedł jakiś cywil — prawdopodobnie Fejgin (mówiono mu pułkownikowi) (k. 12 prot. rozpr. przed N.S.W. z dnia 27. XI. 1956 r.).

Skazani w latach 1949-1950 w tzw. sprawie „zamojsko-lubelskiej” podają:

Por. b. aresztowany Mieczkowski Tadeusz. W czerwcu 1948 roku był bity pałką gumową przez por. Urbaniaka w obecności płk. Fejgina i ppłk. Malkowskiego (k. 123 t. VIII).

Kpr. b. aresztowany Roszycki Edmund. W dniu 18 maja 1948 roku został doprowadzony na przesłuchanie do pokoju 38, w którym byli płk Fejgin, ppłk Malkowski, płk Dobrowolski, mjr Frydman, por. Bajraszewski, por. Kulak i kpt. Dymek. Fejgin zaznaczył Roszyckiemu, że jeśli się nie przyzna, to zostanie zrobiona z niego szmata. Gdy Roszycki na zadawane mu pytania nie mógł udzielić odpowiedzi, został osadzony w karcu. Na następnym przesłuchaniu przez oficerów w składzie jak wyżej, Fejgin i Frydman polecili mu wykonywać niezliczone ilości przysiadów, skakać „żabką”. Gdy mimo tego twierdził, że nie należał do nielegalnej organizacji, oficerowie Dymek i Bajraszewski przystawiali mu do nosa i brody ogień z papierosów, bili go i kopali po całym ciele. Po pewnym czasie Fejgin i Frydman polecili mu zdjąć spodnie, położyć się na krześle tak, aby głowę włożyć w oparcie krzesła, po czym bito go pałkami gumowymi. Gdy tracił przytomność, polewano go wodą i dalej bito przez około trzy godziny. Po tym Fejgin oświadczył mu, że jeśli się nie przyzna, to straci zdrowie i polecił osadzić go w karcu z wodą. W karcu siedział przez 16 dni i nocy, przy czym posiłki otrzymywał tylko raz na dobę. Ponieważ z karca nie wypuszczano go, musiał też załatwiać tam swoje potrzeby fizjologiczne (k. 37-41, 43-47, 50-51, 164-168 t. VIII, k. 48-54 t. VIII, k. 7-11 t. IX).

Por. b. aresztowany Zientkiewicz Franciszek. Latem 1948 r. gdy odwołał swoje zmyślane i wymuszone na nim zeznania, płk Fejgin w obecności ppłk. Malkowskiego i por. Urbaniaka uderzył go kilka razy w twarz.

Sierż. b. aresztowany Śmietański Leon. Jesienią 1948 roku płk Fejgin w czasie przesłuchania uderzył go dwa razy ręką w twarz i polecił jeszcze oficerowi, by go pobił.

Ppor. b. aresztowany Borszyński Jan. Jesienią 1948 roku na

polecenie i w obecności płk. Fejgina był dotkliwie pobity pałąką gumową po całym ciele. W wyniku bicia dwukrotnie mdał. Bili go oficerowie Knapiuk, Lis i Bajraszewski (k. 75 t. XVI).

Skazany w 1947 roku w tzw. sprawie konspiracji w Oficerskiej Szkole Piechoty nr 3 — kpt. Cisek Adam. W obecnie złożonej prośbie o rehabilitację podaje, że Fejgin osobiście torturował go w śledztwie długotrwałym przesłuchaniem w pozycji stojącej, oślepianiem kilkoma reflektorami, groził, że aresztuje jego brata. Ponadto Fejgin widział, że był on bity w śledztwie. Obecnie przesłuchani oficerowie śledczy organów Informacji, którzy prowadzili śledztwo w sprawie „zamojsko-lubelskiej” podają, że bicie aresztowanych odbywało się na polecenie Fejgina lub za jego zgodą. I tak:

Płk oficer Informacji Małyska podaje, że aresztowani w sprawie „zamojsko-lubelskiej” Albinger i Sitkowski byli dotkliwie bici pałąką gumową w obecności płk. Fejgina i płk. Wozniesieńskiego.

Kpt oficer Informacji Litwinionek podaje, że aresztowanego Klimaszewskiego bił na polecenie płk. Fejgina, gdyż Klimaszewski nie przyznawał się. Klimaszewski w czasie bicia tracił przytomność (k. 20 t. XVI).

Mjr oficer Informacji Bajraszewski podaje, że Zientkiewicz był dotkliwie pobity pałąką gumową przez Urbaniaka w obecności płk. Fejgina (k. 173-174, t. XVI).

Ppłk oficer Informacji Malkowski (obecnie w ZSRR) w raporcie do płk. Kuhla w związku ze śmiercią aresztowanego ppłk. Załęskiego podał, że w dniu 13 lipca 1948 roku uzgodnił z płk. Fejginem plan śledztwa p-ko Załęskiemu, przewidujący bicie Załęskiego.

Ppłk Malkowski w raporcie tym dosłownie przytacza wersję planu, że „jeśli Załęski będzie w dalszym ciągu śledztwa zachowywał się wyzywająco, będzie zeznawał nieprawdę — przystąpi się do śledztwa z zastosowaniem siły fizycznej. Równocześnie Fejgin dał mi wskazówki co do praktycznego zastosowania przesłuchania 3-go stopnia. Wydzielony w tym celu specjalnie kpt. Jurkiewicz powinien spełniać swoją rolę w tym wypadku, kiedy Załęski na pytanie oficera śledczego Kulaka nie będzie przyznawał się do winy. Przy tym płk Fejgin dał wskazówki, ażeby zastosować przesłuchanie 3-go stopnia tylko w okolicy pięt-nóg” (oznażało to bicie w te miejsca).

Płk Fejgin przesłuchany 4 września 1956 roku zaprzeczył, by dawał Malkowskiemu polecenie bicia aresztowanego Załęskiego.

Płk rez. Władysław KOCHAN

Pracę w organach Informacji rozpoczął w 1945 roku jako oficer śledczy G.Z.I., później pracował jako z-ca Szefa Zarządu Informacji Mr. Woj., następnie jako Szef Informacji w Poznaniu i od sierpnia 1948 roku jako szef Oddziału Śledczego G.Z.I. W jesieni 1954 roku został zwolniony ze stanowiska z-cy Szefa G.Z.I. do rezerwy.

Sprawa zamojsko-lubelska: (materiały w aktach badań sprawy zamojskiej).

Ppor. b. aresztowany Mieczkowski Tadeusz. W grudniu 1948 roku został wezwany przez Kochana, który zagroził mu rozstrzelaniem w razie gdy nie wyjaśni pochodzenia dokumentów. W 1949 roku Kochan dwukrotnie uderzył go w twarz (k. 1-15, 16-17, 116-134, 132 t. VIII).

Kpt. b. aresztowany Roszycki Edmund. W roku 1949 bił go Kochan, Grzelak i inni.

Kpr. b. aresztowany Donoch Zdzisław (k. 44-50 t. IX). Przesłuchania jego odbywały się w pozycji stojącej, obecny przy jednym z przesłuchań Kochan uderzył Donocha tak mocno, że ten upadł na podłogę, a obecny przy tym oficer Knapiuk wylał wodę z karafki na głowę Donocha.

Kpr. b. aresztowany Pachota Antoni (k. 176-182 t. VIII). Płk Kochan polecił Pachocie rozebrać się do naga, po czym uderzył go około 15-20 razy pałką po piętach nóg i po rękach.

Płk oficer Informacji Małyska podaje, iż Kochan zatwierdził wystosowany przez niego wniosek z jednoczesnym ograniczeniem posiłków do jednego dziennie (k. 72 t. IX).

Por. b. aresztowany Ziętkiewicz Franciszek (k. 133-141, t. XIII). Bity był m.in. przez Fejgina i Kochana. Ten ostatni w listopadzie 1948 roku uderzył go kilkakrotnie w twarz i kopnął, a nadto polecił go bić Kulakowi.

Płk b. aresztowany Kowszyk Władysław skazany ze sprawy bydgoskiej (w prot. przed N.S.W.) podaje: że słyszał jak płk Kochan mówić do dyżurnego aresztu: „wlać do karca parę wiader wody i bić” — z tego Kowszyk wnioskuje, że Kochan wiedział, że w areszcie ich biją i sam kazał bić.

Płk b. aresztowany Stanisław Bojanowski (k. 35-36, 45-49 t. XII, k. 8-11 t. XIII, k. 28-34 t. XVI). W końcu 1948 roku został wezwany w nocy do pokoju Kulaka, gdzie zastał oprócz innych Kochana i Frydmana. Kiedy Bojanowski zaprzeczył zezna-

niom skonfrontowanego z nim Klimaszewskiego, Kochan polecił Bojanowskiemu zdjąć spodnie i włożyć głowę w oparcie krzesła. Następnie Kulak trzymał go za głowę i zatykał dłonią usta, a Kochan i Walczak bili go około dwóch godzin pałkami.

Chor. b. aresztowany Zygmunt Sitkowski. W toku śledztwa kilkakrotnie odwoływał swoje zeznania, za co każdorazowo był bity. Odwoływał zeznania m.in. przed Kochanem (k. 16-24 t. XV).

Sprawa Tatar - Kirchmayera

W tej sprawie Kochan pracował od jej rozpoczęcia (1949), początkowo w charakterze oficera śledczego (niezależnie od spełnianej funkcji Szefa Oddziału Śledczego), a w późniejszym okresie w sprawach pochodnych. Nadzorował on pracę oficerów śledczych.

Gen. bryg. b. aresztowany Stanisław Tatar (k. 43 t. I). Kochan na przesłuchaniach ciągle twierdził, iż wszyscy się przyznali z wyjątkiem Tatar, że Kuropieska też się przyznał. Na drugi dzień po rozprawie Kuropieski Tatar odwołał swoje zeznania p-ko Kuropiesce jako nieprawdziwe. Kochan wtedy odpowiedział, iż to nie ma znaczenia, gdyż sąd i tak już wydał wyrok na Kuropieskę (k. 72 t. I). Gdy Tatar był w beznadziejnej sytuacji, Kochan odwoływał się do jego rozsądku, by się ratował z tej sytuacji, powołując się przy tym na interes państwa. Kochan mówił do Tatar, iż ma pozwolenie Prezydenta na bicie Tatar, przy czym kazał mu słuchać dochodzących z sąsiedniego pokoju odgłosów bicia i krzyków.

Gen. brygady b. aresztowany Jerzy Kirchmayer (k. 191 t. I). Kochan brał udział w długotrwałych przesłuchaniach Kirchmayera, straszył go, że w razie nieprzyznania się zostanie aresztowana jego żona. W rozmowach sugerował mu co ma zeznać, podawał mu kto na niego już zeznaje. Kochan uczestniczył w pokazywaniu Kirchmayerowi przez Skulbaszewskiego zdjęć aresztowanych, odczytywaniu zeznań Tatar i Romana. Razem ze Skulbaszewskim zawarł z Kirchmayerem „umowę”, obiecując mu wolność za to, że zgodzi się zeznawać. W połowie lipca 1950 roku Kochan pomagał Kirchmayerowi w napisaniu własnoręcznego wyjaśnienia podsumowującego wyniki dotychczasowych jego zeznań, podpowiadał mu nazwiska i fakty.

Płk rez. oficer Informacji Jerzy Stępniewski, przesłuchany dnia 3 marca 1955 roku zeznaje: Kochan kierował „śledztwem” w sprawie Jureckiego już po wyroku skazującym tego ostatniego. Jurecki po pewnym czasie zaczął dawać Stępniewskiemu do zro-

zumienia, że składa zeznania na temat konspiracji w ramach „porozumienia i współpracy z G.Z.I.”. Stępniewski zameldował o tym Kochanowi, który negował to, co mówił Jurecki, niemniej ogólnikowo dawał Stępniewskiemu do zrozumienia, że coś podobnego miało miejsce. Jurecki powoływał się na obietnicę Kochana, że wkrótce znajdzie się na wolności. Po jednej z konfrontacji Kochan mówił Jureckiemu, że jego wkład w sprawę jest duży i że to zawsze będzie brane pod uwagę. Kochan kazał Stępniewskiemu pouczyć Jureckiego, że „kto z nami, ten ma wiele do wygrania”. Przed rozprawą Skibińskiego Kochan odbył z Jureckim rozmowę, w której utwierdzał go w przekonaniu, że ma zeznawać a G.Z.I. „wszystko co było powiedziane — spełni”. Z dalszych zeznań Stępniewskiego wynika, że Jurecki powoływał się na Skulbaszewskiego i Kochana jako na tych, którzy w zamian za zeznania obciążające obiecywali mu wolność.

Mjr rez. oficer Informacji Czesław Markiewicz. Kochan wraz ze Skulbaszewskim w późniejszej fazie kierował całym śledztwem w sprawie Tatara. Konkretnie: w 1951 roku Kochan cytował Kuropiesce fragmenty zeznań poszczególnych oskarżonych z procesu Tatara.

Mjr b. aresztowany Władysław Roman. Kochan dawał mu do zrozumienia, że w przypadku kiedy składać będzie zeznania, na procesie Tatara zeznawać będzie jako świadek.

Płk b. aresztowany Marian Jurecki. W październiku 1951 r. Jurecki zwierzył się Kochanowi, iż oburza go fakt nazwania go przez prokuratora wrogiem narodu, na co Kochan miał mu odpowiedzieć, że tutaj w G.Z.I. nikt go za wroga nie uważa. Kochan powiedział mu: „kto jest z nami, ten ma wszystko do wygrania”... „moje zasługi dla śledztwa są duże i że kto jak kto, ale ja, to zasłużyłem sobie na wolność”.

Gen. bryg. b. aresztowany Józef Kuropieska (k. 10 t. II, 55 r.). Kochan sugerował, że Kuropieski żona jest aresztowana, mawiając: „a może by tak pokazać Kuropiesce żonę w czasie spaceru”. Kochan odczytywał gen. Kuropiesce fragmenty z zeznań osób z procesu Tatara.

„W maju 1952 roku byłem wezwany przez płk. Kochana, który oświadczył mi, że jest jeszcze pora, bym uzupełnił swe zeznania, ponieważ w tym stanie rzeczy oczekuje mnie niechybnie kara śmierci”.

„Po pewnym pobycie w ciemnicy poprosiłem o rozmowę z płk. Kochanem, ... zwrócił się do mnie ze słowami: „co wy robicie człowieku, zastanówcie się, moglibyście opowiedzieć o tych

politycznych sprawach Spychalskiego i mielibyście spokój” (była to rozmowa po skazaniu gen. Kuropieski na karę śmierci).

Płk b. aresztowany Maksymilian Chojecki (19. II. 1955). Kochan przygotowywał go do konfrontacji z Kuropieską.

Według zeznań ppłk. rezerwy Mateusza Frydmana oraz samego Kochana ten ostatni począwszy od 1952 roku czynił starania o rewizję sprawy Tatara i pochodnych, gdyż powziął podejrzenie, że jest to sprawa naciągana.

Płk rez. FRYDMAN Mateusz

W organach Informacji pracował od 1945 roku do jesieni 1959 roku. W latach 1946-1947 pełnił funkcje Szefa Sekcji Sledczej Okręgowego Zarządu Informacji nr 2 w Bydgoszczy, w latach 1948-1950 był z-cą Szefa II Oddziału G.Z.I., a później Szefem Wydziału Specjalnego G.Z.I.

Obecnie szereg osób skazanych, p-co którym śledztwo prowadzili oficerowie organów Informacji pod nadzorem ppłk. Frydmana, skarży się, że ppłk Frydman stosował względem nich szczególnie ostry przymus fizyczny i psychiczny; w wyniku tego przymusu składali oni żądane od nich fałszywe zeznania, na podstawie których zostali skazani na długoterminowe więzienie. I tak: skazani w latach 1949-1950 w tzw. sprawie „zamojsko-lubelskiej”:

Por. b. aresztowany Klimaszewski Hieronim. Frydman obiecywał mu, że jeśli będzie składał żądane od niego zeznania, to niebawem „wyjdzie na wolność i włos mu z głowy nie spadnie”. Przed rozprawą Frydman uprzedził, że jeśli będzie zeznawał inaczej jak w śledztwie, to zostanie skazany na karę śmierci i nie będzie mógł skorzystać z żadnej łaski (k. 71-78, 155-156).

Por. b. aresztowany Zientkiewicz Franciszek. Frydman lżył go wulgarnymi słowami, groził zastrzeleniem, groził pobiciem pałką gumową. Przed rozprawą Frydman uprzedzał go, by zeznawał tak samo jak w śledztwie (k. 133-141 t. XIII).

Kpt. b. aresztowany Tracz Władysław. Frydman 8 maja 1948 roku wspólnie z 5 oficerami pobił go niehumanitarnie pałkami gumowymi. Przed rozprawą Frydman dawał mu do zrozumienia, że w wypadku odwołania zeznań będzie znów torturowany (k. 16-17, 53-59 t. XIII).

Również b. aresztowani płk Zawadzki, płk Bojanowski, płk Mikołajczyk we wspomnianej sprawie podają, że Frydman stosował względem nich niedopuszczalne metody.

Por. b. aresztowany Mieczkowski Tadeusz (k. 123 t. VIII). Frydman bił go pałką gumową po całym ciele i straszył, że może zostać zastrzelony i nikt się o tym nie dowie.

Kpt. b. aresztowany Roszycki Edmund. Frydman w obecności płk. Fejgina polecał mu wykonywać niezliczone ilości przysiadów, kazał mu się rozebrać i polecił oficerom śledczym bić go pałką gumową po całym ciele. Gdy był osadzony w karcu, gdzie musiał załatwiać swe potrzeby fizjologiczne, na polecenie Frydmana wynosił z celi kał rękami (k. 50-51 t. VIII).

Kpt. b. aresztowany Sitkowski Zygmunt. W maju 1948 roku Frydman wspólnie z dwoma oficerami bił go pałką gumową, a gdy mdlał polewano go wodą. Kilkakrotnie osadził go w karcu, nie pozwolił palić papierosów, ograniczał posiłki (k. 53-55 t. XV).

Sierż. b. aresztowany Smietański Leon. Frydman przed rozprawą groził mu, że jeśli odwoła zeznania, to zostanie wznowione p-ko niemu śledztwo z zastosowaniem tortur (k. 62-63 t. XV).

Kpt. b. aresztowany Sitek Edmund. Po aresztowaniu został osadzony w areszcie G.Z.I. w karcu z wodą. Wieczorem został wezwany na przesłuchanie do Frydmana, który pokazał mu dwie pałki gumowe, następnie polecił zdjąć mundur, spodnie, buty i „śpiewać o organizacji”. Gdy nic nie powiedział o stawianym mu zarzucie, Frydman przy pomocy dwóch oficerów umocował mu głowę w oparciu krzesła, skuł ręce kajdankami pod siedzeniem krzesła, po czym bito go gumowymi pałkami do utraty przytomności. Gdy zemdlał ocucono go wodą i dalej bito. W trakcie tego bicia Frydman żądał od niego podpisania protokołu przesłuchania (k. 73-81 t. XV).

Por. b. aresztowany Długotłęcki Stefan. Frydman groził mu, że jeśli odwoła zeznanie na rozprawie, to wznowi p-ko niemu śledztwo z torturami i wykończy go (k. 126-131 t. XV).

Cywil b. aresztowany Albinger Stanisław. Gdy w toku śledztwa odwołał swe fałszywe, wymuszone zeznania, to na polecenia Malkowskiego i Frydmana był bity przez dwóch oficerów, osadzony w karcu przez cały tydzień, w wyniku czego znów obciążał się fałszywymi zeznaniami. Przed rozprawą Frydman uprzedzał go, że jeśli nie przyzna się to i tak zostanie skazany, a nadto będzie miał wytoczone nowe śledztwo o nielegalne posiadanie broni (k. 101-115 t. XVI).

Jak wynika z materiałów sprawy przeciwko w/w Frydman w dniu 7 października 1948 roku zatwierdził raport oficera śledczego Urbaniaka o ukaranie aresztowanego Sitka karcerem, pracą nocną i ograniczeniem posiłków w celu złamania jego oporu

(k. 87 t. XVI). Oficer śledczy Bajraszewski przesłuchany w toku badań sprawy podaje, że na polecenie Frydmana ostro traktował Sitka w śledztwie, że sam Frydman bił Sitka pałką gumową.

Ppłk Frydman składając w toku badań tych spraw zeznania nie zaprzecza stosowaniu względem aresztowanych przymusu w formie bicia. Twierdzi jednak, że bicie to miało miejsce w mniejszych rozmiarach niż podają skazani oraz, że stosowano je na polecenie płk. Kuhla i Fejgina.

Podobnie również skarżą się na Frydmana b. skazani w tzw. sprawie „bydgoskiej”:

Płk b. aresztowany Krzyska Jan. Frydman, kierujący w jego sprawie śledztwem, wielokrotnie osobiście bił go pałką gumową, zezwalał oficerom śledczym na torturowanie go w różny sposób, wielokrotnie osadzał go w karcu zalanym wodą, groził aresztowaniem żony i osadzeniem jej w karcu. Raz złapał go za gardło i bił jego głową o ścianę, deptał go nogami. Gdy zachorował, zabronił felczerowi leczyć go. Śledztwo prowadzono przeważnie nocą, a w dzień nie zezwalano spać (prot. rozpr. w N.S.W. z dn. 27. XI. 1956 r. k. 3-6).

Płk b. aresztowany Rawa Mieczysław. W śledztwie kierowanym przez Frydmana był w nieludzki sposób torturowany, Frydman powiedział mu, że Informacja to potęga, sąd spełnia jej polecenia i zawsze musi się do jej żądań przystosować (k. 6 prot. rozpr. w N.S.W. z dnia 27. XI. 1956 r. 3).

Płk b. aresztowany Roliński Alfred. Frydman na pierwszym przesłuchaniu na przywitanie uderzył go ręką w twarz. W czasie dalszych przesłuchań Frydman wybił mu dwa zęby i kilkakrotnie osadził go w karcu (k. 8 prot. rozpr. w N.S.W. z dnia 27. XI. 1956 r.).

Płk b. aresztowany Krzysik Kazimierz. Frydman obiecywał mu, że jeśli będzie zeznawał, to otrzyma niski wyrok albo w ogóle zostanie zwolniony z więzienia. Mówił, że Informacja stoi ponad prawem, może zamknąć nawet Żymierskiego, sąd jest tylko „przedstawieniem teatralnym”, a wyroki wydaje Informacja. Groził, że jeżeli odwoła zeznania to zginie w areszcie (k. 9-10 prot. rozpr. z dnia 27. XI. 1956 r.).

Ppłk b. aresztowany Kowszyk Władysław. Frydman przed rozprawą namawiał go do podtrzymywania zeznań przed sądem, to zostanie zwolniony. W wypadku odwołania zeznań groził powtórzeniem śledztwa z torturami (k. 11 prot. rozpr. z dnia 27. XI. 1956).

Mjr Popiel Michał. Frydman w nieludzki sposób go torturo-

wał, bił pałką gumową wspólnie z innymi oficerami, zamykał w karcu, straszył zastrzeleniem, wybił mu trzy zęby (k. 12 prot. rozpr. z dnia 27. XI. 1956 r.).

Także skazany w 1947 roku w tzw. sprawie konspiracji w O.S. Piechoty nr 3 w Inowrocławiu — Cisek Adam w obecnie złożonej prośbie o rehabilitację podaje, że Frydman w nieludzki sposób torturował go w czasie śledztwa.

W szczególności z prośby tej wynika, że Frydman wielokrotnie bił Ciska pięściami, kijem, gumą, kopał go, osadzał w karcu z wodą, lżył wulgarnymi wyzwiskami, straszył, że aresztuje jego matkę — staruszkę.

Ponadto podaje on, że m.in. Frydman łącz go miał mówić: „jakim prawem wam, Polakom, zachciewa się niepodległości Polski, tu sięga władza ruska i potrafiemy wam wybić z głowy niepodległość, od tego jest marszałek Rokossowski, żeby was usadzić”.

Płk Mieczysław NOTKOWSKI

W organach Informacji pracował od 1945 roku jako oficer operacyjny w Poznaniu, a następnie we Wrocławiu. Od maja 1950 roku pracował w G.Z.I. jako oficer śledczy do spraw szczególnej wagi i wreszcie od 1951 roku do lata 1955 roku pełnił funkcję z-cy Szefa Zarządu Śledczego G.Z.I. W okresie 1955-1956 przebywał na kursie w Moskwie (po powrocie został zdemobilizowany).

Płk Notkowski w okresie służby w G.Z.I. uczestniczył głównie w pracy nad sprawą Tatara i pochodnych. Na początku jako oficer śledczy, a następnie jako zastępca płk. Kochana. Tak jak wszyscy oficerowie, Notkowski stosował długotrwałe przesłuchania i inne znane metody udręczeń. Jako z-ca Szefa Zarządu Śledczego tego rodzaju reżim śledczy nadal utrzymywał i nadzorował jego wykonanie przez oficerów śledczych. Z racji pełnionych obowiązków miał nadzór nad aresztem wewnętrznym, karał aresztowanych karcem.

Obciąża go w tej sprawie szereg osób. I tak:

Kpt. b. oficer Informacji Kazimierz Turczyński. Już po wyroku skazującym gen. Mossora poddano go na terenie G.Z.I. intensywnemu, przy użyciu niedopuszczalnych metod, śledztwu. Płk Notkowski zorientowany był o zastosowanym reżimie i także na wniosek kpt. Latki ukarał gen. Mossora karcerem.

Mjr b. aresztowany Kornel Dobrowski. W prośbach żali się na Notkowskiego, że w zimie odmówił mu koca do celi, wymyślał

mu w sposób grubiański, a także podejrzewa go o wydawanie poleceń podoficerom, ażeby Dobrowolskiego specjalnie szykanowali, brał udział w konwejerach, że na odwołanie wymuszonych zeznań zamknął go do karceru wypełnionego wodą, zmuszał go za pomocą przeróżnych szykan do zeznań, w innym wypadku obiecywał w razie przyznania się łagodne traktowanie. Po wyroku skazującym na karę śmierci, kiedy Dobrowolski oczekiwał na decyzję Rady Państwa — Notkowski ponownie przy zastosowaniu konwejeru przesłuchiwał go, przy czym szantażowano go wykonaniem wyroku kary śmierci.

Mjr rez. Jan KULAK

W październiku¹⁰ ukończył Szkołę Oficerów Informacji, do października 1948 roku pracował jako oficer śledczy Zarządu Informacji we Wrocławiu z tym, że w 1948 był na delegacji służbowej w G.Z.I., a następnie do 6 czerwca 1956 roku jako st. oficer śledczy Głównego Zarządu Informacji.

Począwszy od m-cy letnich 1949 roku Kulak pracował jako oficer śledczy w prowadzonej przez G.Z.I. tzw. sprawie „zamojsko-lubelskiej”. Ludzie, którzy byli wówczas w tej sprawie aresztowani, wymieniają Kulaka jako tego, który osobiście uczestniczył w biciu aresztowanych.

Ppor. b. aresztowany Tadeusz Mieczkowski (k. 122-129 t. VIII mat. badań w sprawie „zamojsko-lubelskiej”) podaje, że w czerwcu 1948 roku był bestialsko bity przez oficera śledczego Urbaniaka, któremu w biciu pomagał Kulak, który to wraz z innymi kopał leżącego Mieczkowskiego.

Kpr. b. aresztowany Edmund Roszycki (prot. przesł. z dnia 16. 05. 1956 r., 4. 08. 1956 r. k. 48-54, t. VIII i 7-11 t. IX w spr. „zam.-lub.”) — w lecie 1948 roku Kulak w obecności innych oficerów bił go pałką gumową i kopał. Aby Roszycki nie krzyczał, Kulak knebłował mu usta papierem, a następnie wspólnie z Bajraszewskim przytwierdzali go za pomocą kajdanek do stołka. Kulak brał udział w stosowanym do Roszyckiego konwejerze.

Mjr oficer Informacji Dymek (k. 179-185, t. XV) podaje, że Kulak, Urbaniak i inni oficerowie mieli pałki gumowe do bicia aresztowanych.

Por. b. aresztowany Tadeusz Klimaszewski (k. 71-78, 155-

10. Brak roku, zapewne 1946.

156 t. XIII) w śledztwie w roku 1949 bili go przede wszystkim oficerowie Kulak, Urbaniak, Wójcik i inni.

Por. b. aresztowany Zientkiewicz (k. 133-141 t. XIII) — bił go Kulak i inni oficerowie. W listopadzie 1948 roku Kulak na polecenie Kochana kazał mu zdjąć kalesony, a po polaniu ich wodą kazał mu je założyć ponownie, po czym bił go pałką gumową po plecach, pośladkach i nogach. Kulak, którego Zientkiewicz nazywa „okrutnym sadystą”, bił go kilkakrotnie używając przeważnie pałki gumowej, uderzał nim o ścianę, bił go liną po paznokciach, szarpał mu włosy, wciskał mu palce do oczu, deptał po nogach i po leżącym na podłodze (Zientkiewicz usiłował popełnić samobójstwo).

Kpt. b. aresztowany Tracz (k. 16-17, 53-59 t. XIII). 8 maja 1948 roku, pierwszego dnia po aresztowaniu, w obecności i na polecenie Frydmana, bity był pałkami gumowymi przez Kulaka i innych oficerów. Później Kulak bił go za to, że zmieniał treść zeznań, że się nie przyznawał. Kulak bił go pasem oficerskim, uderzał dłonią po szyi, kazał mu robić „czapkę”, tzn. stać na jednej nodze z rękami wzniesionymi do góry. Ponadto z inicjatywy Kulaka kilkakrotnie osadzono go w karcerze, budzono w nocy, oblewano wodą itp.

Płk b. aresztowany Żeliszew Zawadzki (mat. badań w sprawie „zamojskiej”) — Kulak lżył go, przesłuchiwał konwejerem, deptał mu po palcach, kazał rozebranemu do naga chodzić na czworakach po pokoju, a także wykonywać przysiady, zmuszał do podpisywania protokołów.

Płk b. aresztowany Stanisław Bojanowski (k. 35-36, 45-49 t. XII, k. 8-11 t. XIII, k. 28-34, t. XVI) — w czerwcu 1948 roku Kulak wraz z innymi oficerami bił go i kopał. Chwytał go za głowę, a następnie uderzał o ścianę, kopał w stopy, bił gumową pałką po dłoniach. Kulak bił Bojanowskiego kilkakrotnie. M.in. w końcu 1949 roku w obecności Kochana włożono Bojanowskiemu głowę w oparcie krzesła, wtedy Kulak trzymał głowę i zatykał mu usta, a dwaj inni bili Bojanowskiego pałkami gumowymi. Porą zimową 1949 roku Kulak kazał Bojanowskiemu rozbierać się, następnie polewał go zimną wodą i stawiał przed ścianą przy otwartym oknie. Na polecenie Kulaka czołgał się, wykonywał przysiady, wchodził do szafy, którą Kulak następnie popychał na ścianę. Kulak szarpał go za włosy, za uszy, pluł mu w twarz i nie pozwalał na otarcie płwocin (Bojanowski usiłował popełnić samobójstwo).

Płk b. aresztowany Władysław Mikołajczak (k. 66-68, 142-146, 162-165 t. XIII) — w lutym 1949 roku zaczął przesłuchi-

wał go Kulak, który kazał mu stanąć twarzą do ściany, po czym z tyłu uderzył go w głowę, bił go dłonią po krtani, kopał i deptał po nogach, brał także udział w stosowaniu konwejeru.

Płk rez. oficer Informacji Władysław Kochan, b. Szef Zarządu Śledczego (k. 109-116) — Kulaka zaliczano do oficerów, którzy przejawiali największą aktywność w biciu aresztowanych. Kochan widział jak Kulak pobił Bojanowskiego.

Kpt. b. aresztowany Edmund Sitek (k. 73-91 t. V, 10-11 t. XVII) — Kulak bił go, a także deptał mu po palcach nogi do tego stopnia, że pozrywał mu paznokcie.

Sierż. b. aresztowany Leon Śmiateński (akta badań w sprawie „zamojskiej”) — Kulak bił go w śledztwie. Bił go linijką po paznokciach, rzadko które przesłuchanie odbywało się bez bicia.

Ppor. b. aresztowany Bazyli Stiepanenko (k. 11-12, 132-135 t. XV) — Kulak i trzech innych oficerów pobili go do tego stopnia, że o własnych siłach nie mógł wejść na łóżko. W trakcie dalszych przesłuchań Kulak bił go rękami i pałką, kopał go, uderzał dłonią po szyi. Z powodu pobicia dwa tygodnie nie mógł usiąść na pośladkach. Kiedy odwołał wymuszone zeznania, Kulak bił go pałką i to uderzał go 5 razy za każdą stronę odwołanych zeznań.

Ppor. b. aresztowany Długotęcki (k. 126-131 t. XV) — bił go Kulak i inni. W końcu maja 1948 roku Kulak i Urbaniak kazali mu się rozebrać do naga, związali mu następnie ręce i nogi, zakneblowali usta chusteczką przywiązaną paskiem, po czym zaczęli go kopać, bić pasem i kijem. Bito go do tego stopnia, że spuchł i zsiniał.

Por. b. aresztowany Franciszek Sottys (k. 2-8 t. XVI) — Kulak bił go wraz z innymi oficerami.

Cywil b. aresztowany Albinger (k. 101-115 t. XVII, 74 t. XVII) — Kulak bił go razem z innymi oficerami. Bito go systematycznie pałkami, w biciu uczestniczył także Kulak.

Por. b. aresztowany Więckowski (k. 191-197 t. XV) — Kulak bił go w śledztwie.

Kpt. b. oficer Informacji Kondracioneek zeznał: „Tę ostatnią (chodzi o W. Nowicką) bili: Bajraszewski, Kulak, Urbaniak i inni. Widziałem, że ci oficerowie rozbierali Nowicką do naga, kazali kłaść się jej na krzesło, podnosili jej sukienkę”.

Z materiałów śledztwa jakie Naczelną Prokuraturą Wojskową przeprowadziła w sprawie śmierci ppłk. Lucjana Załęskiego wynika, że Kulak brał udział w stosowanym p-ko Załęskiemu konwejerze z oficerem śledczym Lisem i Wójcikiem. Kulak przyznaje

się, że w dniach 12-13 lipca 1948 roku na rozkaz płk. Malkowskiego, b. szefa Zarządu Śledczego G.Z.I., uderzył Załęskiego kilkakrotnie pałką po pośladkach. 13 lipca 1948 roku Kulak i Jurkiewicz tak zbili ppłk. Załęskiego pałką gumową po całym ciele, a w szczególności po pośladkach i stopach, że ppłk. Załęski nie wstawał z łóżka, a dnia 22 lipca 1948 roku zmarł.

W aktach personalnych Kulaka znajduje się rozkaz Szefa G.Z.I. płk. Kuhla z dnia 8 września 1949, którym ten karze Kulaka „naganą” za pobicie dnia 2. 01. 1948 podczas pobytu w więzieniu w Katowicach przesłuchiwanego przezeń w charakterze świadka księdza Kowalskiego.

Agent „Szkło” w doniesieniu z 27. IX. 1949 r. relacjonuje, co mówi Bojanowski w celi: „mówił, że bicia się już nie boi i obecnie wstydzi się swojego poprzedniego zachowania... opowiadał, że zachowanie się por. Kulaka poniża jego godność ludzką, ponieważ każe mu się rozbierać do naga i bije go po członku męskim, to jednak, jak twierdzi, nie zmusi go do zeznań” (k. 189 t. X).

W tzw. sprawie „Tatara-Kirchmayera” Kulak pracował jako st. oficer śledczy z szeregiem osób obecnie całkowicie zrehabilitowanych. Jak ustalono, prowadził śledztwo m.in. p-ko: gen. bryg. Heliodorowi Cepie, płk. Albinowi Leszczyńskiemu, ppłk. Albertowi Szaadowi, płk. Szczepanowi Ściborowi, płk. Augustowi Menczakowi, mjr. Eugeniuszowi Rękosiewiczowi i cyw. Stefanowi Cichoniowi.

Badania przeprowadzone przez Naczelną Prokuraturę Wojskową w sprawie Tatara i pochodnych wykazały, że na polecenie płk. Skulbaszewskiego, pod którego kierownictwem pracował Kulak, stosowano nagminnie niedopuszczalne metody śledcze polegające na stosowaniu konwejerów i innych udręk fizycznych i psychicznych.

Mjr b. aresztowany Eugeniusz Rękosiewicz podaje, że Kulak prowadząc śledztwo w jego sprawie brał udział w stosowanym konwejerze, stawiał go wielokrotnie pod ścianą na baczność, nie pozwalał mu spać, otwierał okna w zimie, wulgarnie się do niego odnosił, a także — jak zeznaje Rękosiewicz — Kulak opisywał mu sceny rozstrzelania go, w razie gdy nie będzie nadal się przyznawał. Rękosiewicz podaje, że Kulak sugerował mu zeznania.

Płk b. aresztowany Albin Leszczyński podaje, że Kulak zastraszał go, męczył konwejerem, a także zmuszał go do podpisania protokołu niezgodnego z treścią zeznań Leszczyńskiego.

Ppłk b. aresztowany Albert Szaad wspomina Kulaka jako aktywnego uczestnika konwejerów, który osadził go w karcerze.

Z akt wynika, że Szaad w trakcie śledztwa zachorował psychicznie.

Cywil b. aresztowany Stefan Cichoń podaje, że Kulak stosował do niego konwejer, sugerował mu zeznania i bił go, kiedy ten się nie przyznawał. Cichoń dalej zeznaje (k. 221-222, akta Cichonia): „kpt. Kulak, jak mówił mi, stosował wobec mnie system prof. Pawłowa. Polegał on na tym, że bił mnie rękami po twarzy, kopał mnie, deptał mi po palcach nóg, pękiem kluczy dzwonił nad uchem oraz bił mnie drewnianą linijką po głowie (była to dębowa linia kwadratowa)”. Dalej ob. Cichoń podaje, że Kulak i inni, kiedy zasypiał ze zmęczenia, oblewali go wodą i stawiali na przeciągu przy otwartym oknie i drzwiach.

„Podczas jednego z przesłuchań oświadczyłem kpt. Kulakowi, że skoro nie wierzą mi, to po co mnie męczyć, lepiej skierować sprawę do sądu, a tam znajdę sprawiedliwość i będę uniewinnionym. W odpowiedzi kpt. Kulak, wypukując ręką w biurko oświadczył mi, że „Sądy w Polsce Ludowej to pic i fotomontaż, tu się kroi i tu się szyje. Sądy są od tego, aby zaprasować nasz wyrok i ogłosić go”.

Mjr Marian URBANIAK

W organach Informacji pracował od maja 1945 roku, w większości jako oficer śledczy Głównego Zarządu Informacji, zwolniony został w jesieni 1956 roku. Obecnie pełni służbę w jednej z łódzkich W.K.R.¹¹

Z danych, jakimi w tej chwili dysponuje Naczelną Prokuratura Wojskowa wynika, że mjr Urbaniak prowadził śledztwo w sprawie „zamojsko-lubelskiej” i w sprawie Tatara i pochodnych.

Por. b. aresztowany Hieronim Klimaszewski (k. 71-78, 155-156 t. XIII). W śledztwie, które rozpoczęło się w G.Z.I. w maju 1948 roku bił go Urbaniak pięściami i pałką gumową, bił go przeważnie za to, że „za mało mówił”.

Por. b. aresztowany Franciszek Zientkiewicz (k. 133-141 t. XIII). Bił go Urbaniak, Kulak, Fejgin i Kochan. Urbaniak bił go kilkakrotnie gumową pałką i pięściami za to, że próbował odwoływać lub odwoływał swoje zeznania (w śledztwie usiłował popełnić samobójstwo).

Kpt. b. aresztowany Jan Kurek (k. 80-84, 88-91 t. XIII). W 1948 roku przesłuchujący go Urbaniak kazał mu wykonywać „żabki” i bił go.

11. W.K.R. — Wojskowa Komisja Rejonowa.

Płk b. aresztowany Stanisław Bojanowski. Urbaniak postawił mu zarzut przynależności do nielegalnej organizacji, a kiedy Bojanowski oświadczył, że nic o tym nie wie, Urbaniak pobił go pałką gumową. W obecności Urbaniaka bili go także inni oficerowie. Urbaniak bił go kilkakrotnie. Urbaniak i inni oficerowie brali Bojanowskiego między siebie i popychali jeden do drugiego, a kiedy się przewrócił bito go pałką gumową.

Płk b. aresztowany Władysław Mikołajczak (k. 66-68, 142-146 t. XIII). Przez dwie doby bez przerwy przesłuchiwali go na zmianę Kulak i prawdopodobnie Urbaniak, przy czym pozbawili go w tym czasie posiłków.

Płk Informacji Kazimierz Małyska, obecnie słuchacz AWP¹², podaje, że Zientkiewicz był bity przez Urbaniaka.

Mjr Informacji Lucjan Bajraszewski zeznaje, że Zientkiewicz bił Urbaniak w obecności Fejgina i, jak to świadek określa, Zientkiewicz „panicznie bał się Urbaniaka”. Ponadto Bajraszewski podaje, że na polecenie Fejgina, w obecności Frydmana, Dymek i Urbaniak bili pasem Roszyckiego. Widział jak Urbaniak bił Mieczkowskiego.

Mjr Informacji Dymek podaje, że w trakcie śledztwa w sprawie „zamojskiej” Urbaniak oraz inni oficerowie stosowali przymus. Widział u Urbaniaka pałkę gumową. Widział jak Urbaniak bił Sitka.

Ppor. b. aresztowany Tadeusz Mieczkowski (k. 1-15, 16-17, 116-134, 152 t. VIII). W czerwcu 1948 roku bił go Urbaniak za to, że zmieniał swoje zeznania. Sposoby bicia były różne. Wkładano Mieczkowskiemu głowę w oparcie krzesła, po czym Urbaniak zatykał mu usta papierem i trzymał go za głowę, a Frydman bił go pałką gumową. Kilkakrotnie Urbaniak bił go w ten sposób, że po zdjęciu butów kazał Mieczkowskiemu kłaść się na podłodze, po czym stawał mu na plecach, kazał mu unosić nogi do góry i bił gumową pałką w pięty. Na skutek takiego bicia powstawały na nogach rany z wyciekami ropnymi. W biciu Mieczkowskiego pomagali Urbaniakowi inni oficerowie, a m.in. Kulak, Dymek i Grzelak. Dnia 10 czerwca 1948 roku bił go Frydman pałką, a Urbaniak i Bajraszewski pięściami. Mieczkowski podaje, że Urbaniak i Bajraszewski bili go w obecności Frydmana i Fejgina. Na polecenie Urbaniaka wykonywał setki przysiadów — „żabek”.

Kpr. b. aresztowany Henryk Lewandowski (k. 86-92 t. VIII).

12. AWP — być może błąd maszynowy, może WAP — Wojskowa Akademia Polityczna?

Urbaniak, który w sprawie Lewandowskiego prowadził śledztwo, polecał mu wykonywać setki przysiadów tzw. „żabek”, bił go, kopał, deptał po nim, kiedy zaś Lewandowski mdlał, polewano go wodą i bito dalej. Uderzał go głową o ścianę, na skutek uderzenia go w szczękę wybito mu cztery zęby. Przesłuchiwał go przez 4 doby bez przerwy. Urbaniak nie tylko sugerował mu zeznania, ale spisywał protokoły niezgodne z treścią zeznań Lewandowskiego.

Kpr. b. aresztowany Józef Lewicki (k. 112-115, 171-172 t. VIII). Urbaniak straszył go utopieniem w Wiśle, bił go rękami po twarzy i pałką gumową po całym ciele, kazał wykonywać mu „żabki” z taboretom we wzniesionych rękach, lizać podłogę i uderzał go głową o ścianę.

Lewicki opisuje wypadek, że *Urbaniak polecił mu spuścić spodnie, po czym zawiąawszy mu sznurek wokół członka następnie szarpał za sznurek i uderzał patykiem po jądrach.*

Kpr. b. aresztowany Ryszard Malinowski (k. 55-60 t. VIII). W pierwszym stadium śledztwa przesłuchiwali go Urbaniak i Knapiuk, którzy bili go pięściami, pasem i pałką gumową, kazali mu wykonywać przysiady i siadać na nodze stołka.

Kpr. b. aresztowany Zdzisław Donoch (k. 44-50). Urbaniak polecił Donochowi wykonać 750 przysiadów z wzniesionymi w górę rękami, a kiedy Donoch zmęczony oparł rękę o stołek Urbaniak skopał go. Kiedy Donoch twierdził, że do organizacji przestępczej nie należał, Urbaniak kazał mu złożyć przysięgę przed portretem Żymierskiego, a po złożeniu takowej bił go kijem po plecach.

Kpt. b. aresztowany Edmund Sitek (k. 73-81, t. XV, k. 10-11 t. XVII). W trakcie przesłuchań Urbaniak kazał czytać mu gazetę na głos, a kiedy przestawał czytać, Urbaniak bił go. Urbaniak kopał go po brzuchu do tego stopnia, że doznał pęknięcia przepony brzusznej (był na operacji).

Chor. b. aresztowany Zygmunt Sitkowski (k. 16-24, t. XV, k. 8-9, 78 t. VII). Latem 1948 roku Urbaniak wybił mu 4 zęby, po czym sierż. Cegiełce kazał odprowadzić Sitkowskiego do łazienki i oblać wodą, aby nie krwawił.

Por. b. aresztowany Mieczysław Dobosz (k. 111-114 t. XV). Urbaniak pomagał oficerowi śledczemu Staszczukowi w biciu Dobosza.

St. sierż. b. aresztowany Romuald Jurewicz (k. 51-57 t. XVII). Przez kilka kolejnych dni, w trakcie których przesłuchiwał go Urbaniak, Jurewicz cały czas stał oraz wykonywał przysiady. Co trzeci dzień wydawano mu tylko miskę zupy, a gdy

po tygodniowym „poście” wszedł na przesłuchanie, zastał stojącą przed Urbaniakiem miskę zupy, którą Urbaniak oferował mu w zamian za przyznanie. Sugerował mu zeznania, a gdy ten odwoływał, ponownie był bity. Został pobity za odwoływanie zeznań przed prokuratorem. Tuż przed rozprawą Urbaniak odczytywał mu zeznania, aby na rozprawie pamiętał, co zeznał w śledztwie.

Sierż. b. aresztowany Leon Smietański (akta badań w sprawie „zamojskiej”). Oficerowie śledczy Lis, Kulak i Urbaniak stawiali go podczas przesłuchań na baczność i bili.

Por. b. aresztowany Stefan Długotęcki (k. 126-131 t. XV). Przesłuchiwał go Kulak, Lis i Urbaniak. Pewnego razu do Kulaka przyszli Lis i Urbaniak, którzy wspólnie kazali Długotęckiemu się rozebrać, związali mu ręce i nogi i po zakneblowaniu mu ust chusteczką zaczęli go kopać i bić pasem i kijem. Na skutek pobicia nie mógł o własnych siłach zejść do celi.

Por. b. aresztowany Franciszek Sołtys (k. 2-8 t. XVI). Urbaniak i inni oficerowie stosowali do niego przymus (form nie opisuje).

Cywil b. aresztowany Stanisław Albinger. W obecności Frydmana, kiedy zaprzeczył obciążającym go zeznaniom Mieczkowskiego, Urbaniak, Kulak i inni rzucili go na ziemię i bili pałkami tak, że kilkakrotnie tracił przytomność. Na skutek bicia nie mógł nawet wody się napić, na pośladku i nogach miał rany. Przed rozprawą Urbaniak i Frydman szantażowali go i groźbami zmuszali do tego, aby na rozprawie podtrzymywał zeznania ze śledztwa.

Oficer Informacji kpt. Walczak podaje, że Urbaniak złożył wniosek, aby ograniczyć Albingerowi posiłki, kiedy ten nie chciał się przyznawać. Wniosek Urbaniaka został zatwierdzony przez Frydmana.

Oficer Informacji Kondracionek obecnie zeznaje: „Tę ostatnią (chodzi o Nowicką) bili Bajraszewski, Kulak, Urbaniak i inni... Widziałem, że ci oficerowie rozbierali Nowicką do naga, kazali kłaść się jej na krzesło, podnosili jej sukienkę”.

Ponadto Urbaniak pracował jako oficer śledczy w sprawie „Tatara-Kirchmayera”, gdzie tak jak pozostali oficerowie brał udział w stosowaniu uciążliwych konwejerów i stosował inne formy przymusu fizycznego i psychicznego.

Mjr rez. Czesław MARKIEWICZ

Markiewicz pełnił służbę w Organach Informacji od marca 1947 roku do jesieni 1956 roku.

W 1947 roku Markiewicz prowadził między innymi śledztwo w tzw. sprawie „bydgoskiej” p-ko płk. Rolińskiemu i innym. Aresztowani w tej sprawie wymieniają nazwisko Markiewicza, że on również stosował względem nich niedopuszczalne metody w postaci karcerów i bicia rękami po twarzy.

W 1948 roku Markiewicz jako oficer śledczy IV oddziału G.Z.I. brał udział w prowadzeniu śledztwa w tzw. sprawie „zamojsko-lubelskiej”. Aresztowani w tej sprawie skarżą się na Markiewicza, że w czasie śledztwa znęcał się nad nimi. I tak:

Kpt. b. aresztowany Kurek Jan (k. 88-91 t. XIII). Markiewicz w jesieni 1948 roku bił go gumową pałką, pięściami, szarpał go za włosy.

Kpt. b. aresztowany Sierakowski Stanisław. Markiewicz latem 1948 roku bił go pięściami po obojczykach, chwycił za głowę i uderzał o ścianę, bił pałką gumową po mięśniach rąk. Na skutek bicia po mięśniach Sierakowski przez około 3 miesiące nosił lewą rękę na temblaku.

Kpr. b. aresztowany Kornowski Jerzy (k. 62-70 t. VIII). Markiewicz w jesieni 1948 roku bił go gumową pałką, pięściami, szarpał go za włosy.

Kpt. b. aresztowany Sierakowski Stanisław. Markiewicz latem 1948 roku bił go pięściami po obojczykach, chwycił za głowę i uderzał o ścianę, bił pałką gumową po mięśniach rąk. Na skutek bicia po mięśniach Sierakowski przez około 3 miesiące nosił lewą rękę na temblaku.

Kpr. b. aresztowany Kornowski Jerzy (k. 62-70 t. VIII). Markiewicz latem 1948 roku kazał mu wykonywać niezliczone ilości przysiadów, bił go rękami po twarzy.

Kpr. b. aresztowany Pachota Antoni (k. 178-182 t. VIII). Markiewicz latem 1948 roku kopał go, deptał po nim, podnosił do góry i rzucał na podłogę, szarpał za włosy.

Od maja 1950 do jesieni 1951 roku Markiewicz brał udział w prowadzeniu śledztwa p-ko gen. Kuropiesce Józefowi. Jak wykazały przeprowadzone przez Naczelną Prokuraturę Wojskową badania sprawy gen. Kuropieski, Markiewicz na polecenie płk. Skulbaszewskiego wspólnie z mjr. rez. Kornelem przesłuchiwał gen. Kuropieskę przez około 10 miesięcy po około 18-22 godzin na dobę, bardzo często w pozycji stojącej, kilkakrotnie osadził go w karcerze, lżył wulgarnymi słowami w rodzaju „prostytutka polityczna”, stwarzał sytuację, z której gen. Kuropieska mógł wnioskować o rzekomych nieszczęściach, jakie spadły na jego rodzinę, np. że umarł mu ojciec, napluł Kuropiesce w twarz, szydził

z niego w różny sposób. Oblewał go wodą, gdy zasypiał (k. 13-26 teczek¹³ przesłuchań współskaz. w spr. Tataru).

W 1953 roku mjr Markiewicz prowadził śledztwo p-ko mjr. rez. Józefowi Kołodziejskiemu b. skaz. w sprawie Tataru-Kirchmayera.

Mjr b. aresztowany Kołodziejski (k. 103-106 akt. kont.¹⁴ sprawy) podaje, że Markiewicz poza długotrwałym przesłuchaniem go systemem konwejerów dręczył go w różny sposób. Np. stwarzał sytuację, z których mógł wnioskować, że została aresztowana jego żona i córka za rzekome szpiegostwo, lżył go, fałszywie dawał mu do zrozumienia, że jego żona była współpracowniczką organów Informacji i donosiła na niego. Przesłuchując go w pokoju naprzeciw sali sekcyjnej oddziału medycyny sądowej w Warszawie¹⁵, pokazał mu przez okno leżące na stole zwłoki kobiety i powiedział: „no co Kołodziejski, a jakby tak wasza żona leżała na stole, to można ręce umyć formaliną i swoje odwalić”.

Kołodziejski na skutek stosowania względem niego niedopuszczalnych metod dostał silnego rozstroju nerwowego i leczył się w szpitalu dla psychicznie chorych.

Mjr Markiewicz przesłuchany w toku badań spraw z grupy Tataru-Kirchmayera w zasadzie nie kwestionował stosowania względem aresztowanych metod, jakie podał gen. Kuropieska i mjr Kołodziejski, zaznaczając, że postępował tak z aresztowanymi pod naciskiem Skulbaszewskiego i będąc przekonany przez Skulbaszewskiego, że są to wrogowie.

Kpt rez. Zygmunt LINDAUER

W organach Informacji pełnił służbę od 1945 roku do jesieni 1952 roku. Początkowo był on oficerem śledczym G.Z.I., a następnie szefem wydziału śledczego Zarządu Informacji Wojsk Lotniczych.

Obecnie byli skazani w sprawie „zamojsko-lubelskiej” podają, że Lindauer zmuszał ich biciem do przyznawania się. I tak:

13. Teczka bez numeru.

14. Niezrozumiały skrót, być może „akt kontrolnych sprawy”?

15. Zespół budynków, które zajmował Główny Zarząd Informacji, gdzie miały miejsce przesłuchania (i gdzie również odbywał się proces Kirchmayera-Tataru) mieścił się między ulicami Ludwika Krzywickiego (dawna Sucha), Nowowiejską (d. 6 sierpnia), Al. Niepodległości i Koszykową. Z okien wychodzących na Koszykową można było — jak się okazuje — obserwować tyły Zakładu Anatomii Akademii Medycznej, który mieści się przy ulicy Cezki 3.

Ppor. b. aresztowany Czesław Kodymowski. W październiku i listopadzie 1948 roku w związku z odwołaniem uprzednio złożonych wyjaśnień był bity w czasie przesłuchań przez oficerów śledczych Lisa i Lindauera (k. 68-72 t. XV).

Cywil b. aresztowany Albinger Stanisław. Jesienią 1948 roku został pobity w czasie śledztwa przez Lindauera, Kulaka i Lisa (k. 105-115 t. XVI).

Chor. b. aresztowany Marian Kwiatkowski. Jesienią 1948 roku był dotkliwie bity pałką gumową przez oficerów Lindauera i Knapia (k. 95-97 t. XV).

Również jeszcze jesienią 1950 roku — jak podaje obecnie b. oficer śledczy Zarządu Informacji Wojsk Lotniczych kpt. rez. Kurek — kpt. Lindauer na polecenie swego przełożonego ppłk. Lewandowskiego bił rękami po twarzy aresztowanego Cempę oraz dostarczał kabla do bicia Cempy.

Ponadto kpt. Lindauer prowadził śledztwo p-ko 12 oficerom lotnictwa (Adamiecki, Jungrow¹⁶ i inni) aresztowanych w związku ze sprawą Tatara.

W śledztwie p-ko wymienionym oficerom Lindauer, na polecenie swoich przełożonych Lewandowskiego i Skulbaszewskiego organizował stosowanie przymusu w postaci długotrwałych konwejerów, zastraszania i osadzania w karcu. Spośród wspomnianych 12 oficerów 8-miu zostało rozstrzelanych. Obecnie oficerowie ci zostali zrehabilitowani.

Jako Szef Wydziału Śledczego Zarządu Informacji Wojsk Lotniczych kpt. Lindauer osobiście prowadził śledztwo w sprawie Bachyrycza. Spisywał sam zeznania tajnego informatora Gniewosza do protokołów w sposób wygodny dla Informacji, które Gniewosz tylko podpisywał. Niewątpliwie zdawał sobie sprawę, że sprawa Bachyrycza jest sprowokowana.

Zeznaje o tym sierż. rez. Gniewosz.

Mjr rez. Mieczysław LIS

Oficer śledczy G.Z.I., a ostatnio przed zwolnieniem oficer śledczy Zarządu Informacji Marynarki Wojennej. Zwolniony do rezerwy latem 1956 roku.

Brał udział w śledztwie w sprawach: „zamojsko-lubelskiej” i Tatara.

Mjr b. oficer Informacji Dymek podaje, że Lis miał specjalną pałkę gumową do bicia aresztowanych.

16. Oficerowie Adamiecki i Jungrow zostali rozstrzelani, podobnie jak 18 (według innych danych — 17) innych oficerów WP.

B. aresztowany Kontraktowicz zeznaje, że w 1949 roku bity był przez por. Lisa. Podobnie zeznają Mieczkowski, Kodymowski.

B. aresztowany Śmietalski zeznaje, że Lis podczas przesłuchań trzymał go w postawie na baczność, od czasu do czasu podchodził do niego i kopał go albo bił pałką gumową.

B. aresztowany Pawlak. W czerwcu 1948 roku Lis rozpoczął przesłuchanie od tego, że kazał mu położyć się na stołku, po czym bił go bykowcem. Przez następnych kilka lub kilkanaście dni bił go w różny sposób: pięściami, gumą i jakąś sprężyną z ciężarkiem na końcu, oraz kopał go i polecał mu wykonywać przysiady.

Por. b. aresztowany Bazyli Stiepanenko. Wśród innych bił go Lis, który zmusił go do zeznań i nie zapoznał go z aktami sprawy.

B. aresztowany Borszyński. Bito go w śledztwie w obecności i na polecenie Fejgina. Lis bił go pałką.

Por. b. aresztowany Długołęcki. Bity był m.in. przez Lisa pasem, kijem po całym ciele. Szczególnie dokuczliwa dla aresztowanego była stosowana przez Lisa metoda bicia linijką w to samo miejsce np. w kość policzkową, uszy, lub bicie dłonią w szyję niżej uszu, na skutek czego aresztowany tracił słuch i nie mógł poruszać głową. Lis bił go wspólnie z Malkowskim.

Sierż. b. aresztowany Sołtys. W toku śledztwa bił go Lis gumową pałką.

Por. b. aresztowany Urbanowicz. Za odwołanie zeznań został pobity przez Lisa.

Por. b. aresztowany Klimaszewski. W śledztwie został w bestialski sposób pobity, bił go m.in. Lis.

Płk b. aresztowany Bojanowski. Bity był przez Lisa.

Mjr b. aresztowany Kornel Dobrowolski (ze sprawy Tatara). Lis brał udział w stosowanym względem Dobrowolskiego konwejerze, lżył go i groził w razie nieprzyznania się „zniszczeniem”.

Mjr OLEJNICZAK Henryk

W organach Informacji pełnił służbę od 1945 roku. Ostatnio był jeszcze wykładowcą w szkole Informacji.

Obecnie b. aresztowani przez organa Informacji skarżą się, że Olejniczak stosował względem nich przymus w śledztwie. I tak:

B. aresztowany Bolesław Chrusciel — aresztowany w 1949

roku przez Wydział Informacji Garnizonu Poznań podał, że Olejniczak dwa razy osadził go na 48 godzin w karcu z wodą, kilkakrotnie zarządził mu ćwiczenia w postaci marszów po korytarzu i przysiadów, użył go wulgarnymi słowami, popychał z całej siły na ścianę (prot. przesł. z dnia 11. IX. 1956).

B. aresztowany Ryszard Herman — aresztowany w 1952 roku przez Wydział Informacji Garnizonu Poznań pod zarzutem wrogiej propagandy podał, że Olejniczak podczas przesłuchań bił go po twarzy i gdzie popadło, zarządzał przesłuchania w pozycji stojącej do omdlenia, zarządzał różne ćwiczenia jak: „żabka”, skakanie nago, gimnastyki, oblewał go zimną wodą, polecał się szorować zimną wodą w korycie, osadzał w karcu, urządził mu fikcyjną rozprawę sądową, na której fikcyjnie skazał go na karę śmierci.

Ostatecznie śledztwo przeciwko Hermanowi umorzono z braku dowodów winy (prośba Hermana o odszkodowanie z dnia 4. I. 1957 r.).

B. aresztowany płk Skibiński Franciszek — b. skazany w grupie spraw Tatara-Kirchmayera podał, że Olejniczak groził mu pobawieniem życia w wypadku nieprzyznania się. Groźby te wyrażał następującymi słowami: „Czy my na was potrzebujemy mieć oficjalny wyrok śmierci, aby was zakopać w ziemi? A czy wy nie możecie powiesić się w celi? Czy nie możecie umrzeć na atak serca? Czy nie możecie zabić się spadając ze schodów?”.

Równocześnie Olejniczak mówił mu, że Najwyższy Sąd Wojskowy, który będzie go sądził, jest całkowicie zależny od G.Z.I. i wyda na niego taki wyrok, jak będzie chciał G.Z.I.

Przy tym Olejniczak powiedział dosłownie: „jeżeli my zechcemy, to dziś zrobimy rewizję u wszystkich członków Sądu Najwyższego, a jutro oni tu będą siedzieć na stołku i przyznają się do wszystkiego, co my zechcemy”.

Mjr rez. BAJRASZEWSKI Lucjan

B. oficer śledczy G.Z.I., prowadził m.in. śledztwo w sprawie „zamojsko-lubelskiej”.

Kilku aresztowanych w tej sprawie wymienia Bajraszewskiego, że w czasie śledztwa bił ich pałą i rękami. W szczególności wymieniają go ppor. Mieczkowski, kpr. Roszycki, ppor. Borszyński, ppor. Głęboki, por. Zientkiewicz, cywil Albinger, cyw. Nowicka Walentyna.

Na temat bicia przez Bajraszewskiego Nowickiej zeznaje rów-

niez b. oficer śledczy organów Informacji por. rez. Kondracionek: „Widziałem dotkliwie pobitych Klimaszewskiego, Donocha, Załęskiego i Nowicką. Tę ostatnią bili Bajraszewski, Kulak, Urbanik i inni — którzy już nie pamiętam. Widziałem, że oficerowie rozbierali Nowicką do naga, kazali kłaść się jej na krzesło, podnosili jej sukienkę. Gdy Nowicka prosiła o wodę, Bajraszewski kazał jej napić się płwocin ze spluwaczki, kiedy zaś Nowicka pęzła do spluwaczki, Bajraszewski odsunął nogą spluwaczkę”.

Kpt. rez. KUREK Władysław

B. oficer śledczy Zarządu Informacji Wojsk Lotniczych.

Kurek jesienią 1950 roku na polecenie swoich przełożonych ppłk. Lewandowskiego i ppłk. Sarnowskiego w celu zmuszenia aresztowanego sierż. Cempy Władysława do potwierdzenia stawianego mu zarzutu przygotowania zamachu na członków rządu PRL — pobił dotkliwie Cempę rękami po twarzy oraz pałką gumową i kablem po plecach i pośladkach. Cempa po pobiciu go zachorował psychicznie i do obecnej chwili nie udaje się go wyleczyć.

Śledztwo p-ko Cempie zostało umorzone z braku dowodów winy.

Ppłk SARNOWSKI Stefan

Sarnowski jesienią 1950 roku z ramienia II Zarz. G.Z.I. nadzorował śledztwo w sprawie sierż. Cempy Władysława, aresztowanego przez Zarz. Inf. Wojsk Lotniczych (bez sankcji prokuratora) pod zarzutem przygotowywania zamachu na członków rządu PRL.

Jak obecnie zeznają b. oficerowie śledczy organów Informacji: kpt. Rębak, kpt. rez. Nurek i kpt. rez. Lindauer — Sarnowski w porozumieniu z Szefem Zarządu Informacji Wojsk Lotniczych ppłk. Lewandowskim Naumem polecił zastosować względem sierż. Cempy przymus fizyczny w postaci bicia.

Sierż. Cempa został dotkliwie pobity rękami po twarzy przez kpt. rez. Kurka, kpt. rez. Lindauera i ppłk. Kosjendza oraz przez samego kpt. Kurka pałką gumową i kablem elektrycznym po plecach i pośladkach. Po pobiciu Cempa zachorował psychicznie i do obecnej chwili nie zdołano go wyleczyć.

Zarzut stawiany Cempie okazał się nieprawdziwy i śledztwo przeciwko niemu umorzono.

Sarnowski nie przyznaje się do wydania polecenia bicia Cempy twierdząc, iż zgodę na bicie uzyskał ppłk Lewandowski od ówczesnego kierownictwa G.Z.I.

PROKURATOR NACZELNEJ PROKURATURY WOJSKOWEJ

(podpis nieczytelny)
DOMINO Zbigniew mjr

WICEPROKURATOR
NACZELNEJ PROKURATURY WOJSKOWEJ

(podpis nieczytelny)
WIĄCEK Edward kpt. ,

Dokument Nr 2

Odpis z odpisu

SPRAWOZDANIE

Komisji powołanej dla zbadania przejawów łamania
praworządności przez pracowników Generalnej Prokuratury
i Prokuratury m.st. Warszawy

W wyniku uchwały podjętej na zebraniu otwartym POP
PZPR przy Generalnej Prokuraturze w dniu 29 października 1956
roku Prokurator Generalny PRL zarządzeniem nr 20/56 powołał
Komisję dla zbadania przejawów łamania praworządności przez
pracowników Generalnej Prokuratury i Prokuratury m.st. War-
szawy w następującym składzie, wybranej na w/w zebraniu:

Przewodniczący:

— Marian Mazur — Zastępca Prokuratora Generalnego PRL,
Członkowie:

— Wojciech Gawlikowski — Wiceprokurator Generalnej
Prokuratury

— Antoni Hapon — Prokurator Generalnej Prokuratury

— Michał Kulczycki — Wiceprokurator Generalnej Proku-
ratury

— Józef Kucharski — Wiceprokurator Wojewódzki, Deleg.
do Generalnej Prokuratury.

W związku z powierzeniem tow. Marianowi Mazurowi obowiązków Prokuratora Generalnego PRL, skład Komisji uległ zmianie w tym zakresie, że na przewodniczącego Komisji z dniem 14 marca 1957 roku powołany został Jan Wasilewski, zastępca Prokuratora Generalnego PRL.

Komisja w oparciu o dostępne jej akta spraw i dokumenty procesowe, skargi obywateli, oświadczenia pracowników Prokuratury oraz o własne wiadomości poczyniła następujące ustalenia.

Wypaczenia w organach wymiaru sprawiedliwości w ubiegłym okresie przejawiały się i utrwały również w organach prokuratury, przy czym tolerowanie, a nawet popieranie tych wypaczeń miało swe źródło w sprzecznym z prawem postępowaniu i poleceniach czynników kierowniczych.

Doprowadziło to do szeroko praktykowanego łamania praworządności, co przejawiało się głównie w braku nadzoru nad śledztwami organów bezpieczeństwa publicznego, względnie w tolerowaniu jaskrawego bezprawia ze strony tych organów, legalizując przez to na zewnątrz autorytetem prokuratury czynności merytorycznie nieuzasadnione lub zgoła bezprawne.

Źródła tego rodzaju postępowania sięgają — jak dziś powszechnie jest wiadomo — poza prokuraturę i dlatego Komisja nie zajmowała się analizą tego zagadnienia, ograniczając się do oceny działalności prokuratury na tle ówczesnych warunków*.

W związku z tym Komisja nie dążyła do abstrakcyjnej oceny ludzi i faktów, oceniając tylko te zjawiska, które stanowią jaskrawe wypaczenie oraz ustosunkowując się do tych osób, które przyczyniły się do łamania praw w sposób, który nawet przy uwzględnieniu ówczesnych warunków powinien spotkać się z potępieniem.

Komisja, nie będąc organem śledczym, oparła się w swej ocenie na danych i wiadomościach bezpośrednio jej dostępnych, odrzucając koncepcję tzw. „zbierania materiałów na osoby”, a z drugiej strony eliminując dane nie sprawdzone źródłowo lub wątpliwe. Miało to na celu dokonanie oceny przeszłości oraz ujawnienie wypaczeń i ich sprawców przed pracownikami prokuratury, którzy w swej masie zawsze stali na gruncie poszanowania prawa, strzegąc interesów Ludowej Ojczyzny.

Wychodząc z powyższych założeń Komisja stwierdza, że bezpośrednim źródłem wypaczeń był bezkrytycz-

* Wszystkie podkreślenia i wyróżnienia — w tekście.

ny a nawet wręcz uległy stosunek ówczesnego kierownictwa prokuratury wobec organów bezpieczeństwa publicznego, przechodzący niejednokrotnie w nadgorliwe wykonywanie, a nawet uprzedzanie życzeń tych organów.

Praktyczna współpraca organów bezpieczeństwa publicznego z organami prokuratury powszechnej nawiązana została w jesieni 1948 roku na skutek przekazywania przez b. MBP¹ i podległe mu organy szeregu spraw przede wszystkim z dekretu z dnia 22 stycznia 1946 roku o faszyzacji i dekretu z dnia 31 sierpnia 1944 roku o współpracy z okupantem do bezpośredniego prowadzenia prokuraturze.

Zbiegło się to w czasie z objęciem kierownictwa Departamentu Nadzoru Prokuratorskiego Ministerstwa Sprawiedliwości przez Henryka Podlaskiego, który przeszedł do Ministerstwa Sprawiedliwości ze stanowiska Zastępcy Naczelnego Prokuratora Wojskowego do spraw szczególnych.

W tym okresie nadzór nad śledztwami prowadzonymi przez organa bezpieczeństwa publicznego nie był uregulowany ustawowo. Faktycznie regulowany był doraźnymi zarządzeniami b. Departamentu Nadzoru Prokuratorskiego Ministerstwa Sprawiedliwości, a następnie tymczasową instrukcją tegoż Departamentu do czasu wejścia w życie w roku 1949 noweli k.p.k.

Nowela ta wprowadziła ustawowe zasady nadzoru prokuratury powszechnej nad pracą organów bezpieczeństwa publicznego w zakresie ścigania przestępstw, który miał polegać na nadzorowaniu śledztw, zatwierdzaniu aktów oskarżenia i postanowień wydawanych przez oficerów śledczych w zakresie ich właściwości z wyjątkiem postanowień o wszczęciu śledztwa.

Od chwili objęcia stanowiska dyrektora Departamentu Nadzoru Prokuratorskiego przez Podlaskiego faktyczne kierownictwo pracą prokuratury powszechnej spoczywało w jego rękach.

W tym okresie Departament Nadzoru Prokuratorskiego prócz sprawowania funkcji nadzorczych w stosunku do prokuratur terytorialnych nadzorował śledztwa prowadzone przez b. MBP i merytorycznie je załatwiał.

Na tym tle stwierdzić już można wypaczenie istoty nadzoru prokuratorskiego nad pracą organów bezpieczeństwa publicznego. Tolerancyjny stosunek kierownictwa Departamentu Nadzoru Prokuratorskiego do faktów naruszania obowiązujących przepisów przez b. MBP spowodował, iż Departament Nadzoru Prokuratorskiego z czynnika kontrolującego stał się czynnikiem prawie bez-

1. MBP — Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego (rozwiązane w grudniu 1954 roku).

krytycznie aprobującym postępowanie b. MBP w zakresie ścigania.

Departament Nadzoru Prokuratorskiego godził się i nie wyciągał żadnych wniosków z następujących faktów łamania praworządności:

a. stosowania nieprawidłowej kwalifikacji czynu, uzasadniającej właściwość prokuratury wojskowej w zakresie stosowania aresztów celem ominięcia kontroli sądów powszechnych,

b. długotrwałego przetrzymywania w areszcie tymczasowym osób podejrzanych,

c. osadzania w areszcie śledczym bez postanowień o tymczasowym aresztowaniu,

d. przetrzymywania w areszcie śledczym mimo braku postanowienia o przedłużeniu okresu tymczasowego aresztowania.

Nie reagując na przytoczone wyżej nadużycia organów b. MBP, Departament Nadzoru Prokuratorskiego nadto bezkrytycznie oceniał zebrane w toku śledztwa materiały, sporządzając w oparciu o nie akty oskarżenia i kierując je do sądu.

Mimo wątpliwej kwalifikacji prawnej i niejednokrotnie wyraźnie niedostatecznych materiałów dowodowych, prokuratorzy Departamentu Nadzoru Prokuratorskiego na polecenie kierownictwa tegoż Departamentu domagali się w sądzie wyroków skazujących, niejednokrotnie wywierając na sędziów presję.

Do rozpatrywania tych spraw powoływane były specjalne komplety sędziów, składających się w wielu wypadkach z pracowników Ministerstwa Sprawiedliwości, które rozpatrywały te sprawy w trybie tajnym, w wielu wypadkach w więzieniu mokotowskim.

Bardziej jeszcze tolerancyjny stosunek do nadużyć popełnionych przez b. MBP oraz bezpośredni udział w łamaniu praworządności wykazywała Naczelna Prokuratura Wojskowa. I jakkolwiek sprawa ta nie leży w bezpośrednim zakresie działania Komisji, to jednak niektóre zagadnienia pracy Naczelnej Prokuratury Wojskowej były badane przez Komisję z uwagi na konieczność ustosunkowania się do zarzutów podnoszonych wobec prokuratorów, którzy przeszli z Naczelnej Prokuratury Wojskowej do pracy w prokuraturze powszechnej.

Zapoczątkowany przez Podlaskiego w Departamencie Nadzoru Prokuratorskiego sprzyjający łamaniu praworządności styl pracy kontynuowany był również w Prokuraturze Generalnej, zorganizowanej we wrześniu 1950 roku, w której stanowisko Zastępcy Prokuratora Generalnego objął właśnie Podlaski.

Ten styl pracy przejął i zaaprobował ówczesny Prokurator

Generalny Stefan Kalinowski, przy czym postawa przyjęta przez Podlaskiego jako Zastępcę Prokuratora Generalnego PRL wobec nadużyć organów b. MBP zaciążyła na pracy Generalnej Prokuratury, a w szczególności na metodach pracy *Departamentu Specjalnego* (IV).

W strukturze organizacyjnej Generalnej Prokuratury Departament Specjalny miał nadzór nad śledztwami prowadzonymi przez b. MBP oraz nadzór nad Wydziałami Specjalnymi w prokuraturach wojewódzkich.

W związku z czynnościami śledczymi b. MBP w sprawach należących do właściwości sądów powszechnych obowiązki Departamentu Specjalnego polegały na sprawowaniu nadzoru, a w szczególności na:

- a. stosowaniu aresztu tymczasowego na wniosek b. MBP,
- b. przedłużaniu okresu tymczasowego aresztowania na wniosek b. MBP,
- c. kontrolowaniu prawidłowości przebiegu śledztwa,
- d. uczestniczeniu w konkretnych czynnościach śledczych według uznania prokuratora,
- e. zatwierdzaniu postanowień wydawanych przez oficerów śledczych b. MBP w toku śledztwa,
- f. zatwierdzaniu aktów oskarżenia i postanowień o umorzeniu śledztwa,
- g. popieraniu aktów oskarżenia w sądzie.

Istotą tych obowiązków była należyta kontrola nad przestrzeganiem przez organa b. MBP w toku śledztwa obowiązujących przepisów prawnych, a w razie stwierdzenia nadużyć wyciągania odpowiednich wniosków celem umożliwienia odpowiednim władzom ukarania winnych. W rzeczywistości Departament Specjalny nie spełniał powyższego podstawowego wymogu.

Bezkrytyczny i uległy, a często nadgorliwie uprzedzający stosunek Departamentu Specjalnego wobec b. MBP doprowadził do:

- a. wydawania postanowień o aresztowaniu na podstawie niedostatecznych materiałów, przedstawionych przez b. MBP, a bardzo często na podstawie samego tylko wniosku b. MBP bez uzasadnienia i materiałów dowodowych,
- b. przedłużania okresu tymczasowego aresztowania na skutek wniosku b. MBP bez zapoznania się z aktualnym stanem śledztwa i bez kontrolowania, czy istnieją rzeczywiste przyczyny uzasadniające przedłużenie aresztu,
- c. nieuczestniczenia z reguły przez pracowników Departamentu Specjalnego w przeprowadzanych przez oficerów śledczych b. MBP czynnościach śledczych z wyjątkiem końcowych czynności,

gdzie rola prokuratora była również tylko bierna z uwagi na obecność przy tych czynnościach oficera śledczego prowadzącego śledztwo, a także z uwagi na to, że czynność ta we wszystkich sprawach odbywała się na terenie pawilonu śledczego pozostającego w wyłącznej dyspozycji b. MBP,

d. zatwierdzania i kierowania do sądu aktów oskarżenia nie opartych na dostatecznych materiałach dowodowych, często z nieprawidłową kwalifikacją czynu,

e. wywierania w wielu wypadkach nacisku na sędziów w kierunku skazania mimo braku dostatecznych dowodów winy, względnie wymierzenia zbyt wysokiej kary. Nacisk ten wynikał z panującej w Departamencie Specjalnym zasady, że za wszelką cenę nie można dopuścić do wyroku uniewinniającego, a w razie załamania się sprawy w sądzie domagać się bądź zwrotu akt do uzupełnienia śledztwa, bądź też żądano takiego wymiaru kary, który pokrywałby okres tymczasowego aresztowania trwający w wielu wypadkach nawet kilka lat.

Podniesiona wyżej uległość Departamentu Specjalnego wobec organów b. MBP, przechodząca często w nadgorliwość, doprowadzała w wielu wypadkach do braku obiektywności prokuratora na rozprawie, wyrażającego się w negatywnym z reguły stosunku do wniosków obrony oskarżonych i bezpodstawnym żądaniu odczytania na rozprawie zeznań świadków złożonych w toku śledztwa. W przypadku składania na rozprawie przez podejrzanych i świadków odmiennych zeznań niż w śledztwie, prokuratorzy nie starali się wyjaśnić przyczyn tego stanu rzeczy, unikając w ten sposób ujawnienia okoliczności stosowania niedozwolonych lub wręcz przestępnych metod w śledztwie.

Wyrazem niedopuszczalnego braku obiektywizmu ze strony Departamentu Specjalnego było również tolerowanie i aprobowanie szeroko stosowanej przez b. MBP praktyki sztucznego rozdzielania spraw kilku współoskarżonych na oddzielne sprawy, co w zasadniczy sposób utrudniało, a nawet uniemożliwiało obronę oskarżonych. Praktyka ta stosowana była w celu szantażowania osób aresztowanych dla uzyskania przed sądem zeznań dogodnych dla tezy oskarżenia.

Zupełnie uległa postawa Departamentu Specjalnego wobec organów b. MBP spowodowała, że kierownictwo i prokuratorzy Departamentu Specjalnego nie reagowali na skargi osób aresztowanych o stosowanie wobec nich przymusu fizycznego i psychicznego, a przeciwnie, w swoich wystąpieniach przed sądem oceniali te fakty jako

s z k a l o w a n i e o r g a n ó w M B P, domagając się w wielu wypadkach surowszego wymiaru kary, co znajdowało nawet swój wyraz w wyrokach sądowych. Ponadto kierownictwo Departamentu Specjalnego na ogół nie czyniło żadnego użytku z meldunków prokuratorów, którzy w toku końcowych przesłuchań dowiadawali się od więźniów o stosowaniu przestępnych [tak oryginalnie — Red.] metod śledztwa.

O niezdrowej atmosferze przeniesionej z b. MBP do Departamentu Specjalnego świadczy bezduszny, a czasami wprost nieludzki stosunek kierownictwa i prokuratorów Departamentu Specjalnego do aresztowanych i członków ich rodzin, wyrażający się w nieudzielaniu informacji o biegu sprawy, o losach uwięzionych i niereagowaniu na wiadomości o złym ich stanie zdrowia. Brak właściwej reakcji na te wiadomości doprowadził w kilku wypadkach do śmierci aresztowanych.

Tej niezdrowej atmosferze sprzyjała również przejęta z b. MBP tendencja do otaczania tajemniczością wszelkich poczynañ Departamentu Specjalnego zarówno wobec sądu, obrony, jak i wobec pozostałego kolektywu Generalnej Prokuratury. Szczególnym tego wyrazem było kierowanie do sądu akt w trybie tajnym i z wnioskami o rozpoznanie sprawy przy drzwiach zamkniętych, mimo że charakter sprawy często nie uzasadniał stawiania tego rodzaju wniosków. Niektóre z tych spraw, z uwagi na ich rzekomą ścisłą tajność, nie były w ogóle wpisywane do repertorium, a wiedział o nich tylko zastępca Prokuratora Generalnego Podlaski, kierownictwo tego departamentu i osoby zaufane.

Jak silne były te tendencje wskazuje fakt wydania przez dyrektora Departamentu Specjalnego jeszcze na wiosnę 1956 roku zarządzenia o traktowaniu wszelkiej korespondencji związanej ze śledztwami nadzorowanymi przez Departament Specjalny i podległe mu wydziały jako poufnej.

Oceniając ogólnie pracę Departamentu Specjalnego aprobując go i legalizującego działalność b. MBP w zakresie śledztw stwierdzić należy, iż zasadniczymi konsekwencjami wynikającymi z tolerancyjnego i uległego stosunku wobec b. MBP było niesłuszne i bezpodstawne przetrzymywanie podejrzanych w areszcie śledczym często całymi latami w sprawach, które kończyły się ostatecznie umorzeniem, oraz nieuzasadnione faktycznymi potrzebami i często wieloletnie przewlekanie śledztw w sprawach zakończonych wyrokami skazującymi, z których znaczna ilość w ostatnim czasie musiała być uchylona przez Sąd Najwyższy.

Rozważając kwestię odpowiedzialności za przytoczone wyżej przejawy łamania praworządności w prokuraturze w zakresie nadzorowania śledztw prowadzonych przez organa bezpieczeństwa publicznego, należy przede wszystkim ustosunkować się do roli ówczesnego kierownictwa Generalnej Prokuratury.

Kierownictwo Generalnej Prokuratury sprawowali: Stefan Kalinowski — jako Prokurator Generalny PRL w okresie od sierpnia 1950 do 20 kwietnia 1956 roku oraz jako jego zastępca w okresie od 15 września 1950 do końca marca 1955 roku — Henryk Podlaski², którego obowiązki przejął Kazimierz Kosztirko.

Z tytułu podziału czynności w kierownictwie Generalnej Prokuratury nadzór nad Departamentem Specjalnym sprawował Podlaski. On też przy uwzględnieniu nadto, iż niewątpliwie przewyższał wiedzą fachową, wykształceniem, ogólną inteligencją i śmiałością decyzji ówczesnego Prokuratora Generalnego Stefana Kalinowskiego był twórcą systemu pracy, który doprowadził do łamania praworządności przez Departament Specjalny. Podlaski bowiem nie tylko zajął stanowisko wysoce bezkrytyczne wobec b. MBP, lecz był nadto gorliwym wykonawcą życzeń b. MBP, przekazując je w postaci poleceń i zarządzeń podległym mu prokuratorom.

W przypadku rozbieżności zdań między prokuratorami terenowymi a organami bezpieczeństwa publicznego Podlaski z reguły opowiadał się za stanowiskiem zajęтым przez te organa.

W tych warunkach Podlaski jako Zastępca Prokuratora Generalnego PRL ponosi bezpośrednią odpowiedzialność za stwierdzone przejawy łamania praworządności w prokuraturze.

Niezależnie od odpowiedzialności, jaką ponosi za pracę Departamentu Specjalnego Podlaski i kierownicy tego Departamentu, winą za stwierdzone przejawy łamania praworządności o b a r c z y ć r ó w n i e ż należy Stefana Kalinowskiego z tytułu zajmowania przez niego stanowiska Prokuratora Generalnego PRL.

Kalinowski zorientowany był bowiem w stylu, treści i metodach pracy Departamentu Specjalnego i również osobiście podejmował w niektórych poważniejszych sprawach decyzje. Jako Prokurator Generalny nie tylko że nie przeciwstawiał się i nie przeciwdziałał nadużyciom popełnianym przez funkcjonariuszy b. MBP, ale i sam pokrywał je swoim autorytetem, a nawet uczestniczył w ich ukrywaniu. Przykładem tego może być:

2. Henryk Podlaski w jakiś czas potem znikł bez śladu.

— fakt wydania Dymantowi polecenia ukrycia sprawy śmierci aresztowanego Wacława Dobrzyńskiego³ w toku śledztwa,

— podejmowanie decyzji niekierowania spraw aresztanckich do sądu mimo ich ukończenia,

— znany mu fakt stosowania wobec Jaroszewicza⁴ i Lechowicza⁵ szczególnie okrutnych metod śledztwa.

Wyrazem uznawania supremacji MBP nad prokuraturą i godzenia się na fakt aresztowania osób podejrzanych bez przedstawienia prokuratorom materiałów śledczych — było wydanie w dniu 18 grudnia 1950 roku przez Kalinowskiego tajnego zarządzenia, zobowiązującego prokuratorów wojewódzkich do wydawania na żądanie szefów WUBP⁶ postanowień o tymczasowym aresztowaniu na okres do dwóch miesięcy wyłącznie li tylko na podstawie wniosków.

Po zwolnieniu Podlaskiego w marcu 1955 roku za łamanie praworządności w prokuraturze Kalinowski nie zmienił stylu pracy zakładającego supremację organów bezpieczeństwa publicznego nad prokuraturą, czego wyrazem m.in. było wydanie w październiku 1955 roku zarządzenia przyznającego szefom WUBP prawa odwoływania się — za pośrednictwem MBP — od decyzji prokuratorów wojewódzkich odmawiających wydania postanowienia o tymczasowym aresztowaniu na wniosek szefa WUBP — do Prokuratora Generalnego.

W praktyce Stefan Kalinowski przy rozstrzyganiu tego rodzaju spraw podzielał zdanie organów bezpieczeństwa publicznego i bądź to polecał prokuratorom stosowanie aresztu, bądź też wyrażał gotowość wydania decyzji osobiście.

Z konkretnych spraw dyskwalifikujących Stefana Kalinowskiego i Henryka Podlaskiego za łamanie praworządności przez wydawanie bezprawnych decyzji wymienić należy sprawy represjonowania członków rodzin zbiegłych z granicę. W sprawach tych ówczesne kierownictwo Generalnej Prokuratury wydało polecenie zastosowania aresztu i skierowania wniosków do Komisji Specjalnej o umieszczenie w obozie pracy, mimo iż brak było jakichkolwiek podstaw

3. Wacław Dobrzyński — oficer sztabu głównego komunistycznej Gwardii Ludowej i AL. Organizator Wydziału Zaopatrzenia i Broni.

4. Alfred Jaroszewicz został skazany 30 czerwca 1955 r. na 12 lat więzienia pod fałszywym zarzutem współpracy z gestapo.

5. Pod tym samym zarzutem został 6 lipca 1955 r. skazany Włodzimierz Lechowicz na 15 lat więzienia. Obaj — Jaroszewicz i Lechowicz — byli aresztowani jesienią 1948 roku.

6. WUBP — Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego.

do pociągania członków rodzin tych osób do odpowiedzialności karnej.

Łamaniem zasad praworządności było również wydanie przez Kalinowskiego i Podlaskiego polecenia stosowania praktyki kierowania spraw do Komisji Specjalnej z wnioskami o orzeczenie kary dwóch lat obozu pracy (maksimum ustawowe) bez zaliczenia okresu tymczasowego aresztowania. Praktyka ta stosowana była zwłaszcza wówczas, gdy tymczasowe aresztowanie trwało przez okres dłuższy, a czasem ponad dwa lata. W tych wypadkach chodziło o dalsze pozbawienie wolności aresztowanego. W wyniku uwzględnienia tego rodzaju wniosków przez Komisję Specjalną aresztowani pozbawieni byli wolności przez okres kilku lat.

Bezpośrednie kierownictwo Departamentu Specjalnego od początku jego istnienia tj. od września 1950 do maja 1956 roku sprawował wicedyrektor tegoż Departamentu Władysław Dymant — z przerwą w okresie od lutego 1953 do 30 sierpnia 1954 roku — kiedy jego przełożonym był dyrektor tego Departamentu Kazimierz Kosztirko, przy czym Dymant i w tym okresie był wicedyrektorem Departamentu.

Mając na uwadze ówczesnie panujące warunki, nie można Dymanta obciążyć odpowiedzialnością za to, iż był on twórcą czy inicjatorem systemu łamania praworządności w Departamencie Specjalnym. Dymant odpowiada natomiast za to, że był niezwykle gorliwym wykonawcą wszelkich poleceń swoich przełożonych, wykazującym przy tym dużo własnej inicjatywy. W swym bezkrytycznym stosunku do organów b. MBP, z którymi pozostawał w bezpośrednim i stałym kontakcie, Dymant posunął się tak daleko, że aprobował bezprawne zamierzenia tych organów, a przekazując je do wykonania podległym mu prokuratorom uzasadniał je prawnie i politycznie. Pozycję Dymanta umacniał jeszcze fakt, iż był on przez dwie kadencje w tym okresie I sekretarzem POP⁷ w Generalnej Prokuraturze.

Poza wskazaną wyżej odpowiedzialnością Dymanta wynikającą z pełnienia kierowniczego stanowiska obciąża go również i to, że sprawy, w których popełniono najwięcej nadużyć, załatwiane były osobiście przez niego. Z tego względu sprawy te były otoczone tajemnicą nawet wobec podległych pracowników prokuratorskich Departamentu Specjalnego.

Z faktów, które całkowicie dyskwalifikują Dymanta jako prokuratora wymienić m.in. można to, iż Dymant nie tylko nie rea-

7. POP — podstawowa organizacja partyjna PZPR.

gował na otrzymywane już w 1953 roku wiadomości o maltretowaniu więźniów śledczych, ale utwierdzał podległych sobie prokuratorów w przekonaniu, iż jest to szkalowanie organów bezpieczeństwa publicznego. Skargi takie przekazywał przełożonym oficerów śledczych, którzy właśnie byli zainteresowani w ukryciu tych nadużyć, ponieważ doskonale o nich wiedzieli, a często sami je inspirowali. Np. skargę Jerzego Kilianowicza⁸ przekazał Duszy, który był przełożonym grupy oficerów śledczych.

Dymant świadomie godził się też na politykę organów b. MBP, zmierzającą do bezzasadnego i wieloletniego nieraz przetrzymywania podejrzanych w areszcie, czego formalnym wyrazem było wielokrotne przedłużanie okresu tymczasowego aresztowania na wnioski b. MBP, najczęściej bez wglądu do akt śledztwa.

Polityka ta była stosowana nagminnie, toteż niecelowe jest nawet przykładowe przytaczanie poszczególnych spraw.

Wielka aktywność Dymanta w realizacji niepraworządnych inspiracji b. MBP i w wykonywaniu poleceń kierownictwa Generalnej Prokuratury nie ograniczała się tylko do terenu Prokuratury, ale znalazła swój wyraz również i na terenie sądu. Obok bezpośrednich nacisków na sędziów Dymant ingerował w kwestii doboru sędziów, wyznaczania terminów i kolejności rozpraw oraz wyznaczania obrońców z urzędu.

Z tytułu zajmowanego stanowiska dyrektora Departamentu Specjalnego w okresie od lutego 1953 do sierpnia 1954 roku ponosi odpowiedzialność za całokształt pracy w tym okresie Kazimierz Kosztirko, który bez sprzeciwu realizował taki system pracy podległego mu Departamentu, w którym:

a. wbrew ustawie nie realizowano nadzoru prokuratora nad śledztwami organów bezpieczeństwa publicznego, udzielano bezkrytycznie sankcji na wieloletnie areszty śledcze, tolerowano trwanie wieloletnich śledztw nie opartych na żadnych dowodach w chwili ich wszczynania i nie zmierzających do wyjaśnienia sprawy (np. sprawa Pawłowskiego, Parczyńskiego, Borzobohatego, Jerzego Kilianowicza, Golańskiej, Obalskiego), nie wyjaśniano okoliczności przemawiających za podejrzanym, a nawet je ukrywano, np. przez wyłączanie części materiałów ze śledztwa, rozdzielano sztucznie sprawy, by ze współoskarżonych tworzyć świadków,

b. odmawiano rodzinom aresztowanych wiadomości nawet o miejscu pobytu bliskich, a nawet dezinformowano i odmawiano

8. Jerzy Kilianowicz, brat Stefana, znanego pod imieniem i nazwiskiem Grzegorz Korczyński, dąbrowszczak, dowódca oddziałów partyzanckich Gwardii Ludowej na Lubelszczyźnie, wiceminister bezpieczeństwa 1945-1948, aresztowany w 1950 r., więziony do 1956 r.

przyjmowania przesyłek (odzież i pieniądze), mimo że podejrzany przebywał w więzieniu,

c. nie reagowano na skargi rodzin o błędnym informowaniu ich przez b. MBP, a zadowalano się bezduszną odpowiedzią, że podejrzany znajduje się w określonym więzieniu (np. sprawa Bolesława Piaseckiego⁹),

d. nie reagowano na skargi rodzin więźniów o ciężkim stanie chorobowym osób aresztowanych, nie zlecano natychmiastowych badań lekarskich dla ustalenia czy nie ma przeszkód dla dalszego przedłużania aresztu, ani — tym bardziej — dla ustalenia przyczyny zachorowań, choć wiadomo było, iż nastąpiły one w więzieniu (np. sprawa Borzobohatego, Parczyńskiego),

e. utrudniano obrońcom wykonywanie ich obowiązków przez ich błędne informowanie lub odmowę informacji oraz przez inne szyskany będące przejawem niechęci do obrońców (adw. Wajsfeld, Winawer i Steinsbergowa).

Z tym stanem rzeczy Kazimierz Kosztirko godził się, a nawet w niewłaściwym załatwianiu niektórych spraw bezpośrednio uczestniczył.

Komisja zapoznała się nadto, jeśli chodzi o osobę Kazimierza Kosztirko, z zarzutami podniesionymi przeciwko niemu na zebraniu prawników województwa katowickiego w dniu 6 grudnia 1956 roku i po uzyskaniu wyjaśnień od Kazimierza Kosztirko uznała, że z tego tytułu brak jest podstaw do ujemnej oceny jego osoby.

Niezależnie od wyżej wymienionych osób z kierownictwa Generalnej Prokuratury, tj. Stefana Kalinowskiego i Henryka Podlaskiego oraz kierownictwa Departamentu Specjalnego Kazimierza Kosztirko i Władysława Dymanta, zebrane w toku pracy Komisji materiały spowodowały konieczność ustosunkowania się również do następujących prokuratorów b. Departamentu Specjalnego:

1. Benjamina Wajsblecha
2. Pauliny Kern
3. Zofii Bielec
4. Jana Traczewskiego
5. Benedykta Jodelisa.

Nadto Komisja napotkała fakty wymagające ustosunkowania się odnośnie pracy w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej do niżej wymienionych osób:

1. Heleny Wolińskiej
2. Mieczysława Dytrego
3. Zenona Rychlika.

9. Nie ma nic wspólnego z Bolesławem Piaseckim, prezesem PAX-u.

Pośród prokuratorów zatrudnionych w Departamencie Specjalnym w sposób szczególnie negatywny wyróżnił się Benjamin Wajsblech. Wykazując dużą gorliwość w wykonywaniu często niepraworządnych poleceń kierownictwa oraz bezkompromisowość i bezwzględność wobec aresztowanych, obrońców, a nawet i świadków, zyskał sobie u Podlaskiego opinię jednego z najlepszych i najbardziej zaufanych prokuratorów. Opinia ta przyczyniła się do powierzenia Wajsblechowi nadzoru nad takiego rodzaju sprawami, w których osiągnięcie pozytywnego wyniku dla oskarżenia w dużej mierze zależało od stosowania niedozwolonych metod w śledztwie. Znajduje to potwierdzenie w bardzo dużej liczbie skarg osób pokrzywdzonych tymi metodami.

Po sprawdzeniu tych skarg stwierdzono, że Wajsblech dopuścił się:

a. bezpodstawnych aresztowań podejrzanych i przetrzymywania ich w areszcie śledczym mimo braku uzasadnionych przyczyn (np. sprawa Erlicha, Karczewskiej, Rozego i Kędzierskiego),

b. usuwania z akt śledstw protokołów zeznań korzystnych dla oskarżonych (np. w sprawie Erlicha, Fernika, Korneta i innych),

c. sztucznego rozdzielania spraw, które winny być rozpatrzone przez sąd łącznie (np. sprawa Rozego i Kędzierskiego),

b. psychicznego a niekiedy fizycznego upokarzania i maltretowania osób przesłuchiowanych, które podają, iż zachowanie się Wajsblecha było nieraz gorsze niż oficerów śledczych (Roze, Latoszewski, Boczkowski, Karczewska).

Niezależnie od zarzutów ustalanych na podstawie skarg stwierdzić należy, że Wajsblech miał znaczny i aktywny udział w przytoczonych już uprzednio i scharakteryzowanych ogólnie przejawach łamania praworządności w Departamencie Specjalnym.

Stwierdzony już wyżej bezkrytyczny stosunek Departamentu Specjalnego do działalności b. MBP oraz brak obiektywizmu w dążeniu do wykrycia prawdy materialnej w poszczególnych sprawach wyraźnie się uwidacznia w postawie i innych prokuratorów Departamentu Specjalnego, i tak:

Paulina Kern — wiceprokurator Generalnej Prokuratury — pracując w Departamencie Specjalnym w okresie od września 1950 do października 1951 roku w dniu 30 listopada 1950 roku w toku rozprawy sądowej odbywającej się w więzieniu przeciwko Eugeniuszowi Grzybowskiemu sprzeciwiła się wezwaniu na rozprawę świadków powołanych przez oskarżonego, a w szczególności świadka Ejmego, motywując to trudnościami w doprowadzeniu na rozprawę, mimo że świadek ten przebywał w tymże więzieniu.

Świadek ten, będąc zwierchnikiem Grzybowskiego, mógł najbardziej wiarygodnie naświetlić działalność organizacyjną oskarżonego. Na tejże rozprawie Kernowa nie zajęła również właściwego stanowiska odnośnie odwołania przez Grzybowskiego wszystkich wyjaśnień złożonych w śledztwie oraz odnośnie złożonego oświadczenia o nieludzkim traktowaniu go w toku śledztwa. W swoim wystąpieniu oskarżycielskim zarzuciła Grzybowskiemu prowokację i szkalowanie organów MBP — jeśli chodzi o stosowanie „niewłaściwych metod śledztwa” — co znalazło nawet swój wyraz w wyroku skazującym go na karę śmierci.

W lipcu 1951 roku w sprawie Władysława Cisowskiego, dokonując końcowego przesłuchania, nie umieszcila w protokole wyjaśnień podejrzanego o torturowaniu go w toku śledztwa, a przeciwnie, oświadczyła mu, że „władze śledcze Polski Ludowej nie biją”. Odmówiła również Cisowskiemu zapoznania go z całością materiałów śledztwa.

Jak wynika z akt sprawy „Startu”¹⁰ Paulina Kern, mimo iż nie pracowała w Departamencie Specjalnym, nadzorowała śledztwo w tej sprawie w jego końcowym stadium, przesłuchiwała końcowo podejrzanych i w dniu 6 grudnia 1951 roku zatwierdziła akt oskarżenia.

Jak się okazało ostatecznie, sprawa ta oparta była na wymuszonych i sztucznie dobranych dowodach. Bezkrytyczny nadzór i zatwierdzenie aktu oskarżenia opartego na tego rodzaju dowodach w poważnym stopniu dyskwalifikują Kernową jako prokuratora.

Podobnie nieobiektywne stanowisko zajmowała Paulina Kern w niektórych wnioskach składanych Sądowi Najwyższemu w okresie pracy w Departamencie Sądowym (np. w sprawach „Startu” i Antoniego Staszewskiego — wносиła o zatwierdzenie wyroków skazujących na karę śmierci).

Zofia Bielec — wiceprokurator Generalnej Prokuratury — ulegając panującej w Departamencie Specjalnym atmosferze wrogości i niechęci wobec aresztowanych i ich rodzin nie reagowała na wiadomości o złym stanie zdrowia więźniów śledczych. Przykładem tego może być sprawa Stanisława Wróny. W okresie kiedy Bielec była referentem tej sprawy, do Departamentu Specjal-

10. „Start” — kryptonim Ekspozytury Urzędu Śledczego Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa, utworzonej jesienią 1943 r. PKB był formacją typu policyjnego przy delegacie rządu RP na kraj. Proces „Startu” odbył się jesienią 1951 r. Zapadły wyroki śmierci na Ojczyńskiego (NSZ), Nienaltowski (GL) i Pajora.

nego wpłynęły wiadomości o złym stanie zdrowia aresztowanego Wrony oraz prośby o uchylenie z tego względu aresztu tymczasowego. Jedyną reakcją na to było powiadomienie przez Bielec aresztowanego i jego rodziny, że areszt nie będzie uchylony. Wrona w wyniku ciężkiej i długotrwałej choroby — przy całkowitym braku zainteresowania się stanem jego zdrowia ze strony prokuratora i następnie sądu — zmarł w więzieniu.

Zofia Bielec wykazywała też bezkrytyczny stosunek do niepraworządnych nieraz poleceń swoich przełożonych, wykonując je skrupulatnie nawet mimo wewnętrznych oporów. Np. na polecenie Dymanta sporządziła wniosek do Komisji Specjalnej o osadzenie Reginy Krasińskiej, siostry zbiegłego za granicę marynarza, w obozie pracy, mimo iż brak było prawnych i faktycznych podstaw do pociągnięcia jej do odpowiedzialności karnej.

Bielec w Departamencie Specjalnym pracowała od lutego 1952 do jego likwidacji.

Jan Traczewski — wiceprokurator Generalnej Prokuratury — był również gorliwym wykonawcą niepraworządnych poleceń kierownictwa Departamentu Specjalnego. Swą gorliwość posunął tak daleko, że nie cofnął się nawet przed wydaniem postanowienia o tymczasowym aresztowaniu Walerii Jareckiej (matki zbiegłego za granicę lotnika) z datą wsteczną, po to, ażeby usankcjonować uprzednie bezprawne zatrzymanie Jareckiej przez Główny Zarząd Informacji. Wykonał również polecenie sporządzenia wniosku do Komisji Specjalnej o osadzenie tejże Jareckiej w obozie pracy, mimo że brak było prawnych i faktycznych podstaw do pociągnięcia jej do odpowiedzialności karnej.

Występując jako oskarżyciel publiczny przed sądem w sprawach, w których śledztwa prowadzone były przez b. MBP, często nie wykazywał obiektywności, a przeciwnie, niejednokrotnie, gdy oskarżeni odwoływali swoje wyjaśnienia złożone w śledztwie jako wymuszone, dowodził sądowi, iż oskarżeni szkalują organy bezpieczeństwa publicznego, przy czym wnosił o uznanie przez sąd tych faktów za okoliczności obciążające oskarżonych, co znajdowało wyraz w wyrokach sądowych (np. w sprawie Golańskiej i Głowackiego).

Benedykt Jodelis — wiceprokurator Generalnej Prokuratury — był gorliwym wykonawcą poleceń kierownictwa Departamentu na odcinku popierania aktów oskarżenia w sądzie. W dążeniu do uzyskania wyroku skazującego uciekał się do środków godzących w niezawisłość sędziowską. Ze sprawozdania Komisji badającej działalność „sekcji tajnej” wynika, iż Jodelis w swych nie-

dopuszczalnych w treści rozmowach z sędziami wywierał na nich nacisk, domagając się wydania wyroku skazującego, bądź krytykował wyroki już wydane. Jodelis w Departamencie Specjalnym pracował od października 1950 roku do chwili jego likwidacji.

Osobnego omówienia, jeśli chodzi o odpowiedzialność za przejawy łamania praworządności w zakresie nadzoru nad śledztwami prowadzonymi przez b. MBP wymaga osoba Wicprokuratora Generalnej Prokuratury — Macieja Majstera.

Majster nie wchodził nigdy organizacyjnie w skład Departamentu Specjalnego. Będąc osobą obdarzoną szczególnym zaufaniem Podlaskiego i Kalinowskiego, wykonywał z ich polecenia szereg specjalnych zadań.

W okresie od maja 1949 do połowy 1950 roku Majster sprawował funkcje naczelnika wydziału w Departamencie Nadzoru Prokuratorskiego w Ministerstwie Sprawiedliwości. Bezkrytyczne wypełnianie przez Majstra polecenia b. dyrektora Departamentu Nadzoru Prokuratorskiego Podlaskiego oraz związana z tym uległość wobec pracowników b. MBP zaciążyły ujemnie na pracy podległego mu wydziału. Taką postawą Majster wyrobił sobie wśród pracowników b. MBP opinię prokuratora uległego i wysługującego się organom MBP.

W końcu 1951 roku — poza normalnym tokiem swoich obowiązków — delegowany został do zakończenia śledztwa w sprawie „Startu” i objęcia wraz z prokuratorem Cincio oskarżenia przed sądem. Biorąc udział w końcowych przesłuchaniach podejrzanych, Majster miał możliwość zetknięcia się z nimi jeszcze przed rozprawą na terenie więzienia i wyrobienia sobie na tej podstawie pewnej oceny wartości materiałów dowodowych. Mimo to Majster zaaprobował stworzoną przez b. MBP, popartą fałszywymi dowodami koncepcję aktu oskarżenia. Dla utrzymania tej koncepcji przeprowadzona nawet była na terenie więzienia próba procesu¹¹, w której obok przedstawicieli b. MBP brali udział Podlaski, Majster i Cincio.

Sam proces był również wyreżyserowany do najdrobniejszych szczegółów przy współudziale Majstera. Reżyseria procesu miała nie tylko na celu przygotowanie podstaw do skazania podejrzanych w procesie „Startu” przez odpowiednie zestawienie i demonstrowanie dowodów, ale i uzyskanie od jednego z występujących w procesie „Startu” świadków zeznań obciążających inne osoby, przeciwko którym przygotowywano również w tym czasie pro-

11. Tego rodzaju „próby generalne” inscenizowanych procesów odbywały się często przed rozprawami jawnymi.

cesy¹². W wyniku tak przeprowadzonego procesu trzech spośród czterech oskarżonych zostało skazanych na karę śmierci, a w stosunku do jednego wyrok wykonano (Ojczyński).

W roku 1957 po wznowieniu sprawy w stosunku do wszystkich oskarżonych postępowanie zostało umorzone z braku dowodów winy.

Widoczna nawet dla publiczności, panująca na procesie „Startu” atmosfera sztuczności, naprężenia i niedomówień nie wywołała żadnej reakcji w postawie Majstera, a przeciwnie — zemdle nie jednego z oskarżonych potraktował jako symulację.

Jak pozytywnie przez kierownictwo b. MBP został oceniony wkład Majstera w przygotowanie i przeprowadzenie procesu „Startu”, świadczy fakt dostarczenia mu przez b. MBP paczki żywnościowej z winem — w formie prezentu. Przyjęcia tej paczki Majster nie uważał i nie uważa obecnie za fakt uchybiający etyce i godności prokuratora.

Również poza tokiem swoich normalnych czynności, na polecenie ówczesnego kierownictwa Generalnej Prokuratury Majster w roku 1955 brał udział w końcowych czynnościach śledczych, pisał akty oskarżenia i oskarżał w rozprawach przeciwko Alfredowi Jaroszewiczowi i Włodzimierzowi Lechowiczowi. W sprawach tych osób wykazał całkowity brak obiektywizmu, wnosząc i popierając przeciwko nim akty oskarżenia, mimo iż był poinformowany przez Stefana Kalinowskiego, że wobec Jaroszewicza i Lechowicza pracownicy MBP stosowali szczególnie okrutne metody śledztwa. W swych przemówieniach oskarżał z całą pasją i gorliwością, mimo iż jak wynika z jego późniejszych oświadczeń miał wątpliwości co do pewnych tez oskarżenia.

Przechodząc do omówienia odpowiedzialności uprzednio wymienionych już prokuratorów, którzy przeszli do prokuratury powszechnej z Naczelnej Prokuratury Wojskowej, stwierdzić należy, co następuje:

Helena Wolińska — Prokurator Generalnej Prokuratury — pracowała w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej na stanowisku szefa wydziału IV, a potem VII od roku 1950 do października 1953. Wykonując tę funkcję wydawała na wnioski b. MBP postanowienia o tymczasowym aresztowaniu, mimo iż brak było materiałów uzasadniających podejmowanie tego rodzaju decyzji, a nieraz w ogóle jakichkolwiek materiałów.

12. W tym wypadku szło prawdopodobnie o Włodzimierza Lechowicza.

Wolińska nie tylko wydawała bezpodstawnie decyzje o aresztowaniu, ale w wielu wypadkach sankcjonowała nieraz wielotygodniowe pozbawienie wolności przez organa b. MBP bez postanowienia o tymczasowym aresztowaniu, wydając takie postanowienia dopiero po pewnym czasie od chwili zatrzymania. Nie dysponując przy wydawaniu tych decyzji odpowiednimi materiałami, przyjmowała nieraz dowolną kwalifikację prawną, aby uzasadnić właściwość prokuratury wojskowej. Również nie dysponując materiałami, a opierając się tylko na wnioskach b. MBP, przedłużała okres tymczasowego aresztowania, względnie mechanicznie popierała takie wnioski b. MBP kierowane do sądu wojskowego.

Z tytułu swej funkcji Wolińska odpowiedzialna jest za brak faktycznego nadzoru nad śledztwami prowadzonymi przez b. MBP. Nadzór taki nie był sprawowany ani przez nią osobiście, ani też przez podległych jej prokuratorów. W ten sposób dopuszczono do samowoli organów śledczych, które przez nikogo nie kontrolowane były faktycznymi dysponentami spraw i losów osób aresztowanych. Doprowadziło to do wieloletniego przetrzymywania ludzi w areszcie śledczym w sprawach, które ostatecznie kończyły się umorzeniem względnie przekazaniem według właściwości prokuraturze powszechnej. Bezpodstawne i nie uzasadnione wymogami śledztwa było również przetrzymywanie w areszcie śledczym osób, w stosunku do których ostatecznie wnoszono akty oskarżenia.

Tak realizowany nadzór ze strony Wolińskiej i podległych jej prokuratorów doprowadził do tego, że prokuratura była biernym i mechanicznym wykonawcą polityki b. MBP w zakresie ścigania przestępstw.

Panujący w b. MBP zdecydowanie wrogi, a nawet nieludzki stosunek do osób aresztowanych, ich rodzin i obrońców, znalazł swój wyraz również i na terenie Naczelnej Prokuratury Wojskowej. Zarzut ten dotyczył m.in. i Wolińskiej, która z tytułu swego stanowiska przyjmowała interesantów zgłaszających się w sprawach śledztw, prowadzonych przez b. MBP i nadzorowanych przez Naczelną Prokuraturę Wojskową.

Dzięki swojej osobistej pozycji i będąc przy tym przez pewien okres czasu sekretarzem POP — Wolińska odegrała szczególną rolę w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej. Jest rzeczą powszechnie znaną w środowisku Prokuratury Wojskowej, że Wolińska przez swoją apodyktyczną, bezwzględną postawę oraz przez po-

woływanie się na bliżej nieokreślone względy polityczne¹³, przyczyniła się do utrzymania w Prokuraturze atmosfery uległości i podporządkowania wobec niepraworządnych praktyk kierownictwa Naczelnej Prokuratury Wojskowej. Było to niewątpliwie jednym ze źródeł wypaczenia istoty pracy Prokuratury, które doprowadziło do łamania praworządności.

Spośród wielu spraw załatwianych przez Wolińską w opisany wyżej sposób szczególnego omówienia wymagają dwie sprawy, których sposób załatwienia dyskwalifikuje ją jako prokuratora, a mianowicie sprawa Wojciecha Borzobohatego¹⁴ i Zenona Kliszki¹⁵.

W sprawie Borzobohatego w dniu 9 stycznia 1951 roku wydała na wniosek b. MBP postanowienie o tymczasowym aresztowaniu pod zupełnie dowolnie przyjętym zarzutem popełnienia przestępstwa z art. 86 KKWP, wiedząc o tym, że Borzobohaty w dniu 20 grudnia 1950 roku ukończył odbywanie kary 5-letniego więzienia i że żadnego nowego przestępstwa nie popełnił. W ten sposób z całą świadomością usankcjonowała fakt niezwolnienia Borzobohatego przez b. MBP z więzienia po odbyciu przez niego kary. Dla utrzymania tego stanu przedłużyła postanowienie o tymczasowym aresztowaniu Borzobohatego, a następnie popierała wnioski b. MBP o przedłużenie aresztu kierowane do Najwyższego Sądu Wojskowego. W wyniku tego Borzobohaty przez okres przeszło dwóch lat bez żadnych podstaw przebywał w więzieniu do dyspozycji Naczelnej Prokuratury Wojskowej. W tym okresie Wolińska nie zareagowała na skargę żony Borzobohatego wskazującą na ciężki stan jego zdrowia¹⁶. W dniu 29 stycznia 1953 roku Wolińska na wniosek b. MBP, nie poparty żadnymi materiałami, przekazała sprawę Borzobohatego do Generalnej Prokuratury z kwalifikacją prawną z art. 2 dekretu

13. H. Wolińska była żoną Franciszka Józwiaka, w swym czasie członka Biura Politycznego KC PZPR (1948-1956), Rady Państwa (1949-1955) i prezesa Najwyższej Izby Kontroli (1949-1955).

14. W. Borzobohaty — płk, szef sztabu kieleckiego okręgu Armii Krajowej, szef sztabu Delegatury Sił Zbrojnych po rozwiązaniu AK, aresztowany w czerwcu 1945 r. w Warszawie, skazany w grudniu tegoż roku na karę śmierci, zamienioną na 10 lat więzienia z mocy amnestii 1945 r., następnie zmniejszoną do 5 lat.

15. Zenon Kliszko — komunista od 1925 r., działacz PPR, w latach 1944-1948 kierownik Wydziału Personalnego KC PPR, członek KC i Sekretariatu, poseł do KRN i Sejmu Ustawodawczego, w 1948 r. oskarżony o „odchylenie prawnicowo-nacjonalistyczne”, usunięty w 1949 r. z KC PZPR, aresztowany w 1952, po zwolnieniu uwięziony ponownie w 1953 r.

16. W. Borzobohaty został ciężko ranny przez funkcjonariuszy bezpieczeństwa w czasie aresztowania, gdy próbował uciec. Był bez broni.

z dnia 31 sierpnia 1944 roku, przyczyniając się w ten sposób do dalszego bezpodstawnego trzymania Borzobohatego w więzieniu. Borzobohaty po prawie trzyletnim dodatkowym pobycie w więzieniu na skutek umorzenia śledztwa przez Generalną Prokuraturę, w dyspozycji której przebywał przez dziewięć miesięcy, został zwolniony w stanie inwalidztwa.

W sprawie Zenona Kliszki — Wolińska w dniu 28 kwietnia 1953 roku opierając się jedynie na szablonowym pisemnym wniosku MBP, nie zawierającym zarzutu ani też jego kwalifikacji prawnej, wydała postanowienie o tymczasowym aresztowaniu, przyjmując dowolnie kwalifikację z art. 86 § 2 KKWP¹⁷. W tym samym trybie przedłużyła następnie nakaz tymczasowego aresztowania Zenona Kliszki, wydany w miesiąc po zatrzymaniu go, usankcjonowała jednocześnie bezprawne przetrzymywanie go w areszcie miesiąc czasu przez b. MBP.

Z tytułu pracy w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej również Mieczysławowi Dytremu — obecnie Wiceprokuratorowi Prokuratury m.st. Warszawy — zarzucić należy, że jako szef wydziału IV Naczelnej Prokuratury Wojskowej w okresie od połowy 1948 do połowy 1950 roku wydawał postanowienia o tymczasowym aresztowaniu na wnioski b. MBP, nie dysponując materiałami uzasadniającymi podejmowanie tego rodzaju decyzji. W dużej liczbie tego rodzaju spraw decyzje o aresztowaniu były nie tylko wydawane bez wglądu w materiały, ale w ogóle były bezpodstawne, o czym świadczy fakt, iż wielu z tych ludzi po dłuższym okresie pobytu w więzieniu było uwalnianych na skutek umarzania śledztw. W ten sposób Dytry był zupełnie bezkrytycznym realizatorem polityki b. MBP w zakresie aresztów i śledztw. Szeroko stosowana przez Dytrę praktyka wydawania postanowień o aresztowaniu z naruszeniem 48-godzinnego okresu zatrzymania przyczyniła się do sankcjonowania bezprawia, jakiego dopuszczały się organa b. MBP, pozbawiając obywateli wolności bez postanowień o tymczasowym aresztowaniu.

Szczególnie jaskrawym przykładem niepraworządnego postępowania organów b. MBP usankcjonowanego przez Dytrę, było wydanie postanowień o aresztowaniu szeregu księży grecko-katolickich w dwa lata po ich osadzeniu w obozie w Jaworznie. W miesiąc po wydaniu tych postanowień Dytry na wniosek b.

17. Art. 86 § 2 KKWP stanowił: „Kto usiłuje przemocą zmienić ustrój Państwa Polskiego, podlega karze więzienia na czas nie krótszy od lat 5 albo karze śmierci”.

MBP umorzył w tych sprawach śledztwo i zarządził wypuszczenie na wolność podejrzanych.

W sprawie prof. Mariana Grzybowskiego¹⁸, zatrzymanego w dniu 19 listopada 1949 roku przez b. MBP, Dytry na wniosek b. MBP z dnia 28 grudnia 1949 roku wydał postanowienie o tymczasowym aresztowaniu z datą 27 listopada 1949 roku. Wobec tego, iż prof. Grzybowski w dniu 11 grudnia 1949 roku popełnił w więzieniu samobójstwo, Dytry wydając postanowienie z wsteczną datą przyczynił się do ukrycia faktu, iż w więzieniu popełnił samobójstwo człowiek przebywający tam prawie miesiąc bez postanowienia o tymczasowym aresztowaniu.

Zenon Rychlik — Wiceprokurator Generalnej Prokuratury — pracując w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej w wydziale IV, a potem VII (nadzoru nad śledztwami prowadzonymi przez b. MBP w sprawach osób cywilnych) — ponosi odpowiedzialność za to, że wydawał na wnioski b. MBP postanowienia o tymczasowym aresztowaniu bez wglądu w materiały uzasadniające wydawanie takich decyzji, a jak sam wyjaśnił obecnie, często w oparciu tylko o pewne ogólne założenie śledcze powstałe w b. MBP i aprobowane przez kierownictwo Naczelnej Prokuratury Wojskowej. Opierając się na takich właśnie założeniach Rychlik wydał decyzję o aresztowaniu wielu członków AK z batalionów „Zośki” i „Parasola”.

Również na generalnych założeniach, wypracowanych przez b. MBP, a nie na konkretnych materiałach, opierała się decyzja Rychlika o aresztowaniu w tzw. „sprawie Osłuchowskiej” 21 osób podejrzanych o rzekomy sabotaż, w tym dwoje dzieci w wieku 13 i 14 lat oraz 70-letniego starca. Po prawie rocznym pobycie w więzieniu śledztwo w stosunku do wszystkich 21 osób zostało umorzone z braku jakichkolwiek dowodów winy.

O obojętnym i bezdusznym stosunku Rychlika do losów osób aresztowanych świadczy fakt, iż stwierdzona przez Komisję stosunkowo wysoka liczba (7) wypadków śmierci więźniów śledczych przez niego aresztowanych i których sprawy na skutek tego umarza — nie zwróciła jego uwagi i jak sam obecnie wyjaśnił, nie stanowiła wówczas dla niego żadnego problemu.



18. Prof. Marian Piotr Grzybowski, uczony światowej sławy, lekarz dermatolog i wenerolog, dyr. Instytutu Wenerologicznego, rozpoczął organizację walki z chorobami wenerycznymi w Polsce w 1949 r.

Rozważając w oparciu o powyższe ustalenia kwestię zakresu odpowiedzialności poszczególnych osób, Komisja doszła do wniosku, iż wyciągnięte w stosunku do nich konsekwencje nie mogą mieć charakteru ścigania karnego z uwagi na okoliczności wynikające z ówczesznie istniejących warunków i ze specyficznego ustalenia prokuratury.

Uwzględniając nawet te okoliczności Komisja — zgodnie z opinią społeczną — stoi na stanowisku, że prokuratorzy, którzy przyczynili się do łamania praworządności, winni spotkać się z potępieniem i odpowiednimi konsekwencjami.

W stosunku do osób zajmujących nadal stanowiska prokuratorskie Komisja wnioskuje następujące konsekwencje służbowe:

1. *Helenę Wolińską* — Prokuratora Generalnej Prokuratury — zwolnić z pracy w Prokuraturze PRL z uwagi na to, że charakter i rozmiar zarzutów z okresu pełnienia przez nią w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej kierowniczego stanowiska dyskwalifikuje ją jako prokuratora.
2. *Macieja Majstera* — Wiceprokuratora Generalnej Prokuratury — zwolnić z pracy w Prokuraturze PRL z uwagi na to, że zarzuty omówione wyżej, a zwłaszcza jego rola, jaką odegrał w szeregu procesów, których przygotowanie i przeprowadzenie wyrządziło poważną szkodę interesom Państwa — uniemożliwiają jego dalszą pracę w Prokuraturze.
3. *Paulinę Kern* — Wiceprokuratora Generalnej Prokuratury — zwolnić z pracy w Prokuraturze PRL, gdyż stawiane jej zarzuty wskazują na to, iż nie daje ona gwarancji należytego spełniania funkcji prokuratora.
4. *Kazimierza Kosztirko* — Zastępcę Prokuratora Generalnego PRL — odwołać z zajmowanego stanowiska z uwagi na zarzuty postawione mu w związku z pełnieniem funkcji dyrektora Departamentu Specjalnego. Z tego względu Komisja wyraża pogląd, że Kazimierz Kosztirko nie powinien pracować w Generalnej Prokuraturze, co nie wyklucza zatrudnienia go w jednej z prokuratur terenowych.
5. *Zofię Bielec*,
6. *Jana Traczewskiego*,
7. *Benedykta Jodelisa* — Wiceprokuratorów Generalnej Prokuratury — przenieść na stanowiska Wiceprokuratorów wojewódzkich na terenie Warszawy. Aczkolwiek postawione im zarzuty nie dyskwalifikują ich jako prokuratorów, to jednak uniemożliwiają im pracę w kierowniczym

organie, jakim jest Generalna Prokuratura, tym bardziej, że niewłaściwą postawę wykazali pracując właśnie w Generalnej Prokuraturze.

8. *Zenona Rychlika* — Wiceprokuratora Generalnej Prokuratury — przenieść na stanowisko wiceprokuratora wojewódzkiego w Warszawie, gdyż z uwagi na swą postawę wykazaną w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej nie powinien być zatrudniony w organie kierowniczym Prokuratury.
9. *Mieczysława Dytrego* — Wiceprokuratora Wojewódzkiego Prokuratury m.st. Warszawy — przenieść na stanowisko podprokuratora wojewódzkiego tejże prokuratury. Przeniesienie to Komisja traktuje jako wyraz negatywnej oceny działalności i postawy Dytrego w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej. Stawiając tak łagodny wniosek Komisja wzięła pod uwagę fakt zwolnienia go z Naczelnej Prokuratury Wojskowej już we wrześniu 1954 roku oraz odwołania go w styczniu 1957 roku ze stanowiska naczelnika Wydziału Śledczego w Prokuraturze m.st. Warszawy.

Komisja jest zdania, że proponowane konsekwencje służbowe będą wyrazem końcowej i ostatecznej oceny działalności wyżej wymienionych osób w przyszłości i z tego względu nie powinny pociągać za sobą dalszych ujemnych skutków.

Odnosnie osób, które po wyciągnięciu wobec nich konsekwencji służbowych pozostają nadal w pracy organów prokuratury Komisja nadto wyraża pogląd, iż nie ma żadnych przeszkód, aby osoby te — po wykazaniu się dobrymi wynikami w pracy — miały otwartą drogę do awansu na równi z innymi pracownikami.

Jeżeli chodzi o osoby nie pracujące już w Prokuraturze PRL tj. Stefana Kalinowskiego, Henryka Podlaskiego i Władysława Dymanta Komisja uznaje za całkowicie słuszne i uzasadnione decyzje o zwolnieniu ich z zajmowanych stanowisk w Prokuraturze PRL.

W oparciu bowiem o zebrane materiały Komisja stwierdza, iż osoby te zasługują na szczególne napiętnowanie za dopuszczenie do łamania praworządności i bezpośredni w tym udział.

Z wyżej podanych względów Komisja jest zdania, że Stefan Kalinowski nie powinien zajmować obecnie kierowniczego, eksponowanego stanowiska, a w szczególności nie powinien reprezentować Państwa Polskiego za granicą.

Odnosnie b. wiceprokuratora Generalnej Prokuratury Benjamina Wajsblecha — Komisja w toku swej działalności jeszcze

przed opracowaniem niniejszego sprawozdania przedstawiła kierownictwu Generalnej Prokuratury wnioszek o zwolnienie go z prokuratury z uwagi na zarzuty dyskwalifikujące go jako prokuratora. W wyniku tego wniosku Wajsblech został z pracy w Prokuraturze PRL zwolniony.



Składając niniejsze sprawozdanie do rąk Prokuratora Generalnego PRL tow. Mariana Mazura, Komisja wnosi o możliwie rychłe zrealizowanie zawartych wniosków z uwagi na konieczność jak najszybszego przedstawienia wyników swej działalności pracownikom Generalnej Prokuratury.

Jeden egzemplarz niniejszego sprawozdania Komisja przekazuje Egzekutywie POP PZPR przy Generalnej Prokuraturze do wiadomości i wykorzystania.

Warszawa, dnia 11 kwietnia 1957 roku

(Jan Wasilewski)
Zastępca Prok. Gen. PRL

(Antoni Hapon)
Prokurator Gen. Prok.

(Michał Kulczycki)
Wiceprokurator Gen. Prok.

(Wojciech Gawlikowski) (Józef Kucharski)
Wiceprokurator Gen. Prok. Wiceprok. Woj. deleg. do Gen. Prok.

Dokument Nr 3

Lechowicz Włodzimierz
ul. Wyspiańskiego 2 m. 30

Warszawa, dnia 15. V. 1956 r.

ZESPÓŁ ADWOKACKI Nr 9
(do rąk własnych adwokata Władysława Winawera)

Warszawa
ul. Wilcza 9 a

Obywatelu Mecenasiu!

Powołując się na osobiste rozmowy z Wami i z mec. Steinsberg Anielą, przeprowadzone w dniach 8 i 12 bm., oraz na wyrażone

przez Was jako moich obrońców żądanie, składam na Wasze ręce i [do] Waszego rozporządzenia mój „poemat dla dorosłych” i dojrzałych politycznie obywateli PRL z opisaniem środków fizycznej i moralnej presji, jakim podlegałem w ciągu z górą 7 i pół lat uwięzienia.

I. Okoliczności i tryb aresztowania

1. Z inicjatywy przewodniczącego Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów Hilarego Minca — z dniem 1. X. 1948 r. zostało postawione w stan likwidacji przed upływem roku budżetowego Ministerstwo Aprowizacji, którym kierowałem od 7. II. 1947 r. Jednocześnie z uchwaleniem projektu dekretu w tej materii Rada Ministrów powzięła uchwałę powierzającą mi, jako dotychczasowemu ministrowi, funkcję likwidatora ministerstwa, zaś przewodniczący Komitetu Ekonomicznego R.M. zlecił mi natychmiastowe podjęcie wstępnych prac nad zorganizowaniem nowego ministerstwa, mianowicie ministerstwa handlu wewnętrznego.

Po zapadnięciu tych decyzji referowałem sprawę postawienia Ministerstwa Aprowizacji w stan likwidacji i całość problemów zaopatrzenia ludności na posiedzeniu sejmowej komisji aprowizacji, handlu i zaopatrzenia, która po dyskusji powzięła m.in. uchwałę, że Ministerstwo Aprowizacji dobrze spełniło swoje zadanie. Wnioskodawcą tej uchwały był poseł Edward Ochab.

W tym czasie niezależnie od prac w rządzie PRL piastowałem następujące mandaty w życiu publicznym:

1. mandat posła na Sejm z Okręgu Kościerzyna
2. mandat wiceprzewodniczącego Komitetu Centralnego Str. Demokratycznego
3. mandat przewodniczącego Rady Gospodarczej SD
4. mandat przewodniczącego Spółdzielni Wydawniczej „Prasa Demokratyczna”.

2. W dniu 13. X. 1948 r. ok. godz. 16-tej zjawili się w moim mieszkaniu w rządowym domu przy ul. Aleja Róż 8 m. 11 dwaj cywilni osobnicy, z których młodszy tytułował starszego pułkownikiem i zażądali w stanowczej formie, abym razem z nimi udał się do Min. Bezp. Publ., gdzie jestem pilnie potrzebny. Leżałem w łóżku chory na grypę. Poprosiłem ich o okazanie legitymacji, co starszy uczynił, zaśłaniając jednak palcem swoje nazwisko. Blankiet legitymacji i podpis ministra nie mogły budzić wątpliwości. Razem z przybyszami udałem się więc ich samochodem

do gmachu Min. Bezp. Publ. przy ul. Koszykowej. Tu wprowadzono mnie do pustego pokoju na parterze od podwórza z matowymi szybami w oknach. Za mną wszedł do pokoju młodszy z konwojentów, który — jak się domyśliłem — miał mnie pilnować i który po dłuższym czasie obustronnego milczenia wypowiedział tylko jedno zdanie: „Ale B.B.C. będzie wrzeszczało, jak się dowiedzą, że w Polsce aresztowano ministra”. Po upływie 1 i pół do dwóch godzin otwały się drzwi do pokoju i jakiś tęgi i pełny na twarzy osobnik, wzrostu niżej średniego, pochodzenia żydowskiego (którego spotykałem również później, najpierw w mundurze majora, potem ppłk. i o którym dziś sędzę, że był to Fejgin¹⁾) — rzucił na podłogę koszulę i kalesony ze stemplem więziennym, a pod adresem pilnującego mnie funkcjonariusza oraz dwóch mężczyzn, którzy ukazali się za nim w drzwiach, rzucił rozkaz co do mnie: „rozebrać go i zrewidować”. Rozebrano mnie do naga i w tym stanie zrewidowano: ubranie, bieliznę, portfel; dokumenty i wszystkie osobiste drobiazgi łącznie z chusteczką do nosa natychmiast zabrano z pokoju, pozostawiając mnie już samego tylko w białiznie więziennej. Po jakimś czasie wrzucono do pokoju przez uchylone drzwi jakieś zniszczone cywilne ubranie z gatunku niemieckich *Kriegersatz*’ów i z guzikami o niemieckich napisach.

O zmroku wkroczyło do pokoju kilku osobników, którzy wykręcili mi ręce do tyłu, założyli z tyłu kajdanki na ręce, a następnie wyprowadzili mnie na podwórze i usadowili w krytym samochodzie — karetce typu „kanadyjka”. W samochodzie zawiązano mi oczy dużą, czarną chustą, dwaj konwojenci usiedli po obydwu stronach obok mnie, po czym samochód ruszył — według mojego wyczucia z ulicy Koszykowej w Aleje Ujazdowskie i Nowy Świat, następnie na most Poniatowskiego i w Aleję Waszyngtona dalej ku roгатce grochowskiej i w kierunku na Rembertów. Później straciłem orientację, zwłaszcza, że samochód zjechał następnie z szosy na boczne drogi widocznie dość potem wąskie, gdyż słyszałem jak gałęzie przydrożnych drzew raz po raz ocierały się z obu stron o karoserię samochodu. Podróż trwała w sumie ok. 45 minut.

Gdy samochód zatrzymał się, wyprowadzono mnie z niego z zawiązanymi oczyma i trzymając pod ręce sprowadzono po jakichś stopniach w dół. Chustę z oczu i kajdanki z rąk zdjęto mi w celi położonej w głębokiej suterenie o podłużnym niedużym

1. Wydaje się, że mógł to być raczej ppłk Józef Światło, zastępca dyrektora Departamentu X, którego zadaniem było rozpracowywanie „wrogiej działalności” członków PZPR.

oknie pod sufitem. Okno było zakratowane, prócz tego cała wnęka okienna była zakryta od wewnątrz gęstą stalową siatką — kratownicą i okno można było uchylić tylko od zewnątrz, czego nie robiono albo zupełnie, albo raz na dobę na ok. 15 minut, przeważnie między godz. 4-5 nad ranem. Szyby w oknach były zamalowane zieloną farbą. Podłoga w celi, nierówna i powybijana, była zrobiona z ułożonych kaniem cegieł, które stale były wilgotne. Duże zacieki i plamy wilgoci były widoczne również na ścianach. W celi panował stale zapach stęchlizny i gnilny odór. Jedyne wyposażenie celi stanowiła prycza na nogach trwale osadzonych w cemencie i zwyczajne otwarte wiadro na odchody i nieczystości. Wody do picia nie było w celi przez cały czas mojego w niej pobytu, tj. przez okres 2 lat i 1 miesiąca. Nie wydano mi również do celi absolutnie żadnych osobistych drobiazgów, jak np. grzebień do włosów, których mi nie ostrzyżono, chusteczka do nosa i tym podobne. Naczynia do jedzenia, tj. miskę, kubek i drewnianą łyżkę należało wystawiać z celi bez mycia natychmiast po każdym posiłku. Mycie odbywało się z rana w ustępie przy okazji wylewania nieczystości z wiadra, bardzo często bez mydła, tam również dostawało się ręcznik do wytarcia. Odmówiono mi papierosów. Mniej więcej po 6-ciu miesiącach zaczęto mi dawać po pięć papierosów i tyleż zapalek dziennie, by po kilku miesiącach znowu wstrzymać mi palenie, tym razem już na kilka lat, tzn. do początku 1952 roku. Straż stanowili wyłącznie osobnicy ubrani po cywilnemu.

Jak zorientowałem się później, w podziemiach gdzie przebywałem było ogółem 12 cel i 2 karcery. Mój pobyt tam trwał od 13. X. 1948 do 11. XI. 1950 roku. Przebywałem głównie w celi nr 4 i w karcerach, zwłaszcza w karcerze nr 13.

Przez cały ten czas nie wiedziałem, gdzie przebywam², nie wiedziałem na jakiej podstawie zostałem uwięziony, gdyż ani wówczas, ani później aż po ostatni dzień pobytu w więzieniu nie okazano mi nakazu aresztowania, nie miałem możliwości skomunikowania się z kimkolwiek z zewnątrz, w ciągu dwóch lat i trzech miesięcy nie byłem ani razu wyprowadzony na spacer, w ciągu dwóch lat i czterech miesięcy nie widziałem na oczy ani strzępka

2. Było to więzienie specjalne Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, urządzone w willi w Miedzeszynie. Więziony był tam również od początku sierpnia 1951 do grudnia 1954 roku Władysław Gomułka (na I piętrze), ściśle izolowany, podczas gdy jego żona, Zofia, była więziona w piwnicy. Oboje o sobie nic nie wiedzieli. Zofia Gomułkowa uwolniona została latem 1954 r. (aresztowani byli razem). Żadnego aktu oskarżenia im nie przedstawiono. Zofia Gomułkowa nie była nawet przesłuchiwana.

zadrukowanego papieru, w ciągu dwóch lat i trzech miesięcy spędzałem wszystkie dni i częściowo noce na stojąco wobec zakazu siadania, przez jeden i pół roku nie byłem w kąpieli.

II. *Regulamin więzienny, warunki pobytu i służby więziennej w okresie od 13. X. 1948 do 11. XI. 1950 roku*

1. Bezpośrednio po osadzeniu mnie w celi nr 4 nieznanego więźnia pod Warszawą zjawił się u mnie cywilny osobnik słabo mówiący po polsku (Rosjanin albo repatriant z dawnych emigrantów lub wysiedleńców na Wschód) i odczytał mi regulamin, który byłem obowiązany przestrzegać pod grozą kar cielesnych. Regulamin obok zwyczajnych przepisów porządkowych (co do porządku dnia) zawierał następujące postanowienia:

a) zakazywał korzystania z pryczy w ciągu dnia, tj. od pobudki do apelu (godz. 5 do godz. 21), zakaz siadania w ciągu dnia nawet na podłodze i zakaz opierania się o ściany lub o pryczę. Również posiłki należało spożywać na stojąco,

b) nakazywał — z chwilą posłyszenia tylko, że ktokolwiek od zewnątrz wprowadza klucz do zamka od celi — przyjęcie „postawy zasadniczej więźnia”, tak w dzień jak w nocy. Postawa zasadnicza oznaczała stawanie na „baczność” twarzą do ściany pod oknem tyłem do drzwi i do wchodzącego oraz z rękami podniesionymi do góry,

c) również przy każdym wyprowadzaniu z celi należało podnosić ręce do góry,

d) w myśl regulaminu — przy poruszaniu się po celi moje ręce miały być stale widoczne przez wizjer (przez judasza) w drzwiach, tzn. poruszając się od drzwi do okna byłem obowiązany trzymać ręce na plecach, zaś odwracając się od okna ku drzwiom trzymać je na brzuchu,

e) również w ciągu nocy (światło paliło się w celi bez przerwy) ręce musiały być stale widoczne, tzn. ułożone na kocu na piersiach. Każde nawet częściowe zakrycie rąk kocem we śnie było podstawą do zbudzenia i ukarania za wykroczenie regulaminowe,

f) regulamin zabraniał odzywać się do kogokolwiek bez zapytania, a tym bardziej śpiewać, gwizdać lub tp. Strażnicy zwracali się do mnie przez chrząknięcie lub pstryknięcie palcami,

g) przy wejściu do pokojów biurowych na przesłuchanie obowiązowało w myśl regulaminu meldowanie się, jednak nie naz-

wiskiem, a numerem celi, np. „więzień celi nr 4 melduje przybycie”, „odejście” lub tp.

2. W oparciu o ten regulamin podlegałem przez cały czas niestannym szykanom ze strony strażników.

a) W ciągu dnia, gdy przy otwieraniu drzwi do celi stawałem w postawie zasadniczej twarzą do ściany, byłem nieoczekiwanie bity z tyłu pięścią w głowę lub w plecy przez wchodzącego albo kopany przez niego w siedzenie lub w kostki u nóg — pod pozorem, że jestem nie dość wyprężony, albo że moje ręce nie są dostatecznie pionowo wyciągnięte nad głową.

b) Prawie codziennie, a początkowo parokrotnie w ciągu dnia fikcyjnie zarzucano mi, że nie dość szybko przerzucam ręce z pleców na brzuch przy chodzeniu po celi, albo że przy jedzeniu opieram nogę o pryczę. Kary regulaminowe, które cierpiełem za te urojone wykroczenia, były szczególnie obfite w latach 1948, 1949 i w początkach 1950 roku. Obejmowały one: klęczenie na podłodze z cegieł z podniesionymi do góry rękami przez dwie do pięciu godzin (nawet lekkie opuszczenie rąk zmęczonych w tej pozycji było podstawą do nowego ukarania), trwanie przez 1-2 godzin w wyciągniętej bocznej pozycji (w półobrocie) z jedną ręką i jedną nogą opartą o podłogę, osadzenie w betonowym karczerze bez okna o rozmiarach 1,5 na 2 m nago z obowiązkiem klęczenia na betonowej posadzce z rękami podniesionymi do góry np. przez całą noc (w takim rozmiarze byłem ukarany szereg razy w 1949 roku) i z polewaniem wśród nocy zimną wodą z kubła, przepędzanie nago korytarzami z jednoczesnym chłostaniem stalowymi prętami (tak byłem ukarany przez strażników dwukrotnie w 1949 roku), bicie pałką gumową po całym ciele, bicie pałką splecioną ze stalowych drutów i powleczoną z wierzchu skórą po gołych piętach, bicie pięścią i otwartą ręką po twarzy i głowie, wiązanie w celi w kaftan bezpieczeństwa i zakuwanie w kajdanki z jednoczesnym przykuciem do pryczy.

c) W ciągu prawie każdej nocy początkowo i prawie co drugą noc od 1950 roku byłem co najmniej raz, a w pierwszym roku (do końca 1949 roku) co najmniej dwa razy wzywany na nocne przesłuchania. Niezależnie od tego strażnicy przez całą noc dzwonili kluczami pod drzwiami celi i od czasu do czasu wsuwali klucz do zamku, aby zmuszać mnie do wyskakiwania z łóżka i stawiania w postawie zasadniczej pod oknem. Gdy zaś to zrobiłem, wyjmowali klucz z powrotem; odbywało się to kilka razy w ciągu nocy (zwłaszcza w początkowym okresie), dzięki czemu okresy absolutnej bezsenności u mnie przekraczały nierzadko cały tydzień i wię-

cej. Gdy zaś w ciągu dnia chodziłem po celi, nieprzytomny w tym okresie bezsenności (nie miałem prawa siadać) i uderzałem głową o ścianę, byłem z kolei karany za dotykanie ścian i próbę opierania się o nie.

d) Wielokrotnie przy wieczornym apelu strażnicy wydawali mi rozkaz, aby się nie rozbierać, gdyż zaraz pójde na przesłuchanie. Dopóki zaś byłem w ubraniu, nie miałem prawa mimo nocnej pory ani usiąść, ani położyć się na pryczy. Dopiero gdy większa część nocy przeminęła, pozwalano mi się rozebrać pod pozorem, że przesłuchanie dzisiejszej nocy zostało odwołane.

e) Innym sposobem podtrzymywania i wzmagania bezsenności u mnie było przeprowadzanie kontroli w celi pod wieczór i wysypywanie przy tej okazji na podłogę całej zawartości siennika, którą stanowiła słoma przetarta już na drobną sieczkę. Rozebrać się i położyć mogłem wówczas tylko po całkowitym uporządkowaniu celi (bez żadnych absolutnie przyborów jak szmata czy szczotka) i po zgłoszeniu tego strażnikowi. Gdy znajdował on wtedy najdrobniejszy ułamek słomy w celi poza siennikiem, np. w niezakrytym kiblu na odchody lub na moim ubraniu, w moich włosach lub pod moją podeszwą, wówczas ponownie wysypywał całą zawartość siennika na podłogę i pracę należało zaczynać od nowa, zaś dwukrotne jej powtórzenie pochłaniało całą noc.

f) Między innymi karami stosowana była przez strażników również kara twardego łóża, polegająca na zabranii w celi siennika i tzw. zagłówka, a w konsekwencji na spaniu na gołych deskach.

g) Mimo braku wody do picia w celi strażnicy zabraniali mi przełknięcia choćby jednego łyka wody przy myciu i bili za to na miejscu ręką lub gumą.

Latem 1949 roku zwróciłem się pewnej nocy w czasie przesłuchania do oficera śledczego mjr. Kwaska, aby zezwolił na danie mi przez strażników paru łyków wody do picia, ponieważ nie mogłem już wydobyć głosu z zaschniętego gardła. W owym czasie wskutek nieprawdopodobnych ćwiczeń i wysiłków fizycznych w ciągu dni i nocy wydzielałem wiele potu i od szeregu miesięcy cierpiałem wielkie pragnienie. Cała jama ustna była bez przerwy pokryta jakby kożuchem pleśni. Mjr Kwasek wezwał strażnika i powiedział do niego wskazując na mnie: „przynieś mu tu zaraz parę łyków wody w kubku”. Gdy po chwili wypilem niedużą zawartość kubka przyniesionego przez strażnika, okazało się, że w kubku była jakaś żrąca sól w gęstym roztworze, która spotęgowała moje pragnienie na szereg dalszych tygodni.

3. Niezależnie od kar i szykan stosowanych pod pozorem

strzeżenia regulaminu strażnicy w wielu wypadkach stosowali względem mnie otwarty gwałt niczym już nie pozorowany. Tak np. w końcu 1949 roku jeden ze strażników (w asyście dwóch innych stojących przy drzwiach celi) polecił mi postawić kibel na środku celi i onanizować się nad nim, gdy zaś odmówiłem, bił mnie po twarzy do krwi w ciągu długiego czasu. Pomijając moralną stronę tego żądania, było ono niewykonalne nawet ze względów fizjologicznych i miało zapewne służyć tylko jako hańbiący i upokarzający pretekst do pastwienia się nad bezbronnym człowiekiem.

4. W ciągu szeregu miesięcy 1949 i 1950 roku stosowana była przez strażników metoda „naszeptu” do mojej celi, polegająca na jednostajnym powtarzaniu w ciągu dni i nocy wyrazistym szepcieniem (jak gdyby mówiły ściany) zespołu słów, mających wywołać u mnie bądź depresję psychiczną bądź męczące reakcje fizjologiczne. Tak np. w końcu 1948 i w początkach 1949 r. przez szereg tygodni słyszałem w celi w ciągu dni i nocy bez końca powtarzane słowa: „w dupę jebany minister aprowizacji”, zaś w końcu 1949 r. słyszałem w celi w ciągu kilku dni i nocy prowadzoną bez przerwy jakoby rozmowę dwóch obserwujących mnie strażników stojących pod drzwiami celi z tym, że rozmowa dotyczyła wyłącznie śliny w moich ustach. W tej rozmowie powtarzały się bez końca tylko zwroty: „jak on często łyka ślinę”, „o, znów przełknął ślinę”, „w prawym kąciku warg pokazała mu się ślina” itd., itd. Już pod koniec pierwszego dnia takiej nieprzerwanej audycji w istocie nie mogłem już opanować potoku śliny, która w ciągu dalszych dni i nocy zalewała mnie tak, że nie nadążałem jej łykać. Po kilku miesiącach analogiczna kilkudobowa audycja dotyczyła mojego „pocenia się”. Mimo zimy i zimna w celi zacząłem po kilkunastu godzinach nieprzerwanej audycji na ten temat pocić się obficie na całym bez reszty ciele, co oczywiście wzmagало u mnie pragnienie. Wykorzystanie — w warunkach pełnej izolacji człowieka — bodźców słownych dla wywołania męczących skutków fizjologicznych było praktycznym zastosowaniem pawłowizmu do potrzeb śledztwa.

5. W ciągu wielu miesięcy 1949 i 1950 roku słyszałem nieustannie pod drzwiami swojej celi głośne pierdzenie jakby wielu przechodzących mimo drzwi osób i jedynie najbardziej plugawe słowa.

6. Nocą szepty pod drzwiami były obliczone na zastraszenie. Np. słyszałem dialog: „Dziś 4-ka będzie badany elektryką. Cie-

kawe czy on to przeżyje?” I odpowiedź: „Nie tacy jak on przy tym się zesrali i pokończyli”. Ta metoda była stosowana pospolicie.

7. Z pomieszczenia nad celą, w której przebywałem, dochodziły przez sufit prawie każdego dnia i prawie każdej nocy krzyki i jęki katowanych ludzi oraz odgłosy uderzeń, niekiedy dochodziły także strzępy plugawych słów wypowiedzianych przez badającego podczas przesłuchań. W paru wypadkach posłyszałem wypowiedziane tam swoje własne nazwisko.

8. Rozmowy prowadzone przez strażników na korytarzu pod drzwiami mojej celi kazały mi wierzyć, że zarówno mój ojciec jak obydwaj bracia są uwięzieni razem ze mną w sąsiednich celach. W bezpośredniej bliskości mojej celi na korytarzu stał stolik dyżurnego strażnika z telefonem. Wielokrotnie, gdy wśród nocy dzwonił telefon, słyszałem potem słowa dyżurnego: „Ale którego Lechowicza dawać na górę? starego?” lub tp. Naprzeciw mojej celi były położone karcery, w których bito więźniów. Często dochodziły stamtąd ryki i jęki. Pewnego razu rozległ się stamtąd wyjątkowo donośny i rozpaczliwy ryk męczzonego człowieka, zaś bezpośrednio potem usłyszałem, jak dyżurny zapytuje innego strażnika: „Który to więzień tak głośno bryka” i odpowiedź, że to stary Lechowicz.

9. W czerwcu 1949 roku zostałem przeniesiony na stały pobyt z celi nr 4 do jednego z karcerów, gdzie ustawiono prycze. Rozmiar karceru jeden i pół na dwa metry. Małe okienko w tym karcerze zostało zasłonięte żelazną blachą od zewnątrz. Wobec ciemności paliło się tu światło przez całą dobę. Po umocowaniu pryczy w podłodze możliwość poruszania się w ciągu dnia została ograniczona do powierzchni 40 cm × 1,5 m. Mój stały pobyt w tym całkowicie ciemnym i wilgotnym pomieszczeniu trwał 6 miesięcy, tj. do listopada 1949 roku. Mimo to w ciągu tychże samych 6-ciu miesięcy byłem wielokrotnie, po kilka razy na tydzień, przepędzany nago do sąsiedniego karceru i tu bity, polewany wodą itp. Na miejscu w swoim stałym pomieszczeniu byłem w tym czasie bity przez strażników w pięty po kilka razy na tydzień pod byle pretekstem albo i bez pretekstu w całkowicie już uproszczony sposób: zdejmowano mi względnie kazano zdejmować buty i w pozycji stojącej podnieść nogę do góry zginając w kolanie. W tak podaną stopę uderzano następnie za moimi plecami stalowo-gumową pałką po kilka lub kilkanaście

razy, potem ten sam proceder powtarzał się z drugą nogą. Po zakończeniu bicia kazano mi podskakiwać boso kolejno na jednej i na drugiej nodze, aby uniknąć zaskrzepów krwi w stopach, ponieważ to mogłoby na jakiś czas wykluczyć powtarzanie bicia bez trwałego uszkodzenia, a w każdym razie zmniejszyć pożądaną bolesność.

10. W lipcu 1949 roku, a więc wkrótce po przeniesieniu na stały 6-miesięczny pobyt do karceru, ograniczono mi posiłki, redukując je do dwóch dziennie, a mianowicie: rano otrzymywałem kubek czarnej kawy (gorzkiej lub nieodczuwalnie osłodzonej) i pół kromki czarnego chleba, w południe chochlę wodnistej zupy, wieczorem kubek ciepłej wody, zabarwionej niekiedy jakąś ziołową esencją. Ten sposób żywienia trwał 6 miesięcy, tj. do połowy grudnia 1949 roku.

11. Doprowadzanie na przesłuchanie z celi przez korytarze i schody do pokoju oficera śledczego na parterze odbywało się w ten sposób, że przodem szedł zawsze jeden strażnik, za nim szedłem ja z podniesionymi rękami, a za mną „gęsiego” jeszcze jeden strażnik. Obydwaj strażnicy byli zaopatrzeni w pałki stalowo-gumowe. Idący przodem rozmyślnie szedł wolnym krokiem, zaś idący z tyłu przez całą drogę okładał mnie pałką z całej siły po głowie, plecach, ramionach, siedzeniu i nogach. W taki sam sposób odbywał się za każdym razem powrót z przesłuchania do celi. Nasilenie bicia w drodze powrotnej zależało od wyników przesłuchania. Niekiedy kazano mi odbywać drogę powrotną galopem, wówczas obok bicia pałką było kopanie w siedzenie i genitalia oraz podstawianie nogi przez stojących po drodze strażników i spuszczenie po schodach na plecach i siedzeniu.

Ten tryb doprowadzania na przesłuchanie był regułą w 1948 i w 1949 roku, sporadycznie był stosowany również w 1950 roku.

12. Od końca 1948 roku tj. od czasu gdy stwierdzono, że w przypadku wymuszenia ode mnie podczas przesłuchania zeznań nieścisłych lub niezgodnych z prawdą, ja sam zgłaszałem się następnego dnia do oficera śledczego celem sprostowania lub odwołania tych zeznań, strażnicy przy każdym zgłoszeniu przeze mnie prośby o zameldowanie do oficera śledczego bili mnie po twarzy tylekroć, ilekroć w ciągu dnia ponawiałem prośbę. Gdy wreszcie dostałem się do oficera śledczego, z kolei ten bił mnie za odwołanie lub sprostowanie zeznań. Celowali w tym zwłaszcza płk Fejgin, płk Dusza i mjr Kwasek.

III. Przedmiot, zakres i atmosfera dochodzeń

1. Po dwóch-trzech dniach osadzenia mnie w nieznanym podwarszawskim więzieniu zostałem doprowadzony na pierwsze przesłuchanie (jeszcze bez bicia po drodze), które prowadził płk Dusza (podówczas będący jeszcze w stopniu majora lub kapitana). Polegało ono na spisaniu przez Duszę mojego bardzo szczegółowego życiorysu, uwzględniającego przede wszystkim najdrobniejsze nawet okoliczności z mojej pracy zawodowej oraz z działalności społecznej i politycznej w rozmaitych okresach całego życia, poczynając od lat szkolnych. Życiorys zapełnił kilkadziesiąt stron protokołu i był moim jedynym niewymuszonym zeznaniem, tj. zeznaniem złożonym bez bicia.

2. W parę dni po spisaniu życiorysu zostałem ponownie doprowadzony do pokoju oficera śledczego Duszy, gdzie znajdował się również Różański³. Ten oświadczył mi, że wobec kłamliwości prawie wszystkich okoliczności podanych przeze mnie do życiorysu pomimo uwięzienia i wobec stwierdzonego w ten sposób „napięcia złej woli” u mnie, będą wobec mnie zastosowane środki, które zmuszą mnie do wyjawienia prawdy o sobie. Zażądałem wówczas okazania mi nakazu aresztowania oraz podania o jaki czyn względnie o jakie czyny przestępcze jestem podejrzany. Podkreśliłem przy tym, że w myśl obowiązującej konstytucji dochodzenie przeciwko mnie jako posłowi może być wszczęte tylko po uprzednim wyrażeniu na to zgody przez Sejm. (Jak ustaliłem obecnie, odpowiednia uchwała Sejmu została podjęta po referacie posła Jodłowskiego dopiero w dniu 8. IV. 1949 roku, a więc w pół roku po moim aresztowaniu). W odpowiedzi Różański oświadczył, że jestem obwiniony o całe swoje przestępcze życie, że nie tylko ja, ale cała moja bliższa i dalsza rodzina aż do dzieci włącznie zostanie wyniszczona bez reszty, że w mojej sprawie nie obowiązują go żadne przepisy prawne, że przed nikim nie będzie się musiał „rozliczać z Lechowicza”, że wcześniej czy później zostanie zastrzelony pod płotem jak pies, ale w terminie przez niego ustalonym i pozostaje mi tylko walczyć o jak najmniejsze cierpienia przed śmiercią drogą wyznania prawdy. W podobnym duchu wypowiadał się Różański również później. „Zdechnieś wtedy — oświadczył pewnego dnia — kiedy my zechcemy, ale przedtem sto razy przeklniesz chwilę, kiedy cię matka uro-

3. Płk Jacek (Józef) Różański był dyrektorem Departamentu Śledczego MBP.

dziła. Będziemy wypruwać z ciebie żyły i łamać ci kości, a w drugim pokoju obok będziemy je składać na nowo — aż do skutku i jak długo zechcemy. Konstytucję pokaże ci jutro oficer śledczy”. Istotnie, następnego dnia Dusza wyciągnął spod biurka wielki bykowiec, spleciony z kilku stalowych prętów powleczonej skórą, który nazwał on dla ironii „konstytucją”, w związku z moim powołaniem się na przepisy ustawy konstytucyjnej co do nietykalności poselskiej i zaczął mnie tą „konstytucją” bić po głowie, ramionach, plecach, siedzeniu, a gdy znajdowałem się w pozycji siedzącej — po udach i kolanach oraz palcach nóg i po podbiciu stóp. „Konstytucja” była w ciągłym użyciu w stosunku do mnie w 1948, w 1949 i 1950 roku, tzn. przez cały czas pobytu w nieznany mi więzieniu podwarszawskim.

3. Podobne do wypowiedzi Różańskiego słowa o mojej niechybnej już śmierci i o braku potrzeby odpowiedzialności za moje życie powtarzali mi później wielokrotnie Fejgin oraz oficerowie śledczy Dusza, Kwasek, Zawadzki i Bień w początkowym okresie.

Podczas drugiego z kolei przesłuchania z Różańskim — ten po raz pierwszy uderzył mnie w twarz za twierdzącą odpowiedź na jego pytanie, czy przed wojną byłem członkiem KPP⁴ i oświadczył mi jako kierownik śledztwa, że za taką odpowiedź będę zawsze o każdej porze dnia i nocy zbierał baty od niego lub oficerów śledczych i to baty coraz mocniejsze. Przrzeczenia dotrzymał.

4. Okres presji fizycznej i psychicznej na mnie trwał od tego dnia aż do ostatniego dnia pobytu w więzieniu, tj. do 2. V. 1956 roku, jednak w różnych formach i z różnym nasileniem; z największym w okresie pobytu w więzieniu podwarszawskim, czyli do końca 1950 roku i w początkowym okresie pobytu w więzie-

4. Jak wiemy z opublikowanego w *Krytyce* nr 8/1981 dokumentu — protokołu otwarcia kas, zawierających dokumenty, pozostałe po Bolesławie Bierucie, zarówno Włodzimierz Lechowicz jak i Alfred Jaroszewicz (zmarł jesienią 1982 r.) potwierdzili w dochodzeniu fakt swej pracy przed drugą wojną światową w Samodzielnym Referacie Informacyjnym (SRI) II Oddziału Sztabu Generalnego WP (czyli w tzw. „dwójce” — wywiadzie wojskowym). Na ten temat po uwięzieniu zażądali rozmów z którymś z członków Biura Politycznego PZPR. Prośba ta nie została uwzględniona, a metody śledztwa jeszcze bardziej się zaostrzyły. Każdy z nich osobno podał, że „pracownikami II Oddziału byli na polecenie wywiadu sowieckiego, a Włodzimierz Lechowicz powołał się ponadto na Leona Fersztę, który jako członek KC KPP pośredniczył przy kontaktach z przedstawicielem wywiadu sowieckiego [...]. Oświadczyli również, że swoją pracę w okresie okupacji wykonywali w uzgodnieniu z ówczesnym Kierownictwem Partii, któremu znana była ich przeszłość”. (*Tamże*).

niu mokotowskim, czyli do końca 1951 roku, a więc łącznie w ciągu trzech lat i trzech miesięcy, a stosunkowo z najmniejszym w okresie pobytu w więzieniu Wronki, tj. od 27. VIII. 1955 do 2. V. 1956 roku.

5. Podstawą i pretekstem do stosowania represji wobec mnie podczas przesłuchań było badanie na szereg bardzo różnych okoliczności, co do których nie chciałem odstąpić od znanej mi prawdy, bądź badanie na temat nieznanych mi spraw, o których nie mogłem i nie chciałem zeznawać, bądź wreszcie badanie na zupełnie fikcyjne okoliczności. Tak np. byłem przesłuchiwany m.in. na temat działalności moich gimnazjalnych kolegów, których nie widziałem od 20-tu lat i o których nie wiedziałem nawet czy żyją, jak Hudes Naftalij, Fuss Aron, Rawner Henryk i inni, dalej byłem długi czas przesłuchiwany na fikcyjny temat mojej współpracy z Niemcami — Spielkerem i Mottem⁵ (tego ostatniego nazwiska nigdy nawet nie słyszałem) i na temat współpracy mojej rodziny z Niemcami, na zupełnie nieznany mi temat stosunku Spychalskiego do jego brata, pułkownika AK w czasie wojny⁶, i do Gomułki.

Przez szereg tygodni byłem badany co do okoliczności, w jakich zostali aresztowani w czasie okupacji Finder, Nowotko i Fornalska⁷, mimo że w czasie gdy miały miejsce te wypadki prze-

5. Alfred Spielker, SS-Hauptsturmführer, dowódca Sonderkommando w Warszawie, które w latach 1942-1944 koordynowało akcje przeciw polskiemu ruchowi oporu w zasięgu ogólnopolskim. Motte — nieznany.

6. Rodzony, starszy brat Mariana — płk Józef Spychalski, zrzucony z Londynu, był w 1943-1944 dowódcą okręgu krakowskiego Armii Krajowej. Aresztowany przez hitlerowców w 1944 roku, rozstrzelany.

7. Paweł Finder — sekretarz generalny Polskiej Partii Robotniczej od stycznia 1943 roku, Małgorzata Fornalska — członek KC PPR od maja 1942 r. Oboje zostali aresztowani przez gestapo 14 listopada 1943 r. w Warszawie w lokalu przy ul. Grottgera 12, rozstrzelani latem 1944 r. Na III Plenum KC PZPR w listopadzie 1949 r. Bolesław Bierut sformułował oskarżenie, skierowane przeciw „dwójkarzom” z Jaroszewiczem i Lechowiczem na czele. „Grupa ta — mówił Bierut — działająca od szeregu lat i penetrująca również do KPP, postawiła sobie za cel wciśnięcie się w celach dywersyjno-spiegowskich do organizacji marksistowskich, a więc do PPR i Gwardii Ludowej. [...] Kto był w pierwszym rzędzie odpowiedzialny za ten stan rzeczy?

Tow. Spychalski jako szef Wydziału Informacyjnego GL, a potem AL.

Tow. Gomułka jako sekretarz Partii [...].

Tow. Kliszko, który kierował polityką personalną Partii od wyzwolenia do września ub.r.

Oportunizm, stępienie instynktu klasowego, utrata pionu ideologicznego — oto źródła stylu pracy, który ułatwiał zamaskowanym wrogom, prowokatorom, dywersantom, zdrajcom, przysrajanie się w nim bohaterów, szermo-

bywałem jeszcze daleko poza Warszawą i mogłem znać te wypadki tylko z pośredniej relacji. Pretekstem do bicia było również pytanie: „Dlaczego w czasie okupacji zostali aresztowani sekretarze partii Finder i Nowotko, a nie zostali aresztowani Bierut i Gomułka, komu oni byli potrzebni i kto ich ochraniał przed aresztowaniem?”. W czasie badań zadawano mi pytania o osobistych stosunkach łączących wiceministra Ziem Odzyskanych Władysława Wolskiego z Ministrem Ziem Odzyskanych Władysławem Gomułką, o kontaktach szpiegowskich wiceministra Chajna w związku z jego wyjazdami za granicę, o ambasadora Wendego, ministra Rabanowskiego⁸ i innych.

6. Przesłuchania w 1948, 1949 i 1950 roku odbywały się przed południem, po południu i przeważnie dwukrotnie w ciągu nocy, za każdym razem po kilka godzin. Przesłuchanie polegało na postawieniu jakiegoś pytania i następnie na biciu, bądź na innych maltretacjach, o ile odpowiedź na to pytanie nie ulegała zmianie. Jedno i to samo pytanie było stawiane przez kilka (4-6) tygodni pod rząd, a w wypadku KWP⁹ i „Startu”¹⁰ przez kilka miesięcy bez przerwy. Każde przesłuchanie polegało więc zasadniczo na tym, by mi dawać kolejną serię bicia, tortur i mal-

wanie legitymacją partyjną, tytułami dygnitarskimi w Polsce Ludowej [...]”. (*Nowe Drogi*, III Plenum Komitetu Centralnego PZPR, Warszawa 1949, str. 20-22).

Skutkiem działania „dwójkarzy” według Bieruta było: „zamordowanie tow. Nowotki przez prowokatora, areszt i zamordowanie tow.tow. Findera, Jasi Fornalskiej, areszt i zabójstwo tow. Janka Krasickiego [...]” (*Tamże*, str. 197).

Oskarżenia B. Bieruta były gołosłowne i nie poparte żadnymi dowodami. Jedynym „dowodem” miało być przyznanie się oskarżonych do winy.

Marceli Nowotko nigdy nie był aresztowany przez Gestapo. Został zabity na ulicy 28 listopada 1942 roku w niewyjaśnionych dotychczas okolicznościach. O to zabójstwo oskarżeni zostali: Bolesław Mołojec, kolejny po Nowotce sekretarz generalny PPR, dowódca Gwardii Ludowej i jego młodszy brat — Zygmunt, szef Wydziału Informacji Sztabu Głównego GL, pierwszy — o inspirację zabójstwa, drugi — o zastrzelenie Nowotki. Obaj zostali zlikwidowani na przełomie 1942 i 1943 roku z wyroku partyjnego.

8. Leon Chajn — wiceminister sprawiedliwości, Jan Karol Wende — ambasador w Jugosławii, Jan Rabanowski — minister komunikacji; wszyscy trzej byli komunistami, członkami partii, odkomenderowanymi do Stronnictwa Demokratycznego, podobnie jak Wł. Lechowicz.

9. KWP — Kierownictwo Walki Podziemnej. Powstało w lipcu 1943 r. w wyniku połączenia Kierownictwa Walki Cywilnej (utworzonego przez Delegaturę Rządu RP na Kraj w 1941 r.) i Kierownictwa Walki Konspiracyjnej (utworzonego przez KG AK w 1942 r.).

10. „Start” — patrz przypis do Sprawozdania Komisji przy Generalnej Prokuraturze.

tretacji. Oświadczenie, że nie pamiętam jakiegoś szczegółu sprzed 20-tu lat wywoływało wściekłą reakcję, odpowiedź: „my ci to zaraz przypomnimy” i serię wzmożonego bicia. Według oświadczeń Różańskiego, Duszy i Kwaska takie oświadczenia w czasie przesłuchań miały być raz na zawsze wykluczone. Na próżno również starałem się niekiedy wykazać bezsens stawianych pytań, np. na podstawie chronologii wydarzeń.

Sądząc po metodach, śledztwo miało na celu nie odkrycie i ustalenie prawdy, ale sfabrykowanie kłamstwa według z góry ustalonej koncepcji.

W ogólności spisano ze mną ok. kilku tysięcy zeznań. Niektóre z nich podpisywałem doprowadzony do nieprzytomności. Takie zeznania w przytłaczającej większości odwoływałem natychmiast po dojściu do przytomności, narażając się na ponowne bicie. Mimo to w aktach mojej sprawy, np. w akcie oskarżenia i jego uzasadnieniu, znalazły się zeznania bądź fragmenty moich zeznań, które podpisywałem w nieprzytomności i które później parokrotnie odwoływałem. W czasie rozprawy w Sądzie Wojewódzkim dla m.st. Warszawy w dniach 4 i 5. VII. 1955 roku zwróciłem uwagę na tę okoliczność, jednak przewodniczący przeszedł nad tym do porządku dziennego. Na tej podstawie mogę przypuszczać, że również inne moje zeznania z kategorii wymuszonych nieprzytomnością i następnie odwołanych przeze mnie mogły być wykorzystane w pierwotnej redakcji jako materiał obciążający inne osoby.

7. W trakcie trwania przesłuchań w sprawie działalności KWP i „Startu” w okresie okupacji byłem konfrontowany z Jedlińskim i z Pajorem w 1950 roku. Na konfrontację przewożono mnie zakutego w kajdanki i z zawiązanymi oczyma, jak się domyślam do więzienia mokotowskiego. Gdy podczas konfrontacji powtórzyłem swoje poprzednie, zgodne z prawdą zeznanie, byłem po powrocie z konfrontacji ponownie badany na te same okoliczności i bity ze wzmożoną siłą w ciągu ok. 6-ciu tygodni. Jako uzasadnienie wzmożonego bicia mówiono: „Pajor w oczy powiedział ci prawdę! Sam widziałeś, że Pajor nie jest zmaltrretowany i że nie pod strachem składał swoje zeznanie, a tylko z powodu jego większej niż u ciebie uczciwości”.

8. W latach 1948-1949-1950 dominującą formą zwracania się do mnie jako więźnia przez Różańskiego i Fejgina (z którym stykałem się rzadko) oraz przez oficerów śledczych Duszę, Kwaska, nieznanego mi z nazwiska młodego kędzierzawego blondyna

w stopniu zdaje się porucznika, przez Zawadzkiego i w początkowym okresie przesłuchań przez Bienia — były zwroty: „skurwysynu”, „kurwiarzu”, „kurwo rynsztokowa”, „kurwa-dziadu”, „łajzo”, „pucybucie gestapowski”, „bandyto” itp., połączone często z pluciem w moją twarz. Odpowiedzią na meldowanie przeze mnie odejścia z pokoju przesłuchań było: „wypierdaj”, „zjeżdżaj”, lub tp., często połączone z kopniakiem w tyłek. W czasie przesłuchań bicie przeplatano stale takimi np. zwrotami (mjr Kwasek w 1949 roku): „czyż ta kurwa, którą ty nazywasz swoją matką, nie mogła wyszczać cię na kamień, zamiast urodzić takiego skurwysyna jak ty?” lub tp. Gdy w czasie rozmowy o sytuacji w Stronnictwie Demokratycznym wymieniałem nazwisko wiceministra Chajna jako najbardziej miarodajnego do wyrażenia opinii w tej sprawie, Kwasek przerwał mi słowami „jaki on minister?”, taki sam chuj jak ty! Jak będzie potrzeba, jutro tu usiądzie obok ciebie”.

IV. Środki presji i maltretacje w czasie przesłuchań przez oficerów śledczych w okresie 1948-1950 roku

1. W latach 1948 i 1949 podczas przesłuchań przez oficerów śledczych Duszę i Kwaska byłem prawie za każdym razem bity po całym ciele bykowcem lub pięścią. Kwasek bił mnie pięścią po twarzy już w momencie wchodzenia do jego pokoju przed wypowiedzeniem choćby jednego słowa, następnie bił mnie zaciśniętymi kułakami między żebra i w brzuch. Często kazano mi pochylać się i wetknąć głowę w otwór w oparciu krzesła i w tej pozycji bito mnie po siedzeniu i plecach bykowcem z całym rozmachem. Nieraz powtarzało się to kilka razy podczas jednego przesłuchania. Ilość razy dochodziła niekiedy do stu. W 1948 i 1949 roku całe moje ciało było prawie bez przerwy pokryte opłataną siecią pręgów grubości kciuka i otwartymi ranami. Siedzenie i leżenie na plecach było bolesne i bardzo utrudnione.

2. W końcu 1948 roku Dusza zapoczątkował w obecności Różańskiego i na jego polecenie bicie w pięty pałką powleczoneą z wierzchu gumą, a wewnątrz złożoną z gęsto splecionych stalowych drutów. Kazano mi zrzucić buty i położyć się boso na podłodze brzuchem w dół. Dusza stanął nade mną w rozkroku twarzą do nóg i bił mnie w pięty, a ściślej wzdłuż całej podeszwy stopy. Od tego czasu bicie w pięty było wobec mnie stosowane podczas przesłuchań do końca 1950 roku, jednak z największym

nasileniem w okresie prowadzenia przesłuchań przez mjr. Kwaska, tj. w ciągu 1949 roku.

Podczas przesłuchania na temat Spychalskiego w 1949 roku liczba uderzeń liczonych przeze mnie przy tym biciu wynosiła 52 razy. Niekiedy w czasie przesłuchań Dusza, a zwłaszcza Kwasek wzywali strażników stojących zawsze w pogotowiu pod drzwiami, kazali im sprowadzić mnie na dół do karceru i tam bić w pięty wskazaną przez nich ilość razy, a następnie przyprowadzić zaraz na dalsze badania. W kilku albo w kilkunastu wypadkach byłem dwu-, trzy- i czterokrotnie w czasie badania sprowadzany do karceru w tym celu i znów odprowadzany po biciu na dalsze badania. W karcerze po zdjęciu butów kazano mi klękać i odślonięte w tej pozycji pięty bito taką samą pałką jaką posługiwali się oficerowie śledczy, zapowiadając, że w razie najmniejszego krzyku porcja zostanie automatycznie zdwojona.

3. W czasie przesłuchiwań przez Duszę, Kwaska i Bienia w 1948-1949-1950 byłem zmuszany do wykonywania przysiadów do kilku tysięcy naraz w pozycji twarzą do ściany i z rękami opartymi o biodra albo poziomo wyciągniętymi przed siebie. Przysiady musiały być głębokie i prawidłowe. Oficerowie śledczy nazywali ten zabieg „pompowaniem rozumu z tyłka do głowy”. Wykonywanie przysiadów, prawie codzienne w ciągu 1949 roku i w pierwszej połowie 1950 roku traktowane było jako ulgowa przerwa między jednym a drugim biciem w czasie przesłuchania. Niekiedy trwało ono bez przerwy 1,5 do 2,5 godziny, w tym czasie oficer śledczy czytał książkę, uważając tylko na prawidłowość moich przysiadów, albo wychodził z pokoju pozostawiając na swoje miejsce strażnika. Dopiero gdy u mnie przychodziło ostateczne zmęczenie i gdy nie mogłem już więcej podnieść się z przysiadów i padałem na podłogę, wówczas oficer śledczy kazał mi „dla odpoczynku” kłaść się na podłodze i bił mnie w pięty tak długo, póki nie oświadczyłem, że jestem już gotów do dalszych przysiadów, po czym zaczynała się dalsza kolejna taka sama seria coraz bardziej skrócona w czasie. Ten sposób był praktykowany przez Kwaska w ciągu kilku kolejnych miesięcy 1949 roku.

4. W drugiej połowie 1949 roku Kwasek nakazał mi wykonywanie w czasie przesłuchań zamiast przysiadów ćwiczenia „padnij” w ilości aż do upadłego. Gdy zmęczone ręce przestały już przy upadku sprężynować i amortyzować siłę upadku, musiałem padać prostopadle na podłogę całym ciałem, ochraniając jedynie twarz od zmasakrowania. Po każdym takim ćwiczeniu całe moje ciało od przodu (piersi, brzuch, uda) było granatowe z potłucze-

nia. Te ćwiczenia były praktykowane z przerwami w ciągu paru miesięcy.

5. W okresie przesłuchiwań przez Kwaska w ciągu kilku miesięcy 1949 roku byłem zmuszany do klęczenia w czasie przesłuchania na małym stołeczku ustawionym na krześle z rękami wyrzuconymi w bok poziomo. Przesłuchania w tej pozycji trwały po kilka godzin za każdym razem. W czasie gdy klęczałem wchodziły do pokoju różne osoby, które naigrywały się ze mnie, mówiąc na przykład „cóż ty jebany orła w cyrku udajesz?”. Od klęczenia w czasie tych przesłuchań i od klęczenia w celi i w karczerze w tym samym czasie — poranione ciało na kolanach i podudziach odpadało do białej kości. Rany opatrywał mi potem lekarz starszy wiekiem występujący w mundurze pułkownika. Blizny na ciele od tych ran mam do dnia dzisiejszego.

6. W ciągu 2-3 miesięcy 1949 roku w przesłuchiowaniach prowadzonych przez Kwaska brał udział również drugi oficer, zdaje się w stopniu wówczas porucznika, szczupły, średniego wzrostu, o jasnych kędzierzawych włosach, ze wschodnim (może lwowskim) akcentem. Jego zwyczajem, parokrotnie zademonstrowanym, było gaszenie rozżarzonego papierosa na moim czole. Innym razem tenże oficer współ z Kwaskiem ustawili mnie stojąco przy ścianie i zaczęli mnie bić rękami po twarzy i głowie jednocześnie na przemian, jeden z jednej a drugi z drugiej strony. Trwało to do utraty przytomności przeze mnie. Wybito mi przy tym dwa zęby. Jeszcze innym razem tenże nieznanym nazwiska oficer wszedł do karceru, gdzie wówczas przebywałem nago i chłostał mnie po głowie stalowym elastycznym drutem z przyczepionym do niego ciężarkiem.

7. Wielokrotnie w czasie przesłuchiwań Kwasek bił mnie siedzącego po końcach palców u nóg elastyczną pałką stalowo-gumową, powodując moje wielokrotne upadki z krzesła ze względu na ból.

8. W 1948 i 1949 roku Dusza i Kwasek szereg razy mocno nadeptywali nieoczekiwanie moje palce u nóg podkutymi butami, powodując w jednym wypadku złamanie palca. Wobec częstego ponawiania tych praktyk paznokcie u nóg wysuwały się z obsady jak szufladki i parokrotnie odpadały.

9. W czasie przesłuchiwań Kwasek kazał mi szereg razy kłaść ręce dłońią na stół i następnie uderzał mnie mocno w paznokcie

grubym ołówkiem albo grubą obsadką. Poczerniałe paznokcie kilka razy po takich zabiegach odpadały.

10. W drugiej połowie 1949 roku Kwasek, przesłuchując mnie na temat współpracy z Niemcami, wezwał strażników i kazał mnie związać w „kij”. Po zakuciu rąk kajdankami od przodu kazano mi usiąść na podłodze i podciągnąć kolana pod brodę, następnie zakute ręce zarzucano na kolana w taki sposób żeby wystawały one między nogami. Wówczas w szczelinę, jaka powstawała między kolanami u góry a łokciami od dołu wsunięto kij od miotły. Tak związanego przewrócono mnie na plecy, obwiązano mi głowę grubym kocem, po czym dwóch ludzi jednocześnie zaczęło mnie bić pałkami stalowo-gumowymi po siedzeniu, plecach i piętach. Po 15-25 minutach przerwano bicie, wyciągnięto kij spod kolan i pozwolono mi wstać. Gdy jednak na ponowne pytanie Kwaska odpowiedziałem tak samo, znów powtórzono bicie po raz trzeci. Jednak i po trzecim biciu mówiłem to samo. Wówczas bicie przerwano. W wyniku moje plecy, siedzenie, uda i genitalia były granatowe, a te ostatnie były ponadto przez szereg dni zapuchnięte.

11. Od lutego 1950 roku byłem przesłuchiwany z kolei przez mjr. Bienia Adama, który w czasie dziennych i nocnych przesłuchań w dalszym ciągu stosował bicie, przysiady itp., wprowadzając jednocześnie szereg nowych maltretacji. Obok wykonywania przysiadów zmuszony byłem teraz wytrzymywać w pozycji półprzysiadu lub na jednej nodze czasokres wyznaczony przez przesłuchującego, ponadto zaś zmuszany byłem wykonywać nowe ćwiczenie, mianowicie unoszenie się i opadanie na rękach wspartych o podłogę. Jeśli nie byłem w stanie wykonać tego ćwiczenia wyznaczoną ilość razy, byłem za to bity od razu na podłodze po siedzeniu lub po piętach pałką gumową.

12. W czasie przesłuchiwań w 1950 roku zmuszany byłem przez mjr. Bienia m.in. do siedzenia na samym brzeżku stołka z nogami uniesionymi w górę i wyprężonymi przed siebie oraz z rękami podniesionymi w górę. W razie lekkiego nawet obniżenia rąk po dłuższym czasie trzymania ich w górze byłem bity po rękach drewnianą linią.

13. W 1950 roku byłem regularnie bity po twarzy podczas każdego przesłuchania. Z równą regularnością byłem bity pałką gumową po wierzchu dłoni i palców u rąk. W pierwszej połowie 1950 roku przy każdym prawie przesłuchaniu moje palce u obydwu rąk były zgniatane między dwoma kawałkami drzewa

(np. między dwoma ołówkami). Bień nadal stosował mocne na-deptywanie z góry i nieoczekiwanie na palce u nóg.

14. W ciągu kilku tygodni przesłuchań u Bienia w pierwszej połowie 1950 roku byłem zmuszany do siadania „na kołku”, tj. na pojedynczej nodze stołka odwróconego siedzeniem do ziemi, z uniesieniem nóg i rąk do góry. Wskutek ciężaru całego ciała noga stołka, która w tej pozycji stanowiła jedyny punkt oparcia, wchodziła głęboko w odbytnicę, co w następstwie wywoływało trudności i bolesność przy wypróżnianiu.

15. W początkach 1950 roku razem z Bieniem brał udział w przesłuchaniach mjr Zawadzki, który do spółki z Bieniem bił mnie po twarzy i po głowie. Ponadto Zawadzki kilka razy chwycił mnie garścią za włosy i miotał mną w ten sposób po całym pokoju, wydzierając przy okazji całe pasma włosów.

16. Ponieważ swoich zeznań nie zmieniałem, każde kilkugodzinne przesłuchanie u Bienia w ciągu 6-ciu do 8-miu miesięcy 1950 roku sprowadzało się zasadniczo do codziennego wyczerpania całego repertuaru maltretacji i z taką regularnością, że niejednokrotnie po moim przybyciu do pokoju przesłuchań Bień wprost zapytywał: „no, od czego dziś zaczniemy?” i zaraz dodawał: „na początek dostanie pan w pysk”, co rzeczywiście realizował.

17. W początkach 1949 roku, nie mogąc wytrzymać presji fizycznej i będąc załamany psychicznie a zdeorientowany pod względem moralno-politycznym, podjąłem próbę samobójstwa. Rozłamawszy metalową sprzączkę od spodni postanowiłem przeciąć sobie żyły. Mimo przecięcia skóry na lewej ręce na przestrzeni kilku centymetrów i mimo dostania się już do tętnicy nie zdołałem planu doprowadzić do końca, gdyż obfite krwawienie już po rozcięciu skóry zwróciło uwagę dyżurującego stale u moich drzwi strażnika. Pomocy lekarskiej udzielił mi wówczas wspomniany już wyżej lekarz pułkownik.

V. Przesłuchania i warunki pobytu w więzieniu mokotowskim do końca 1951 roku i później

1. Dnia 11. XI. 1950 roku zostałem nieoczekiwanie przewieziony do więzienia mokotowskiego w Warszawie i osadzony w świeżo wybudowanym pawilonie XII. Przewieziono mnie w kajdankach i z zawiązanymi oczyma, przy przewożeniu był obecny

Fejgin. Na Mokotowie zostałem osadzony znowuż w izolatce. Pełne odosobnienie, tzn. trzymanie mnie w pojedynczej celi trwało do dnia 22. XII. 1951 roku i zostało przerwane w trzy dni po moim wystąpieniu w charakterze świadka w sprawie „Startu” w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie. Bezwzględna izolacja trwała zatem nieprzerwanie trzy lata, dwa miesiące i 10 dni.

2. W dniu 4. I. 1951 roku otrzymałem zezwolenie na siadanie w celi w ciągu dnia na zydlu, a w dniu 13. I. 1951 roku zostałem po raz pierwszy wyprowadzony na spacer. Od tego dnia mniej więcej regularnie co drugi dzień korzystałem ze spaceru przez 30 minut, początkowo wyłącznie późnym wieczorem (na krótko przed apelem, tj. godz. 21.00). Z codziennego 30-tominutowego spaceru mogłem korzystać dopiero od 1953 roku (względnie od końca 1952 roku).

3. W dniu 13. II. 1951 roku otrzymałem pierwszą książkę do czytania po dwóch latach i 4 miesiącach kompletnej izolacji od słowa drukowanego. Odtąd do końca 1951 roku otrzymywałem nieregularnie mniej więcej dwie książki — 2 tomy — na miesiąc (bez prawa wyboru), z tym, że np. w lipcu 1951 roku nie otrzymałem ani jednej.

4. Przesłuchania w więzieniu mokotowskim w 1951 roku, aczkolwiek rzadsze niż w poprzednim więzieniu, odbywały się początkowo również i w dzień i w nocy i przy użyciu presji fizycznej. Przesłuchiwał mnie w dalszym ciągu mjr Bień, niekiedy w towarzystwie ppłk. Duszy lub mjr. Kaskiewicza. Presja fizyczna polegała na biciu ręką po twarzy i głowie. W pierwszej połowie 1951 roku byłem bity w ten sposób parokrotnie przez Bienia i Duszę.

5. W miarę wygasania śledztwa od połowy 1951 roku i w miarę coraz rzadszego kontaktu z oficerami śledczymi — szykany i maltretacje były mi zadawane przez służbę więzienną bądź bezpośrednio, bądź pośrednio przez stwarzanie nieznosnych warunków pobytu w celi.

Przez cały okres mojego pobytu w więzieniu mokotowskim, tj. przez 4 lata i 8 miesięcy nie było w celach gdzie przebywałem żadnego regulaminu. Obowiązki i uprawnienia więźnia były dowolnie ustalane i zmieniane przez funkcjonariuszów więziennych. Mimo braku regulaminu w celi i pomimo nieznajomości regulaminu przeze mnie byłem karany za przekroczenia regulaminowe, np. przez odebranie książek na jakiś czas (na okres paru tygodni).

Karali mnie w ten sposób i w tych warunkach mjr Bień w 1953 roku i mjr Kaskiewicz w 1954 roku. Po raz pierwszy dostałem na chwilę regulamin do przeczytania w dniu 15 lub 16 grudnia 1954 roku w pokoju oficera śledczego mjr. Bienia na skutek mojej głódówki i skargi do prokuratora.

6. W latach 1948-1949-1950-1951 byłem pozbawiony prawa do otrzymywania jakichkolwiek paczek z zewnątrz bądź dokonywania jakichkolwiek zakupów w kantynie więziennej, nawet w ramach kwot odebranych mi przy rewizji. Dopiero w początkach 1952 roku, tj. po upływie prawie 3,5 lat, uzyskałem zezwolenie na „wypiskę” z kantyny za pieniądze odebrane mi przy rewizji. „Wypiska” z kantyny była również wykorzystywana jako środek do szykanowania więźnia. Zamówienia były przyjmowane przez oddziałową nie na poszczególne artykuły, ale na „paczkę” — z papierosami lub bez papierosów, dzięki czemu nigdy nie było wiadomo, co się otrzyma za własne pieniądze. Zgłoszenia na „wypiskę” miały być realizowane teoretycznie co 2 tygodnie, w praktyce ten okres wydłużał się do 3-ch, 4-ch, a nawet 5-ciu tygodni, dzięki czemu nigdy nie było wiadomo, kiedy otrzyma się następną „wypiskę” i jak gospodarować np. zapasem papierosów. Dopuszczalna ilość papierosów, którą można było zakupić na jedną „wypiskę” ulegała zmianom co kilka miesięcy w granicach od 60 do 150 sztuk, przy czym zwiększanie liczby papierosów dozwolonej do zakupu szło w parze ze zmniejszaniem ilości zapalek, które wolno było zakupić. Przyjmująca zgłoszenia na „wypiskę” niekiedy z własnej inicjatywy pomijała celę „przez zapomnienie”, czasem dwu- i trzykrotnie pod rząd, pozbawiając mnie okresowo prawa do korzystania z „wypiski”.

7. Do końca 1951 roku byłem całkowicie pozbawiony prawa korzystania z igły, dzięki czemu ubranie otrzymane w 1948 roku rozpadło się pod koniec tego okresu na drobne strzępy. W podobnym stanie było moje obuwie. Dnia 18. XII. 1951 roku wydano mi przed wyjazdem do sądu na świadka własne ubranie, a dotychczasowe kazano zatrzymać w celi jako szmatę do podłogi.

8. Ze zmniejszeniem się liczby nocnych przesłuchań, poczynając od drugiej połowy 1951 roku przez wszystkie lata aż do końca mojego pobytu na Mokotowie w 1955 roku, były stosowane przez służbę więzienną środki uniemożliwiające normalny sen i wypoczynek nocny, a m.in.:

a) w latach 1951-1952-1953, częściowo również w 1954 roku, kąpiel odbywała się z reguły nocą, tj. o północy lub po północy;

b) w tych samych latach co noc o określonych godzinach rozlegał się łoskot drewnianych schodów, znajdujących się w pobliżu celi, po których zbiegała na dół gromada ludzi w ciężkim obuwii przez parę minut;

c) w tych samych latach w parokrotnych okresach kilkumiesięcznych powtarzało się nocami trzaskanie drzwiami położonymi w sąsiedztwie celi, niekiedy z częstotliwością co dwie minuty;

d) w 1951 roku światło w celi paliło się przez całą noc, w 1952 roku gaszono światło w celi co trzecią noc, w późniejszych latach gaszenie światła nocą zależało od dyżurującego strażnika. W 1952 i 1953 roku podczas „ciemnych” nocy (gdy światło w celi było zgaszzone) dyżurujący oddziałowy zapalał i gasił światło nieustannie pod pozorem zaglądania do celi. W niektórych kilkumiesięcznych okresach miganie światłem odbywało się w odstępach co 1-2 minut. Miało to miejsce w okresie, gdy byłem osadzony w jednej celi z dr. Lysem Janem;

e) od 1951 do 1953 roku nocami dochodziły często do celi odgłosy przesłuchań prowadzonych w pomieszczeniach administracyjnych nad całą, przy czym dawały się słyszeć wyłącznie głośnie okrzyki, przekleństwa i plugawe wyzwiska;

f) w październiku 1953 roku zostałem skierowany do wspólnej celi z więźniem Kistelskim Leszkiem, z którym przebywałem razem z górą pół roku. Jedną z ujemnych cech tego współwięźnia było tak donośne i nienaturalne chrapanie nocne, że spanie z nim w jednej celi było niemożliwością. Po jakimś czasie stwierdziłem pewnej nocy konkretnie i pozytywnie, że więzień ten chrapiąc tak donośnie bynajmniej nie śpi, lecz robi to na jawie świadomie i rozmyślnie. Zgłoszona po tym przeze mnie prośba o przeniesienie do innej celi nie została uwzględniona;

g) w 1954 i 1955 roku często byłem budzony wśród nocy również przez zwyczajne głośnie stuknięcia w sufit i w ściany, w drzwi, w rurę grzejną itp.

9. Niezależnie od ciągłej bezsenności byłem w tym samym czasie, a mianowicie w latach 1951 i 1952, dręczony głodem. W ciągu z górą pół roku byłem karmiony wyłącznie wodnistą zupą w południe i wieczorem przy minimalnej porcji chleba rano i bez prawa do otrzymywania lub zakupywania paczek. W późniejszym, również kilkumiesięcznym (ok. półrocznym) okresie, byłem karmiony wyłącznie kaszą i brukwią, z takim jedynie urozmaicheniem, że gdy jednego dnia dawano kaszę w południe, a brukiew na wieczór, to w następnym dniu brukiew była w południe, a kasza na wieczór.

10. Od lipca 1954 do lipca 1955 przebywając w pojedynczej celi byłem budzony przez ciągłe łoskoty, zgrzyty, piski, skrzypienie i trzaskanie drzwiami rozlegające się nad sufitem w ciągu całego dnia, bądź przez metaliczne stukoty i uderzenia z obydwu sąsiednich cel w ciągu dnia i nocy. Co do tych ostatnich odgłosów, gdy zgłosiłem prośbę o interwencję wyjaśniono mi, że obydwie sąsiadujące ze mną cele są puste. Ponieważ jednak te odgłosy powtarzały się nadal, po jakimś czasie ponowiłem prośbę o interwencję. Oddziałowy wyjaśnił mi wówczas, że więzień, mój sąsiad, posiada obydwie szczęki sztuczne, metalowe i przy poruszaniu ustami wydaje takie odgłosy. Co do bodźców akustycznych z góry tłumaczono mi, że nad moją celą znajdują się pokoje administracyjne, bardzo licznie uczęszczane w ciągu dnia przez wielu interesantów. Istotnie, cela była położona na najwyższym piętrze pomieszczeń więziennych, nad którymi znajdowały się lokale biurowe. Po kilku miesiącach (zdaje się w sierpniu 1954 roku) zgłosiłem na ręce mjr. Kaskiewicza prośbę o przeniesienie do innej celi na niższym piętrze. Prośba była poprzedzona kilkudniową głodówką i została uwzględniona. Atoli w kilkanaście minut po zamknięciu mnie w nowej celi zaczęły się rozlegać dokładnie te same odgłosy z góry i z boków co i w celi poprzedniej.

W tym samym czasie na całym pawilonie XII więzienia mokotowskiego panowały w ciągu całego dnia i części nocy niczym nie dające się wytłumaczyć i uzasadnić w częstotliwości łoskoty, zgrzyty, trzaskanie w kratę, trzaskanie drzwiami itp. W początkach 1955 roku wprowadzono trzykrotne w ciągu dnia „kiblowanie”, tj. wystawianie z cel kiblów z nieczystościami, zamiast jak dotychczas jednorazowego, przy czym operowanie tymi kibłami na korytarzu przez więźniów porządkowych (Niemców) miało na celu wyłącznie spotęgowanie nieustannego zgiełku na korytarzach. (Nawet w szpitalach więziennych „kiblowanie” odbywa się najwyżej dwa razy dziennie).

11. Wspomniany wyżej więzień Kistelski, z którym mnie osadzono w jednej celi od 13. X. 1953 do 15. V. 1954 roku, odznaczał się również nienaturalną zdolnością wydzielania tak obfitych i intensywnych w zapachu gazów, że przez cały okres jego pobytu w celi atmosfera w celi przedstawiała się tak, jak gdyby pod pryczą leżało od tygodni ścierwo rozkładającego się zdechłego psa. Ta atmosfera wywoływała u mnie bóle głowy i mdłości, zwłaszcza ilekroć opuszczałem celę i wracałem do niej z normalnej atmosfery. Musiałem wobec tego zrezygnować z wychodzenia na spacer. Zgłoszona przeze mnie prośba o przeniesienie do innej

celi i umieszczenie ze zdrowym współwięźniem — pozostała bez skutku.

Przez cały czas mojego wspólnego pobytu z więźniem Kistelskim sanitariat więzienny podawał mu do celi i nakazywał robić lewatywę akurat w tym samym czasie, kiedy ja otrzymywałem obiad. (Kistelski, jako chory na diecie, jadł później). Ten tryb postępowania uległ zmianie dopiero wskutek podjętej przeze mnie głódówki.

12. Obowiązek stawiania więźnia przy każdym wejściu do celi któregoś z funkcjonariuszy więziennych był również wobec mnie dyskontowany jako środek szykany. W 1951 i 1953 roku ilekroć siadałem na kibel celem wypróżnienia się bardzo często wchodził zaraz do celi funkcjonariusz więzienny pod byle pozorem, by zmusić mnie do poderwania się z tej pozycji. Brak regulaminu w celi z jednej strony i doraźnie stosowane środki presji z drugiej strony wykluczały odmowę wykonania nawet najbardziej bzdurnych ustnych instrukcji i poleceń.

13. W 1953 roku (lub w początkach 1954) lekarz więzienny dr Kamińska przepisała z własnej inicjatywy i bez mojego zgłoszenia się do niej serię jakichś zastrzyków, podobno wzmacniających. Siostra szpitalna wykonywująca to polecenie, zanim dokonała prostego podskórnego zastrzyku, kłuła mnie igłą wielokrotnie po całym ramieniu lub innej obnażonej części ciała, gnąc przy tym i łamiąc po kilka igieł i narzekając przy tym na wyjątkowo twardą u mnie skórę. Stwierdziwszy po kilku zastrzykach świadomą rozmyślność w postępowaniu siostry, zrezygnowałem z dalszych zastrzyków.

W grudniu 1954 roku przeniesiono mnie do szpitala więziennego jakoby dla zoperowania u mnie tarczycy, z którą rzeczywiście zgłaszałem się przedtem do lekarza. Po przybyciu do szpitala byłem traktowany jako chory na psychonerwozę i niepocztytalność umysłową, przeciwko czemu zaprotestowałem. W szpitalu osadzono mnie we wspólnej celi m.in. z Niemcem, niejakim Erichem Kochem¹¹, którego dolegliwość polegała na nieprzyjmowaniu pokarmu przez żołądek i na wymiotowaniu bądź w trakcie, bądź bezpośrednio po każdym jedzeniu. Ze szpitala wydostałem się z powrotem po trzydniowej głódówce.

14. Nawet tak drobny zabieg jak golenie więźniów był wyko-

11. Erich Koch, gauleiter Prus Wschodnich, Komisarz Rzeszy na Ukrainę, wielkorządca w Okręgu (*Bezirk*) Białystok, sądzony po wojnie w Polsce za zbrodnie wojenne. Przeżywa do dziś w więzieniu w Polsce.

rzystywany do szykanowania. Golący więzień porządkowy (Niemiec) w kilku wypadkach kaleczył mi twarz w takiej skali i takich kierunkach, że nie sposób było traktować to jako zwykłe skaleczenie przy goleniu i nie dostrzec w tym działania z premedytacją. Protestowałem przeciwko temu, odmawiając potem wychodzenia do golenia (które odbywało się w ustępie) przez miesiąc lub nawet dłużej.

W okresie pobytu we wspólnej celi z więźniem Kistelskim w ciągu 7-miu miesięcy — ja byłem golony zgodnie z regulaminem dwa razy w tygodniu żyletką, natomiast Kistelski był „golony” jeden raz w tygodniu maszynką do strzyżenia. Wynikało to zapewne stąd, że dla samopoczucia więźnia przebywającego stale z drugim więźniem na przestrzeni kilku metrów kwadratowych daleko ważniejszy jest widok twarzy towarzysza, niż stan własnej brody i twarzy nigdy nie oglądanych z braku lusterka. Stale zarosnięta broda Kistelskiego w pełni harmonizowała z jego całą wyjątkowo niechlujną i odrażającą sylwetką.

W okresach gdy przebywałem w pojedynczej celi przepis o dwukrotnym goleniu więźnia w ciągu tygodnia był wielokrotnie realizowany co do mnie w ten sposób, że pierwsze golenie выпадаło w piątek po południu, a drugie w niedzielę rano. W kilku wypadkach pierwsze golenie w tygodniu выпадаło nawet w sobotę, a drugie w niedzielę.

15. Przez cały okres pobytu w więzieniu mokotowskim 30-minutowy spacer (w początkowych latach co drugi dzień, następnie codzienny) był bardzo często redukowany przez długie przetrzymywanie mnie w drodze na spacer w ustępach na różnych piętrach pawilonu. Dyktowała to jakoby konieczność rozminięcia się z innymi więźniami, których absolutnie nie wolno mi było zobaczyć nawet z daleka. Protestując przeciwko takiemu spędzeniu czasu przeznaczonego na spacer parokrotnie odmawiałem wychodzenia na spacer przez okresy od trzech do sześciu miesięcy.

16. W kilku wypadkach, gdy protestowałem wobec służby więziennej przeciwko niczym nieuzasadnionemu i złośliwemu zachowaniu się więźniów, osadzonych w celach sąsiadujących z moją celą, byłem przez oddziałowych krępowany w kaftan bezpieczeństwa, a moje usta były zawiązywane szmatą.

17. Do dnia 7. VII. 1955 roku, a więc aż do wyroku, byłem pozbawiony przez okres 6-ciu lat i 9 miesięcy możliwości korzystania z prasy codziennej, pomimo wielokrotnie ponawianych próśb o prasę, składanych na ręce płk. Duszy, mjr. Bienia, mjr. Kaskie-

wicza, wiceprokuratora Majstera oraz innego nieznanego mi z nazwiska wiceprokuratora (który występował jako oskarżyciel w procesie Dlouhego). Temu ostatniemu wiceprokuratorowi zgłosiłem prośbę o prasę w lipcu 1954 roku ustnie w obecności mjr. Kasiewiczza, wiceprokuratorowi Majsterowi zgłosiłem prośbę o prasę na piśmie 12. XII. 1954 roku, a ponowiłem tę prośbę ustnie w styczniu 1955 roku. W czerwcu 1955 roku po otrzymaniu aktu oskarżenia zwróciłem się na piśmie do Sądu Wojewódzkiego dla m. Warszawy o udostępnienie mi prasy. Mimo zgody wyrażonej przez Sąd, władze więzienne dopuściły do mnie pierwszą gazetę dopiero nazajutrz po zapadnięciu i ogłoszeniu wyroku.

18. W ciągu całego pobytu w więzieniu mokotowskim aż do sprawy w sądzie i do wyroku, tj. od 11. XI. 1950 do 7. VII. 1955 roku wszystkie bez wyjątku elementy bytu więziennego (jak pomieszczenie, sąsiedztwo w celi i obok celi, niezbędne warunki do zajęć umysłowych, spanie, wyżywienie, wypróżnianie, spacer, lektura, kąpiel, golenie, pomoc lekarska itd.) były wykorzystywane w stosunku do mnie jako środki nieustannej presji i dręczenia, zastępując w tym okresie w coraz pełniejszym zakresie zmniejszającą się ilość aktów bezpośredniej fizycznej presji, bicia, torturowania i innych maltretacji, które dominowały w poprzednim okresie.

VI. Okłamywanie i wprowadzanie mnie w błąd przez przedstawicieli władzy

1. W początkach 1951 roku zwróciłem się do prowadzącego śledztwo mjr. Bienia Adama z zapytaniem, kiedy zostanie mi wręczony nakaz aresztowania i postanowienie prokuratury, względnie akt oskarżenia, z których mógłbym się wreszcie dowiedzieć, o co jestem obwiniony. Mjr. Bień oświadczył mi w odpowiedzi, że postanowienie prokuratury wkrótce mi okaże, natomiast jeśli chodzi o zakończenie śledztwa i akt oskarżenia, muszę liczyć się jeszcze z okresem jednego do dwóch lat, ponieważ sprawa ma poważne znaczenie polityczne i jest szeroko rozgałęziona.

W październiku 1951 roku na krótko przed moim wystąpieniem w sądzie w charakterze świadka w procesie „Startu” okazało mi pismo Prokuratury Generalnej, przedłużające na kilka miesięcy (zdaje się na sześć) ważność postanowienia o osadzeniu mnie w areszcie tymczasowym, natomiast samego postanowienia nie okazano mi w dalszym ciągu.

2. W dniu 13. X. 1953 roku w związku z upływem 5-ciu lat od chwili pozbawienia mnie wolności podjąłem głodówkę, domagając się nakazu aresztowania, postanowienia prokuratorskiego i aktu oskarżenia. Po trzech dniach absolutnej głodówki mjr Bień przeprowadziwszy rozmowę ze mną, która niczego nie wyjaśniła, zarządził sztuczne odżywianie. Ponieważ stawiałem opór, związane mnie w kaftan bezpieczeństwa, powalono na prycę i rozwieraczem otwarto mi usta, wyłamując przy tym trzy zęby. Następnie dla przedłużenia bolesnego w tych warunkach zabiegu, karmiono mnie przez sondę małą łyżeczką przez z górą 30 minut. Całością zabiegu kierował mjr Kaskiewicz.

3. Po złamaniu w ten sposób podjętej przeze mnie głodówki protestowałem nadal, odmawiając dobrowolnego opuszczania celi i wychodzenia na spacer do dnia 1. II. 1954 roku.

4. Z końcem lipca 1954 roku znów podjąłem głodówkę, domagając się widzenia z prokuratorem. Po kilku dniach (3 lub 4) głodówki zostałem przyjęty w obecności mjr. Kaskiewicza przez nieznanego mi z nazwiska wiceprokuratora (niski lub niżej średniego wzrostu, szczupły, lat 30 kilka, z pochodzenia Żyd, był oskarżycielem w procesie Dlouhyego), któremu zgłosiłem prośbę o akt oskarżenia i o udostępnienie mi prasy do chwili rozprawy sądowej. Onże przedstawiciel prokuratury oświadczył mi, że akt oskarżenia otrzymam już w najbliższym czasie i że z chwilą otrzymania przeze mnie aktu oskarżenia również i sprawa prasy codziennej dla mnie zostanie automatycznie rozwiązana. Wobec tego oświadczenia poprosiłem o bliższe sprecyzowanie terminu i w odpowiedzi usłyszałem, że akt oskarżenia zostanie mi wręczony w ciągu miesiąca, najdalej zaś do 6-ciu tygodni. Po tej rozmowie przerwałem głodówkę dobrowolnie.

5. W dniu 13. X. 1954 roku, w związku z upływem 6-ciu lat od chwili aresztowania, znów podjąłem głodówkę domagając się widzenia z prokuratorem, który wprowadził mnie w błąd. Po kilku dniach głodówki zostałem przyjęty przez nieznanego mi z nazwiska osobnika, którego tytułowano pułkownikiem (tak tytułował go również mjr Bień) i który powołując się na swój autorytet urzędowy i partyjny oświadczył mi, że jest on w mojej sprawie bardziej kompetentny do określenia terminu zakończenia śledztwa i sporządzenia aktu oskarżenia niż prokurator, z którym rozmawiałem w lipcu 1954 roku. Powołując się na swoje urzędowe kompetencje pułkownik oświadczył mi „miarodajnie” (jak sam określił), że akt oskarżenia otrzymam najdalej w ciągu dwóch mie-

sięcy, a zatem na pewno przed końcem roku. Rysopis pułkownika: wzrost — nieco wyżej średniego, ciemny szatyn, wiek ok. 35-40 lat, był obecny przy mojej konfrontacji z Pajorem.

6. W dniu 12. XII. 1954 roku wobec upływu określonego przez pułkownika terminu prekluzyjnego i wobec stale pogarszających się warunków pobytu w więzieniu znów podjąłem głódówkę. W drugim albo trzecim dniu głódówki zostałem odwiedzony w celi przez wiceprokuratora Majstera Macieja, na ręce którego złożyłem zażalenie na stosunki więzienne oraz prośbę o akt oskarżenia, o prasę codzienną i o możliwość skomunikowania się z rodziną. Co do aktu oskarżenia wiceprokurator Majster oświadczył mi, że nastąpiła pewna zwłoka w mojej sprawie, ale że właśnie teraz przystąpił do końcowych prac nad zakończeniem śledztwa i sporządzeniem aktu oskarżenia. Istotnie w kilka dni potem byłem wzywany do niego szereg razy dla spisania ze mnie protokołu zakończenia śledztwa. Co do prasy codziennej i co do zgody na otrzymywanie przeze mnie listów od rodziny, wiceprokurator Majster oświadczył, że te sprawy nie leżą w jego kompetencji, wobec czego polecił mi złożyć w tych sprawach pisemną prośbę na jego ręce, co zaraz (tzn. tego samego dnia) uczyniłem. Co do skargi na stosunki więzienne nie otrzymałem żadnej odpowiedzi, natomiast następnego dnia po bytności w mojej celi wiceprokuratora Majstera zostałem przeniesiony do szpitala więziennego, o czym wyżej pisałem. Ze szpitala wydostałem się po kilku dniach podjętej tam przeze mnie głódówki na znak protestu przeciwko leczeniu mnie na urojoną chorobę i przeciwko panującym w szpitalu stosunkom (m.in. stałe budzenie po nocach, przezrażliwe zimno itp.).

7. W marcu 1955 roku wobec upływu kwartału od zakończenia prokuratorskich dochodzeń i wobec dalej pogarszających się stosunków więziennych, braku prasy i listów od rodziny — podjąłem kolejną głódówkę, domagając się widzenia z prokuratorem. W trzecim lub czwartym dniu głódówki odwiedził mnie w celi wiceprokurator, z którym miałem widzenie w lipcu 1954 roku, oświadczył mi, iż zwłoka z mojej sprawie nastąpiła w związku z sytuacją „polityczną” w kraju, której nie znam, ale że obecnie już wkrótce odbędzie się moja sprawa. Co do prasy, korespondencji z rodziną i warunków więziennych polecił mi napisać i złożyć na jego ręce skargę do Prokuratury Generalnej, co też uczyniłem. Na moje zapytanie wyraził zgodę również na wystosowanie przeze mnie skargi do KC PZPR, co zaraz zrobiłem.

8. Pomimo złożonych skarg i zażaleń nie tylko nie otrzymałem aktu oskarżenia w oznaczonych terminach, nie tylko nie dopuszczano do mnie prasy w dalszym ciągu, nie tylko nie otrzymywałem nadal żadnej absolutnie korespondencji od rodziny, ale co więcej dotychczasowe warunki więzienne uległy dalszemu pogorszeniu. Wobec tego w dniu 12. IV. 1955 roku podjąłem nową z kolei głódówkę, którą kontynuowałem przez 18 dni, tj. do 30. IV. W czwartym lub w piątym dniu głódówki zaczęto sztuczne podkarmianie. Po tygodniu sztucznego odżywiania, aby złamać mój opór, zaczęto mnie wiązać w kaftan bezpieczeństwa, po 10-ciu dniach sztucznego żywienia odebrano mi wszystkie książki i materiały piśmienne. W wigilię 1 maja 1955 roku głódówkę przerwałem.

9. 17. VI. 1955 roku wręczono mi akt oskarżenia. Niezwłocznie zwróciłem się do Sądu Wojewódzkiego dla m. Warszawy o umożliwienie mi kontaktu z rodziną celem wyboru obrońcy bądź o zaoczne rozpatrzenie sprawy. Prosiłem sąd również o udostępnienie mi prasy do czasu rozprawy sądowej. W odpowiedzi, która nadeszła po ok. 10 dniach, Sąd uznał za niezbędny mój udział w rozprawie, nie wysuwając zastrzeżeń co do dostarczania mi prasy i skomunikowania się z rodziną. Pierwszy list od rodziny otrzymałem 24 lub 25 czerwca 1955 roku z rąk mjr. Bienia. Wobec tego, że rozprawa została wyznaczona na 4. VII. 1955 roku, że nazwisko wybranego obrońcy należy zgłosić Sądowi przed rozprawą, że rodzina moja zamieszkuje w odległym punkcie na południu kraju (pow. Limanowa) — praktycznie zostałem pozbawiony prawa do obrony. Obrońca z urzędu reprezentował w wyższym stopniu stanowisko oskarżenia niż tezę obrony i interes oskarżonego.

VII. Korespondencja z rodziną

1. W styczniu 1953 roku kierujący śledztwem mjr Bień Adam z własnej inicjatywy udzielił mi zezwolenia na napisanie listu do rodziny. Ten list, pomimo treści raczej obojętnej dla toczącej się sprawy, nigdy nie dotarł do rąk adresatów. Nie zostałem również zawiadomiony o zatrzymaniu tego listu przez cenzurę więzienną, jak to przewiduje regulamin więzienny.

2. W październiku 1954 roku napisałem powtórnie do rodziny, omawiając w liście głównie stan swojego zdrowia. Ten list został zakwestionowany przez nieznanego mi z nazwiska

pułkownika, o którym pisałem wyżej i który wezwawszy mnie powiedział: „Przecież to samo można napisać w innej, właściwszej formie”. Przepisałem wobec tego list nadając mu inną formę i rozszerzając jego treść. O zakwestionowaniu tego drugiego listu nie zostałem przez nikogo zawiadomiony. Tym niemniej list nie doszedł do rąk adresatów.

3. Mimo braku odpowiedzi na wysłane listy, pisałem następnie kolejne listy w grudniu 1954, w lutym 1955, w marcu 1955 i w kwietniu 1955 roku.

Niektóre z tych listów były mi zwracane do przepisania z powodu nieczytelności (zbyt drobnego pisma), nigdy jednak nie byłem zawiadamiany o ich wstrzymaniu przez cenzurę z powodu treści. Również te listy nigdy nie doszły do rąk tych, dla których były przeznaczone.

4. Z kolei napisałem list w maju 1955 roku, który również został mi zwrócony do przepisania i o którym dopiero w końcu miesiąca dowiedziałem się od mjr. Bienia, że jest za obszerny. Wobec tego w dniu 30. V. 1955 roku napisałem nowy list złożony z kilku zaledwie zdań, który doszedł do rąk rodziców jako pierwszy list ode mnie po 6-ciu latach i 8-miu miesiącach. Oryginał tego listu wręczyłem ob. mecenasowi Winawerowi w dniu 8. V. br.

5. W czerwcu 1955 roku wysłałem następny list, który również nie został zakwestionowany i również nie doszedł.

6. W sierpniu 1955 roku (już po wyroku) napisałem list pod adresem siostry M. Sobockiej, który również nie doszedł mimo braku zawiadomienia o jakichkolwiek zastrzeżeniach cenzury.

7. 23. X. 1955 roku (już z więzienia we Wronkach) napisałem kolejny list do rodziny, który przepadł w analogiczny sposób.

Tak więc na 10 listów pisanych przeze mnie do rodziny przed rozprawą sądową dotarł zaledwie jeden list, zawierający jedynie adres do mnie i to na krótko przed rozprawą. Spośród pozostałych listów tylko co do dwóch zostałem zawiadomiony o zastrzeżeniach władz więziennych. Co do pozostałych siedmiu miałem prawo sądzić, że zostały wysłane i pozostawione przez odbiorców bez odpowiedzi.

Czuąc się przez cały okres śledztwa członkiem Partii i broniąc się według mniemania po partyjnemu, dawałem temu wyraz w swoich listach i z tego stanowiska oceniałem w listach również inne wydarzenia i osoby nie związane z moją sprawą ani po-

średnio, ani bezpośrednio. Dziś mogę przypuszczać, że właśnie taki charakter moich listów zadecydował o ich przetrzymaniu.

VIII. *Szykany w więzieniu karnym Wronki*

1. Od 27. VIII. 1955 do 2. V. 1956 roku, tj. do zwolnienia, przebywałem w więzieniu Wronki, gdzie od końca września 1955 roku podlegałem analogicznym szykanom jak w więzieniu mokotowskim w końcowym okresie, tzn. przede wszystkim na drodze akustycznej¹².

W końcu września 1955 roku, stwierdziwszy po kilkunastu dniach, że odgłosy wywoływane w mojej celi we dnie i w nocy nie mogą być następstwem normalnego zachowania się więźnia osadzonego w celi nade mną i mają charakter tendencyjnej i złośliwej szykany, wobec bezskuteczności interwencji u służby więziennej podjąłem głodówkę, pisząc jednocześnie skargę do Centralnego Zarządu Więziennictwa M.S.W. Zostałem wówczas przyjęty przez naczelnika więzienia, który zdecydował przesunięcie mnie do innej celi położonej na IV-tym, a więc na najwyższym piętrze pawilonu. Pomimo że nad tą celą znajdował się już tylko strych, uderzenia w sufit, zgrzyty i inne podobne przykre odgłosy stamtąd rozlegały się nadal, a od 21. XI. 1955 roku aż do ostatniego dnia pobytu w więzieniu ze wzmożoną siłą. Podobnie jak na Mokotowie, byłem odtąd nieustannie dręczony we dnie i w nocy również przez głośnie stukanie w ściany, w drzwi, w rurę grzejną, przez rozgłośnie trzaskanie drzwiami i oknami w bezpośrednim sąsiedztwie celi itd.

W związku z tym w dniu 24. XI. 1955 roku wystosowałem obszerną skargę do KC PZPR na ręce I sekretarza B. Bieruta¹³.

12. Nie można wykluczyć, że były to halucynacje słuchowe wyczerpanego do ostatnich granic więźnia. Niektórzy twierdzą, że Władysław Gomułka miał w więzieniu w Miedzeszynie podobne halucynacje słuchowe (tykanie zegarów). W grudniu 1954 został on przeniesiony do szpitala.

13. Jesienią 1954 roku kilkunastu (może kilkudziesięciu) więźniów, głównie dawnych członków KPP i PPR, zostało zwolnionych. Był to niewątpliwie skutek rewelacji ppłk. J. Świątło w radiu Wolna Europa. Odbędzie się pod koniec listopada (czy też w początku grudnia) narada aktyw partyjnego i zostało rozwiązane MBP. W styczniu 1955 r. odbyło się III Plenum KC PZPR, na którym zostały ujawnione i potępione nadużycia w organach bezpieczeństwa i Informacji. Podjęto na ten temat odpowiednią uchwałę. Ale większość więźniów politycznych nadal przebywała w zakładach karnych. Wł. Lechowicz, który w lipcu 1955 skazany został na 15 lat więzienia, otrzymywał już prasę i orientować się musiał, że nastąpił czas, gdy można wystąpić ze skargą na władze więzienne i z żądaniem rewizji procesu.

W tymże dniu wniosłem prośbę do Sądu Najwyższego o rewizję mojej sprawy. Dnia 29. XI. 1955 roku zwrócono mi tę prośbę z uwagą, że Sąd Najwyższy zwrócił ją jako „nie nadającą się do wysłania”. Odmówiłem przyjęcia zwrotu, a w dniu 2. XII. 1955 roku zwróciłem się ponownie do Sądu Najwyższego z podtrzymaniem prośby z 24. XI. 1955 roku.

Wobec wzmagających się szykan akustycznych, które uniemożliwiały mi wykonywanie w celi z pożytkiem jakichkolwiek zajęć umysłowych i możliwość skupienia się choćby przez chwilę, wywoływały bóle głowy a w nocy uniemożliwiały sen, w dniu 30. XII. 1955 roku podjąłem głodówkę, pisząc jednocześnie skargę na warunki więzienne do Prokuratury Generalnej i do Centralnego Zarządu Więziennictwa. Po 6-ciu dniach głodówki zostałem 5. I. 1956 roku odkarmiony sztucznie przy użyciu przemocy, tzn. po zakuciu mnie w kajdanki. Po dwukrotnym sztucznym odkarmieniu przerwałem głodówkę, pisząc jednocześnie 6. I. 1956 roku prośbę do Sądu Najwyższego o wzięcie mnie w obronę przed samowolą władz więziennych. W dniu 1. III. 1956 roku podano mi do wiadomości odpowiedź Prokuratury na skargę z 1. I. 1956 roku. Moja skarga została uznana przez Prokuraturę za nieuzasadnioną. Po złamaniu głodówki protestowałem nadal przeciwko stosowanym szykanom, odmawiając całkowicie dobrowolnego opuszczania celi, m.in. wychodzenia na spacer (od 19. XI. 1955 do 14. IV. 1956), do łaźni itp. Na żądanie naczelnika więzienia dwukrotnie składałem na jego ręce oświadczenia pisemne z podaniem szykan, przeciwko którym protestując nie opuszczałem celi. Pierwsze oświadczenie złożyłem w styczniu br., a drugie 8. IV br.

W dniu 12. X. 1955 roku pod wieczór zostałem przeniesiony nieoczekiwanie z III pawilonu do szpitala więziennego. Tu zostałem poinformowany przez służbę sanitarną, że zostanie u mnie przeprowadzona operacja na tarczycę, którą istotnie zalecał mi przedtem lekarz więzienny. Ze względu na mój stan psychiczny jak i ze względu na warunki które zastałem w szpitalu, oświadczyłem lekarzowi szpitalnemu — więźniowi, że na razie nie zamierzam poddać się operacji i prosiłem o przeniesienie mnie z powrotem na pawilon. W dniu 13. X. 1955 roku zjawił się w celi szpitalnej naczelnik więzienia Grabowski, który polecił komendantowi pawilonu szpitalnego osadzić mnie do jego dyspozycji w celi nr 3 gmachu szpitalnego. Był to karcer położony w suterenie gmachu pod łaźnią szpitalną i obok ustępów, ciemny, niski i wilgotny. Znajdował się tu tylko siennik leżący wprost na podłodze i stale wilgotny. Po jakimś czasie wstawiono również

stolik. W celi nr 3 byłem trzymany przez dwa tygodnie, tj. od 13 do 27. X. 1955 roku. Właśnie w tym czasie zapadłem na ostrą gripę i w następstwie na przewlekłe ropne zapalenie ucha środkowego, które spowodowało u mnie prawie całkowitą utratę słuchu w prawym uchu.

Podpisano LECHOWICZ

Władysław MICHNIEWICZ

MONTE CASSINO W ŚWIELE DOKUMENTÓW

Pomimo upływu 40-tu lat boje 2-go Korpusu o skalny masyw Monte Cassino nie zostały jeszcze opracowane z należnym naukowym pietyzmem. Dwa „urzędowe”, z wielkim opóźnieniem wydane opracowania historyczne: „Działania 2-go Korpusu we Włoszech” — Tom I (rok 1963) i „Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej” — Tom II, część 2-ga (rok 1975) — nie wyczerpują tematu ani nie są pisane bezstronnie. Przewlekła i hałaśliwa polemika prasowa na temat Monte Cassino, jaka w latach sześćdziesiątych toczyła się na emigracji i w kraju, merytorycznie niczego nowego nie wniosła.

Opracowanie z roku 1975 — jak dowodzą „Źródła” na str. 387 — zostało skonstruowane jako kompilacja, bez wykorzystania znajdujących się pod ręką w Londynie materiałów archiwalnych. O tragicznym kryzysie, jaki po południu 12 maja 1944 roku zapanował na froncie i we wszystkich dowództwach 2-go Korpusu, pisze się zdawkowo i zagadkowo, bez podania najistotniejszych chociażby faktów — str. 372.

Zaś opracowanie z roku 1963 — str. VIII „Wstępu” — tłumaczy swe braki lukami w niekompletnych i przerzedzonych archiwach Korpusu. Z tych to jakoby względów opracowanie nie przytacza w pełnym brzmieniu podstawowych rozkazów bojowych ani D-twa Korpusu, ani podległych mu Dywizji, ani Brygad, co wyklucza przyszłe studia wojskowe nad kampanią włoską roku 1944.

W swoim czasie wziąłem udział na łamach *Wiadomości* londyńskich w polemice na temat Monte Cassino; gdy postanowiłem

rzucić na szalę odpowiednie dowody dokumentalne, ich łaskawy dostawca ostrzegł mnie wcale niedwuznacznie: „W każdym razie pozwalam sobie przypomnieć nasze porozumienie, aby nie publikować artykułów szkodzących swą jednostronnością dobremu imieniu 2-go Korpusu” (Płk St. Biegański do W.M. dnia 24. 2. 1966). Po czym nastąpiła wymowna przerwa w korespondencji.

Po upływie 18-tu lat, na pięć minut przed godziną 12-tą mojego życia, postanowiłem ujawnić na raty zatajone czy podfałszowane dokumenty na temat walk 2-go Korpusu o górski masyw Monte Cassino:

— Załącznik nr 1 — L.dz. 850/Op/Tjn/44, podpisany przez gen. Andersa „Plan działań zaczepnych” z 30 kwietnia 1944 roku, gdzie między innymi na str. 2 są dorobione powojenne wstawki do punktów „Współdziałanie” i „Różne”, przy równoczesnym usunięciu punktu „Terminy”, gdzie były podane taktycznie nie-realne godziny:

- a) Dzień „D” jest dniem rozpoczęcia działań i będzie podany dodatkowo.
- b) Godz. 23.00 (godz. „H”) rozpoczęcia zwalczania art. npla.
- c) Godz. 01.00 data „D” plus 1 — wyruszenia natarcia piechoty.
- d) Godz. szturm na wzg. 593 — 01.30.
- e) Godz. szturm na grzbiet WIDMO i GARDZIEL pomiędzy grzbietem Widmowym a grzbietem 596-593 — godz. 01.45.

— Załącznik nr 2 — Dz.Dz. 34/Inf.O/tj./44, podpisany przeze mnie *Komunikat Informacyjny* Nr 14 z godz. 18.00 dnia 12 maja 1944, ma czołowe dwie strony do gruntu przerobione bez mojej wiedzy, wskutek zbyt krytycznej oceny sytuacji i tych samych działań zaczepnych w dniach 11-12 maja. Kamieniem obrazy był zwrot tyżący braku współdziałania pomiędzy działającymi w jednym wycinku ogniowym dwiema dywizjami, nacierającymi jedna na wzg. 593, druga — na WIDMO.

Wszelkie niewczesne zmiany w Zał. nr 2 można łatwo stwierdzić, odwołując się wprost do archiwów angielskich. Bowiem podczas akcji 2-gi Korpus i jego jednostki składały odpisy wszystkich swoich rozkazów na ręce angielskich oficerów łącznikowych, zjednoczonych w podlegającej 8-ej Armii 26 *British Liaison Unit* przy D-twie 2-go Korpusu. Dlatego więc apeluję do zamieszka-

łych w Londynie miłośników historii o wszczęcie poszukiwań w archiwach angielskiej 8-ej Armii wszelkich poloników.

— Załącznik nr 3 — stron 8 — Meldunek z 6. 6. 44 ppłk. L. Domonia, dowódcy odwodowego baonu 18-go, o przebiegu akcji w dniach 11-24 maja na odcinku 5-ej Dywizji, *nota bene* trzeciego z kolei meldunku, bowiem poprzednich dwóch nie udało się odszukać w Instytucie im. gen. Sikorskiego w Londynie.

— Załącznik nr 4 — stron 2 — zestawienie podsłuchanych w dniu 12 maja rozmów radiowych 1-ej i 5-ej polskich Brygad.

— Załącznik nr 5 — strona 1 — odpis listu płk. Domonia do W.M. z dnia 10. 5. 1966.

— Załącznik nr 6 — strona 1 — odpis listu płk. Domonia do W.M. z dnia 3. 11. 1966.

— Załącznik nr 7 — stron 2 — odpis listu gen. Skowrońskiego do W.M. z dnia 2. 4. 1959.

Władysław MICHNIEWICZ

Załącznik nr 1

DTWO POLSKIEGO KORPUSU
ODDZIAŁ OPERACYJNY
L.Dz. 850/Op/tj/44

ŚCIŚLE TAJNE — HONKER

Mp dnia 30 kwi 44.
EGZ. NR 21

PLAN DZIAŁAŃ ZACZEPNYCH

CZĘŚĆ I

(Potwierdzenie rozkazów, wydanych na odprawie Dców WJ i Dców Broni w dniu 25 kwi 1944.)

Mapy: 1:25.000 WŁOCHY

arkusze: 160 — I SE SW, II NE SE SW NW,
— III NE SE, IV SE

ZADANIE.

Odizolować rejon WZGÓRZA KLASZTORNEGO CASSINO od PNC i PNC ZACH i uzyskać panowanie nad drogą Nr 6, do czasu uzyskania łączności z 13 Korpusem.

Natrzeć i zdobyć wzgórze klasztorne.

ZAMIAR.

Zwartym natarciem Korpusu po osi COLLE MATOLA — MASSA ALBANETA przełamać obronę npla na kompleksie górskim MONTE CASSINO. Opanować i utrzymać jego PŁD ZACH stoki, przez co zapewnić własną obserwację i działanie ogniem w dol. rz LIRI, oraz izolację Klasztoru MONTE CASSINO.

Następnie uderzyć i zdobyć Klasztor z kier. PNC ZACH.

Działanie to ubezpieczyć i osłonić:

- (a) przez utrzymanie obroną grzbietu IL CASTILLONE, oraz neutralizowanie źródeł ognia npla na PASSO CORNO i grzbiecie schodzącym zeń na PŁD;
- (b) przez ciągłe obezwładnianie obrony Klasztoru do momentu wyjścia nań bezpośredniego natarcia.

ZADANIA WIELKICH JEDNOSTEK. Wykonanie.

A). 5 KDP bez baonu + Karp P Uł + szwadron czołgów.

Zadanie:

Opanować grzbiet COLLE S. ANGELO — 575 — 505 — 452 — 447, na którym bezzwłocznie zorganizować silną obronę, zapewniającą własną obserwację i możliwość działania ogniem w dol. rz LIRI, a w szczególności na drogę Nr 6 i dol PIEDI-MONTE.

Osłaniać od PNC i ZACH działania 3 DSK na Klasztor.

Osłonić natarcie Korpusu przez utrzymanie obroną grzbietu M. CASTELLONE, oraz przez współudział w neutralizowaniu przez artylerię źródeł ognia npla na PASSO CORNO i grzbiecie schodzącym z niego na PŁD.

B). 3 DSK + szwadron czołgów.

Zadanie:

Natarciem równoczesnym z natarciem 5 KDP opanować MASSA ALBANETA, 468 i grzbiet 593 — 569, jako podstawy do natarcia na Klasztor MONTE CASSINO.

Następnie uderzyć na Klasztor po osi MASSA ALBANETA — 468 — klasztor 516. Osłonić to natarcie przez kolejne oczyszczanie od npla oraz organizowanie się obronnie na PŁD ZACH stokach wzgórza MONTE CASSINO (374 — 375 — 453).

Po wyruszeniu natarcia na klasztor MONTE CASSINO, jeden baon przejdzie do odwodu Korpusu.

C). Odwód Korpusu.

1. Zastrzeżony baon 5 KDP w rejonie PORTELLA od nocy D-1/D.
2. Zastrzeżony baon z 3 DSK od wyruszenia natarcia na Klasztor.

Przewidywane rozmieszczenie w rej. „WIELKIEJ MISKI” na WSCH stokach grzbietu 596.

3. 4 Pułk Pancerny bez dwóch szwadronów w rej. S. MICHELE.

Przewidywane użycie:

(a) dla wzmocnienia Wielkich Jednostek

(b) dla ewentualnej osłony PNC skrzydła Korpusu.

WSPÓŁDZIAŁANIE.

- 1). Pierwszym przedmiotem natarcia Korpusu jest
— grzbiet S. ANGELO, grzbiet 575 — 505 — 452 — 447, grzb. 593 — 569 — (MASSA ALBANETA) — 468.
Drugim przedmiotem jest
— Klasztor MONTE CASSINO.
- 2). Wyruszenie do natarcia obu WJ na pierwszy przedmiot — jednocześnie. 3 DSK powinna opanować swój pierwszy przedmiot (593 — MASSA ALBANETA), zanim natarcie 5 KDP zejdzie z grzbietu „WIDMOWEGO” (PHANTOM RIDGE). Zapobiegnie to flankowaniu natarcia 5 KDP ze wzg 593 i MASSA ALBANETA.
Dcy natarć uzgodnią sprawę styku między natarciami i wydzielą oddziały styczności.
- 3). Natarcie na drugi przedmiot Korpusu, tj. natarcie 3 DSK na Klasztor wyruszy po usadowieniu się 5 KDP na jej przedmiocie natarcia.
Natarcie to może nie mieć warunków dostatecznego wsparcia artylerii.
Podstawą wsparcia ogniowego będą wówczas moździerze.
W tej fazie 5 KDP wesprze to natarcie *gros* swoich moździerzy 4,2”, o ile w tym czasie nie będzie miała na sobie przeciwnatarć piechoty npla.
5 KDP prześle również swoje miotacze ognia 3 DSK dla natarcia na Klasztor.
- 4). Użycie czołgów.
Przydzielone szwadrony czołgów mogą być użyte:
(a) do wsparcia piechoty przy zdobywaniu MASS ALBANETA;
(b) do wzmocnienia od świtu obrony piechoty na zdobytych przedmiotach;
(c) do wsparcia natarcia 3 DSK na Klasztor.
Wprowadzenie czołgów na pole walki zostaje powierzone Zcy Dcy 2 Bdy Panc. Pierwszeństwo przy wprowadzeniu ma 5 KDP z wyjątkiem czołgów biorących udział w natarciu na MASS ALBANETA.
- 5). Dca Art. Korp. wydał za Ldz 545/Opart plan ogni art i moździerzy 4,2”, na wypadek, gdyby npl. rozpoczął ogień zapobiegawczy na własne oddziały skupione w rejonach wyjściowych do natarcia.

- 6). Podkreślam wagę dokładnego przygotowania w terenie rozmieszczenia i ukrycia oddziałów w rejonach wyjściowych, oraz ich wprowadzenia na podstawy wyjściowe.

RÓŻNE.

- 1). Rozgraniczenie między natarciami G 850234 — G 843232 — G 833220 — 830216 i dalej dnem parowu do pktu G 830200.
- 2). Dzień „D” i godzina „O” będą podane dodatkowo.
- 3). Dążyć do ukończenia przygotowań do natarcia do dnia 8 maja 44.
- 4). Wprowadzenie oddziałów do rej. wyjściowych na mój rozkaz.
- 5). Plan Operacyjny uzupełniają:
 - (a) Ocena npla (w załączeniu) i Komunikaty Informacyjne Oddziału Informacyjnego Korpusu.
 - (b) Projekt użycia artylerii — Dtwo Art Korp Ldz 516/OP/sc.tj/44. z dnia 25 kwi 44.
 - (c) Plan organizacji łączności — Dtwo W Łączności Korp Ldz. 1768/tj/łącz z dnia 30 kwi 44.
 - (d) Plan użycia Saperów — Dtwo Saperów Korpusu Ldz. 898/Sap z dnia 30 kwietnia 44.
 - (e) Plan Kwatermistrzowski — Kwatermistrz Korpusu Ldz. 2255/Kwat/tj z dnia 30 kwi 44.
 - (f) Plan zadymiania za Ldz 852/Op/tj/44.
- 6). Łączność z sąsiadami. Dcy WJ nawiążą łączność z dcami WJ sąsiednich i wymienią oficerów łącznikowych z sąsiadami i między sobą.

DCA 2 POLSKIEGO KORPUSU
(—) ANDERS, gen. dyw.

Rozdzielnik:

	egz. nr.
Dca 3 DSK	1. — 2.
Dca 5 KDP	3. — 4.
Dca 2 Bdy Panc	5. — 6.
Dca Gpy Art	7.
Dca Art Korp	8.
Dca Sap Korp	9.
Dca W Łączn Korp	10.
Kwat Korp	11.
I Zca Kwat Korp	12.
Szef O Inf Korp	13.
Szef O Sł Szt	14.
Szef O Op Korp	15. — 19.
Of do Spr Lotn.	20.
Dziennik Dz	21. — 22.
Zapas	23. — 27.

W tłumaczeniu angielskiem:

	egz. nr.
Tac Eighth Army	1. — 2.
Main Eighth Army	3. — 6.
Rear Eighth Army	7.
10 Corps	8.
13 Corps	9.
1 Cdn Corps	10.
26 BLU	11. — 12.
Oddział Op Korp	13. — 14.

Do Oddziału Oper Pol Korp

Mp dnia 44. godz

Potwierdzam odbiór Planu Działań Zaczepnych Część I i II
Ldz. 850/op/tj/44 z dnia 30 kwietnia 1944, egz Nr

podpis
jednostka



Załącznik nr 2

DOWÓDZTWO 2. KORPUSU
SZTAB — ODDZ. INF.
Dz.Dz. 34/Inf-O/tj/44.

M.p., dnia 12. V. 1944 r.
Godz. 19.00

TAJNE!

ZNISZCZYĆ PO WYKORZYSTANIU

KOMUNIKAT INFORMACYJNY NR 14
W/g wiadomości otrzymanych do dnia 12. V. 1944 r. godz. 18.00

DOKUMENT TEN NIE POWINIEN SIĘ ZNALEŻĆ W ORYGI-
NALE LUB ODPISACH PONIŻEJ SZTABU BRYGADY
(ARTYLERII DYWIZYJNEJ)

OGOŁ OFICERÓW Z TREŚCIĄ KOMUNIKATU INFORMOWAĆ
W ZAKRESIE POTRZEBNYM NA ODPRAWACH BATALIONO-
WYCH, NA KTÓRE NALEŻY DELEGOWAĆ OFICERA ZE
ZE SZTABU BRYGADY

1. SYTUACJA.

A. Na ziemi.

Na własnym froncie:

Ofensywa na froncie 8. i 5. Armii rozpoczęta dnia 11. V.
godz. 23.00 zasadniczo nie była dla NPL-a zaskoczeniem.

NPL od dłuższego czasu poprawiał swoje stanowiska oraz
gromadził odpowiednie siły przeznaczając do obrony kom-
pleksu CASSINO zreorganizowaną i wzmocnioną uzupełnie-
niami 1. Dyw. Spadochron., wzmocnioną poza tym innymi od-
działami z 100. Pułku Strz. Górskich.

Silne wypadki nocne, jakie wykonywał NPL od pewnego
czasu, powtórzone przez niego na stanowiska 12. Pułku Uła-
nów jeszcze w noc 11/12. V., tj. już w czasie trwania przy-
gotowania artyleryjskiego, nie dały mu jeńca; niemniej jed-

nak NPL wiedział o obecności oddziałów polskich na wzg CASTELLONE, czego dowodzi fakt wyrzucenia ulotek propagandowych w języku polskim w dniu 11. V. 1944 r.

Termin natomiast naszego natarcia całkowicie zaskoczył NPL-a — bowiem, jak obecnie z zeznań jeńców wynika — w noc 11/12. V. było przewidziane luzowanie oddziałów 100. Pułku Strz. Górskich przez spadochroniarzy — co dało NPL-owi możliwość użycia dużych stosunkowo odwodów do przeciwnatarć.

Natarcie własne wyruszyło zgodnie z planem i doprowadziło do zdobycia:

- przez oddziały 3. D.S.K.: wzg 593 i 569 — około godz. 02.30,
- przez oddziały 5. K.D.P.: wzg WIDMOWEGO (PHANTOM) — około godz. 05.30.

Wzięto jeńców.

Po silnych przeciwwuderzeniach NPL-a na wzg 569 i 593, z których szóste z kolei wykonał NPL około godz. 11.00 — oddziały 3. D.S.K. wycofały się ze wzg 569 i ze wzg 593, pozostawiając na tym ostatnim jedynie patrole.

Również silne przeciwnatarcia z kierunku najpierw VILLA S. LUCIA (godz. 13.15) i następnie z kierunku MASS ALBANETA z czołgami (godz. 15.45) — zepchnęły oddziały 5. K.D.P. ze wzgórza WIDMOWEGO. Sytuacja na tym kierunku została opanowana na podstawach wyjściowych do natarcia.

Oddziałom 5. K.D.P. od świtu poważnie dawał się we znaki ogień art. NPL-a, strzelającej z rejonu BELMONTE - ATINA.

Obecność oddziałów spadochroniarzy przeznaczonych do luzowania 100 Pułku Strz. Górskich pozwoliła NPL-owi wykonać silne przeciwnatarcia, które zlikwidowały nasze początkowe sukcesy.

OCENA NPL-a.

NPL uporczywie broni kompleksu MONTE CASSINO całą 1. Dywizją Spadochronową wzmocnioną w tej chwili 100 Pułkiem Strz. Górskich.

SILY NPL-a.

- 8 baonów dywizji spadochronowej plus baon C.K. (z czego obecnie około 2-3 baony w m. CASSINO jest związane przez XIII. Korpus), oraz
- minimum dwa baony 100 Pułku Strz. Górskich.

W dalszych działaniach należy nadal oczekiwać przeciwnatarć większych oddziałów piechoty NPL-a.

U sąsiadów:

Natarcie naszego sąsiada PŁD natrafiło na zaciekły opór NPL-a.

Po całonocnych walka ustalono przyczółki na rz. RAPIDO, które następnie poprawiono szczególnie na odcinku PNC, tj. między m. S. ANGELO (G 8616) a szosą Nr 6, gdzie oddziały Sprzymierzone doszły do drogi, prowadzącej z m. S. ANGELO do m. CASSINO.

Dziś rano NPL przeciwnacierał z rejonu m. S. ANGELO w kierunku PNC-WSCH dla odzyskania utraconych pozycji. W przeciwnatarciu tym wzięły również udział nieliczne czołgi NPL-a.

Na podstawie dotychczasowych identyfikacji można już ustalić ogólnie O. de B. NPL-a znajdującego się w dolinie między rz. LIRI a szosą Nr 6.

Mianowicie:

- pomiędzy ujściem rz. LIRI do rz. GARI a m. S. ANGELO włącznie, walczy 576 Pułk Gre. (Grupa „BODE”) prawdopodobnie z dwoma batalionami w pierwszej linii,
- dalej na PNC, aż do szosy Nr 6 wyłącznie — 115 Pułk Panc. Gren. również prawdopodobnie z dwoma batalionami w pierwszej linii.

Na razie nie wiadomo, kto broni odcinka naprzeciwko st. CASSINO, są jednak przypuszczenia, że baon C.K.M. z 1. Dyw Spadochron. mógł być zluzowany przez inne oddziały, prawdopodobnie przez II Baon 104 Pułku Panc. Gren.

Brak jeszcze szczegółów z przebiegu działań na froncie 5. Armii. Pierwsze wiadomości podają o dużym oporze Niemców na całym froncie.

W ciągu nocy oraz dziś rano wyszły kilkakrotne przeciwnatarcia, m.in. na MONTE FAITO (G 8504), które zostało odparte.

B. W powietrzu.

Poza meldowanym przez 5 K.D.P. przelotem 12 bombowców NPL-a, które następnie wykonały atak na odcinek XIII. Korpusu — większych formacji samolotów NPL-a na odcinku 2 Polskiego Korpusu nie zaobserwowano.

Godz. 07.40 jeden samolot NPL-a zrzucił bombę w rej. G. 8525.

Godz. 14.10 3 samoloty NPL-a zrzuciły kilkanaście małych bomb w rej. G 9021 oraz 3 bomby w rej. D-twa 3 D.S.K.

Godz. 14.20 te same samoloty zrzuciły 3 bomby na Pośr. Ośrod. Łączn. (G 9422).

Godz. 13.40 1 samolot zrzucił 3 bomby w rej. p.o. Dowódcy 5 K.D.P.

Przelot 1 FW 190 meldowano w rej. 6 L.B.P. Strat własnych nie meldowano.

Z powyższego wynika, że NPL może dysponować b. małym wysiłkiem własnego lotnictwa, lecz umiejętnie go używa dla atakowania czułych miejsc strony przeciwnej.

Własne lotnictwo wsparcia wykonało ataki mające bezpośredni wpływ na pole walki (8. i 5. Armie).

Ogółem od świtu do godz. 17.00 myśliwce bombardujące wykonały około 700 lotów, lekkie bombowce — 60 i średnie bombowce — około 200 lotów.

Na żądania wyłącznie na korzyść jednostek 2 Polskiego Korpusu z powyższego wykonano — 88 lotów, myśliwce bombardujące na stanowiska artylerii NPL-a (w rej. ATINA - S. BIAGGIO - BELMONTE) — 20 lotów na stanowiska moździerzy, — 12 lotów dla zwalczania przeciwnatarć NPL-a oraz 24 lotów bombowców na stanowiska art. (w rej. ATINA). 24 samoloty wykonały o godz. 09.34 atak bombowy na klasztor MONTE CASSINO (wiele bomb trafnych).

2. *METODY NPL-A.*

W VILLA S. SEBASTIANO (G 4381) znajduje się specjalny ośrodek badania jeńców, znany jako Kdo FRITZ, gdzie wysyłani byli jeńcy, od których spodziewano się uzyskać ważniejszych wiadomości. W ośrodku tym wyszukuje się ludzi, którzy chcą współpracować z Niemcami — zaopatrując ich w odpowiednie wiadomości i instrukcje i umieszcza się wśród jeńców wojsk Sprzymierzonych z poleceniem wydostania potrzebnych informacji.

Zbiegły jeńiec zeznał, że badanie na szczelu pułku jest powierzone.

Był on po raz pierwszy badany dokładnie w SULMONA w dużym obozie jeńców leżącym poza miastem; obóz ten został zamknięty i wszyscy jeńcy w liczbie 1.200 zostali przewiezieni do AQUILA. Inny obóz znajduje się w klasztorze koło FIUGGI (F 3555).

(Źródło: Kom. Inf. 8. Armii Nr 717).

Zostało stwierdzone, iż radiostacje NPL-a włączają się we własną sieć dowodzenia.

Przestrzega się wszystkie obsługi radiostacji o obowiązku sprawdzania tożsamości przy nawiązaniu korespondencji.

(Źródło: Informacje z Dtwa Wojsk Łączn. 2 Korpusu).

3. *IDENTYFIKACJA I DYSLOKACJA NPL-A.*

1. *Dyw. Spadochron.*

3. *Pułk Spadochron.*

Jeńcy wzięci z 1. Komp. w rejonie pkt 593 (G 8321).
Stanowiska kompanii na WSCH od MASS ALBANETA i na
PNC od drogi MASS ALBANETA — klasztor CASSINO.

— I/3 prawdopodobnie na PŁD-WSCH od MASS ALBANETA

— II/3 prawdopodobnie na PNC-ZACH od MASS ALBANETA.

5. *Dyw. Górska.*

100 *Pułk Strz. Gór.*

Jeńcy wzięci z 6, 7 i 9 Komp. w rejonie G 8223 i G 8322.

— II/100 prawdopodobnie w rejonie COLLE SAN ANGELO.

— I/100 prawdopodobnie dalej na PNC na górze CORNO.

4. *DYWERSJA I SABOTAŻ.*

W jednym ze składów amunicji do moździerzy został podłożony w noc 10/11. V. lont palący się.

Palący się lont w porę zauważono i unieszkodliwiono.

Dochodzenia prowadzi Sekcja Bezp. 3 D.S.K.

SZEF ODDZ. INF. KORPUSU
MICHNIEWICZ, pptk dypl.

Rozdzielnik:

Jak w Kom. Inf. Nr 1.



Załącznik nr 3

ODPIS z fotokopii.

M.p. dnia 6 czerwca 1944 r.

Pptk dypl. Domoń Ludwik
DOWÓDCA 18 Baonu L.S.

Zał. 3

Meldunek o przebiegu akcji
18 Baonu 11-24. V. 1944 r.

Dla celów historycznych

DOWÓDCA 5 KRESOWEJ DYWIZJI PIECHOTY
W miejscu postoju
(Drogą służbową)

Na rozkaz Dowódcy 5 KDL L.dz. 694/6/Op tjn. z dnia 20. V. 44. melduję, że działania 18 Baonu L.S. od 11 do 24. V. 44 miały przebieg następujący:

21. V. o godz. 21.00 po uprzedniej odprawie wszystkich oficerów Baonu i przydzielonych w rejonie „C” (wyczekiwanie baonu) wyszły:

- a) Plut. strzel. z patrolem sap. pod dowództwem ppor. Pustkowskiego z zadaniem osłony lewego skrzydła dla natarcia 15 B.S. na wzg. 575.
- b) 3 patrole ścieżkowe w nakazanym składzie pod dowództwem oficerów z trzech kompanii czołowych (1, 4 i 3).
- c) patrol przewodników na podstawie wyjściową pod d-twem ppor. Hostyńskiego.
- d) centrala telefoniczna i 3-y kompanijne patrole łączności, które miały za zadanie posuwać się z patrolem ścieżkowym 4-ej komp., by po opanowaniu wzg. WIDMO przez 15 B.S. zainstalować mi tam centralę i wyprowadzić linie telefoniczne kompanii.

Oddziały te dołączyły do 15 B.S. i w/g nakazanego porządku poszły za 15 B.S. na podstawę wyjściową.

12. V. godz. 01.00, 18 Baon wymaszerował z rejonu „C” nakazaną drogą, ugrupowany już w związki taktyczne z poczem D-cy Baonu na czele. W czasie przemarszu Baonu, tuż za m.p. 5 W.B.P. znalazłem przy drodze leżących rannych dwóch dowódców patroli ścieżkowych, ppor. Łosakiewicza z 1 komp. i ppor. Przybylskiego z 4-ej komp., których nakazałem sanitariuszom opatrzyć i ewakuować.

Następnie spotkałem ppor. Hostyńskiego, d-cę oddziału przewodników, który mi zameldował, że 2 patrole ścieżkowe są rozbite ogniem art. i moździerzy NPLa na tej drodze, że są ranni i zabici. Ppor. Hostyński poprowadził mnie na podstawę wyjściową, na której nie znalazłem już oddziałów 15 B.S. Baon posuwał się pod ciągłym, silnym ogniem art. NPLa i moździerzy.

Godz. 01.45: Baon zajął podstawę wyjściową. W pobliżu znalazłem przypadkowo telefon (wysunięta centrala 5 W.B.P.), skąd nawiązałem łączność z d-cą 5 EBP, zameldowałem sytuację, tj., że nic nie wiem, gdzie są oddziały 15, 13 B.S. i 3 DSK, gdyż połączenia z nimi są porozrywane, a ponieważ ogień art. i moździerzy NPLa a ja miałem rozkaz ruszyć z podstawy wyjściowej dopiero o godz. 03.00, więc prosiłem dowódcę 5 WBP, by mi pozwolił pójść naprzód na linię obrony 14 B.S., gdzie obserwowałem znacznie mniejsze nasilenie tego ognia, a poza tym chciałem zbliżyć się do 15 B.S. dla udzielenia mu ewentualnej pomocy w walkach nocnych w krzakach bez łączności.

D-ca 5 WBP zgodził się na te propozycje i ja, wróciwszy do Baonu, wydałem odnośne rozkazy d-comp. i mojemu zastępcy, kazałem wysłać patrol łącznikowy do najbliższego oddziału 3 DSK, by się dowiedzieć o sytuacji i podać im swoją, oraz drugi patrol wprzód dla nawiązania łączności z 15 B.S. i odnalezienia centrali telefonicznej i kompanijnych patroli łączności, które mi były wobec niejasnej sytuacji na gwałt potrzebne. Gdy wróciłem na swój posterunek bojowy, dowiedziałem się, że d-ca plutonu łączności jest zabity. Adiutant Baonu, oficer informacyjny, 2-ch oficerów łącznikowych art. z 4 PAL, oficer

łącznikowy moździerz i około 8-iu szeregowych są ranni. I ewakuuję ich do pkt. opatrunkowego. Adiutant i of. inf. są lekko ranni i po opatrzeniu wyrażają chęć pozostania na stanowiskach. Sytuację tę zameldowałem również d-cy 5 WBP i pomaszerowałem z pocztem na linię obrony 14 B.S.

Około godz. 03.00 wszedł Baon dwiema ścieżkami na linię obrony 14 B.S. i tu nawiązałem łączność z oddziałem 15 B.S. przez swego d-cę 3-ej komp., który maszerując na czołe wysunął ścieżką naprzód na pozycję obronną 14 B.S. (kpt Pawulski), który zameldował mi że oddziały 15 B.S. podchodzą pod wzgórze WIDMO, że jego patrol ścieżkowy i pluton ppor. Pustkowskiego jest przy oddziale 15 B.S., ale nic nie wiedział o centrali telefonicznej i patrolach innych kompanii, nic nie wiedział też dokładnie o sytuacji na froncie, tj. o sąsiednich oddziałach 3 DSK, o reszcie 15 B.S. i o 13 B.S. Tu znów został lekko ranny po raz drugi kpt. Wojniusz, adiutant Baonu, który mimo ran pozostał na stanowisku. Z pozycji 14 B.S. posłałem również oficera inf. Baonu do, jak mnie poinformowali żołnierze z 14 B.S., d-cy 13 B.S., który miał być pod wzg. 706. Wysłany oficer wrócił i zameldował mi, że rozmawiał z d-cą, ale 15 B.S. ppłk. Stoczkowski, który też nie znał sytuacji sąsiadów, lecz twierdził, że wzg. WIDMO jest zdobyte przez jego Batalion, nie podając jednak obsady.

W tym samym mniej więcej czasie otrzymałem zawiadomienie od d-cy 5 WBP, że 12 Brytyjska Brygada, z którą miałem nawiązać łączność po zdobyciu wzgórza BALKONU zamierza osiągnąć wysokość wąwozu MASS ALBANETA dopiero w godzinach popołudniowych.

Na podstawie meldunku oficera inf. przyniesionego od d-cy 15 B.S. *sądziłem, że WIDMO jest zajęte*, tym bardziej że nie słyszałem walki broni małokalibrowej na tym wzgórzu, a tylko w dolinie między WIDMEM a pozycją obronną 14 B.S. był bardzo silny ogień artylerii i moździerzy NPL-a, a na podstawie planu działania 5 WBP przypuszczałem, że natarcia 13 i 15 B.S. musiały pójść na właściwy przedmiot natarcia, tj. na wzg. ANGELO i 575, dlatego postanowiłem maszerować na WIDMO. Oddziały Baonu szły jedną ścieżką w swoich związkach taktycznych, a ja z pocztem za trzecią z rzędu kompanią, a na końcu 1-sza komp. Usiłowania nawiązania łączności przy pomocy radia, tak z d-cą Brygady jak i z sąsiadami, a także z d-cą plutonu moździerzy, nie dawały rezultatu, radio nie działało.

Marsz Baonu do podnóża WIDMA w bardzo trudnych warunkach terenowych i pod silnym ogniem NPLa trwał około 2-ch godzin. Na ścieżce była duża ilość rannych i zabitych, ewakuacja rannych odbywała się w przeciwną stronę marszu Baonu. Ewakuację tę kazałem wstrzymać do czasu przejścia Baonu, marsz Baonu przyspieszyłem. Po drodze spotkałem rannego d-cę komp.

por. Łokaja, któremu kazałem udać się na punkt opatrunkowy, ponieważ mógł iść.

Oficer ten zameldował mi, że ma duże straty w kompanii i prosił, żebym mu pozwolił odpocząć, a jeżeli będzie się dobrze czuł, powrócić do kompanii. Po drodze ranny strzelec z plutonu łączności zameldował, że obsługa centrali telefonicznej, w którą trafił pocisk moździerza albo została wybita, albo ranna, a z patroli telefonicznych kompanii są zabici i ranni. W ten sposób zostałem bez łączności telefonicznej, o czym później meldowałem d-cy 5 WBP, prosząc o pomoc, której nie otrzymałem do końca. *O godz. 05.30 otrzymałem meldunek*, że kompania 4-a i część oddziału 15 B.S. są już na wzg. WIDMO, a ich patrole poszły do przodu. Mimo to oddziały Baonu posuwające się na wzg. były pod stałym ogniem CKM NPLa i strzelców wyborowych, strzelających ze wszystkich stron, od czego ciągle padali ranni i zabici. Ja z pocztem wszedłem na wzgórze, kiedy tam były już moje 2 kompanie. Było około godz. 06.30. Po zapoznaniu się z sytuacją od mjr. Gnatowskiego jako najstarszego, który mi zameldował że ma tu w ogóle 60 ludzi, z których część jest przed wzgórzem razem z moją 4-tą kompanią, a kilkunastu na wzgórzu, a że o reszcie oddziałów 15 B.S. ani od d-cy 15 B.S. nic nie wie, sądzi jednak, że jest on w tyle, na pozycji 14 B.S. oraz że 13 B.S. nie jest na północnej części WIDMA i że oddziały 3 DSK prawdopodobnie zdobyły wzgórze 593, ale w MASS ALBANETA jest NPL, *objąłem dowództwo* nad wszystkimi oddziałami na wzg. WIDMO i rozkazałem moim kompaniom natrzeć: 3-ej na lewo, a 1-ej w prawo i 2-ej w środku, by zlikwidować NPLSKIE PILL-BOXY, skąd ciągle strzelały CKM i strzelcy wyborowi zadawali oddziałom straty. Oprócz tego d-ca 1-ej komp. otrzymał rozkaz wysłać na PŁNC po grzbiecie wzg. WIDMO patrol 1-5 dla stwierdzenia, czy są tam własne oddziały i nawiązania z nimi łączności. Rezultatem tego działania było *wzięcie do niewoli 11 jeńców żywych*, odesłanych do 5 WBP. Eskortą wróciła w całości z powrotem na WIDMO i ponad 30 zabitych Niemców, w tym 1 kpt, prawdopodobnie d-ca niemieckiej 9-ej kompanii, który przebił nożem sanitariusza Baonu, gdy ten opatrywał mu ranę. Został on po prostu rozszarpany przez żołnierzy. Później znaleziono tam jeszcze drugiego kapitana niemieckiego.

Ja w tym mniej więcej czasie, chodząc po pozycji, zostałem lekko ranny w rękę i obydwie nogi przez wybuch miny-pułapki, zerwanej przez siebie samego. Około godz. 07.30 po uporządkowaniu oddziałów i zorganizowaniu obrony, wezwałem do siebie na pkt obserwacyjny swego zastępcę mjr. Osmakiewicza, wszystkich swoich dowódców kompanii i mjr. Gnatowskiego, z 15 B.S., skąd było widać doskonale wzg. ANGELO, wzg. 575 i cały BALKON. Wydałem tam rozkaz natarcia na wzg. 575 i 595, oczekując pewien czas na ogień własnej artylerii na te wzgórza, którego do czekać się nie mogłem, a łączności ani żadnego innego środka

porozumienia z d-cą 5 WBP ani z artylerią nie miałem. Przez ten cały czas oddziały były pod bardzo silnym ogniem art. i moździerzy, ciągle wzmacniającym się, pociski *padały z przodu i z tyłu oddziałów*, tj. z 2-ch kierunków, a oprócz tego ciągle jeszcze był daleki ogień NPLSKICH CKM i strzelców wyborowych.

Straty rosły w przyspieszonym tempie. Patrole z przedpola meldowały o słabej obsadzie NPLa na dolnych stokach wzg. 565. Ponieważ, jak wspominałem, nie miałem żadnej pewności, że przyjdzie ogień artylerii dla wsparcia natarcia na wzg. 575, a *czas ognia sztywnego w/g rozkładu i planu ogni już upłynął*, a MASS ALBANETA była trzymana przez NPLa, zrezygnowałem z natarcia na wzg. 575, decydując się na obronę wzg. WIDMO. Udało mi się nawiązać łączność z d-cą mojego plutonu moździerzy, a przez niego z d-cą 5 WBP. Było to około godz. 11.00 a może nawet wcześniej. Ja rozmawiałem przez radio z d-cą plutonu moździerzy por. Nowakiem, który był na stanowiskach w rejonie podstawy wyjściowej do natarcia, a on przekazywał moje meldunki pisemne przez gońców d-cy 5 WBP.

Wkrótce po nawiązaniu tej łączności, dokładnie godziny nie pamiętam, zgłosił się przez radio d-ca 5 WBP, któremu zameldowałem sytuację, a przede wszystkim *meldowałem o ciągłym silnym ogniu, zdawało się własnej artylerii od tyłu* i o bardzo silnym ogniu głównie moździerzy NPLa z przodu. Prosiłem o łączność z oficerem łącznikowym artylerii i moździerzy ciężkich.

Wówczas d-ca 5 WBP dał mi wytyczne, że przewiduje natarcie mojego Baonu na wzg. 575, żeby do tego się przygotować, że natarcie to wyjdzie prawdopodobnie około godz. 15.00, po uzgodnieniu tego z własną artylerią.

Natychmiast wezwałem dowódców kompanii i znów z pkt. obserwacyjnego, który stale znajdował się na przednim skraju pozycji obronnej, gdzie zresztą byłem od początku do końca z całym moim poczem, wydałem rozkaz do natarcia, z tym, że natarcie wyruszy około godz. 15.00 na mój rozkaz. Taki sam rozkaz dałem mjr. Gnatowskiemu z 15 B.S., którego część kompanii z kpt. Bartosikiem wycofała się z przedpola, a którą umieściłem za środkiem Baonu, w odwodzie na stoku wzgórz. Dowódca tej kompanii z poczem był przy mnie, w pobliżu pkt. obserwacyjnego, i wtedy okazało się, że w sumie z 15 B.S. nie było więcej niż 30 ludzi.

Morderczy wprost ogień art. ciężkiej i ciężkich moździerzy oraz słaby ale celny ogień CKM i strzelców wyborowych NPLa trwa ciągle — straty rosły. Ginie z-ca d-cy 2 kompanii ppor. Kujawa Florian, zostają ranni d-ca plutonu CKM por. Smółko, po raz drugi lekko ranny d-ca 4-ej komp. por. Łokaj, który zostaje jednak przy kompanii, zostaje ciężko ranny por. Kowalczyk, por. Puckowski, por. Solarczyk, ppor. Greczanik i ppor. Pustkowski, zabici pchor. Gaza, sierż. Mystkowski, plł Gorgolewski i wielu, wielu innych szeregowych.

Około godz. 11.00 melduje się u mnie na pkt. obserwacyjnym ppor. dr Janczyk Stefan z prośbą o pomoc w ewakuacji rannych i zabitych, których jak twierdzi jest bardzo dużo w dolinie, szczególnie na i obok ścieżki pod WIDMEM i na jego stokach. Ja ze względu na olbrzymie zmęczenie ludzi i w związku z przewidywanym natarciem chcę by ludzie odpoczęli i by nie odeszli z linii z rannymi do tyłu — odmawiam mu tej pomocy i decyduję, że ewakuacją powinny zająć się oddziały odwodowe — niech tam się uda. Lekarz pozostał przez pewien czas na pozycji, opatrując osobiście rannych z powodu braku sanitariuszy i z powodu braków środków takich jak szyny, opatrunki, nosze itd.

Oficerowie pozostali opatrują osobiście rannych, oddając im swoje opatrunki osobiste. Kategorycznie kazałem lekarzowi udać się do tyłu do najbliższego telefonu, połączyć się z dowódcą 5 KBP i przedstawiając ten stan, prosić o pomoc w ludziach oddziałów tyłowych.

Około godz. 12.00 ogień artylerii z dwóch przeciwnych kierunków grzbietów WIDMA jeszcze się wzmógł, zwłaszcza artylerii ciężkiej, tak dalece, że ludzie przechodzili na stok od strony NPLa, ale tu ich spotykał ogień ciężkich moździerzy z przeciwnej strony. W tym samym czasie po strasliwym ogniu na wzg. 593 (3 DSK) zaobserwowałem *wycofywanie się* oddziałów 3 DSK z tego wzgórza w kierunku wzgórza GŁOWA WĘŻA i posuwający się za nimi ogień artylerii NPLa. Również w tym samym mniej więcej czasie wysunięte patrole meldują, że z rejonu drogi pomiędzy ANGELO a wzg. 706 wychodzi wóz pancerny (okazał się działem samobieżnym — przypisek mój — W.M.), prawdopodobnie lekki czołg, a za nim piechota NPLa. Daję również rozkaz oddziałom do przygotowania się do odparcia tego natarcia. Przy tym się okazało, że w całym Baonie jest tylko: 3 PIATY i bardzo mało amunicji, reszta została z rannymi, zabitymi. Wskutek tego pod względem obrony p.panc. byliśmy już prawie bezbronni, gdyż i działa p.panc. nie mogły wyjść na linię WIDMA z rejonu 14 B.S.

Ale oddziały wszystkie stają w pogotowiu, nie strzelają, czekają aż Niemcy przyjdą na najbliższą odległość. Żołnierz mimo ciągłego ognia art. i moździerzy NPLa, wzmagającego się ognia CKM, szczególnie z ptn. grzbietu WIDMA — zachowuje się i wytrzymuje to wszystko wspaniale, wszyscy oficerowie bez wyjątku są w pierwszej linii. Zaciętość jest tak duża, że ten, kto tych warunków nie widział, nie jest w stanie zrozumieć. Dla przykładu melduję, że plutonowy Gorgolewski z 18 Baonu przeciwciężkiej nieprzyjacielskim CKM najpierw przez nogi strzela do pillboxu, dalej później drugi raz przez piersi, wtedy się unosi i krzyczy: „Koledzy, a bijcież tych ...synów” i wtedy dopiero od strzału strzelca wyborowego pada trafiony w głowę z okrzykiem zamierającym na ustach „Niech żyje Polska”.

W kilkanaście minut potem melduje mi obserwator, że zza MASS ALBANETA wychodzą czołgi NPLa. Ja je widzę dokładnie

przez lornetkę, a po pewnym czasie część ich kieruje się na GARDZIEL, pomiędzy wzgórze 593 a WIDMO, część wprost na Baon. Z trudem wielkim łączę się znów drogą radiową przez d-cę plutonu moździerzy (rozmowy nie słysząc z powodu huku wybuchających pocisków) ale wreszcie melduję o tym d-cy 5 WBP, o strasznym ogniu art. i moździerzy z dwu przeciwnych kierunków, o dużych stratach własnych i że w związku z tym proponuję wycofanie oddziałów na linię 14 B.S., gdzie wspólnie z kompanią 14 B.S. bronić tej linii — proszę o decyzję. Odpowiedzi brak.

NPL się posuwa, słysząc już bardzo dokładnie warkot NPLa, zbliża się drobna piechota NPLa. Daję wtedy rozkaz „bagnet na broń i granaty” — czekamy.

D-ca 3-ej kompanii melduje mi, że w ciągu ostatniej godziny stracił 18 ludzi. Około godziny 18.00 ukazuje się na moim lewym skrzydle NPLska piechota z miotaczami płomieni. Z grzbietu górnego i dolnego WIDMA bardzo silny ogień CKM. Połączenie radiowe nie działa.

W rozmowie ze swoim adiutantem kpt. Wojniuszem Edwardem tak oceniam sytuację: wzg. 593, którego posiadanie było warunkiem do natarcia na ANGELO i 575, zostało z powrotem zajęte przez NPLa, skąd w każdej chwili mogą się rozpocząć dalekie ognie CKM na WIDMO. Czołgi NPLskie wchodzą przez Gardziel WIDMA - 593 i mogą wyjść na moje tyły — nie jestem w stanie temu przeszkodzić. Na północnej i południowej części WIDMA jest NPL, gdyż stamtąd trwa coraz silniejszy ogień jego CKM-ów, od przodu posuwają się wozy pancerne z piechotą, które idą zresztą bardzo powoli i do tego wszystkiego prawie bez przerwy trwa morderczy ogień z przodu i z tyłu art. i moździerzy. Z tyłu za mną na pozycjach obronnych jest słaba z powodu dużych strat, o czym się dowiedziałem przy przechodzeniu przez nią, jedna kompania 14 B.S. na dość dużej przestrzeni rozrzucona w terenie. NPL ma wszelkie warunki zdobycia WIDMA i to w bardzo krótkim czasie i całkowitego zniszczenia Baonu i pójścia następnie na słabe pozycje 14 B.S., dalej rozerwania 3 i 5 dywizji, zagrożenia ich skrzydeł i dojścia w ciągu krótkiego czasu do d-twa 5 WBP, co może po prostu spowodować klęskę naszych oddziałów. Oddziały moje są bardzo zmęczone i brak jest amunicji, szczególnie do PIATów. 3-y CKM zniszczono pociskami NPLa, obsługi prawie wybite i ciągłe straty w kompaniach strzeleckich. Łączności z d-cą 5 WBP za pomocą radia nawiązać nie mogę, a innej mi nie przysłano dotychczas, a oficerów łącznikowych, art. i moździerzy nie mam.

Sądzę, że o wiele lepiej będzie gdy ta reszta Baonu, jak widać z położenia, zupełnie odosobniona, prawie otoczona, nie mająca warunków obrony, której nie pozostanie nic innego, jak zginąć czy dostać się do niewoli, a NPL pójdzie i tak naprzód, gdyż na to żeby przysłały odwody z rejonu 5 WBP potrzeba było około

4-ch godzin i czasu i nawet gdyby tam Baon się utrzymał do nadejścia batalionu odwodowego, to batalion ten musiałby nacierać normalnie, gdy już obecnie coraz więcej CKM odzywało się tak z północnej jak i południowej części WIDMA — widocznie albo NPL ochłonął z działania ognia art. — albo weszły nowe oddziały NPLa.

Po tym rozważaniu o godz. 13.10 decyduję się na wycofanie i obronę na pozycji 14 B.S. i z chwilą osłabnięcia ognia art. NPLa daję rozkaz do wycofania się i obronę linii 14 B.S. Oddziały wchodzą na pozycje 14 B.S. bez strat — melduję to z całą świadomością i odpowiedzialnością — są bardzo zmęczone i wycieńczone. Ja wycofuję się ostatni, tak że powstaje plotka, że jestem ciężko ranny, a nawet zabity, co jest powodem że d-ca 3-ej kompanii kpt Pawulski wraca po mnie ze swoim plutonem, ale mnie nie znajduje i wycofuje się z powrotem. Równocześnie na skutek tej plotki idzie po mnie z W.P.O. patrol sanitarny z rozwiniętą chorągwią Czerwonego Krzyża wystawioną przed siebie, chorągiew ta została przestrzelona na strzepy przez NPLa, wystawioną właśnie z północnej części wzg. WIDMA. Po przybyciu na pozycje 14 B.S. zastałem tam już drobne moje oddziały rozrzucone po całej linii obrony. W pobliżu mnie było około 30 ludzi z 1-ej kompanii i z jej dowódcą. Spotkałem tam d-cę 15 B.S. z kilkoma ludźmi i kompanię z 14 B.S. Objąłem dowództwo: (niewidoczne..., str. 5:) Dowódcy 15 B.S. przydzieliłem prawe skrzydło i tam kazałem mu zbierać swoje oddziały i organizować obronę. Resztę objęły oddziały mojego Baonu. W lewo po grzbiecie posłałem swego adiutanta, by tam zatrzymano oddziały i zorganizowano obronę. Mój zastępca mjr Osmakiewicz z grupą około 40 ludzi wycofał się do rejonu kompanii odwodowej 14 B.S. i tam organizował obronę drugiego rzutu.

Po wejściu naszym na pozycje 14 B.S. ogień NPLskiej art. też z dwu kierunków, został niestety znów przeniesiony na nas. Jak się później dowiedziałem, na wzgórzu WIDMO pozostało około 10 ludzi z 18 Baonu z ppor. Chałupą i ppor. Zajdzińskim oraz mjr Gnatowski z małym oddziałkiem zmieszany z moich i swoich ludzi. Do ppor. Chałupy i ppor. Zajdzińskiego prawdopodobnie nie dotarł mój rozkaz o wycofaniu się, zaś mjr Gnatowski mój rozkaz powinien był otrzymać, względnie słyszeć, ale został, jak mi sam później powiedział, dlatego, że jak Baon się wycofał, to ogień art. i moździerzy NPLa na szczycie wzgórza prawie ustał, cała akcja podobno stanęła, a czołgi spod WIDMA wycofały się do MASS ALBANETA.

Około godz. 15.00 udaje mi się znów nawiązać drogą radiową łączność z dowódcą 5 WBP (oficer łącznikowy 5 WBP, będący przy mnie, zginął przy przechodzeniu przez pozycję 14 B.S. w kierunku WIDMA jeszcze w nocy). Z oficerów łącznikowych przydzielonych do mnie był na WIDMIE tylko jeden por. Gzula

z 6 Komp. Sap. Następnie otrzymałem od zastępcy dowódcy 5 KDP *rozkaz zostać na pozycji* do czasu przyścia na linię 16 B.S. — oddziały swoje zorganizować dla obrony tej linii, a sam mam być do współpracy z mjr. Stańczykiem, d-cą 16 B.S. Po zajęciu przez dwie kompanie z 16 B.S. pozycji obronnej 14 B.S. wycofuję zgodnie z rozkazem swoje oddziały na linię drugiego rzutu 16 B.S., sam zaś udaję się do mjr. Stańczyka, by stamtąd telefonicznie zameldować z-cy d-cy 5 KDP, że ze względu na stan fizyczny i wygląd zewnętrzny moich żołnierzy nie jest wskazanym, by się oni pokazywali żołnierzom 16 B.S., że oni fizycznie są tak przemęczeni, że nie są zdolni do jakiegokolwiek akcji, a poza tym są ranni, zakrwawieni itp., przedstawiając po prostu makabryczny wygląd. W czasie wycofania się już pomiędzy pierwszym a drugim rzutem 16 B.S., od pocisku ciężkiego moździerzy — idąc za mną — zostali ranni d-ca 1 komp. kpt Wojniusz po raz trzeci i strzelec Horwat z plut. łączności, którego osobiście opatrzyłem i pomogłem mu dojść do pkt. opatrunkowego. Po rozmowie z mjr. Stańczykiem i zorientowaniu go w sytuacji na linii obrony jego kompanii przyszedł do mnie ppłk Machnowski, z-ca d-cy 5 KDP, i dał mi rozkaz do zorganizowania ewakuacji moich oddziałów w rejon wyczekiwania. Do godz. 19.00 rozkaz ten wykonałem i sam zameldowałem się u z-cy d-cy 5 KDP, którego prosiłem o rozkaz dla 16 B.S., by w nocy wyewakuowano rannych i zabitych z przedpola. Z-ca d-cy 5 DKP dał taki rozkaz 16 B.S., a mnie rozkazał przerzucić Baon w ciągu nocy do rzutu „B”, zreorganizować go i czekać na dalsze rozkazy. Rozkaz ten został wykonany.

14. V. 44 zostałem wezwany około godz. 02.00 do d-cy 5 DKP. Przyjął mnie *osobiście Pan Gen. Sulik Nikodem* i po krótkich informacjach o stratach i stanie moralnym Baonu oświadczył mi, że nie powinienem być się wycofywać ze wzg. WIDMO, a tylko sam się bronić, bo taki był jego rozkaz, że on zarządził w tej sprawie dochodzenie i do czasu wyjaśnienia sprawy *mam oddać d-two Baonu mjr. Gnatowskiemu* z 15 B.S., złożyć meldunek o działaniach Baonu i odejść do szpitala jako ranny. Na to ja zameldowałem:

- 1) O rozkazie obrony za wszelką cenę mego Baonu na WIDMIE nic mi nie było wiadomo.
- 2) Zadaniem 18 Baonu nie było zdobywanie WIDMA, lecz wejście na WIDMO po zdobyciu go uprzednio przez 15 B.S. i 13 B.S. i wykorzystanie WIDMA jako podstawy wyjściowej dla 18 B.S. do natarcia na wzg. 447, 452 i 505 (BALKON), a że 18 B.S. zdobył środkową część WIDMA, to tylko dlatego, że ani 13 B.S., ani 15 B.S. zadania swego nie wykonały, gdyż oprócz bardzo drobnych oddziałków tych Baonów nic do WIDMA nie doszło, a d-cy tych Baonów, tj. 13 i 15 B.S., pozostali przez cały czas działań 12. V. 44 na pozycji obronnej 14 B.S. Wskutek czego 18 Baon cały znalazł się na środkowej części WIDMA — od-

osobniony, mając NPLa z przodu i z boków, a nawet i z tyłu za skrzydłami, bez łączności z d-cą 5 WBP, bez oficerów łącznikowych artylerii i ciężkich moździerzy, zupełnie nie dowodzony przez dowódcę 5 WBP, pod ciągłym ogniem wszystkich broni NPLa, a szczególnie artylerii ciężkiej i ciężkich moździerzy, działał sam przez 13 (trzyнадцать) godzin mimo to, że odległość WIDMA od m.p. dowództwa 5 WBP wynosiła tylko 1,5 km.

- 3) Brak amunicji, CKM i prawie całkowita bezbronność wobec broni pancernej.
- 4) Pozostawienie w tych warunkach na WIDMIE jeszcze przez 3-4 godziny, w ciągu których nie mogła przyjść żadna pomoc, bo dwie komp. 16 Baonu najbliższego odwodu przysły na pozycję obronną 14 B.S. dopiero około godz. 16.30 i tylko dwie kompanie, a reszta batalionów dopiero po dwóch (2-ch) godzinach czy nawet później 18 B.S. byłby zupełnie zniszczony i tylko ten rezultat, że sytuacja byłaby ta sama, tylko nie byłoby 18 Baonu.
- 5) W tych warunkach zdecydowałem odejście 18 Baonu na pozycję 14 B.S., której kazałem bronić.
- 6) W końcu zameldowałem Panu Generałowi, że w tej sytuacji którą uczciwie i właściwie mogą ocenić ci, którzy byli na WIDMIE, decyzję uważam za słuszną, a prawo powzięcia jej miałem całkowite, pozostawiony samemu sobie.

14. V. 44 oddałem dowództwo Baonu mjr. Gnatowskiemu, sam zaś napisałem meldunek o przebiegu akcji 11 i 12. V. i w ciągu 15. V. zlikwidowałem wszelkie sprawy mające związek z moim dowodzeniem Baonem.

18. V. 44, kiedy się dowiedziałem, że Baon odchodzi z powrotem na linię, dochodzenie nie zostało ukończone, a ja miałem rzekomo odejść do szpitala — nie mogłem się z tym pogodzić, by oddział, którym ja dowodziłem z górą 2 (dwa) lata szedł do walki, a ja do tyłu, złożyłem więc prośbę na ręce dowódcy 5 KDP, by mi pozwolił iść z Baonem jako strzelcowi. Wezwany wówczas do dowódcy 5 KDP, zostałem oddany do dyspozycji płk. dypl. Rudnickiego Klemensa — dowódcy natarcia 5 KDP, który objął dowództwo po dowódcy 5 WBP.

16. V. 44 r. zostałem wezwany do zastępcy dowódcy Korpusu Pana Generała Szyszko-Bohusza w sprawie akcji 11 i 12. V. br., który z nadzwyczajną wnikliwością i realizmem rozważył cały przebieg akcji i odesłał mnie z powrotem do płk. dypl. Rudnickiego. Cały dzień 16, 16/17 i 17. V. 44 do godz. 10.30 byłem obecny przy płk. dypl. Rudnickim i z prawdziwą przyjemnością i nadzwyczajnym podziwem przysłuchiwałem się i przyglądałem, jak ten wspinały dowódca dowodził na nowo rozpoczętą akcją. I łączność była ze wszystkimi oddziałami i wsparcie ogniowe i uzgodnienie współdziałania i natychmiastowa pomoc i moralne

oddziaływanie na podległych dowódców w chwilach ciężkich i trudnych sytuacjach. A przy tym wszystkim była zachowana właściwa ostrożność, tak w użyciu własnych oddziałów jak i co do oceny sytuacji na podstawie napływających często nieścisłych meldunków. Np. kiedy 17. V. 44 r. w godzinach rannych d-ca 16 B.S. telefonuje do płk. Rudnickiego, że ma na sobie duży ogień art. i moździerzy, i to prawdopodobnie własnych i takie straty, że jeżeli to potrwa dłużej to będzie musiał się wycofać z WIDMA. Na to płk Rudnicki wstrzymuje cały ogień własnej art. i moździerzy — sprawdza, wysyła pomoc i daje wyraźny rozkaz pozostania na miejscu, gdyż idzie natarcie na ANGELO. Słyszając i widząc to doskonałe dowodzenie płk. dypl. Rudnickiego, serdecznie żałowałem, że ja nie miałem szczęścia być 12. V., kiedy byłem na WIDMIE, pod jego bezpośrednim dowództwem. Wydawało mi się, że już 12. V. 44 byłby cel osiągnięty, a straty nie byłyby na pewno większe i nie byłoby tragicznych nieporozumień.

17. V. 44 r. około godz. 10.30 otrzymałem rozkaz od płk. Rudnickiego *objąć dowództwo 18 L.B.S.* od mjr. Gnatowskiego, który odszedł do 15 B.S., a o godz. 14.30 dostałem rozkaz wyjść z Baonem na płn. część WIDMA, skąd po zorientowaniu się natrzeć na ANGELO, które mimo nacierania 13, 15, 16, 17 Baonów i komp. Komandosów nie zostało dotychczas całkowicie zdobyte (wszystkie te oddziały miały około 50 % strat i były zdeorganizowane i zmęczone).

17. V. 44 r. o godzinie 16.00 Baon wyszedł na płn. część WIDMA, gdzie przystąpił do likwidowania jeszcze obsadzonych niemieckich pillboxów, skąd od ognia spandauów i strzelców wyborowych ciągle były straty. Trzeba było po prostu nacierać. Obecność Niemców na WIDMIE była dla mnie niemiłą niespodzianką. Szedłem z drużyną d-cy na czele i kiedy w takiej sytuacji dostaliśmy z WIDMA ogień niemieckich CKM, należało osłonić wyjście Baonu z tej sytuacji. Mój zastępca mjr Osmańkiewicz na mój rozkaz poderwał prawie całą drużynę dowódcy Baonu i natarł wzdłuż grzbietu WIDMA w kierunku południowym, a por. Przybylski Władysław z kilkoma strzelcami w kierunku zachodnim i w ten sposób wyjście Baonu zostało osłonięte i Baon zajął tę część WIDMA ugrupowany następująco: w lewo wzdłuż grzbietu WIDMA w kierunku południowo-zachodnim — 1 komp. w kierunku na ANGELO — 2 komp. i 3 komp. 1 plut. w kierunku na ST. LUCIA na przełęczy SAN ANGELO - 706, 2 plut. w odwodzie Baonu, a 3 pluton pod d-twem ppor. Chałupy poszedł na SAN ANGELO dla nawiązania łączności z ppłk. dyplomowanym Machnowskim, dowódcą natarcia na SAN ANGELO lub mjr. Stańczykiem, d-cą 16 B.S. Lecz jak się później okazało, tych d-ców nie odnalazł tam, gdyż oni siedzieli w schronach na WIDMIE o 150 m. od mojego pkt. obs., a pod ANGELO był jedynie d-ca 17 B.S. i z-ca d-cy 16 B.S., 4 komp. była użyta

jako noszowi amunicji dla 17 B.S. na ANGELO. Przez cały czas, nawet w czasie drogi, miałem łączność z d-cą natarcia płk. Rudnickim, który około godz. 17.00 dał mi rozkaz, aby dokładnie wyjaśnić sytuację na ANGELO, być ugrupowanym obronnie na WIDMIE, ale w gotowości do natarcia w każdej chwili na ANGELO.

W tej akcji w Baonie już były znaczne straty nie tylko od ognia NPLskich CKM i strzelców wyborowych, ale też od ognia artylerii i moździerzy, który trwał bez przerwy. W tej sytuacji pocisk NPL ciężkiego moździerza uderzył w mój pkt obserwacyjny i zranił mnie, adiutanta ppor. Świątocho, telefonistę i rozbił aparat telefoniczny, który natychmiast kazałem zmienić. Wezwałem do siebie mjr. Osmakiewicza — mego z-cę — omówiłem z nim sytuację i zadanie i około godz. 18.00 — opatrzony — zostałem odprowadzony przez dwóch noszowych amunicji do d-cy natarcia płk. Rudnickiego, któremu jeszcze osobiście zameldowałem sytuację i skąd łązikiem (Bantam) sanitarnym zostałem ewakuowany przez WPO, GPO, 3 CCS do szpitala wojskowego nr 1.

3. VI. 44 r. jeszcze z niezagojonymi ranami, oddany pod opiekę lekarza wróciłem i 4. VI. 44 r. objąłem dowództwo 18 B.S.

W międzyczasie, kiedy ja ranny pozostawałem w szpitalu, 18 Baon walczył. 18. V. 44 na WIDMIE 3 komp. pod dowództwem kpt. Pawulskiego, 19. V. 44 o świcie zajęła ostatecznie ANGELO. 19. V. 44 w godzinach popołudniowych Baon pod d-twem mjr. Osmakiewicza zajął VILLA ST. LUCIA, a w godzinach wieczornych weszły patrole 18 Baonu jako pierwsze do PIEDIMONTE ST. GERMANO (szczegóły tych działań w sprawozdaniu mjr. Osmakiewicza).

W końcu sprawozdania nie mogę się powstrzymać od wyrażenia swej najwyższej oceny i swego podziwu dla morale żołnierzy 18 Baonu. Wszyscy żołnierze 18 baonu, którzy na różnych funkcjach brali udział w akcji, w przepiękny sposób spełnili swój żołnierski obowiązek. Oficerowie i podoficerowie idąc w pierwszej linii świecili przykładem najwyższej odwagi i ofiarności, z powodu braku sanitariuszy opatrywali rannych. Sami ranni nawet po kilka razy pozostawali na swoich funkcjach i dowodzili. Strzelcy szli tak odważnie naprzód, tak nieustraszenie, że w największym niebezpieczeństwie, w największym ogniu z radością w oczach czekali, żeby dostać zadanie i wykonać je bez reszty.

Takie zachowanie się żołnierzy, bez względu na stopień, tak scementowało Baon, zacieśniło tak koleżeństwo, powstało takie zaufanie oficerów i szeregowych do siebie nawzajem, jakiego jeszcze nigdy nie było.

(—) DOMOŃ LUDWIK, *pptk dypl.*

Zał. — straty i odznaczenia

Za zgodność odpisu:
Adiutant Oddziału Hist. 2 Korpusu
Dr Leliwa-Ordyński ppor.

(Podkreślenia moje — W.M.).

◆

Załącznik nr 4

PODSŁUCH ROZMÓW RADIOWYCH NA POLU WALKI

przez Sekcję „Y” w dniu 12 maja 1944 roku

1-sza Brygada

- Godz. 06.03. Straty bardzo ciężkie. Zwiększyć artylerię na Lwów skrócony. O 25 jardów odsunąć od nas, natychmiast. Lwów wydłużyć z przodu o 50 jardów, zaraz.
- Godz. 06.18. Lwów za krótki, wydłużyć natychmiast na PŁD.
- Godz. 06.22 Baon 2-gi. Proszę zapytać co mamy robić? Błagam, trudna obserwacja, wszystko zadymione, przesyłajcie wszelką pomoc.
- Godz. 07.05. Nie można strzelać, bo strzelają do nas moździerzami i granatnikami. Strzelać, nękającym Lwowem na tych samych celownikach aż do odwołania.
- Godz. 07.15. Lwów z lewej strony za blisko.
- Godz. 07.59. Lwów zróbcie żywiej. Nacierają na nas. Lwów aż do odwołania.
- Godz. 07.56. Żywiej Lwów, podajcie żywiej.
- Godz. 07.55. Lwów bez przerwy, do odwołania.
- Godz. 07.47. Dawajcie Lwów, dawajcie Lwów.
- Godz. 07.40. Wykonać Lwów, idzie natarcie, żądać Lwów.
- Godz. 08.10. Baca zajęty. Sytuacja jest całkiem krytyczna. Nie wiem co z Raczkowskim.
- Godz. 08.50. Przyspieszyć ruch Urszuli.
- Godz. 08.43. Na razie łączność radiowa. Linie pozrywane. Utrzymać łączność drogą radiową. Już są na górze.
- Godz. 09.50. Pociski padają blisko nas.
- Godz. 09.52. Nasze blisko padają, przesunąć z lewej strony na EWA 14.
- Godz. 10.11. Pomocy nam potrzeba, wy już dawno o tym wiecie, jest fatalna sytuacja, do cholery, ile trzeba czekać. Co robić? (Odpowiedź — dobrze, ja to wszystko melduję dowódcy).
- Godz. 10.23. Wasza artyleria za blisko strzela, odsunąć od nas ogień.

- Godz. 10.50. Olga żąda pomocy, Lwów i ludzi.
- Godz. 10.46. Pomocy, pomocy. OLGA, Olga.
- Godz. 10.46. Od azymutu 65 własna artyleria lekka bije za krótko.
- Godz. 10.45. Artyleria strzela z azymutu 220.
- Godz. 12.12. Jesteśmy na starych pozycjach. Od azymutu 65 własna artyleria lekka bije za krótko, są duże straty.
- Godz. 12.15. Po Urszuli 2 strzela własna artyleria po własnej piechocie.
- Godz. 12.08. Przedłużyć ogień własnej artylerii, bo bije na stok 593.
- Godz. 12.27. Baca „A” interweniuje, że własna artyleria bije od azymutu 40 na własne oddziały.
- Godz. 12. 50. Adam 8 do Brygady. Jesteśmy już na 593, zostało tylko paru ludzi z baonu, ciężko.
- Godz. 13.05. Rejon 593 jest nie zajęty, niczyj.
- Godz. 15.06. Adam 3. 7 pocisków za krótkich. Olga 2 artyleria strzela w tym samym kierunku, pociski są za krótkie.
- Godz. 14.00. Przeprowadzić obserwację w czyich rękach jest 593. Na razie nic nie wiadomo.
- Godz. 15.00. Spod azymutu 43 bije własna artyleria, kaliber lekki.
- Godz. 15.24. Od azymutu 58 strzela własna artyleria, przerwać ogień natychmiast, bo strzela bez przerwy od azymutu 85.
- Godz. 15.50. Przygotować na noc ogień SOS Karpaty 2, wydłużyć o 5 jardów.
- Godz. 15.40. Radwański jest na szczycie 593, w tej chwili samoloty bombardują PŁD stoki 593.
- Godz. 15.55. Z Rejonu G.7 i G.3 wychodzi piechota z czołgami do natarcia.
- Godz. 15.55. Wezwać Bacę. Tu Baca numer 16, za wszelką cenę wysłać obserwatora do tej kompanii. Mam rozbitą radiostację.
- Godz. 16.13. Z rejonu Ewa 9 i Ewa 14, stamtąd wyrusza niemiecka piechota do natarcia.
- Godz. 16.30. Olga 2. Własna artyleria od azymutu 65 bije na własne oddziały.
- Godz. 17.00. Własna artyleria z azymutu 75. Józef 4 skarży się, że z kierunku 65 bije po nim własna artyleria.
- Godz. 16.47. Lwów na npla w rejonie Foris 13. Proszą o szybkie załatwienie.
- Godz. 17.04. Oddać Karpaty 2.

5-ta Brygada

- Godz. 03.31. Kierownica wydłużyć Lwów, wykonać natychmiast. Wydłużyć 400 jardów.

Godz. 03.55. Azymut 80-75 padając pomarańcze, za krótkie pomarańcze (własne pociski).
 Godz. 04.00. Azymut 60 pomarańcze za krótkie. Z azymutu 45 wali po nas. Strzały za krótkie.
 Godz. 04.09. Z azymutu 20 walą po nas pociski artyleryjskie.
 Godz. 04.28. Z kierunku... pociski naszej lekkiej artylerii za krótkie.
 Godz. 05.10. Z azymutu... artyleria strzela za krótko. Wykonać Lwów.
 Godz. 05.19. Dawać Lwów natychmiast, z prawej strony idzie natarcie. Natychmiast Lwów, skrócić Lwów, bliżej nas.
 Godz. 05.45. Lwów zbliżyć z przodu o 50 jardów i strzelać jak najszybciej. Lwów dużo razy z prawej strony.
 Godz. 05.38. Natychmiast dać ogień na 475, oprócz Lwowa. Nie przerywać ognia.
 Godz. 05.20. Pomarańcze idą na WIDMO. Natychmiast wykonać Lwów położyć ogień na... azymut 10. Na litość boską, wykonać natychmiast ogień.

5-ta Dywizja

Godz. 13.15. Npl odebrał WIDMO 14-25.

3-cia Dywizja

Godz. 14.05. Baon wycofał się z 569.



Załącznik nr 5

Drogi Władku,

Obydwa Twoje listy doszły do mnie. Na pierwszy nie odpowiedziałem Ci, za co Cię b. przepraszam, ale powodem tego była „siła wyższa”, bo 6-śc miesięcy leżałem w szpitalu, a 2 w sanatorium i byłem w takim stanie, że nie mogłem po prostu o czymkolwiek myśleć.

Obecnie już wszystko przeszło i jest dobrze. Drugi list otrzymałem kilka dni temu i wreszcie Ci odpisuję.

Trudno mi napisać Ci coś konkretnego na Twoje lakoniczne uwagi. Odnośnie rzekomo mojego meldunku, mógłbym coś powiedzieć, gdybym go przeczytał. *Ja tych meldunków pisałem kilka.* Odnośnie roli ówczesnego płk. dypl. Kl. Rudnickiego, pod Monte Cassino, to nie wiem co robił 11 i 12 maja, natomiast już 16 maja ja meldowałem się u niego w dtwie 5 bryg. pod Zbikiem, gdzie on właśnie bezpośrednio dowodził natarciem 5 KDP, jako

z-ca d-cy dywizji. Był on wtedy jedynym wyższym dowódcą, który dowodził bezpośrednio batalionami. Wiedział on co się dzieje na placu boju i oddziaływał na przebieg walki. *Natomiast d-ca 5 KDP i jego sztab zachowywali się przez cały czas walki od 11-18. V. — tak jak gdyby byli w ogóle niepotrzebni.* Byli oni biernymi obserwatorami walki z odległości chyba więcej niż 5 kilometrów, co w walce górskiej jest dużą odległością, zwłaszcza przy braku jakiegokolwiek łączności z batalionami.

Na walkę nie miał d-ca 5 dyw. osobiście żadnego wpływu, wyglądało to tak, że go nie chciał lub nie umiał mieć, a jego szef sztabu, kawalerzysta — również. Ppłk Maliszewski podobno dopiero 18 czy 19 maja po bitwie zjawił się w 18 baonie. 17 maja około godz. 15-ej byłem z 18-tym baonem na WIDMIE i tam otrzymałem właśnie od płk. dypl. Rudnickiego telefonicznie rozkaz: „Objąć dowództwo nad 16, 17 i 18 batalionami plus dwie kompanie komandosów plus szwadron czołgów z 4 p.panc. i natrzeć na SAN ANGELO”. Natarcie ruszyło o godz. 17-ej, doszło do półstoku San Angelo i zaległo pod silnym ogniem ze szczytu, ja wtedy zostałem ciężko ranny, znieśli mnie właśnie do Rudnickiego, któremu złożyłem krótki meldunek o sytuacji natarcia i proponowałem, aby natrzeć dopiero w nocy, co też się później stało, bo 17/18 San Angelo zostało zdobyte z 6 Lwowską Brygadą.

Przytaczam to jako dowód, że z całego d-twa 5 KDP jedynie płk dypl. Rudnicki w walce o Monte Cassino, a zwłaszcza w 2-ej fazie, odegrał pozytywną rolę, bo poza tym to *dowodzili tylko d-cy baonów*, często samodzielnie — bez współdziałania. Oddzielnym zagadnieniem jest nasza *artyleria*, która też nie jest bez winy odnośnie 1-go natarcia, ale to już inna sprawa.

Na razie tyle, a jak mi napiszesz dokładnie o co Ci chodzi, to Ci napiszę więcej i dokładniej. *Ja napisałem książkę o Monte Cassino* i teraz właśnie zabiegam o jej wydanie. Jak mi się to uda, to Ci ją przyślę. Ja mam oryginalny dziennik działań Korpusu i 18 Baonu, szkice, mapy itp., tak że coś-nie-coś wiem, jak to naprawdę było.

W tej chwili dobrze się czuję, pracuję ciężko, jestem kierownikiem nowoczesnego dużego hotelu w Katowicach. Spotykam często naszego Tadzia Wasilewskiego, który tu znów prowadzi jakieś przedsiębiorstwo budowlane i jeszcze dobrze się trzyma.

Właśnie 18. V. jadę do Wrocławia z odczytem o Mte Cassino. Pozdrów, Władziu, kolegów, a szczególnie Machnowskiego — ściskam Cię serdecznie

Twój *Ludwik*

10. 5. 1966.

Mój adres służbowy:

L.D., Katowice, ul. Armii Czerwonej 9, Hotel Katowice.

Adres prywatny:

Ludwik Domoń, Katowice, ul. Broniewskiego 3/27.

(Podkreślenia moje — W.M.).



Załącznik nr 6

Kochany Władku,

Znów te Twoje papiery leżały tak długo, że aż mnie wstyd. Ale wreszcie znalazłem trochę czasu i piszę z wiarą, że jako stary Druh wybaczysz mi to wszystko.

Otóż krótko i jasno, jak mówiła nasza instrukcja walki:

Meldunek mój z dnia 6. 6. 44, dotyczący działań 18 LBS na Monte Cassino jest autentyczny, to znaczy napisany przeze mnie i prawdziwy. *Są tam dwa błędy*: 1) Pomiąłem na str. 7 w ustępie 1-szym, że otrzymałem rozkaz od płk. dypl. Rudnickiego Kl. objęcia dowództwa nad całą 6 Lwowską Brygadą Strzelców plus dwie kompanie komandosów i przygotowania natarcia na San Angelo. Rozkaz ten miałem wykonać ja, bo z ppłk. Machnowskim nie można było nawiązać łączności. 2) Na tej samej stronie 7-ej w trzecim ustępie od końca jest błąd następujący:

Zamiast: „18. 5. 44 na Widmie. 3 kompania pod dtwem kpt. Pawulskiego 19. 5. 44 o świcie zajęła ostatecznie San Angelo” —

Powinno być: „18. 5. 44 3 kompania 18 LBS pod dowództwem kpt. Pawulskiego o świcie zajęła ostatecznie San Angelo”.

Jest to prawdopodobnie błąd maszynowy.

Dziennik działań 5 WBS jest prowadzony bardzo prymitywnie, nie oddaje on rzeczywistego przebiegu walki, potwierdza, że nie było łączności z oddziałami walczącymi oraz że *ani Brygada ani Dywizja tym bardziej nie troszczyły się o oddziały walczące i o sytuacji na polu walki w tym natarciu*. Z dziennika działań wynika, że rozkazy były wydawane, zmieniane, terminy wykonania przesuwane a dowódcy baonów nic o tym nie wiedzieli. A przecież obowiązek utrzymania łączności ciąży na dowódcach wyższego szczebla! Dyplomatycznie też przemilcza bardzo ważną sprawę, że *ogień własnej artylerii leżał na Widmie na własnych oddziałach w 1-szym natarciu...* W 2-gim natarciu tj. 17. 5. 44 dzięki płk. Rudnickiemu tych błędów uniknięto.

Drogi Władku, *bitwę o Monte Cassino wygrał nasz wspaniaty żołnierz od szeregowca do dowódcy baonu włącznie* — i kropka.

Bitwa ta jest słusznie owiana nimbem bohaterstwa na całym świecie.

Czy wobec tego jest sens wyciągać obecnie takie czy inne błędy wbrew temu co uważamy my i historia za piękne, wbrew temu, że „cel uświęca środki”, wbrew temu że „zwycięzców nie sądzą”?

Druków Ci nie zwracam, gdyż chyba masz odbitki. I to wszystko. Szkoda, że tak mało osobiście napisałeś o sobie, co słysząc, jak się czujesz, co porabiasz i w ogóle jak żyjesz?

Ja jeszcze pracuję, ale już myślę o emeryturze. Od czasu do czasu widuję się z Tad. Wasilewskim, który pracuje i dobrze się trzyma. Prosi, abym Ci przesłał od niego serdeczne pozdrowienia.

Pozdrów sam kolegów i znajomych.

Ściskam Cię serdecznie

Twój *Ludwik Domoń*

Katowice, 3. 11. 1966

(Podkreślenia moje — W.M.).



Załącznik nr 7

LIST GENERAŁA STANISŁAWA SKOWROŃSKIEGO DO W.M. Z LONDYNU dnia 2. 4. 1959

Drogi Panie Pułkowniku,

Dziękuję za miły list i śpieszę z odpowiedzią. Najpierw sprawy „służbowe”:

Otóż wszelkie akta historyczne, a więc i 2 korpusu przechowywane są w Instytucie Historycznym im. gen. Sikorskiego, 120 Prince's Gate, London S.W.7.

Jest obecnie w opracowaniu książka na temat historii 2 korpusu, niezależnie od oficjalnej historii „Polskie Siły Zbrojne w 2-jej wojnie światowej”. Książkę, o której mówię opracowuje płk St. Biegański.

Miała już iść do druku, lecz na szczęście *pierwsza korekta wpadła w ręce gen. Andersa*, który za głowę się złapał, tyle tam było bzdur i nonsensów. Pisali ją ludzie, którzy nic nie mieli wspólnego z działaniami korpusu. *Musieliśmy ją poprawiać*, ale wie Pan jak trudno jest przerabiać rzecz (sfuszerowaną?). Piszę o tym dlatego, że obecnie *wszystkie akta 2 korpusu ma*

„wysze upomianutyj” *ptk Biegański* (37 Kempsford Gardens, London S.W.5) i najlepiej, żeby Pan Pułkownik napisał.

Płk Bąkiewicz jest w Londynie on najlepiej Pana poinformuje o aktach „dwójki”. Jest podobno trochę zły na Pana za jakiś artykuł (zdaje się w paryskiej *Kulturze*). Proszę mu o tym czasem nie wspominać, bo wyjdę na plotkarza. Adres: 11, Streatham Cammon South, London S.W.11.

Nie wiem czy to Pana interesuje, ale na wszelki wypadek informuję, że z wydawnictwa historycznego „Polskie Siły Zbrojne w 2-jej wojnie światowej” ukazały się już: Tom I „Kampania Wrześniowa”. Tom III — „AK” i Tom II — „Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie” jest w oprawie i lada dzień ukaże się na rynku...

(— dalej idą sprawy osobiste).

STANISŁAW ŻOCHOWSKI

„NSZ — NARODOWE SIŁY ZBROJNE”

(Londyn — 1983)

Jest to obrona formacji, atakowanej ze wszystkich stron, której autor jest teraz najstarszym żyjącym oficerem. Nie jest to historia, ale relacja dynamiczna, interesująca, pasjonująca — irytująca i drażniąca. Pisana przez oficera Sztabu Generalnego, prawnika, historyka i publicystę. Odkrywa to, co wielu chciało zakryć przed światłem i drukiem.

Na składzie w **Katolickiej Drukarni VERITAS**
4-12, Praed Mews, London W2 1QZ, England

WSPOMNIENIA

POLACY ZNAD WILII, NIEMNA, NARWI I BUGU W ŁAGRACH SOWIECKICH W LATACH 1944-1947

(praca anonimowa)

R o z d z i a ł I

MASOWE ARESZTOWANIA DOKONANE PRZEZ NKWD W JESIENI 1944 ROKU NA BIAŁOSTOCCZYŹNIE I W OKOLICACH BIAŁEJ PODLASKIEJ

W roku 1944 Armia Sowiecka wyparła Niemców z terenów między wschodnią granicą Rzeczypospolitej, ustaloną 18 marca 1921 roku w pokoju Ryskim, a Wisłą, Narwią i Biebrzą na północy. W ślad za wkraczającym wojskiem liniowym sowieckim wchodziło NKWD i likwidowało wszelkie działające na tym terenie organy władzy i wszystkie oddziały wojskowe podległe dotychczas rządowi polskiemu w Londynie i pozostające w konspiracji od września 1939 roku. Tę akcję NKWD ułatwiła bardzo „akcja Burza”, czyli wystąpienie zbrojne oddziałów Armii Krajowej przeciwko cofającym się Niemcom, bo takie wystąpienie zbrojne musiało siłą rzeczy zdekonspirować wiele oddziałów i ich dowódców.

Tak więc zostają rozbrojone oddziały AK, które walczyły z Niemcami o Wilno. Oficerów oddzielono od żołnierzy i osadzono wraz z oficerami AK aresztowanymi w Lublinie, Lwowie, na Wołyniu i w województwie Białostockim — w obozie koło Riazania. Żołnierzy chciano wcielić do Czerwonej Armii, ale spośród 5 tysięcy internowanych akowców, pochodzących z Wileńszczyzny

ny i z województwa Nowogródzkiego, nikt nie chciał złożyć przysięgi obowiązującej krasnoarmiejców. Byli więc ci żołnierze AK, zdobywcy Wilna na Niemcach, tak potraktowani, jak caryca Katarzyna II postąpiła niegdyś w roku 1793 z 25 tysiącami wojska polskiego, pozostałego po wschodniej stronie granicy ustanowionej II rozbiorem — które wcieliła do swej armii. Ale tym razem na skutek odmowy przysięgi nie udało się wcielenie tych Polaków do armii rosyjskiej, jak to było przed powstaniem kościuszkowskim. Żołnierzy AK bez oficerów przewieziono w okolice Kaługi i zatrudniono przy różnych pracach drogowych, leśnych itp., a w końcu stycznia i w lutym 1946 znaczna ich część, ubrana w mundury wojskowe, została przywieziona do Białej Podlaskiej i tu wypuszczono ich na wolność.

W 1944 roku Stalin zdecydował nie włączać całej Białostoczczyzny i wschodnich powiatów województwa warszawskiego do ZSSR — jak to było przed 22 czerwca 1941 roku — i zgodził się na korektę linii Ribbentrop - Mołotow ustanowionej 25 września 1939 roku w ten sposób, że województwo Białostockie przecięto linią Curzona, odcinając na korzyść ZSSR część powiatów Augustów, Sokółka i Bielsk Podlaski oraz całe prawie powiaty Grodno i Wołkowysk. Na wschód od tak wykreślonej granicy polsko-sowieckiej powołano prawie wszystkich dorosłych mężczyzn do Czerwonej Armii i przeważnie wcielano ich bez wyszkolenia do oddziałów posyłanych na pierwszą linię frontu. Podejrzanych o należenie do AK lub innych polskich organizacji, zamiast na front, posyłano do więzień z wyrokami 10-15 lat za „chęć przyłączenia Grodna, Wołkowyska, Prużany czy innych okolic do Polski”, tak, że postępowanie z AK wileńsko-nowogródzką internowaną w Kałudze stanowiło korzystny dla Polaków wyjątek. Wydarzenia, jakie miały miejsce na południowym wschodzie Polski, są w tej relacji pominięte.

Dopiero w końcu lipca Armia Czerwona — która już zajęła Białystok — dowiedziała się, że miasto to nie jest już — jak było przed 22 czerwca 1941 — stolicą Zachodniej Białorusi, lecz że Białystok wraz z Sokółką, Augustowem, Bielskiem Podlaskim i innymi powiatami bardziej na zachód leżącymi należeć ma odąd do Polski, o niepodległości której został wydany 22 lipca powszechnie znany manifest.

Do urządzania województwa Białostockiego i terenów województwa Warszawskiego, które kiedyś do tego województwa należały (tj. powiatów Ostrów Mazowiecki i Ostrołęka oraz powiatu Biała Podlaska z województwa Lubelskiego) zabrał się pułkownik NKWD czy też *kontrrazwiedki*, Winogradow i jego pod-

komendni, mający niezmiernie szerokie uprawnienia. Zanim ta ekipa zaczęła działać na dobre, tj. zaraz po zajęciu Białegostoku, został tam aresztowany delegat rządu na województwo Białostockie Przybyszewski, który zgłosił się do generała Sobiennikowa wraz z podpułkownikiem Kaufmanem, przedstawicielem (przebywającego jeszcze na terenie zajęтым przez Niemców) „Mścislawa” — czyli pułkownika Władysława Liniarskiego. Prócz tego aresztowano prezydenta Białegostoku Gołębiowskiego i wielu oficerów z otoczenia ppłk. Kaufmana, oraz oficerów z oddziałów AK ujawnionych podczas „Burzy”, np. w powiecie Bielsk Podlaski. Później, aż do chwili upadku Powstania Warszawskiego wydawało się, że już zaczyna się nowe spokojne życie, ale w październiku 1944 doszło do masowych aresztowań na całym terenie Białostockizny zajęтым już przez Armię Czerwoną, która zatrzymała się na okres 3-4 miesięcy na linii Narwi i Biebrzy, gdzie Niemcy zorganizowali stałą obronę.

Dowodzeni przez płk. Winogradowa *bojcy* NKWD ubrani w amerykańskie mundury, uzbrojeni w amerykańską broń automatyczną, odżywieni i odżywiani nadal amerykańskimi konserwami, jeżdżąc na amerykańskich samochodach ciężarowych dokonywali aresztowań w okolicach Ostrołęki, Ostrowi Mazowieckiej, Zambrowa, Śniadowa, Łomży, Wysokiego Mazowieckiego, Tykocina, Knyszyna, Augustowa, Suwałk, Sejna, Dąbrowy Białostockiej, Sokółki, Zabłudowa, Bielska Podlaskiego, Bocięk, Brańska, Hajnówki, Białowieży, Siemiatycz, Ciechanowca, Konstantynowa, Białej Podlaskiej, a nawet daleko na południu leżącego Parczewa.

Aresztowania prowadzono masowo, ale szybko i dyskretnie. Aresztowano nie tylko niewątpliwych żołnierzy i oficerów AK, którzy ujawnili się całymi oddziałami, lecz i ogromną masę ludzi tylko podejrzanych o przynależność i sympatię do AK. O znalezienie takich w terenie działania płk. Winogradowa było niezmiernie łatwe, gdyż ogromna masa ludzi stanowiła właściwie jeśli nie szereg AK, to ich rezerwę. Chociaż ta wielka masa nie posiadała przeważnie broni ani pseudonimów, chociaż nie składała uroczystych przysięg, jednak faktycznie niemal jawnie z AK współpracowała.

Wśród tej masy posądzonych o przynależność do AK aresztowano wielu nieujawnionych członków NSZ lub NOW, którzy przeważnie nie przyznawali się do przynależności do AK, a także podczas badań prowadzonych przez NKWD nie zdradzali istnienia tych pokrewnych organizacji, o których NKWD jeszcze wówczas nie wiedziało.

NKWD aresztowało wielu ludzi z administracji polskiej, która już zdążyła się na nowo odrodzić po przerwie okupacyjnej. Tak więc aresztowano starostów powiatowych, jak na przykład sędziego Stanisława Brzeczka, starostę w Ostrowi Mazowieckiej, którego zabrano wprost z biura w lakierkach i w czarnej jesionce. Aresztowano burmistrzów wielu miasteczek wraz z ich urzędnikami. Niekiedy zabierano całe biura razem z maszynistkami i woźnymi. Aresztowano wielu wójtów gmin wraz z sekretarzami i innymi urzędnikami. Aresztowano kilkudziesięciu, jeśli nie kilkuset sołtysów, ogromną masę nauczycieli i nauczycielek z miast i wiosek, pracowników poczty, organistów, kolejarzy z Ostrołki, Bielska i Sokółki. Aresztowano sędziów, którzy już uruchamiali sądy w niektórych miastach, i urzędników sądowych oraz adwokatów. Aresztowano 2 dyrekcje Lasów Państwowych w komplecie wraz z maszynistkami i wszystkimi gajowymi, aresztowano pracowników Urzędów Ziemskich. Aresztowano służbę zdrowia AK w Białymstoku, złożoną w dużej mierze z kobiet, z dr. Drozdowskim na czele. W miasteczkach aresztowano młynarzy, piekarzy, rzeźników, szewców, sklepikarzy. Aresztowano wielu robotników fabrycznych z Białegostoku, Supraśla i innych miast.

Aresztowano niedobitki ziemian województwa Białostockiego, których przeważnie wyniszczyła okupacja sowiecka z lat 1939-1941 i których majątki były przez Niemców upaństwowione w tym okręgu, jeśli przekraczały 125 ha. Obecnie za *pomieszczków*, a więc wrogów ludu uznano właścicieli gospodarstw do 50 ha, którzy nigdy za ziemian nie chcieli się uważać, a którym dekret PKWN konfiskował w jesieni 1944 roku posiadaną ziemię i wysiedlał ich z gospodarstw. W aresztowaniu tych wysiedlanych i wywłaszczanych dopomagali enkawudystom czasem pełnomocnicy PKWN do spraw reformy rolnej. Aresztowano niektórych rządców majątków, którzy przez obie okupacje jakoś przeżyli, ale także wielu robotników rolnych, którzy akurat w tym czasie powinni byli się cieszyć z likwidacji folwarków i otrzymania po kilka hektarów ziemi. A jednak aresztowano wielu fernali, pasterzy bydła, karbowych, a nawet dziewcząt, które w majątkach pracowały.

Najwięcej aresztowanych stanowili rolnicy i to często bardzo biedni, z wiosek „deskami od świata zabitych”. Aresztowanymi bywali ludzie bardzo prymitywni, którzy nie mogli zrozumieć, dlaczego aresztujący ich *bojcy* nazywają ich „mikołajczykami” z dodaniem przymiotników bardzo obelżywych, których ze względu na bardzo nieprzyzwoitą treść nie godzi się powtarzać. Aresztowano np. człowieka kopiącego kartofle tylko dlatego, że ktoś

powiedział NKWD, że nazwisko jego jest Mikołajczyk. Aresztowano spotkanego przypadkowo w Białymstoku Żyda z Knyszyna, gdyż enkawudystom wydało się podejrzanym, że przy ogólnej głodzie Żydów on jakoś przeżył. Aresztowano w różnych miejscowościach po prostu przechodniów, których proszono najpierw o pokazanie drogi do sąsiedniej wioski, zapraszano do zajęcia miejsca w samochodzie, a później nie wypuszczono, bo enkawudystów obowiązywało wyrobienie ilościowego planu aresztowań.

Aresztowano całe posterunki nowo sformowanej Milicji Obywatelskiej, jeśli skład ich wydał się zbyt reakcyjny lub za bardzo powiązany z AK. Zdarzało się, że ci milicjanci siedzieli razem z ludźmi przedtem przez nich samych aresztowanymi.

Niewielu było aresztowanych za niestawiennictwo do nowo formowanego wojska polskiego, do którego pobór był powszechnie bojkotowany, zwłaszcza we wsiach. Ale znacznie więcej było aresztowanych spośród tych, którzy do tego „berlingowskiego wojska” wstąpili. Aresztowano ich w pełnym umundurowaniu, przygotowanych do wymarszu na front. Aresztowano takich Polaków, którzy na przykład usłyszawszy w Toruniu, że nad Narwią już są Rosjanie pośpieszyli tam, przedarli się przez front, by wstąpić do wojska polskiego i takich, którzy uciekli Niemcom z robót fortyfikacyjnych nad Narwią, czy Biebrzą.

Aresztowano tych, którzy już siedzieli w więzieniach sowieckich przed 22 czerwca 1941 roku i których rodziny zostały wywiezione do Kazachstanu. Aresztowano takich, którzy wojowali o Polskę w latach 1919-1920 i takich którzy w tej Polsce później społecznie pracowali. Starannie wyszukano ludzi, którzy byli kiedykolwiek w Ameryce, stamtąd powrócili z zarobionymi dolarami i przed pierwszą wojną światową lub zaraz po niej kupili sobie ziemię. Nie przeszkadzało, jeśli tacy „amerykanie” mieli po 70 lat, lub więcej. Najstarszy z aresztowanych i przebywających później w łagrze miał 86 lat, a najmłodszy — chłopiec z Białegostoku aresztowany za zabawę nabojami — liczył 12 lat. Aresztowano kobiety w ciąży, które później w Ostaszkowie w łagrze urodziły dzieci i które to dzieci bywały głuchonieme. Zabierano matki od małych dzieci.

Wraz z Polakami, których można było uważać za zwolenników rządu londyńskiego aresztowano niewielką ilość ludzi pochodzenia niemieckiego lub tylko o niemieckich nazwiskach, zwłaszcza w Białymstoku. Na Suwalszczyźnie aresztowano mężczyzn i wiele kobiet z pewnej wioski zaludnionej mieszkańcami pochodzenia kurlandzkiego o mowie niemieckiej. Aresztowano kilkunastu, a może kilkudziesięciu byłych niemieckich szucmanów, czyli

Polaków lub Białorusinów służących w niemieckiej policji pomocniczej utworzonej ze „straży obywatelskiej”, sformowanej zaraz po zajęciu Białostocczyzny przez Niemców, w okresie, gdy przez kilka tygodni Niemcy nie zajmowali się zarządzaniem krajem. Niektórym z tych byłych szucmanów AK kazała pozostawać w tej służbie, by informowali o tym, co Niemcy zamierzają, i tacy bardzo się sprawie polskiej przysłużyli. Ale byli także wśród nich ludzie głupi lub służący dla korzyści osobistych, którzy brali udział w mordowaniu Polaków lub Żydów. Domieszka tego rodzaju ludzi do Polaków osadzonych w łagrze była bardzo niekorzystna, ale mowa będzie o tym dalej.

NKWD dokonywało aresztowań w mieszkaniach lub domach, najczęściej w nocy. Ale często zabierało ludzi z miejsc pracy, z biur, z urzędów, nauczycieli zabierano z klas spośród uczniów. Najczęściej zabieranym w ten sposób mówiono, że są proszeni „na 5 minut tylko”. Aresztowano na ulicach, na drogach, przy wyjściu z kościoła... Nie obeszło się przy tym bez dobrej informacji, której udzielali różni „aktywiści” z okresu poprzedniej okupacji. Czasami udzielali informacji różni ogłupiali ludzie, ale najpotrzebniejsze informacje wyciągali oficerowie NKWD podczas przesłuchań aresztowanych, od których dowiadywano się nazwisk innych osób, które mogły NKWD zainteresować. O niektórych wiedział już wywiad sowiecki, gdy jeszcze Białostocczyznę rządili Niemcy. Jeśli NKWD miało w momencie aresztowania czas na odwiezienie aresztowanego, to na razie nic jego życiu nie groziło. Gorzej bywało, gdy konwojowanie w danym momencie im „nie pasowało”. Na przykład aresztowanego porucznika Michała Zaniewskiego we wsi Ściony najwyraźniej woleli zastrzelić po aresztowaniu i zrobili to pod pozorem chęci ucieczki, a mordu tego dokonali na oczach ciężarnej żony, której Zaniewski nie chciał opuścić w przededniu porodu i dlatego się nie ukrył.

Zwożono najpierw aresztowanych samochodami amerykańskimi do aresztów w miastach powiatowych lub po prostu w dołach nakrytych drewnem i ziemią. Pobyt w takich warunkach trwał czasem kilka, a czasem kilkanaście dni. Oto przykład, jakim zabiegom poddano w Wysokiem Mazowieckiem przed wieczorem 5 listopada 1944 roku odzież aresztowanych i przy tym ich samych. Kazano wszystkim aresztowanym obojga płci oddać odzież i bieliznę do odwyszalni i pozostać zupełnie bez odzieży, jedynie w butach, przez około 3 godzin, gdyż tyle trwało zanieśenie, parowanie i przyniesienie z odwyszalni. Zmuszono wszystkich bagnietami do rozebrania się, a później rozdawano odzież i bieliznę bez światła już o zmroku, ale na szczęście temperatura była

trochę powyżej zera. Gorsze od takiego przebywania nago w ziemie „dla higieny” były głód, zimno, brud i brak palenia, ale najgorsze były śledztwa trwające przez wiele godzin nocnych, przy świetle palącego się knota zanurzonego w blaszance z naftą. Wiele chłopcy zaplądali się w tych śledztwach. Bito tylko w wyjątkowych przypadkach, gdy *śledzowiec* orientował się, że jego ofiara już zaczynała mówić o czymś interesującym NKWD. W takich przypadkach oficer NKWD domagał się dalszych szczegółów. Pewien komendant posterunku MO po każdym uderzeniu kijem w gołe pięty wymieniał coraz to nowe nazwiska ludzi znanych i zupełnie nieznanymi. Był przypadek, zapewne nie jedyny, że pewnego rolnika wywłaszczonego z gospodarstwa jako nieco większego niż 50 ha bito, aby wydał, gdzie ma swe „złoto i srebro”, bo nie wyobrażano sobie *promiennika* bez zapasu tych szlachetnych metali...

Przed 7 listopada przywieziono tymi samymi amerykańskimi samochodami do więzienia w Białymstoku przy Szosie Południowej ponad 1 tysiąc aresztowanych. Przewożonym z Białej Podlaskiej żołnierzom 9 dywizji AK powiązano na okres transportu ręce do tyłu kablem czy drutem. Ale pewna energiczna dziewczyna o której powiadano, że bardzo sprawnie wykonywała wyroki na gestapowcach na ulicy, potrafiła rozwiązać siebie i sąsiadów, tak że jeden cały samochód się rozwiązał. Przy krótszych transportach wiązania rąk do tyłu nie stosowano. Więzienie białostockie zatłoczone, brudne, z przepełnionymi *parasami*, wydało się dla wielu rajem po pobytach w prowizorycznych aresztach. Ale pobyt tu trwał krótko. Strzyżono aresztowanych, prowadzono do łaźni i odwieszalni i w nocy wyczytywano do transportu. W nocy wywożono samochodami na bocznicę kolejową w pobliżu ulicy Sienkiewicza, przy linii kolejowej prowadzącej do Wołkowyska i Baranowicz. Pierwszy transport do Ostaszkowa, liczący około 1.000 ludzi odjechał 7 listopada. Później w listopadzie odjechały dwa dalsze transporty. Jeszcze później zawieziono bliżej nieznaną liczbę aresztowanych do Stalinogorska, gdzie ich zatrudniono przy kopaniu węgla. Tak na przykład poseł na Sejm z województwa Białostockiego i prezes Izby Rolniczej Białostockiej Stanisław Mystkowski nie mógł być dołączony do III transportu do Ostaszkowa, gdyż w odwieszalni więziennej przez nieszczęśliwy defekt techniczny tego urządzenia spaliło mu się ubranie wraz z bielizną. Został więc pan poseł w więzieniu białostockim goły jak święty turecki, jedynie w butach, których do odwieszalni się nie daje i pojechał kopać węgiel w Stalinogorsku razem z pewnym kowalem z pewnego folwarku, którego tak nie-

zgrabnie badano w śledztwie, że przestał widzieć na oczy i także do Ostaszkowa nie został zabrany.

Powyższe aresztowania dokonywane pod sprawnym kierownictwem płk. NKWD czy też kontrwywiadu Winogradowa i jego podkomendnych nie rozciągały się na obszar reszty woj. Warszawskiego i Lubelskiego oraz woj. Rzeszowskiego, powstałego wówczas z resztek woj. Lwowskiego, nie przyłączonych do ZSSR. Tam inna ekipa NKWD dokonywała aresztowań i wywoziła aresztowanych do dużych łagrów w okolicy Borowicz koło Leningu.

Masowe aresztowania prowadzone na terenie Polski rządzonej w 1944 roku przez PKWN z Lublina były przyczyną zjawiska bardzo niekorzystnego dla młodej władzy PRL. Mianowicie setki i tysiące ludzi, których nie zdążono aresztować lub którzy czuli, że im takie aresztowanie zagraża, wołały iść „do lasu” z bronią w ręku, niż czekać na aresztowanie, tym bardziej, że o wywożeniu do Ostaszkowa nie wiadomo i uważano za prawdopodobniejsze, że wszyscy aresztowani zostali wymordowani w jakimś lesie. Na skutek tego, gdy w styczniu ogromne masy wojsk sowieckich odplynęły za Wisłę, rozgorzał jasnym płomieniem zbrojny opór przeciwko rządowi Bieruta i towarzyszy. Tłumienie tego oporu nazwano walką z „reakcyjnym podziemiem”, a była to walka krwawa i bardzo długa...

Rozdział II

TRANSPORT Z BIAŁEGOSTOKU DO OSTASZKOWA

Pierwszy transport załadowany w nocy z 6 na 7 listopada dotarł do Ostaszkowa 19 listopada, czyli po 12 dniach. Transport drugi dotarł tam 21 listopada po 8-dniowej podróży, a transport trzeci 8 grudnia po około 7-8 dniach podróży. Wieziono aresztowanych Polaków w wagonach bez prycz, ale z deskami skośnie umieszczonymi w drzwiach spełniającymi rolę WC. Najgorsze było to, że aresztowanych wieziono bez wody do picia, co było gorsze niż głód i zimno. Przez pierwsze 4 dni nie dawano pierwszemu transportowi wody zupełnie, a później rzadko dawano jedno wiadro na 40 spragnionych, półprzytomnych ludzi, podczas gdy żadnych kubków ani blaszanek do podziału wody nie było, a konwojenci kazali pić szybciej. Toteż nieszczęśliwi ludzie tłoczyli się, przepychali, wiele wody rozlewali i nie było mowy o sprawiedliwym jej podziale. Byli tacy, którzy przez 12 dni tej

makabrycznej podróży wcale prawie wody nie pili. Z pragnienia lizano szron osadzający się na metalowych częściach wagonu. Jak na ironię dostali oni suchary, cukier, słoną słoninę i suchą herbatę, ale bez wody ten suchy prowiant był nie do jedzenia. Wieziono aresztowanych przez Wołkowysk, Baranowicze, Mińsk, Smoleńsk, Rzew, Torżok do Ostaszkowa. Koło Wołkowyska, już na terenach przyłączonych do ZSSR w jednym wagonie aresztowani rozbili ścianę i przez powstały otwór zaczęli wyskakiwać. Konwojenci to zauważyli, zatrzymali pociąg, strzelali do sześciu uciekających i kogoś jakoby zastrzelili, a dwóch zastrzeliło NKWD już w kraju. Natomiast dla 34, którzy nie zdążyli wyskoczyć, skończyło się to tragicznie. Zapędzono ich do innego, całego wagonu, kazano się rozebrać i oddać ubranie, bieliznę i obuwie. Za karę przez noc byli nadzy zupełnie. Wydawało się im, że przetrwali bez szkody dla zdrowia tę noc, gdy temperatura nie spadała poniżej zera. Jednakże omylili się, gdyż choć przeżyli wszyscy zimę, na wiosnę połowa z nich znalazła się w Riazaniu a połowa pozostała w Ostaszkowie i ci w Riazaniu wszyscy przez lato wymarli. Prawdopodobnie to samo stało się z pozostałymi w Ostaszkowie.

Po tej próbie ucieczki *bojcy* z konwoju opletli dokoła drutem kolczastym wagony o słabszych ścianach. Oprócz tego na każdej stacji biegali po dachach, obok i pod wagonami i walili młotami w sufity, ściany i podłogi by sprawdzić, czy nie powstaje nowa dziura w wagonie.

Wreszcie pociąg dotarł pewnego ranka na stację towarową w Ostaszkowie. Przed wieczorem przyszli liczni konwojenci uzbrojeni w karabiny z bagnetami, prowadząc wiele psów. Kazano wychodzić z pociągu i stanąć piątkami. Mróz był duży, a tu niektórzy ledwie ubrani w marynarki, niektórzy w swetrach, niektórzy bez butów, tylko w skarpetkach, bo w chwili aresztowania buty były w reperacji, ale najgorzej ubrane były kobiety na ten silny mróz i grudę. Wszyscy jedli śnieg z pragnienia. Kolumna ustawiona w piątki ruszyła wreszcie i szła około 5 km do łagru nad jeziorem na skraju torfów. Kobiety w liczbie 200-300 szły na końcu szlochając i mdlejąc. Na szczęście mdlejących nie dobijano bagnetami, jak to się zdarzało przy ewakuacji więźniów w czerwcu 1941 roku, lecz wrzucano na samochód ciężarowy.

Podczas pierwszej nocy spędzonej wewnątrz łagru nastąpiła tragedia. Wszyscy spragnieni pili wodę przy studni łagrowej „aż do oporu”. Na skutek tego aż 31 osób na tysiąc przywiezionych I-szym transportem zmarło tej nocy. Ten fakt nasza polska służba

zdrowia — czyli służba zdrowia AK z Białegostoku, która zajęła się natychmiast po przyjeździe izbą chorych w łagrze — zataiła przed ogółem koleżanek i kolegów. Dopiero w kilkanaście lat po powrocie ujawnił zgon tych 31 osób jeden z Białostoczan, wówczas sanitariusz.

Transporty II i III nie cierpiały tak wielkiego braku wody i nie miały takich strat jak transport I, ale w niektórych wagonach transportu III mocz i kał zamarzał w otworach i gromadził się na podłodze wagonu, gdyż nie mógł wyciekać na zewnątrz.

Rozdział III

ZA DRUTAMI OSTASZKOWSKIEGO ŁAGRU (od 19. XI. 1944 do 15. IV. 1945)

Łagier NKWD nr 45 w Ostaszku to zupełnie inny łagier, niż ten na wyspie w dawnym prawosławnym klasztorze, w którym w 1939 roku umieszczono tysiące oficerów i żołnierzy wziętych do niewoli sowieckiej. Stwierdzili tę różnicę tacy spośród aresztowanych w 1944 roku, którzy już byli w sowieckiej niewoli po 17 września 1939 roku i z Ostaszku jako prości żołnierze zostali zwolnieni do domów z tej wyspy, znanej Polakom z literatury zagranicznej i zagranicznego radia. Natomiast w łagrze nr 45, znajdującym się w pobliżu jeziora Senigier, do którego przywieziono w listopadzie i grudniu 1944 ponad 3 tysiące ludzi (w tym 300-400 kobiet) z Białegostoku, w okresie od października 1939 do kwietnia 1940 przebywała polska Policja Państwowa wzięta do niewoli, jak również rezerwa policyjna ubrana w okrągłe zielone czapki i zielone mundury, oraz żołnierze Korpusu Ochrony Pogranicza, a także leśniczowie w swych zielonych, noszonych jeszcze i obecnie mundurach i czapkach. Władze łagru bynajmniej nie robiły tajemnicy z pobytu tych wszystkich Polaków, których być musiało w tym łagrze 2 do 3 tysięcy. Pozostała zresztą po nich pamiątka w obrębie łagru, w postaci wielkiego baraku nr 7, wybudowanego przez nich po polsku, czyli sposobem jakim się posługiwali w Polsce cieśle, dopokąd nie zabroniono budować domów i innych budynków z drewna. Drugi duży budynek, zaczęty przez tych Polaków w roku 1940 pozostał nieskończony za drutami, gdy nagle polskich policjantów, żołnierzy KOP i leśników wywieziono z łagru na północ, by ich zatopić w falach morskich. O tej zbrodni ludobójstwa, równoległej do zbrodni katyńskiej, dowiedzieli się ci z przywiezionych z Białegostoku

Polaków, którzy w dniu 15 kwietnia 1945 roku nie zostali przeniesieni do łagru w Riazaniu. W maju lub w czerwcu, podczas remontu jednego z baraków w łagrze w Ostaszkowie natrafiono na setki zakopanych pod podłogą czapek policyjnych, KOP-u i leśniczych i ten fakt spowodował, że różni miejscowi Rosjanie opowiedzieli w tajemnicy o wytopieniu właścicieli tych czapek.

Po przyjeździe wszystkich trzech transportów do łagru w Ostaszkowie zapełniły się wszystkie baraki łagrowe Polakami, a nawet oddano na ten cel budynek stołówki i zarazem świetlicy łagrowej. Kobiety umieszczono w baraku nr 1, czyli tuż przy bramie łagrowej, i w małym baraczku nr 9 stojącym na uboczu. Mężczyźni zajęli baraki nr 2, 3, 4, wspomnianą stołówkę, ogromną, jeszcze carską budowlę stanowiącą barak nr 5, oraz baraki nr 7 i 8. W baraku nr 6 był szpital. Prócz tego była elektrownia opalana drzewem, *chleborieźka*, *bania*, magazyny, pralnia, warsztaty. Tłok zapanował ogromny — na piętrowych pryzkach ludzie leżeli tak gęsto, że mogli leżeć tylko na boku. Z braku miejsca wielu musiało spać na podłogach, a jeśli w nocy ktoś z pryczy wyszedł do ustępu po omacku wśród ciemności, to nie mógł się położyć dopóki ktoś inny nie zrobił mu miejsca wychodząc. Brakowało światła, chociaż była elektrownia dla oświetlenia latarniami kilku rzędów drutów kolczastych wokół łagru, a w barakach tylko brakło żarówek. Spać trzeba było na gołych *opołach*, czyli półkrażych deskach z korą, ściętych z boków pnia, lub drażkach, gdyż prycze nie były zbite z równych desek, bez sienników, bez koców, tylko w takim ubraniu, w jakim został każdy aresztowany. Brud, głód, ciemności, pluskwy i tłok dukały wszystkim, a ponadto wielu gorzej ubranych cierpiało na skutek zimna. Od początku zaczęli wszyscy chorować na przeziębienie pęcherza i musieli w ciągu nocy 5-6 razy wychodzić, schodzić z trzeciego, a nieraz nawet piątego piętra prycz w zupełnej ciemności.

Na szczęście był to łagier prawie wyłącznie polski, bez obywateli sowieckich, bez rosyjskich kryminalistów, nawet bez rosyjskiej inteligencji, przejawiającej nieuleczalny patriotyzm do swej Wielkiej Rosji, i nie oni zostali dygnitarzami wewnątrz łagru. Komendantami sal i baraków zostali porządni, inteligentni ludzie spośród Polaków, jakich tu z Białegostoku przywieziono. Powstała polska wewnętrzna komendantura, a na jej czele stanął dobry Polak i porządny człowiek, wachmistrz żandarmerii Wilbik z Białej Podlaskiej, zastępcą jego został Białostoczanin Żakowski, a sekretarzem, a raczej pisarzem łagrowym porucznik Adam Lipiński, przedwojenny sekretarz wojewody Henryka Ostaszew-

skiego w Białymstoku. Teraz miał być „pisarzem”, chociaż w łagrze brakowało papieru i pisywano tylko na deskach. Komendantami sal i baraków zostali tacy porządni ludzie jak profesor Multański z Białegostoku — komendant 5 baraku, poseł Jan Choromański — komendant 1 sali 5 baraku, ogniomistrz Sporzyński — komendant stołówki, czy porucznik Ciepucha — komendant baraku 2-go. Trzej polscy lekarze i polskie sanitariuszki AK oraz pielęgniarki objęły szpital (podlegający w jakiś sposób lekarzom-jeńcom niemieckim), w którym brakowało najbardziej podstawowych lekarstw. Nasi kucharze i piekarze objęły kuchnię i piekarnię, ale szefami kuchni i *chleborieźki* zostali jeńcy niemieccy — Ślązacy. Polscy szewcy i krawcy poszli do pracy w warsztatach, kobiety zatrudniono przy obieraniu ziemniaków i w pralni. Słowem ustalił się ład wewnętrzny, nadzorowany przez 2-ch sowieckich oficerów inspekcyjnych, którym łagrowe niewiasty-Polki nadały przezwiska Cap-Carap i Kaczy Łeb. Na szczęście na teren łagru wchodzili oni bez broni, którą pozostawić musieli w *prochodnoj*, czyli mówiąc językiem obecnym „na portierni”. Bywali bowiem stale pijani i z naganami w rękach byliby nieobliczalni, gdy np. poszukiwali w salach męskich ukrytej *żenszcżiny*, lub gdy wydawało się im, że ktoś gra w karty zrobione z tektury z amerykańskich paczek. Zadaniem polskich komendantów sal był przede wszystkim sprawiedliwy podział żywności i pod tym względem stanęli wszyscy na wysokości tego niełatwego zadania, ale bywały czasem na początku drobne trudności. Oto pewien bardzo szanowany przez całe XX-lecie międzywojenne burmistrz pewnego miasta nie potrafił wyliczyć się z pobranego w *chleborieźce* cukru, którego powinno było wystarczać wówczas po 2 kostki na człowieka. Obserwowano go i stwierdzono, że idąc po ciemku do baraku przełożył kilka kostek do swej kieszeni. Dostał za to mordobicie i cukier odtąd w tej sali rozdzielał pewien młodzieniec uważany w tym mieście za łobuziaka czy chuligana, ale z cukrem było odtąd w porządku.

Wyżywienie dzienne każdego z łagierników składało się z 600 gramów chleba otrzymywanego z *chleborieźki* już w stanie pociętym na porcje. Oprócz tego dostawano po 17 gramów cukru, czyli owe 2 kostki, a później dawano cukier w postaci cukierków, cukru sypkiego ciemnego itp. Na śniadanie około 5-ej rano dawano po 0,8 litra płynu ciemnego nazywanego kawą lub herbatą, ale nie zawierającego żadnego z tych produktów, oraz po 2 łyżki stołowe kaszy, czyli taką porcję „jak dla kota” w domu. Chleb i cukier pobierano przed śniadaniem i stopniowo przyzwyczaili się wszyscy zjadać całą *pajkę* chleba i cukier podczas śniadania,

bo i nie było w czym chleba przechowywać. Na obiad otrzymywało się 2 łyżki kaszy jako drugie danie, a na pierwsze 0,8 litra zupy, przeważnie rzadkiego kapuśniaku czyli *szczi*. Na kolację dawano po 0,8 litra zupy. Pewnego grudniowego wieczora wszyscy zatruli się taką kolacją z wyjątkiem kobiet, które nie chciały jej jeść. Wszelkie nadwyżki i dolewki były rozdawane według ściśle określonej kolejności i nad tym czuwali komendanci sal i dziesiątkowi. Do kłopotów komendantów należała także troska o oświetlenie sal, przynajmniej podczas rozdawania śniadania i kolacji. Musieli za zupę kupować w warsztatach benzynę, wazelinę lub naftę, a dopiero w marcu poszczególnym salom udało się wymienić cukier na żarówki dostarczane przez *bojców*. Żarówki te musiały się palić przez całą noc, bo nie było wyłączników ani oprawek.

Pajki chleba i porcje cukru były w łagrze środkami płatniczymi. Jedni sprzedawali za kilka lub kilkanaście pajek chleba dobre buty czy swetry, lub nawet cięli poły płaszczy na szaliki sprzedawane potrzebującym kolegom. Inni, ci aresztowani bez ciepłej odzieży, woleli umierać później z głodu niż natychmiast z zapalenia płuc czy stopniowo z gruźlicy, i dokupowali brakującą odzież. Teoretycznie powinna była uzupełnić odzienie komendantura, ale tylko kobiety zostały obdarzone najpierw białymi kalesonami zamiast całkowicie podartych pończoch, później także spodniami. Nie wszyscy poza tym mieli szczęście do sowieckiego magazyniera starych łachów. Tak więc kupowano różne waciaki i watowe spodnie głównie od takich, którzy umieli je z sowieckich magazynów wydostać. Trzeba było także kupować za chleb lub cukier machorkę, czyli krupkę i gazety do zwijania skrętów, a po ogień trzeba było biegać aż do kuchni. Utał się też zwyczaj płacenia porcją cukru kolegom-fryzjerom za ostrzyżenie z goleniem, a pod wiosnę zniknęła w łagrze moda noszenia bród długich i brudnych, ale przypominających XIX-wiecznych Sybiraków-męczenników, którzy nie cierpieli z głodu i braku ciepła tak bardzo, jak łagiernicy w Ostaszkowie w czasie zimy 1944/1945.

„Jakaż mała u was śmiertelność!” — powiedział do jednego z polskich łagierników pod koniec zimy 1944/1945 lekarz łagrowy Naumow, pamiętający zapewne w tym łagrze czasy Lenina. Temu Naumowowi zdarzyło się wyznać, że marzył o takich czasach, by mógł się najeść chlebem do syta. Naumow wyznał, że inne narodowości marły w Ostaszkowie masowo. Natomiast Polacy uwięzieni w Ostaszkowie uważali śmiertelność za ogromną, skoro od 19 listopada do 15 kwietnia zmarło 50 osób, nie licząc tych 31,

których zgon w pierwszym dniu po przyjeździe I transportu zająto przed ich kolegami. Marli ludzie na skutek przeziębienia, tyfusu i z różnych innych przyczyn. Marły kobiety z tyfusu, bo nie dały sobie włosów ogolić, by się ustrzec od wszy. Marli też młodzi chłopcy, którzy w partyzantce potracili lub nadwerżyli zdrowie, marli starzy ludzie, chorujący już w domu, marli pielęgniarze i sanitariuszki zaraziwszy się od pacjentów szpitala tyfusem. Brakowało lekarstw. Bielizna nie była zmieniana. Po kąpieli wkładano tę samą, już czarną z brudu, ale gorącą od pary w odwszalni bieliznę. Tylko 34 podejrzanych o świerzb, spośród 2 tysięcy najpierw przywiezionych, odizolowano, ale żaden z tych 34 na świerzb nie chorował, a lekarka sowiecka badała ludzi hurtem, wprowadzając zupełnie nagich, lecz o zmroku i niezmiernie szybko. Lekarze polscy z dr. Drozdowskim, szefem służby zdrowia AK w Białymstoku, mogli w szpitalu zamienić choremu chleb czarny na biały, ale taka zamiana następowała zazwyczaj tuż przed zgonem. Później wynoszono nagie zupełnie, tylko na czas transportu okryte kocem zwłoki na cmentarz, na którym leżały kości policjantów polskich z 1939 roku. W zimie trudno było tępymi narzędziami wykopać w zamarzłej ziemi mogiłę, więc wykuwano dół tak głęboki na ile sił kopiącym starczało, czyli po 20-40 cm i przykrywano nagie zwłoki grudami i śniegiem.

Obywatele sowieccy, Rosjanie, oraz innych narodowości niż rosyjska, którzy byli przed 1944 rokiem w Ostaszkowie, nie mieli żadnej nadziei, że wyjdą z łagru na wolność. Natomiast wszyscy przywiezieni tu w końcu 1944 roku Polacy nie wątpili, że Polska niepodległa będzie i że do niej wrócić muszą. Było to wielkim podtrzymaniem na duchu i brak tej nadziei przyczyniał się do wielkiej śmiertelności obserwowanej przez lekarza Naumowa u innych narodowości. Ponadto dużym podtrzymaniem i zarazem pociechą ducha i źródłem równowagi była pobożność, wspólne modlitwy, wspólne śpiewanie godziniek, kolęd, „Gorzkich żalów” w poście, czy odmawianie Drogi Krzyżowej, odmawianie zbiorowe różańca, litanii itp. Brakowało do tego książeczek do nabożeństwa, bo w całym łagrze było ich dwie lub trzy, cudem ocalałe podczas rewizji przy arestowaniach, więc modlono się z pamięci. Jedyne w Ostaszkowie ksiądz, Paweł Zubko, proboszcz z Witulina koło Białej Podlaskiej, nie miał ani brewiarza, ani sprzętu koniecznego do odprawiania Mszy św.

Wkrótce po styczniowych wiadomościach o zajęciu Warszawy, Łodzi, Krakowa, Częstochowy i innych miast polskich przyszła do łagru wieść o traktacie w Jąćie i wstrząsnęła wszystkimi

Polakami, którzy rozumieli zagadnienia polityczne. Oto Anglia i Ameryka zgodziły się na oddanie Rosji połowy terytorium Polski i na utworzenie w niej rządów takich, jakie sobie Rosja życzyła. To wstrząsnęło większością łagierników w Ostaszkowie. Zaraz potem z namowy komendantury sowieckiej powstał w łagrze „klub demokratów”, czyli organizacja łagierników-inteligentów opowiadających się za nowym porządkiem wewnętrznym w Polsce, deklarujących swój pozytywny stosunek do tych przemian. Ogół łagierników potępił „demokratów” i odtąd słowa „demokrata” i „demokracja” nabrały w oczach ogółu Polaków w łagrze ujemnego znaczenia. Pogardzano powszechnie „demokratami” i nawet rozmowa z kimś z nich groziła bojkotem towarzyskim ze strony kolegów z tej samej sali, więc trudno było dowiedzieć się o ich metody pracy i zamierzenia na okres pobytu w łagrze. Na czele ostaszkowskich demokratów stanął inteligent pochodzenia ziemiańskiego, dyrektor Spółdzielni Rolniczo-Handlowej, oficer rezerwy kawalerii, uczestnik wojny 1939 roku i bojów partyzantskich w Generalnej Guberni nad Bugiem. Do najgorszych wrogów „demokratów” należał pewien warszawski szofer, który dostał się do łagru z województwa Białostockiego, a wokół niego grupowali się rzemieślnicy i drobni rolnicy. Takich grupiek pomstujących na „demokratów” było w łagrze więcej. Powiadano, że w lecie 1945 roku w Ostaszkowie „demokraci” pomagali w wyganianiu do roboty, kogo tylko się dało.

Drugim wielkim zmartwieniem większości łagierników były wieści przywiezione ze stron rodzinnych przez III transport, czyli przez ludzi aresztowanych już w drugiej połowie listopada. Oto wśród rodzin i znajomych krążyły wiadomości, że aresztowani wcześniej, już nie żyją. Takie wieści fałszywe pochodziły stąd, że rodzinom aresztowanych, którzy starali się w więzieniach w Białymstoku czy Bielsku Podlaskim podać paczki, władze więzienne powiadały, że „już ich nie ma” albo, „już im paczki niepotrzebne”. Tak więc wielu łagierników martwiło się, że rodziny w kraju, ich żony lub mężowie uważają ich za już nieżyjących. A tu wysyłanie listów było niemożliwe i zakazane i brakowało papieru do ich pisania.

Dla rozrywki tak zgębnionych ludzi zaczęto ukradkiem wieczorami organizować prymitywne występy artystyczne, wieczory literackie i inne podobne urozmaïcenia. W 2-im baraku organizował to prof. Stefan Traugut, polonista i dyrektor liceum i gimnazjum w Drohiczynie nad Bugiem. Rolnicy urządzali pogadanki rolnicze. A późnym już wieczorem, gdy w marcu pluskwy stały

się wyjątkowo agresywne i trudno było zasnąć, w jednej z sal pewien student opowiadał codziennie coraz to nowy rozdział z „Trylogii” Sienkiewicza. Niektórzy majsterkowali, wyrabiali różańce, krzyżyki i różne inne przedmioty.

Ale i komendantura łagru pomyślała o tym, by ludzie się nie nudzili. Zatrudniono wielu w obrębie łagru w warsztatach i nawet w łagrowej straży ogniowej. Zaczęły też wychodzić brygady poza łagier, z początku do transportu drzewa saniami, na placach, lub na wozach o niesmarowanych osiach, ciągnionych nie przez konie, lecz przez samych łagierników. Później zaczęto wysyłać brygady do garbarni, cegielni, ogrodnictwa miejskiego czy też tzw. *podsobnego* NKWD, a nawet do wyładunku rannych lub zmarłych w drodze jeńców niemieckich z wagonów, w których krew zamarzała i utrudniała ich otwarcie. Brygady ładowały torf na wagoniki kolejki. Jedna z brygad chodziła też do robót leśnych przez 2 tygodnie, ale żadnej pracy rozpocząć nie mogła, bo brakowało przez cały ten okres narzędzi... Zawsze przy wyjściu przez bramę łagru wychodzący na roboty słyszeli tę samą przemowę dyżurnego oficera: „Zrobicie krok w prawo lub w lewo, a konwój będzie strzelał bez uprzedzenia...”. Jakoż konwojenci z bronią automatyczną w rękach szli a częściej jechali na nartach z boku kolumny.

Wieczorem 15 marca 8 mężczyzn i jedna dziewczyna przeczołgali się pod drutami, ale po 2-3 godzinach marszu po głębokim śniegu ustała ta dziewczyna i jeden z mężczyzn. W ciągu 2 dni wyłapano pozostałych, gdy musieli przechodzić przez okoliczne wioski nie mając innej drogi między jeziorami. Jednego z nich, Basińskiego z Grodna Cap-Carap zastrzelił przed drutami na oczach wielu łagierników strzałem w tył głowy, innych bito i kopano tak bardzo, że pokrwawionych i poranionych lekarka łagrowa zabrać kazała z karceru do szpitala. Basiński był niemieckim szucmanem, więc jego wybrano do tego zastrzelenia, by zbytnio nie oburzyć ogółu Polaków zastrzeleniem akowca.

Zdawało się, że komendantura łagru, rozporządzająca tak „wytrawnymi” oficerami inspekcyjnymi jak wspomniany Cap-Carap (który później sam za kradzież cukru dostał 10 lat) czy niewiele bystrzejszy od niego Kaczy Łeb, niewiele wiedziała o łagiernikach. Ale to było tylko takie złudzenie, gdyż nieustannie były gromadzone materiały o każdym. Dobrym źródłem informacji okazali się różni ludzie wmieszani między Polaków, nie cieszący się sympatią ogółu albo znienawidzeni powszechnie jako podejrzani o współpracę z żandarmerią lub z Gestapo za okupacji

niemieckiej. Gdy ci ludzie szli na skargę na przykład o to, że kazano im spać na podłodze w braku miejsca na pryczach dla niewątpliwych akowców, wówczas w komendanturze znajdowali nie tylko słowa pociechy, lecz i propozycje współpracy. A później potrafiła komendantura znaleźć informatorów spośród takich, których do tego zmuszono, namówiono, szantażowano... Drugim źródłem informacji były ankiety, na które — mimo wielkiego braku — jednakże papier znaleziono. Polegało to na tym, że co pewien czas chodził po barakach z sali do sali jakiś starszy wiekiem urzędnik NKWD, czasem taki co czytywał gazety w przypadku zwycięstw sowieckich, lub jakiś inny, nieznany i spisywał z każdym kwestionariusz, tj. odpowiedzi na proste pytania, dotyczące miejsca i daty urodzenia, miejsca aresztowania, powodów aresztowania i przez jakie władze był aresztowany. Te ostatnie pytania stanowiły pułapki na wielu ludzi o niewyrobitej pamięci. Wielu zatrzymanych w łagrze na okres pełnych 3 lat podało w różnych kolejnych ankietach, spisywanych co 1-2 miesiące, różne odpowiedzi i to wydało się enkawudystom analizującym te ankiety podejrzanym...

Na Wielkanoc 1945 rozeszła się wieść, że ma nastąpić powrót do Polski. Później ogłoszono nazwiska „wyczytanych” czyli przeznaczonych do tego powrotu. Jakoż w dniu 15 kwietnia 1.500 samych mężczyzn po szczegółowej rewizji załadowano do wagonów tak samo wyposażonych jak w podróży z Białegostoku do Ostaszkowa i zamiast do Polski, jak zapewniała władza łagrowa w Ostaszkowie, powieziono do łagru w Riazaniu.

Spośród pozostałych w Ostaszkowie znaczną część odesłano do Polski w styczniu 1945 roku. Prawdopodobnie wróciła wówczas 1/3 lub około połowy zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Niektóre kobiety wróciły z dziećmi urodzonymi w łagrze, ale wśród tych dzieci zdarzały się głuchonieme na skutek warunków łagrowych. Ci z pozostałej grupy przeważnie wrócili w listopadzie 1947 roku. Przed tym powrotem łagier ostaszkowski uległ podziałowi, czyli rozrzuconiu swych łagierników po innych obozach i na przykład jedna grupa trafiła do Morszańska. Pewien wójt jednej z podłomżyńskich gmin dostał kilka lat więzienia za czyn popełniony już w łagrze. Władza się bowiem dowiedziała, że powiedział coś niepochlebnego o ZSSR rąbiąc drzewo koło piekarni łagrowej. Ten wójt spotkał za kołem polarnym na przymusowych robotach pewnego rotmistrza z Ostrołęki.

Rozdział IV

SPEŁAGIER W RIAZANIU W LATACH 1945-1947

Spełagier w Riazaniu znajdował się przy stacji Diahilewo [Diagilewo] około 500 metrów na wschód od linii kolejowej Moskwa-Rostów, około 10 km przed miastem Riazań. Do kwietnia 1945 roku był on miejscem pobytu jeńców niemieckich, którzy wybudowali w nim wszystkie budynki o ścianach z żużla sypanego między deski i dachach krytych eternitem falistym. W początkach kwietnia usunięto z niego jeńców niemieckich a wprowadzono z odległego o około 3 km małego łagru około 500 oficerów polskich, podzielonych w łagrze na 3 kompanie, oraz 2 kompanie tzw. podoficerskie, złożone nie tylko z podoficerów, lecz także z żołnierzy, a nawet cywilów oraz 17 kobiet, czyli razem około 800-900 Polaków i Polek.

Oficerowie i żołnierze pochodzili z wileńskich oddziałów AK, tych samych, o których była mowa na początku, że pozbawione oficerów zostały odwiezione w okolice Kaługi. Byli też oficerowie z Lublina, Wołynia, ze Lwowa i Białostockizny. Byli to akowcy, ale spotykało się też nieznanym w Białostockim bechowców lubelskich, czyli członków Batalionów Chłopskich. Ale było też wielu, których aresztowano i wywieziono z szeregów formującego się Ludowego Wojska Polskiego. Wśród kobiet była księżniczka Czetwertyńska, ale była także młoda, o niewielkim wzroście Żydówka, zwana w łagrze „panną Polcią”. Ta grupa, która w Riazaniu spędzała zimę 1944/1945 nie była obrabowana w takim stopniu z rzeczy osobistych, jak ludzie zabrani z Białostockizny do łagru w Ostaszkowie. Dwaj księża kapelani zachowali sprzęt polowy niezbędny do odprawiania Mszy św. i w łagrze odprawiane były aż do 1947 roku Msze św. Oficerów wileńskich przywieziono pod Riazań latem 1944 roku w specjalnych wagonach do przewozu więźniów, czyli w *stołypinkach*, tak nazwanych, gdyż wymyślone zostały za czasów carskiego premiera Stołypina.

Około 20 kwietnia 1945 do łagru NKWD nr 178 koło stacji kolejowej Diahilewo, w którym opisana wyżej grupa Polaków zajmowała jeden duży barak koło bramy, blisko komendantury i stołówki, oraz znaczną część innego baraku, przywieziono i przyprowadzono pod konwojem 1.000 mężczyzn z łagru w Ostaszkowie, ubranych przeważnie gorzej niż grupa riazańska, przyodziana

w płaszcze i mundury wojskowe, jeśli nie polskie, to węgierskie, rumuńskie albo niemieckie. „Ostaszkowcy” zajęli 3 baraki i utworzono z nich 9 nowych kompanii, a nawet później 10.

Zaraz po Nowym Roku 1946-tym przywieziono także pod konwojem z więzienia w Charkowie grupę ok. 80 osób, w której było 4 generałów, 9 pułkowników, 2 wojewodów z ramienia rządu londyńskiego, a resztę stanowili przeważnie oficerowie AK bardziej związani ze sztabem, a także łącznicy, gońcy itp. Osobno w kilka tygodni potem przywieziono pułkownika Wilka-Krzyżanowskiego, dowódcę oddziałów AK, które zdobyły w lipcu 1944 Wilno na Niemcach. Pułkownik Wilk-Krzyżanowski za aprobatą Komendy Głównej AK w czasie prowadzonych z Armią Czerwoną pertraktacji używał tytułu generała. Nazwiska pozostałych generałów były następujące: Ludwik Halka-Bitner — dowódca 9 dywizji AK, Kazimierz Tumidajski, pseudonim „Grabowski”, podobnie jak Wilk-Krzyżanowski mający prawo używać tytułu generała, komendant Okręgu Lubelskiego i Filipkowski, pseudonim Jenka, komendant Okręgu Lwowskiego AK. Wśród pułkowników był Czerwiński, przed wojną dowódca 1 PAL-u w Wilnie, „Oliwa”, czyli Jan Kiwerski, dowódca 27 dywizji piechoty AK z Wołynia, oraz Adam Świtalski, pseudonim „Dąbrowa”. Białostocki wojewoda Przybyszewski był endekiem, zaś wojewoda lubelski, Cholewa — ludowcem. Wszyscy przywiezieni z Charkowa byli ubrani w dość porządne granatowe waciaki otrzymane w więzieniu. Oprócz tego na jesieni 1945 roku do spektaklu przywieziono pojedynczo 2 osoby: majora-lekarza wysłanego z Warszawy w czasie powstania przez gen. Bora-Komorowskiego do gen. Rokossowskiego jako sowieckiego dowódcy frontu, a także zgłosił się sam, bez konwoju, ale z walizkami sierżant armii gen. Andersa, dezterter z Włoch, który dotarł do wojsk sowieckich w Rumunii i prosił o przepustkę do Baranowicz, nie wierząc, że Baranowicze są rzeczywiście od Polski odłączone... Władze sowieckie kazały mu zgłosić się do łagru, w którym Polacy traktowali go bez sympatii. Tuż przed Bożym Narodzeniem 1945 roku umieszczono także w łagrze riazańskim 2 rodziny rosyjskich białych emigrantów, które zapragnęły z Wiednia powrócić do ojczyzny, co skończyło się dla nich na razie łagrem, a później więzieniami.

Po osadzeniu w riazańskim łagrze generałów zaczęto nazywać ten obóz *spektagrem*.

W dniu 19 stycznia 1946 roku z tego *spektagru* odesłano do Polski i w Białej Podlaskiej wypuszczono na wolność 852 męż-

czyn, w tym zaledwie 19 oficerów, z majorem „Borkiem” (którego prawdziwe nazwisko brzmiało Tomasz Zan) jako najstarszym z nich.

W roku 1945 łagier nr 178 dziwną przedstawiał mieszaninę i odgrywały się w nim sceny dziwne jak na łagry ZSSR. Napełniała go mieszanina ludzi ubranych w płaszcze, mundury i czapki wojskowe lub „prawie wojskowe”, z polskimi barwami na kołnierzach lub czapkach, albo ubranych po cywilnemu z dodatkami różnych części stroju pochodzących z sowieckich magazynów, brudnych i obdartych. Wprowadzono w łagrze wojskowy porządek, podział na bataliony, kompanie, plutony i dziesiątki. Kazano ujawnić nie tylko stopnie oficerskie, ale także wszystkie podoficerskie. Oficerów z grupy ostashkowskiej dołączono do oficerów z grupy riazańskiej, co miało ten doraźny praktyczny skutek, że dawało możliwość lepszego nieco jedzenia. Oficerowie bowiem otrzymywali po 300 gramów chleba białego i po 300 gramów czarnego, a nieoficerowie po 600 gramów chleba czarnego. Porcje cukru oficerskie podobno dochodziły do 40 zamiast 17 gramów, nieco więcej miało być kalorii w zupach i w „kaszy” czyli drugim daniu. Oficerowie jadali posiłki przy stołach w stołówce, siadając po sześciu przy każdym stole. Ale największą różnicę między oficerami a resztą stanowiło otrzymywanie przez oficerów po 10 gramów tytoniu dziennie, do którego trzeba było jeszcze postarać się o gazetę na „skręty”. Gdy przywieziono do *spectragru* generałów i pułkowników to okazało się, że ich wyżywienie jest według regulaminu jeszcze wykwinniejsze i że zawiera co dzień nawet kompot z suszonych brzoskwiń, ale nasi generałowie odmówili takich jedzeniowych wyróżnień stając na stanowisku równości w łagrze w zakresie konsumpcji.

Nie wszyscy z grupy ostashkowskiej ujawnili się jako oficerowie i zrobili słusznie, gdyż oficerów staranniejsz „rozpracowywano” i dłużej trzymano. Tak na przykład Władysław Brzeziński, właściciel majątku Grodzisk koło Siemiatycz, oficer rezerwy 10 pułku piechoty w Łowiczu i uczestnik wojny 1939 roku, członek NSZ bardzo popularnego w okolicy Siemiatycz, nie ujawnił swego stopnia oficerskiego, chociaż był w łagrze cały prawie zarząd jego gminy, wszyscy urzędnicy z poczty i kilkudziesięciu rolników z tej gminy, ale wszyscy zachowywali dyskrecję.

Łagier riazański miał w chwili przyjazdu grupy ostashkowskiej swoją komendanturę na czele z rotmistrzem Sawickim i swój „klub demokratów” liczący 52 oficerów na czele z ppor. Celmińskim. Codziennie przed kolacją odbywały się na dużym placu łagrowym apele. Kompanie ustawione w piętki ze swymi do-

wódcami i szefami podawały swój stan, jakiś lejtnant sowiecki wraz z rotmistrzem Sawickim liczyli stany wszystkich kompanii i zapisywali na desce, a później dodawali zapisane pozycje. Była to *prowierka*, która w Ostaszkowie tak okazała nie przebiegała. Po *prowierce* cały łagier stojąc jeszcze na placu apelowym śpiewał „Wszystkie nasze dzienne sprawy” lub pieśń łagrową, nabożną „O Panie, który jesteś w niebie...”. Trzeba było na *prowierkę* koniecznie przychodzić w obuwii, a pewnego wieczora, gdy pan Jarząbek spod Ostrowi buty gdzieś zgubił, to cały łagier pół godziny czekał, aż je odnajdzie... Później tak okazałych *prowierek* wieczornych nie bywało, gdyż znaczna ilość łagierników była zatrudniona w brygadach roboczych za drutami, ale w maju i w czerwcu był tak wojskowy nastrój, bo — jak się później wygadał pewien enkawudysta — „naczalstwo” przygotowywało się do utworzenia spośród łagierników polskich batalionów do walki z Japonią, ale plany te stały się nieaktualne po zrzuconiu amerykańskich bomb atomowych. Na razie mogli się tylko wszyscy dowiedzieć z ogłoszenia komendantury, że są „internowanymi Polakami”, których między innymi obowiązuje salutowanie sowieckich oficerów, ale to ostatnie było realizowane z wielkimi oporami, a sami sowieccy oficerowie, których internowani starali się nie zauważać, na szczęście nie byli uwrażliwieni na oddawanie lub nieoddawanie honorów wojskowych.

Warunki bytowe w riazańskim łagrze poprawiły się w porównaniu do Ostaszkowa znacznie. Zatlóczenia już nie było, przychodzenie do spania były tylko jednopiętrowe i zbite z równych heblowanych desek. Sienników brakowało początkowo, ale po 2-ch miesiącach je wydano, a później nawet zostały napchane resztkami słomy ze stert odległego o 6-8 km kołchozu. Słomy tej jeden z pracujących tam musiał przynieść tyle, by jeszcze dla dwóch starczyło. Już było się gdzie umyć, a ustępy były czyste i nie tak było w nich łatwo utonąć jak w Ostaszkowie. Po każdej kąpieli w łaźni była wymiana bielizny brudnej na czystą, ale na taką, jaka się trafiła kolejno. Dawano nawet mydło do kąpieli. Dawano jakieś zastrzyki niezwykle tępymi igłami. Szpital był lepszy i czystszy i więcej w nim było lekarzy polskich, ale powiadano, że ci najlepsi woleli w szpitalu nie pracować wobec braku leków. Chleb dawano z magazynu na wagę dla poszczególnych plutonów, gdyż nie było jak w Ostaszkowie *chleboriezki*. Plutony zaś miały prowizoryczne, ale dokładne wagi, własnej roboty, do rozważania naprawdę sprawiedliwego. Podobnie na wagę dzielono cukier. Jednakże mimo precyzji w podziale otrzymywanej żywności wszyscy byli głodni. Zwłaszcza trudne okresy bywały

w II kwartale każdego roku, gdy przeważała w jedzeniu kapusta kwaszona, która zastępowała kaszę, mąkę, ziemniaki. W 1947 roku w tym okresie karmiono także gotowaną trawą dawaną na rzadko i na gęsto... W II połowie lata 1945 roku młodzi chłopcy oraz starsi schorowani mężczyźni zaczęli z głodu puchnąć. Władze łagrowe sowieckie w postaci sowieckich lekarzy organizowały dla tych *kurortnoje oddielenia*, czyli oddziały wydzielone, otrzymujące dodatkowe lub posilniejsze jedzenie. Dla tych, którzy nie mogli być zaliczeni do takich „kuracjuszy” pozostawała możliwość zarobienia dodatkowego jedzenia na robotach. Ale nie wszystkie prace wykonywane w łagrze uprawniały do takich dodatków, gdyż na przykład niewielkie dodatki w postaci tylko tytoniu przewidywano dla pracujących przy łagrowych ziemniakach, ale *naczelstwo* tak kręcić umiało, aby przez 5 dni tych dodatków nie dać, a potem otrzymanie ich było przeterminowane. Ponadto nie wszyscy mogli wykonywać prace poza łagrem. To był przywilej tych wyczytanych w lipcu 1945 do powrotu do Polski, który nastąpił dopiero po 5 miesiącach ich pracy. Oficerowie nie byli dopuszczeni do pracy poza łagrem. Były wprawdzie pierwsze próby na wiosnę i w lecie. Niektórych używano jako agronomów przy sadzeniu i pielęgnowaniu ziemniaków, ale gdy aż 5 lotników polskich uciekło z brygady od zbierania ziół leczniczych, to oficerom wszelkich prac poza drutami zakazano, co było z ogromną dla nich szkodą, gdyż pozbawiło to wielu polskich zdolnych i inteligentnych ludzi poznania naocznie sowieckiego życia gospodarczo-społecznego tego okresu.

Oficerowie Polacy byli dowódcami kompanii, batalionów, a nawet plutonów, ale na co dzień być i pracować razem nie mogli. Natomiast ogromną rolę zaczęli w łagrze rzyzańskim odgrywać podoficerowie, zwłaszcza szefowie kompanii i plutonów, gdyż to oni wyznaczali do przymusowych robót, to oni dzielili żywność i oni przeważnie zostawali brygadierami, czyli komendantami brygad roboczych jakie zostały zorganizowane począwszy od lipca 1945 roku. Zapewne dziś jeszcze wielu wspomina z wdzięcznością i szacunkiem takich wspaniałych brygadierów, jakimi byli Szaniawski, sierżant-szef kompanii 34 pp w Białej Podlaskiej przed wojną i w okresie AK, albo ogniomistrz 9 PAC Kazimierz Sprzyński, albo Filipiak, także sierżant-szef w jednym z pułków 30-ej albo 13 dywizji piechoty. Styl wzajemnych stosunków stał się wojskowy, ale w znaczeniu polskim, przedwojennym, tak, jakby były jakieś ćwiczenia rezerwy. Tytułowano się per pan kapral, pan plutonowy, pan szef, nie mówiąc już o oficerach, a z cywilów każdy nauczyciel był panem kierownikiem, byli pano-

wie sołtysi, panowie wójci i inni różni panowie, i nikt nikomu nie mówił przez ty lub przez wy.

Roboty zaczęły się od sadzenia kartofli na polu należącym do łagru a odległym o 5 do 8 km, które było lichy zaorane po sprzętniętym, wysypanym przeważnie owsie. Trzeba było na nim wiele ziemi skopać i posadzone i dobrze motykami obrobione ziemniaki dały tam wspaniały plon, cóż, kiedy zmarnowany przez nieudolną gospodarkę, przez marnotrawstwo i niechlujstwo, które były cechami także gospodarczego *naczalstwa* łagru.

W okresie sadzenia i innych prac przy ziemniakach łagrowych cały obóz przeżywał uroczystości dzień 9 maja, dzień zwycięstwa w wojnie. W kilka tygodni po tym dniu wszyscy rozumiejący wydarzenia polityczne Polacy przeżywali wielki wstrząs na wieść o moskiewskim procesie gen. Okulickiego i 15 jego towarzyszy. Komendantura łagru nakazała, aby wszyscy wysłuchali w świetlicy sprawozdania z procesu. Wyznaczono godziny w jakich poszczególne kompanie miały słuchać tego w świetlicy. Oficerowie biegli w rosyjskim czytali *Prawdę* od razu po polsku, a wszyscy orientujący się w treści widzieli, że oto sojusznicy zachodni dopuścili nawet do tego, aby dowódca AK i delegatura Rządu Polskiego były w Moskwie sądzone.

Później nadeszły wieści, że zachodni sojusznicy odmówili uznania rządowi w Londynie i to zrobiło jeszcze smutniejsze wrażenie. Zmarł wówczas na zapalenie mózgu Kaczyński z Tykocina, narodowiec czyli przedwojenny członek Stronnictwa Narodowego i więzień Berezy, były jeniec z niewoli niemieckiej po kampanii wrześniowej, człowiek bardzo pobożny, ogromnie wstrząśnięty tymi wydarzeniami. Innych zabierały z tego świata nieszczęśliwe wypadki. I tak zmarł z przepracowania nagle Siemion. Sobolewskiemu z Białegostoku podczas żniw kosą rozcięto brzuch i nacięto się przed śmiercią. Stary Zawadzki ze wsi Jakubowskie koło Bociek wszedł na zwalone na teren łagru przez burzę słupy i druty wysokiego napięcia. Antoni Krzywicki spod Różanegostoku, ale ze wsi odciętej granicą sowiecką, najadł się żółtawego kleju sernikowego w przekonaniu, że to mąka kukurydziana. Jeden łagiernik polski zginął w wypadku drogowym, jako pomocnik kierowcy sowieckiego.

Bardzo wielkie wrażenie — zwłaszcza wśród ludzi z okolic Sokółki — wywołała śmierć bohaterskiego akowca Henryka Kozłowskiego, ostatniej z ofiar okrucieństwa konwojentów wiozących z Białegostoku do Ostaszkowa, który we wrześniu zmarł z gruźlicy wywołanej pozostawieniem go boso i nago w ciągu nocy listo-

padowej spędzonej w wagonie. Gdy już nie miał złudzeń, że umrze w najbliższych dniach oświadczył uroczyście, że niepotrzebnie wojował z Niemcami, przez co narażał Polaków, a wzmacniał innych wrogów, dzięki którym teraz umiera. Przeprosił sąsiadów, których narażał na niemieckie represje i którym wymyślał, gdy chcieli hamować go w gorliwości...

Na pewien czas ożywiły łagier wieści o przylocie do Polski Stanisława Mikołajczyka. Prawie zbiegło się to z nową akcją „wyczytywania” ludzi przeznaczonych do powrotu do Polski pierwszym transportem. Ale zatrudniono ich na różnych robotach poza łagrem. W dniu 25 lipca 1945 roku po raz pierwszy pojechała jedna z brygad do miasta Riazania, gdyż ostatni berlingowcy opuścili właśnie szkołę oficerską i NKWD nie miało już obaw, że się spotkają z osadzonymi w łagrze. Różne bywały roboty poza łagrem i dawały okazje do najrozmaitszych obserwacji. Najgorsze bywały prace związane z rolnictwem, zwłaszcza kiedy nie było w polu kartofli zdalnych do jedzenia lub ziarna zdanego do wykruszania z kłosów, i gdy padał deszcz, na którym trzeba było koniecznie moknąć, choć nie można było pracować. Ponadto prace w rolnictwie przeważnie nie liczyły się jako ciężkie, podczas gdy w fabryce można było pod dachem przestać lub przesiedzieć kilka dni i mieć zaliczone wykonanie nawet 180 % normy i pewność uzyskania *dobawocznowo pitania*, czyli dodatkowych 200 gramów chleba, 4 gramów cukru i 1,6 litra dodatkowej zupy dziennie. Obserwowało się ogromne niedbalstwo w rolnictwie, w hodowli zwierząt i wielką znieczulicę władzy na marnotrawstwo zarówno w produkcji roślinnej jak i zwierzęcej. Można by bardzo wiele obserwacji poczynionych o rolnictwie rizańskim przez internowanych Polaków przytoczyć. Można by także zestawić długie opisy bałaganu i nonsensów gospodarczych w przemyśle i budownictwie, czy w transporcie sowieckim. Opowiadania o tym wszystkim kolegom nie wychodzącym za druty, czy to oficerom czy nieoficerom, słuchane były z niedowierzaniem, jako zbyt fantastyczne i nie do uwierzenia dla myślących logicznie i po gospodarsku ludzi.

Praca poza drutami w okresie jesiennym, a nawet w zimie dawała możliwość najedzenia się ziemniakami, warzywami, a nawet gotowanym ziarnem. Brygada chodząca co dzień z łagru do ogromnego elewatora przemycała mimo rewizji i kar raz po raz po trochu pszenicy. W łagrze majsterkowano więc młynki i powstały dobre młynki na walce, z metali pochodzących ze składowisk złomu, które meły tę pszenicę pobierając za to opłaty w naturze w proporcji przyjętej przy przemiale w kraju. Dzięki

tym możliwościom kradzieżowym i różnym innym, dzięki różnym zarobkom trudnym do opisania, gdyż to temat zbyt skomplikowany, większość zatrudnionych poza łagrem nabrała przed Bożym Narodzeniem 1945 roku dość dobrej kondycji i większość ich w takiej formie powróciła do Polski. Dlatego w lutym 1945 na ulicach Białej Podlaskiej powracający z łagrów w Borowiczach wyglądali wobec „riazańczyków” jak głodomory i zdechlaki...

Roboty poza riazzańskim łagrem dały możliwość poznania nędzy ludności rosyjskiej zarówno na wsi jak w mieście, i to nędzy nie wynikłej z wojny trwającej od 1941 roku, lecz istniejącej od dawna. Według obserwacji naszych „internowanych Polaków” w mieście Riazaniu najbardziej wytrzymałymi żywymi stworzeniami były sowieckie kobiety: nędzne, brudne, przeżarte syfilisem, zasmarkane, rozczochrane, ale ciche i posłuszne i wytrwale pracujące tam, gdzie ani niecierpliwi Polacy, ani pracownicy systematyczni w pracy jeńcy niemieccy nie mogli sobie poradzić z normami. Lud rosyjski okazał się w oczach „internowanych Polaków” ludem dobrym, ale nieszczęsnym i ogłupiałym. Wstrząsające dla każdego z nas Polaków było stwierdzenie, że każdy kołchoźnik czy robotnik sowiecki zazdrościł naszym polskim internowanym ich siedzenia w łagrze, gdzie nie musiałby starać się o własne wyżywienie, o opał, o odzienie i gdzie każdy regularnie otrzymywał gorące i naprawdę gotowane pożywienie. To stwierdzenie powodowało, że łagier i jego druty stawały się już mniej straszne. Nędza i to ogłupienie ludności żyjącej na wolności wokół łagru wytwarzały jakieś podświadome uczucie wyższości w stosunku do tych ludzi, uważanych za pozbawionych niektórych ludzkich cech. Nawet powiadali niektórzy w żartach, kryjących odrobinę prawdziwej opinii: „Oni to pochodzą od małpy, a my od Adama i Ewy”. Ale potrafiono docenić zdolności gospodarcze i organizacyjne pewnego kierownika warsztatów sowieckich w Riazaniu, Żyda Krupnikowa, którego szanowano za to, że potrafił najpierw odkarmić przysłanych do niego ludzi, wyniszczonych 10-miesięczną głodówką, zanim zaczął wymagać od nich wyników w pracy. Toteż polska brygada pracowała w jego przedsiębiorstwie ponad rok, nocując w warsztatach, i trwało to aż do ucieczki trzech Polaków, udanej zresztą, która miała miejsce w jesieni 1946 roku.

Komendantura *spectagru* nie potrafiła i nie chciała zatrudnić wszystkich, chociaż roboty było wszędzie pełno i to roboty bardzo pożytecznej. Tak więc wokół łagru było pole prosa należące do kołchozu dość odległego. W okresie żniw kołchoz to pole skosił, ale nie miał siły aby zebrać i jeszcze 19 stycznia leżało

to wspaniale wyrosnięte proso na garściach, podczas gdy przez całe lato i jesień za drutami próżnowało około 1.000 ludzi. NKWD uważało *spectagier* za powołany do wyższych celów, to znaczy do „rozpracowywania” zamkniętych tam ludzi, a pozwalała łaskawie pracować tylko tym już „rozpracowanym”.

Jeszcze w kwietniu 1945 roku, pracując nocami, zbudowano w przemyślny sposób w jednym z baraków wiele małych pojedynczych celek dla przetrzymywania w nich ludzi w czasie śledztwa. Powstała tak KPZ czyli *kamiera prewentiwnowo zadierżanija* i zaczęła ona wkrótce pracować pełną parą. Zawsze tam było kilkunastu ludzi na badaniu, a raz po raz odwożono kogoś z KPZ-u do *tiurmy* w Riazaniu na śledztwo spraw poważniejszych, lub dla osądzenia i skazania z § 58 kodeksu sowieckiego, przewidującego kary od 10 lat aż po karę śmierci, jeśli została udowodniona działalność antysowiecka. Po odesłaniu 19 stycznia 1946 roku do Polski 852 już „przebadanych” i uznanych za nieszkodliwych, zabrano się gorliwiej do pracy nad pozostałym *opasnym elementom*. Głośne w łagrze stało się nazwisko lejtnanta kontrwywiadu Kondraszewa, który w *spectagrze* kierował wszystkimi śledztwami. Zapewne działał on i wcześniej, ale nazwiska jego przedtem nie znano powszechnie i także nie znano jego agentów pośród łągierników. Okazało się, że głównym agentem Kondraszewa wśród Polaków jest podchorąży AK Edward Czarski, wilnianin, syn zawodowego oficera 1-ej dywizji piechoty legionów. Od Czarskiego zależało umieszczenie w dobrej brygadzie pracy, a załatwiał on to poprzez Kondraszewa. Na pewno podchorąży Czarski nie był jedynym donosicielem. Innych nie znano lub mało znano. Ale przeciwko tej akcji powstała wśród internowanych Polaków kontrakcja w postaci tajnej organizacji śledzącej donosicieli i ich zainteresowania. Mózgiem tej organizacji był inteligentny młody człowiek o doskonałej pamięci, gruzlik, który niedługo po powrocie z łagru pożył. Pracował on w kuchni jako zawsze zasmolony *piecopał*. Do niego przychodzili ludzie z informacjami ze wszystkich sal, baraków i brygad pracy. On je segregował i wyciągał z nich wnioski, a potem rozsyłał ostrzeżenia do zagrożonych. Trudno orzec, w jakiej mierze paraliżowało to akcję lejtnanta Kondraszewa.

Nie tylko smutne lub tragiczne wydarzenia miały miejsce w *spectagrze*. Od końca roku 1945 trwała tam akcja szkolenia i kursów naukowych. Uczono się rolnictwa, języków, różnych umiejętności technicznych i innych. Wśród oficerów było wielu dobrych specjalistów z różnych dziedzin i tych do tej użytecznej roboty wykorzystano. Wykładowcom brakowało podręczni-

ków, chociaż pewną ich ilość zdołano kupić w Riazaniu za pośrednictwem brygady pracującej w mieście a kontaktującej się z kilkoma polskimi Żydami, żyjącymi tam na wolności. Większość materiału musieli wykładowcy dyktować uczniom z pamięci, a uczniowie notowali to skrupulatnie ołówkami na deskach, a zamiast gumy do ścierania używali kawałków zbitej szyby. Po trwających szereg miesięcy kursach doszło do komisyjnych egzaminów i do wydania dyplomów czy też świadectw, na które — o dziwo — komendantura łagru dostarczyła papieru. Te zaświadczenia przydały się niejednemu później w Polsce, a wiedza nabyta w tych warunkach przydała się także.

Odpreżeniem dla łagierników była w *spectagrze* prymitywna lub czasem bardziej doskonała działalność artystyczna, przedstawienia amatorskie, występy chóru lub orkiestry. Odbывało się to od 1945 roku jawnie w świetlicy, a nie potajemnie jak w Ostaszkowie, i przedstawiciele komendantury sowieckiej zawsze siadali w pierwszych rzędach, a czasami bywał nawet sam pułkownik... Prymitywne przedstawienia, piosenki wzorowane na chórze Dana czy też wojenne piosenki Fogga bywały niemałym źródłem radości i niektórzy zapamiętali je na długie lata.

W początku 1946 roku zdawało się, że powrót do Polski reszty pozostałych w *spectagrze* nastąpi lada tydzień lub lada miesiąc. Po powrocie konwoju, który dowiózł pierwszy transport 852 aż do Białej Podlaskiej było pewne, że oni tam rzeczywiście dojechali, chociaż zapewnieniom sowieckim nikt już nie wierzył. Jednakże kucharze, którzy w ciągu prawie 3 tygodnie trwającej podróży gotowali 2 razy dziennie gorące posiłki dla reszty kolegów, zapisywali pracowicie ołówkami na drewnianych naczyniach i trzonkach łyżek wiadomości z podróży, i zapisali tam też o dojechaniu do Brześcia i przesiadaniu do pociągu polskiego. Naczynia te wróciły do kuchni w *spectagrze* i wszyscy wiedzieli, że ich koledzy rzeczywiście znaleźli się w Polsce na wolności i byli pewni, że powiadomią rodziny o losie pozostałych.

Minął jednak rok 1946, przeminęła prawie połowa roku 1947, a władze łagrowe powiadały ciągle *skoro ujedietie* a czasami rozsiewały także wiadomość inną: *wasze prawiitelstwo nie choczet was prinimat'*, co bardzo drażniło internowanych Polaków. Przebrała się wreszcie miara cierpliwości. W dniu 29 czerwca 1947 roku wybuchł w łagrze strajk głodowy. Nie wyszły brygady do pracy, nikt nie poszedł pobrać z kuchni śniadania, a kucharze opuścili kuchnię, piekarze piekarnię. Przerwały pracę pralnia i asenizacja. Głodówkę podjęli chorzy w szpitalu, lekarze i pielęg-

niarze, kobiety, wszyscy w barakach podoficerskich, oficerowie niżsi oraz pułkownicy, generałowie i obaj wojewodowie. Nie przystąpili do strajku głodowego tylko „demokraci” łagrowi w liczbie 52, a trzeba wiedzieć, że w styczniu 1946 żaden z nich nie został wypuszczony do Polski. Przysporzyli oni sobie niemało biedy, komendanturze i lekarzom sowieckim niemało kłopotu przez to jedzenie w czasie głodówki, a ogółowi łagierników niemało satysfakcji. Dostali bowiem do swojej dyspozycji całą żywność, bez żadnych okrojów natury kradzieżowej, sami ją musieli przygotować w kuchni i tak się nią najedli, że 7 zmarło, kilkunastu zachorowało ciężko, a wielu miało bóleści. Powodem musiała być bardzo nieświeża ryba lub nadgniłe mięso, które nie zaszkodziłoby w dawkach 5 gramów na głowę po odpowiednim wypłukaniu przez doświadczonych kucharzy, ale oni prawdopodobnie zjedli więcej niż po 50 gramów na głowę, więc skutek nie mógł być inny. Gdy „demokraci” chorowali lub umierali — reszta Polaków głodowała, a pułkownik, komendant łagru robił co mógł, aby głodówka została przerwana. Około 150 oficerów kazał wywieźć do więzienia w Riazaniu. Pułkowników i generałów wywozły czarne limuzyny do „luksusowego” łagru w Skupinie pod Moskwą, gdzie głodówki nie przerwali i gdzie zmarł na serce, czy też został zaduszony podczas próby sztucznego odżywiania powszechnie lubiany w łagrze pułkownik, mający prawo używania tytułu generała Kazimierz Tumidajski, pseudonim „Grabowski”, były adiutant sławnego Lisa-Kuli. 4 lipca 1947 roku, czyli w 6-tym dniu głodówki przybył z Moskwy wraz z adiutantem generał NKWD i odwiedził wszystkie sale we wszystkich barakach, ale wszędzie mu powiedziano „lepiej z głodu zdychać, niż tak dłużej żyć”. Natomiast generał NKWD powtarzał w każdej z sal *skoro ujedietie*, co nasi łatwowierni Polacy wzięli za obietnicę rychłego powrotu do domu, podczas gdy na pewno musiał już być opracowany w Moskwie plan „parcelacji” nie tylko *spectagru* w Riazaniu, lecz i innych łagrów, w których trzymano Polaków, czyli podziału na grupy 300-400 osobowe, które miały być rozesłane po innych łagrach. Bezpośrednio po głodówce władze łagrowe starały się odżywić łagierników i najbardziej potrzebujący otrzymywali nawet mleko. 20 lipca 1947 nastąpiły dalsze zmiany.

Pytano wielu łagierników rizańskich po powrocie do Polski, dlaczego nie uciekali za druty zamiast głodować. Nie było to takie łatwe i ucieczka poprzez wygłodzoną, wyludnioną Rosję to nie było przechodzenie pieszo nocami na przykład przez Prusy Wschodnie w okresie przed 1944 rokiem, gdy naprzeciw każdego

gospodarstwa stawiane były bańki pełne mleka, czekające na zabranie do mleczarni. Trzeba było przeczołgać się pod kilkoma rzędami drutów otaczających łagier, między wieżami, na których stali wartownicy z bronią automatyczną. Ale byli tacy, co dokazywali tej sztuki. Pierwszym był białostocki geometra Gryncewicz, nie cieszący się sympatią kolegów, jako człowiek zbliżony do Komitetu Białoruskiego w okresie niemieckiej okupacji i jako ten, który denuncjował innych geometrów, że nie utracili podczas wojny swych przyrządów mierniczych, gdy pod pozorem ich braku uchylali się od pracy przy podziale ziemi folwarcznej w jesieni 1944 roku. Gryncewicz uciekł przez druty w początku maja 1945, ale został złapany i dopiero w sierpniu był prowadzony z miasta Riazania do łagru. W drodze zastrzelił go sierżant Worobiov pod pozorem chęci ucieczki, a właściwie z zemsty za kolegę wartownika, który otrzymał kilka lat za złe pilnowanie podczas tej ucieczki. Z sianokosów uciekł z grabiami na ramieniu pewien rolnik z okolic Goniądza czy też Knyszyna, podobno potomek Czechów, których Zygmunt August sprowadził dla kopania jeziora, i ten jakoś doszedł do domu. Podczas sianokosów 1945 roku zbiegli dwaj energiczni ludzie: pewien młody rolnik spod Łomży i plutonowy czy też wachmistrz 5 pułku ułanów, który potrafił w trudnych warunkach w Rzeszy, w Okręgu Ciechanów zorganizować konny oddział AK. Ale obaj, gdy już uszli 200 km po bezdrożach, zostali pochwyceni w pierwszej wiosce, przez którą przechodzili. Odwieziono ich do łagru i nie zastrzelono. W sierpniu 1945 roku zbiegło od zbierania ziół 5 lotników, którzy przedzierali się w początku wojny przez całą Europę do Anglii, ale 2 lub 3 złapano koło Orszy i dostarczono z powrotem do łagru, a co się stało z pozostałymi, o tym nikt nie wiedział. Uciekł także z łagru pewien rotmistrz, mistrz w ujeżdżaniu koni i w oswajaniu innych zwierząt; zdołał poprzez druty, z odległości 15-20 metrów obłaskawić psa-wilczura wartowniczego. Gdy się do tego psa przeczołgał pod drutami, a za nim pewien podchorąży, to obaj psa zabrali i poszli. Ale do Polski doszedł tylko rotmistrz i żył wiele lat spokojnie, a podchorążemu zachciało się odwiedzić znajomych w Lidzie, a tam go zauważono i do łagru przywieziono.

Najślawniejsza była ucieczka, jaka miała miejsce w jesieni 1946 roku. Uciekł wówczas z robót w okolicach Riazania Zdzisław Stawski wraz z dwoma towarzyszami. Była to ucieczka bardzo starannie przygotowana. Nie pomogła pogoń półszwadronu NKWD, nie pomogły psy, które szukały zbiegów po bagnach. Uciekli oni nie na zachód, ale w kierunku przeciwnym i okólną

drogą, jadąc później koleją dotarli do Wilna, skąd repatriacja nie była jeszcze zakończona. Z Wilna dotarli do Polski pokonawszy tysiące trudności.

Rozdział V

POWRÓT DO POLSKI W POCZĄTKU ROKU 1946 ORAZ W KOŃCU ROKU 1947

Po trzytygodniowej niemal podróży dotarł do Białej Podlaskiej transport 852 ludzi ze *spektagru* w Riazaniu i po dwudniowym oczekiwaniu na boczniczy kolejowej nadjechał z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego z Warszawy porucznik i kazał wagony otworzyć. Wszyscy przez kilka dni musieli przebywać w Białej oczekując na wydanie dokumentów i byli przez ten czas przyjmowani niezwykle serdecznie przez ludność tego miasta. Okazało się, że przed tygodniem przybył transport z Ostaszkowa, a w nim około połowa tych, którzy tam 15 kwietnia 1945 roku pozostali, zarówno mężczyźni jak i kobiety. Przed grupą ostaszkowską przyjechało bardzo wielu żołnierzy AK internowanych koło Kaługi, ubranych po wojskowemu, z których większość po raz pierwszy w życiu była na terenach na zachód od Bugu. Razem z grupą riazańską przyjechała i została także wypuszczona na wolność w dniu 8 lutego 1946 liczna grupa z łagrów w Borowiczach. Byli to ludzie pochodzący z Lubelskiego, Rzeszowskiego i Siedleckiego, najbardziej wymizierowani, najgorzej odziani, bo odebrano im ubrania własne, mający za sobą pracę niezmiernie ciężką, do tego wykonywaną w wodzie. Kopali bowiem węgiel z kopalni płytkich, około 30-40 m pod powierzchnią, gdzie warstwa węgla miała grubość 40 cm, ale ciągle w wodzie. Było wśród nich bardzo wielu „żywych trupów”, to jest takich, którzy zapewne zmarli wkrótce po powrocie. Po wielu powracających z Borowicz musieli do Białej przyjeżdżać sąsiedzi lub rodziny, gdyż brakło im sił, by dalej jechać o własnych siłach. Po rozjechaniu się z Białej łagierników z Riazania i Borowicz, przybyły jeszcze transporty ze Stalinogorska i inne, bliżej nieznane.

Później rodziny tych, co pozostali w Riazaniu, Ostaszkowie czy Borowiczach długo oczekiwały ich przyjazdu zapowiedzianego przez kolegów, którzy powrócili, ale mijały miesiące i mijały lata, a ich nie było w kraju... Pewna grupa wróciła w listopadzie 1947 roku, ale przeważnie nie ze swych łagrów, w których byli

w roku 1945/1946. W lecie 1947 nastąpiły w Ostaszkowie i Riazaniu, a prawdopodobnie także w pozostałych łagrach, o których była mowa, wielkie zmiany i reorganizacje.

Głodówka w *spectagrze* z okresu 29. VI - 4. VII. 1947 nie była, jak się zdaje, powodem zmian jakie nastąpiły, ale nie można tego z całą pewnością powiedzieć gdyż być może przypominała jakiemuś dygnitarzowi, że problem Polaków w łagrach jeszcze nie jest załatwiony. Około 20 lipca 1947 roku wywieziono najpierw około 400 ludzi do Wołogdy, głównie oficerów. Drugą tak samo liczną grupę wywieziono do Republiki Maryjskiej, trzecią do łagru w okolicach Borowicz koło Leningradu, a czwarta pozostała na miejscu w łagrze w Riazaniu.

W Borowiczach nie zastali łagiernicy ze *spectagru* żadnego Polaka, chociaż było tam w pobliżu kilka obozów, w których prawdopodobnie przebywali ci, co w lutym 1946 wrócili do Białej Podlaskiej. W Borowiczach wszyscy przywiezieni z Riazania zostali zapędzeni do roboty przy wyciąganiu spławianego rzeką drzewa, ale żywiono lepiej i oficer kontrwywiadu w łagrze tym oficjalnie nie urzędował. Jednakże około 50 ludzi przewieziono do sąsiednich łagrów, w których przebywali wówczas z rodzinami Litwini i Łotysze. Podobno oddzielono w ten sposób ludzi pochodzących z terenów przyłączonych do ZSSR. Podobnie było w grupie wywiezionej do Republiki Maryjskiej. Tam zatrzymywano ludzi bezpośrednio przez odjazdem do Polski. Niektórych wywlekano z wagonów spośród jadących do Brześcia.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy nastąpiła parcelacja *spectagru* w Riazaniu, uległ także podziałowi łagier w Ostaszkowie. Dokładna data nie jest dziś znana i nie wiadomo ilu ludzi ten łagier liczył w momencie reorganizacji z lata 1947 roku i gdzie ulokowano poszczególne grupy. Wiadomo tylko, że 78 osób, w tym 12 kobiet (studentek, łączniczek, pracowniczek wywiadu) odwieziono do olbrzymiego łagru w Morszańsku, liczącego w roku 1947 ponad 38 tysięcy niewolników, głównie Japończyków, a prócz tego Niemców i po trochu innych narodowości, w tym nawet Czechów. Spośród Polaków bardziej znanych w łagrze ostaszkowskim był tam drobny rolnik spod Ostrołęki, poseł endecki z lat 1930-1935 Jan Choromański, oraz Eustachy Grodzki ze wsi Grodzkie, w latach 20-tych „wyzwoleniec”, ale w łagrze całkowicie wyleczony z przekonań lewicowych, niegdyś wójt gminy Wysokie Mazowieckie, a także pułkownicy Krzeziński i Szydłowski. Wielu Polaków zawarło w tym łagrze serdeczną przyjaźń z Japończykami-oficerami, z których każdy mówił biegle po

rosyjsku, a od innych Japończyków potrafili Polacy doskonale wyhandlować wiele jedwabnej bielizny i innego wyposażenia wojskowego. Ta 78-osobowa grupa także urządziła głodówkę, gdy okres kilku tygodni, na które tam przyjechali się skończył, i nie było mowy o powrocie do Polski. Szybko ją jednak przerwali, skoro komendant łagru obiecał, że zajmie się ich sprawą. Jakoż zajął się w ten sposób, że zorganizował im szkolenie w marksizmie, a po jego zakończeniu przyjechał do tej grupy *prokurator*, ale tylko jednego z nich zatrzymał, a z wezwanym przed swe oblicze posłem Choromańskim rozmawiał długo i „kulturalnie” o orientacjach politycznych w II Rzeczypospolitej, i zapewniając ich, że za 3 dni do Polski wyjadą, powiedział o współtowarzyszach Choromańskiego: „Gdyby byli wśród nich piłsudczycy, to by do Polski nie wrócili”. Rzeczywiście grupa ta odjechała z Morszańska przy dźwiękach hymnu „Jeszcze Polska nie zginęła”, granego przez orkiestrę złożoną z jeńców niemieckich.

W ciągu października 1947 przybywały do Brześcia transporty z Borowicz, Wołogdy, Republiki Maryjskiej, Riazania, Ostaszkowa, Morzańska i z innych łagrów. W Brześciu zebrano wszystkich do obozu przejściowego, w którym panowała biegunka, gdyż żywność zgniłymi ziemniakami. Później stopniowo po kilka wagonów przesyłano do Polski. Po przejechaniu Bugu warta sowiecka schodziła z pociągu, otwierano drzwi wagonów i rozlegał się śpiew „Jeszcze Polska nie zginęła”, ale niektórzy cieszyli się przedwcześnie, gdyż w Białej Podlaskiej oczekiwało już UB, by ich na dłużej zatrzymać...

Na koniec opisu pobytu naszych Polaków w ZSSR trzeba przytoczyć słowa pułkownika leningradzkiego NKWD, który tak zegnał około 350 ludzi czekających na wyjazd do Polski: *U was w Polsce reakcja uže podawlena. My niczewo nie boimsia. Skoro wiernioties' domoj*. A było to w tym czasie, gdy Stanisław Mikołajczyk uciekł z Polski i gdy jego PSL było już rozgromione.

Nie wszyscy jednak powrócili w listopadzie 1947 roku. Spośród tych, którzy byli aresztowani w 1944 roku wielu zostało w *tiurmach*, czekając na wyrok, lub odbywało karę w łagrach, a dotychczasowy pobyt w Ostaszkowie czy Riazaniu nie liczył się w poczet kary. Za wielkich wrogów ZSSR zostali uznani tacy, którzy nie dali się obrabować pseudopartyzantom i tacy, którzy nie dali się im zabić i ośmielili się bronić, i tacy, którzy służyli w oddziałach pod dowódcami posądzonymi o niechęć do ZSSR, oraz wielu innych oskarżonych o winy niepopołnione i czyny niedokonane...

Niektórzy z tych „osądzonych” na szereg lat wrócili w roku

1948. Inni czekali na powrót aż do śmierci Stalina, inni wrócili po październiku 1956 roku, a inni zostali tam na zawsze, pochowani w „niehumanitarnej ziemi”.

Ci, co powrócili do PRL i zaraz nie pomarli, to jakoś się przystosowali do warunków, znaleźli pracę, założyli rodziny. Najlepiej i najspokojniej żyli ci, którzy zmienili miejsce pobytu, ale rolnicy tego zrobić nie mogli, toteż musieli przeżywać wiele różnych przygód. Wśród tych, co wrócili, byli tacy, którzy wojowali dalej w różnych „reakcyjnych partyzantkach”. Dla niektórych skończyło się to śmiercią, dla innych długoletnim więzieniem.

Wszyscy ci jednak, którzy spokojnie dalej żyli, lata spędzone w łagrach muszą uważać za „przerwę” w życiorysach. Jeśli należą do Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, to bynajmniej nie z racji pobytu w łagrach sowieckich, lecz z powodu wcześniejszego udziału w ruchu oporu antyniemieckim. Gdy raz się zdarzyło, że ktoś napisał do Rady Państwa w 1970 roku z zapytaniem, czy się należy odszkodowanie jakieś za te lata, to dowiedział się z odpowiedzi Ministerstwa Spraw Zagranicznych, że prawodawstwo sowieckie nie przewiduje żadnych odszkodowań za pobyt w miejscu odosobnienia. Pewnej rodzinie starającej się o powrót jednego z aresztowanych odpisała Ambasada Polska w Moskwie w roku 1945, że nigdy nie był on na terenie ZSSR, podczas gdy wrócił w 1946 roku właśnie wówczas, gdy ta odpowiedź nadeszła. Tak więc pobyt w łagrach był i jest traktowany jako rzecz niebyła, jako coś, co nie miało miejsca. Natomiast o niektórych mówi się, że byli po wojnie w ZSSR „pewnie za współpracę z Niemcami”. Słowem wszystko to pokrywa coraz grubsza mgła zapomnienia. Podczas gdy niemieckie kacety nie są zapomniane, to obecnie jezioro Senigier, na którego wyspach i wybrzeżu były łagry, stało się ośrodkiem sportów wodnych, a tam gdzie był *spectagier* w Riazaniu jest dziś puste pole...

O. Remigiusz KRANC*
kapucyn

„BYŁEM SKAZANY NA 10 LAT SYBERII” (I) (Wspomnienia)

UWAGA OD PRZEPISUJĄCEGO:

Opisane przez ojca Remigiusza wrażenia po przyjeździe do Magadanu a następnie na Kołymę są wstrząsające.

W „Archipelagu Gułag” Aleksandra Sołżenicyna, tom 2, część III — „Obozy pracy morderczej”, rozdział XIII — „Zdarto ci skórę, szykuj następłą”, jest taki opis:

(...) A oto dla przykładu jeszcze jedno więzienie śledcze — karny podobóz OROTUKAN (506 km od Magadanu nad rzeką Kołymą). Zima z 1937 na 38. Osada parciano-drewniana, to znaczy dziurawe namioty, ale jednak obłożone tarcicami. Przyjeżdża świeży etap — nowa grupa skazanych. I jeszcze zanim otworzyły się przed nim wrota, ludzie ci widzą, że każdy namiot w osadzie ze wszystkich stron (prócz wejściowej) oszalowany jest zamrażalnymi na kość trupami. Zrobiono to nie na postrach, nie ma innego wyjścia. Ludzie wymierają, śnieg na dwa metry grubości, a pod nim wieczna zmarzlina (...)

(...) Przed obiadem dyżurny strażnik krzyczy od progu: wykitał tam który? Jest paru. — Kto chce dostać pajdę chleba, niech wyniesie. Wynoszą więc i kładą na stercie okalającej szopę i nikt nie pyta nawet o nazwisko (...)

* W otrzymanym maszynopisie nazwisko O. Remigiusza brzmi KRANC, ale w dopisanych ręcznie — nocie na str. 192 i w samym zakończeniu — KRAMC. Nie wiemy, jak brzmiało naprawdę. — (Red.)

(...) Apel odbywa się według formularzy, odpowiedzi są ledwo dosłyszalne. Fiszki, na które nikt nie dał odzewu, odkładane są na bok. W ten sposób wyjaśnia się, kto leży już w sągach, kto uniknął śledztwa.

Wszyscy, którym udało się przetrzymać Orotukan twierdzą, że wolą komorę gazową (...)



Te wspomnienia sowieckich więźniów pochodzą z lat 1937/38. Wspomnienia ojca Remigiusza — z roku 1946. Czy zmieniło się coś dziś, w dobie Andropowa? Nie sądzę. I jak tu nie zanucić piosenki Dunajewskiego z filmu „Cyryk”

*Ja drugiej takiej strony nie znaju,
gdzie tak W O L N O dyszyt czełowiek...*



Aresztowanie

13 stycznia 1945 r., sobota godz. 14.00, wybieram się z wizytą do byłego administratora majątku w Nowomalinie. Ubieram się w płaszcz, a tu w oknie ukazują się cztery czerwone czapki. Wchodzi czterech funkcjonariuszy NKWD. Pokazują sankcję prokuratora uprawniającą do przeprowadzenia rewizji i wprost pytają o złoto. Zaprzeczam kategorycznie. Zaczyna się rewizja. Biorą do ręki encyklopedię, z której wypada kartka z kilkoma dziesięciorubłówkami. „*Wriosz!*” (kłamiesz). I zaczyna się przegląd każdej książki w szafie i każdego zakamarka domu (kuchnia, jeden pokój, korytarz). Odłożyli na bok atlasy geograficzne jako materiał podejrzany — jakieś niezrozumiałe plany strategiczne. Wymiatają wszystko spod szaf. Gdy szli do kuchni, zrobiło mi się gorąco. Pod kredensem były cztery małe rewolwery belgijskie (chciałem je sobie zatrzymać na pamiątkę po „obłężeniu” przez UPA — gdy w klasztorze ukryło się 7.000 ludzi. Byliśmy jako tako uzbrojeni. Resztę broni zwróciliśmy już wcześniej Sowietom. Zaczynają tam grzebać pogrzebaczem, ale na szczęście ich nie zahaczyli).

Rewizja trwała trzy godziny. Na końcu padł rozkaz: pójdziecie z nami. Myślę, że potrzebne im dodatkowe wyjaśnienia i sporządzenie protokołu rewizji. Zakomunikowałem księdzu prałatowi, że wychodzę na chwilę z domu z NKWD. „To weź

moje futro i czapkę". Były mało używane, bo prałat od lat leżał sparaliżowany.

Enkawudziści, żeby nie dać poznać, że prowadzą księdza, szli sobie obojętnie: dwaj jakie 80 m przede mną, a drudzy dwaj podobnie za mną. Po przyjeździe na katownię jeszcze kilka zdawkowych pytań i pozostawiają mnie samego w pokoju. Około 21-ej ubrany wychodzę na korytarz. Komunikuję oficerowi, że wracam do domu, bo jutro niedziela. On grzecznie odpowiada, że jeszcze nie ma naczelnika. Będą krótkie przesłuchania i rano będę mógł odejść. A tymczasem mogę spokojnie odpocząć. W pokoju była kanapa. Zażądałem poduszki. Dostarczono mi ją. Zacząłem lepiej rozumieć moją sytuację, gdy zobaczyłem przez okno wychodzących z piwnicy pod eskortą zaaresztowanych przedtem moich parafian.

Przez całą noc byłem strzeżony, bo gdy chciałem wyjść do WC, zaraz znalazł się żołnierz, który mnie wyprowadził na podwórze.

A jeszcze rok temu po ich wkroczeniu do Ostroga mianowali mnie zastępcą przewodniczącego Prezydium Rady Miejskiej. Ogłaszali na tych terenach „Wolną Polskę”. Przysyłali gazety z Kijowa w języku polskim. Wręczyli mi jakiś tam medal za odwagę; za zorganizowanie samoobrony.

W sposób delikatny ale zarazem podstępny zostałem aresztowany, chociaż mi tego nie powiedzieli. Rano jednak wybieram się do kościoła. Naczelnik po krótkiej rozmowie oświadczył, że pojedziemy do Równego, do głównego prokuratora. Wszystko stało się jasne...

Jedziemy do Równego. Zima, około 20 stopni mrozu, w aucie na wierzchu. Mimo, że miałem futro, przemarzłem do szpiku kości. Po przyjeździe do urzędu śledczego wtrącono mnie do betonowego bunkra, w którym było już kilku Ukraińców. Siedzimy tam parę godzin. Potem rewizja osobista, odebrano pasek, oderwano sprzączki u spodni, popruto grubsze szwy w futrze w poszukiwaniu złota i ostrych narzędzi. Teraz przemarsz przez podwórze do prawdziwego więzienia. Duża cela. Zimno przejmujące. Siedzimy sami. Zbliża się noc. Jak tu spać? Cztery ściany i podłoga. Otulony futrem położyłem się na podłodze. Leżałem tylko trochę, więcej przespacerowałem i tak przeszła noc. Około południa przynieśli miskę rybnej zupy i kawałek chleba. Pod wieczór przyprowadzili kilku cuchnących bolszewików. Na drugi dzień zażądałem widzenia z naczelnikiem więzienia. Gdy przyszedł, oświadczyłem, że nie będę jadł takiej

zupy i nie będę przebywał w takiej lodowni. Na to on, że taką zupę podają wszystkim, a gdy chodzi o temperaturę w komorze, to wkrótce będzie ciepło, a w Związku Sowieckim „wszyscy są traktowani równo. W jednej celi są generałowie, inżynierowie, zwyczajni robotnicy”.

Okazuje się, że naczelnik miał całkowitą rację. Po południu zabrano nas do łaźni, w której było już około 60 ludzi. Później wszystkich nas przyprowadzono do mojej celi. Zrobiło się nie tylko ciepło, ale i duszno. Trzeba było stale otwierać okno, chociaż na dworze było kilkanaście stopni mrozu. Ci, którzy stali pod oknem domagali się ich zamknięcia, ci spod drzwi wołali, że duszą się. Półtora dnia nie dali nam jeść, tak że zupa rybna wydała się przysmakiem. „Równość i demokracja” okazały się po chwili. Gdy każdy zajął zdobyte miejsce, następowało zapoznanie się.

Przekrój społeczny więźniów obejmował wszystkie warstwy obywateli sowieckich: od zwyczajnych bandytów UPA do inżynierów i pułkowników armii sowieckiej. 6 Polaków, 7 Rosjan, zwyczajni złodzieje i bandyci ukraińscy. Komora była tak zatłoczona, że nie sposób było zrobić paru kroków. Wszyscy siedzieli. W nocy spaliśmy całkiem „dopasowani” do siebie jak śledzie w beczce. Odwrócenie się na drugi bok stawało się manewrem całego szeregu leżących ciał. Do załatwienia potrzeb fizjologicznych służyła beczka, którą się wynosiło do więziennego WC. Szczęście, gdy była niepełna. Gorzej przedstawiała się sprawa, gdy złośliwy strażnik opóźnił o kilka godzin jej wyniesienie.

Zaczął się czas wyczekiwania na pierwsze przesłuchanie. Regulamin w komorze: wstawanie o 6-ej, sprzątanie na swojej przestrzeni życiowej. Około 8-ej śniadanie złożone z jakiejś zupy-lury i kawałka chleba. Bezczynne siedzenie do 11-ej, potem spacer 15-minutowy po podwórzu, kawałek chleba i zupa i znowu siedzenie. O 16-ej kolacja i siedzenie. Spoczynek o 19-ej.

Po kilku dniach zaczęło się urozmaicenie w jednostajnym trybie życia, ale urozmaicenie bardzo przykre. Po śniadaniu i wieczorem zaczęto wzywać na śledztwo. Ta druga pora — w nocy — budziła trwogę. Wezwani rano wracali ok. 16-ej. Po nocnych śledztwach wracano rano. Niektórzy zbici, zmaltretowani nie mieli już ochoty ani na obiad, ani na kolację.

Akt oskarżenia

Mniej więcej po tygodniu wieczorem wywołują kilku, m.in.

i mnie. Wszelkimi siłami staram się opanować strach i nie pokazać po sobie żadnego zdenerwowania.

Na śledztwie w NKWD nie wolno okazać strachu i pamiętać raz wypowiedziane zdanie — pouczali mnie współwięźniowie. Każde wahanie lub zmiana zeznań pogrąża więźnia jeszcze bardziej.

Otóż i na wstępie przedstawił mi się śledczy: „Jestem Andriej Woskobojnikow”. Rozmyślnie odpowiedziałem: „*Oczień prijatno*”. On na to: „*Uwidim skolko budiet prijatnosti*” (zobaczymy, ile będzie przyjemności). I zaczęła się pierwsza udręka.

Pokój był wąski ale długi. Śledczy siedział za biurkiem, na którym leżał rewolwer; vis-à-vis, w odległości około pięciu metrów od śledczego, stał taboret przykuty do podłogi. Obok piec, bardzo gorący. Temperatura na podwórzu około minus 15 stopni, więc w budynku palono dość dobrze. Wskazał mi taboret, ale nie pozwolił zdjąć futra. Ciepło bijące od pieca, wrażenie, strach powodowały chwilowe zawroty głowy.

Najpierw spisał personalia i wyszedł. Nie było go około dwóch godzin. Zostałem sam. Przychodzi inny i wszystko zaczyna od początku. Wraca Woskobojnikow. Kładzie się na stole i śpi, albo udaje — około jednej godziny. Wychodzi. Po chwili wraca z dwoma innymi i uroczystie odczytuje akt oskarżenia: Kranc Remigi Iwanowicz

1. Jest tajnym szpiegiem Watykanu na terenach wschodnich.
2. Jest głównym komendantem partyzantki na Wołyniu.
3. Zerwał umowę między rządem lubelskim a kijowskim.
4. Posiadał arsenał broni.

Na jakich przesłankach oparli te twierdzenia?

Ad 1: 13 sierpnia 1939 odbyło się w Ostrogu uroczyste przejęcie klasztoru przez Prowincję Krakowską. Rozklejono odpowiednie afisze i rozdano pamiątkowe obrazki z adnotacją, że wracamy do Ostroga po stuletnim wygnaniu przez carat, dla krzewienia wiary chrześcijańskiej. NKWD frapowały słowa: „że wracamy po stu latach od wygnania przez carat dla krzewienia wiary chrześcijańskiej” — a przecież tu jest Związek Sowiecki. Zatem jesteśmy szpiegami watykańskimi.

Na roztrząsanie spraw religijnych, objaśnienia o historii Kościoła, o wyznaniu katolickim, prawosławnym, protestanckim i innych, o sektach, poświęciliśmy cztery noce. Tym dysputom przysłuchiwali się inni śledczy, pozostawiając na kilka godzin swoich przesłuchiwanym więźniów samych. Oczywiście moje twierdzenia, że afisze i obrazki nie mają kompletnie żad-

nego związku z wywiadem i akcją antysowiecką nie robiły na nich żadnego wrażenia. W sprawach religijnych w ogóle nie byli zorientowani, a przed sobą mieli aresztowanego, więc byli panami sytuacji. Jest posądzony o szpiegostwo, więc trzeba mu to udowodnić przez znęcanie się nad nim. W moim wypadku przez bicie.

Mając wtedy 35 lat i trochę więcej odwagi, widząc bezpodstawność ich bzdurnych pytań i twierdzeń, rzucałem się na nich. W tych wypadkach stał jeden z automatem, a inni pozwalali sobie na sadystyczne wyczyny. Nie tu miejsce na ich opisywanie. Byłem pewny, że z ich rąk nie wyjdę, dlatego z całą determinacją nie pozostawiałem im dłużny na żadne słowo nauczony przez współwięźniów, że tylko twarda postawa i donośny głos (czasem „po matuszkie”) może coś wskórać. Nosiłem się wśród nich dumnie jako Polak i zakonnik. Niejednokrotnie widziałem na ich twarzach wyraz pewnej bezradności. Ale to były tylko momenty. Zawsze górę brało ich zezwierżenie i sadyzm.

Ad 2 aktu oskarżenia: główny komendant partyzantki na Wołyniu. Zaprzeczam. Nieprawda. Byłem współorganizatorem oddziału partyzantki w Ostrogu i okolicy, który wszedł w skład 27 Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej — ale poza tym nic więcej *). Początkowo na śledztwie zaprzeczałem wszystkiemu. Jak się okazało z dalszego przewodu, śledczy wiedział o składaniu przysięgi przez partyzantów na moje ręce (zdradził jeden z aresztowanych partyzantów Kamiński, nie mogąc znieść stosowanych wobec niego represji).

Zacząłem mętnie tłumaczyć, że AK — to znaczy AKCJA KATOLICKA, to jeden z jej członów. Ale w kontekście rozgrywających się wypadków w czasie okupacji niemieckiej takie tłumaczenie nie wytrzymało krytyki. A znowu nie mogłem się przyznać do czegokolwiek, aby NKWD nie miało podstaw do wnikania w szczegóły. W kółko powtarzałem, że nic nie wiem i koniec. Nie obeszło się przy tym bez represji. Wszystko postawiłem na jedną kartę: zginę, ale nie udzielę żadnych informacji o naszym AK. W ciągu nocy zmieniło się trzech śledczych i nudzili mnie tymi samymi pytaniami. W najbardziej natężonych momentach naszej rozmowy śledczy wzywał jakieś monstrum, zdziczałe, pijane, które nie szczędziło razów. I znowu upłynęło kilka dni i nocy nad kwestią partyzantki.

Najtrudniejszą rzeczą było zawsze pamiętać, co się uprzed-

* W rzeczywistości O. Kranc był jednym z głównych organizatorów partyzantki na Wołyniu.

nio mówiło, aby zeznania się zawsze pokrywały. Każde wahanie czy zmieniony opis jakiejś sytuacji pociągały za sobą zmianę śledczego. I wszystko *da capo*. Ta ustawiczna indagacja o te same rzeczy, prowadzona przez zmieniających się śledczych, przy całkowitym wyczerpaniu nerwowym i braku snu, przy represjach, mogła człowieka załamać i spowodować mimowolne, a fatalne w skutkach ujawnienie prawdy.

Śledczym nie mogło się w głowie pomieścić (i słusznie), że komendant obrony Ostroga przed UPA nie miał nic wspólnego z partyzantką.

„Egzekucja”

Pewnego dnia wzywają mnie na śledztwo i z miejsca oświadczają, że za wrogość w stosunku do władz sowieckich i za przygotowanie spisku, za gromadzenie młodzieży w celach podejrzanych zostaję skazany na karę śmierci. Prowadzą mnie do piwnicy. Ustawiają w rogu i — jak mówią — stawiają ostatnie żądanie, abym im rozpracował polską partyzantkę. Jeśli nie — tu będzie mój grób. Ja odpowiadam: niech będzie. Padają strzały... Nie przestraszyłem się specjalnie samych strażaków, bo wiedziałem od współwięźniów, że takie metody są u nich na porządku dziennym, ale nie wolno im zabić człowieka na śledztwie. Lecz co dalej będzie ze mną?

Wyprowadzili mnie z piwnicy i zamknęli do małej kabinki, gdzie było tysiące pluskiew. Po 30 minutach wyszedłem stamtąd całkiem czerwony. Setki tych insektów rozniośłem na sobie. Kolejna czynność: łaźnia i znów śledztwo. W sprawie partyzantki byłem badany chyba 6 — 7 razy.

Sledztwa ciąg dalszy

Ad 3 aktu oskarżenia: Kranc zrywa umowę między rządami lubelskim a kijowskim.

Sprawa przedstawia się następująco. W listopadzie władze sowieckie podały do wiadomości, że „Polacy zamieszkujący te tereny mogą przenieść się do Polski”. Jak to do Polski? A tu co będzie? — pytamy. Ogłosiliście tu przecież Polskę!!! Pytanie retoryczne, znamy bandycki imperializm rosyjski. Ogłaszam z ambony, że z powodu nieodpowiedniej pory — początek zimy — Polacy teraz nie wyjadą. To stanowiło niesłychaną obrazę

rządu sowieckiego i „zerwanie umowy między rządami lubelskim i kijowskim”. I nowe przesłuchanie. Kilka posiedzeń w dzień i w nocy.

Bywało tak, że wezwany wieczorem, wracałem rano bez żadnych przesłuchań. Od czasu do czasu wpadał ktoś, rzucił krzesłem, aby nie można było się zdrzemnąć. Wiedzieli o tym, że był wysłany list do Stalina o przesunięciu terminu wyjazdu Polaków, lecz nie znali jego dokładnej treści i nie wiedzieli, na której poczcie był nadany.

Twierdziłem uparcie, że był wrzucony do skrzynki pocztowej w Ostrogu. Nie mogli przyjąć tego do wiadomości, gdyż każdy list, zwłaszcza Polaków, był skrupulatnie cenzurowany. Pienili się ze złości, że oni — specjaliści od wywiadu — zostali wyprowadzeni w pole. List ten przewiózł do Moskwy pewien żołnierz, mając go dobrze ukryty w plecaku, w żywności.

Ad 4 aktu oskarżenia: Kranc posiada arsenał broni. Pytanie: ile mieliście broni i jaką w klasztorze i w seminarium (byłem nauczycielem)? Odpowiadam: „tyle ile pokwitowaliście przy odbiorze w czasie nocnych odwiedzin, w pierwszym dniu waszego wkroczenia. To znaczy: 18 karabinów ręcznych, 4 dzieciostrozałówki i kilka skrzynek z amunicją”. Roześmiali się. Myślę, będzie źle! I rzeczywiście. Pokazują mi dokładny spis posiadanej przez nas broni w czasie samoobrony. Przerażony myślę, jak się to stało? Skąd go mają?

Otóż w czasie nocnych odwiedzin, po wkroczeniu Sowietów, odchodząc i kwitując odebraną broń, zabrali ze stołu naszej wartowni (może przypadkowo) razem ze swoimi aktami jakieś świstki papieru. Okazało się, że na jednym z nich był dokładny spis naszego uzbrojenia. Sierżant kancelista 19 pułku ułanów, mający nadzór nad wartą, zrobił dokładną ewidencję posiadanej przez nas broni. I ten spis wpadł w ręce wojska, a stąd do NKWD.

Jak się teraz bronić? Trzymając się liczby raz podanej, tłumaczą się, że nadwyżka broni była własnością żołnierzy z Witoldówki, którzy po trzech dniach pobytu u nas wrócili z bronią do siebie. Nawet ich to do pewnego stopnia przekonało. Ale jak to u nich. Odda się sto sztuk: „dawaj dwieście!”. Podejrzliwość we wszystkim. Sami wychowani w kłamstwie, nie wierzą nikomu, zwłaszcza Polakom, których uważają zawsze za „panów” i stojących wyżej pod względem kulturalnym i moralnym. Tego nie mogą nam wybaczyć. Podejrzewają nas o permanentne inspirowanie przeciw Związkowi sowieckiemu.

I znów kilkanaście dni i nocy na przesłuchaniu w sprawie broni. Stosują wobec mnie różne metody, chcąc wymusić złożenie zeznań dogodnych dla siebie. Bicie, naigrywanie się z Kościoła, z Polski, głodzenie. Jak z tym głodzeniem? Po całej dobie skrutinów przynosili posiłek złożony z dwóch lub trzech dań. Gdy podnosiłem do ust pierwszą łyżkę, z przekleństwem zabierali wszystko, krzycząc, że nie będą karmić wroga. Kilkakrotnie jeszcze zastosowali tę metodę, ale tylko raz dałem się nabrać na ich pułapkę. Innym razem nawet nie spojrzałem na stojące potrawy.

W sumie śledztwo trwało siedem miesięcy. Na przesłuchaniach byłem 44 razy, z czego 31 razy w nocy. Oczekiwałem z utęsknieniem śledztwa. Wreszcie doręczono mi do podpisania formularz z liczbą: 200 (dwieście). Podpisanie tego formularza oznaczało koniec śledztwa. Był to „najszcześniejszy dzień” w życiu. Bo wyrok 10 czy 15 lat to już błahostka. Czekam kilkanaście dni i wreszcie wezwanie: „*Kranc Remigi Iwanowicz s wieszczami!*” — oznaczało ono, że idę na sąd i więcej do tej komory nie wrócę.

Wyrok sądowy

Uformowali grupkę z kilku banderowców i kilku Polaków. Pod silną eskortą prowadzą nas do sądu oddalonego od więzienia może jeden kilometr. Zamknęli nas w piwnicy, wrzucając po jednym. Ukraińcy udawali się na salę rozpraw dosłownie na dziesięć minut i wracali z szablonowym wyrokiem: 10, 15 lat. Sądził ich jeden lejtnant i protokolant.

Ze mną zrobili komedię. Chcąc podkreślić ważność sprawy i wielki stopień mojej przestępczości, za stołem sędziowskim zasiadło dziesięciu oficerów. Byłem w habicie, więc musiałem zachować swą godność i nie pokazywać na zewnątrz przestachu i zdenerwowania. Wchodzę do sali i zaraz siadam na ławce. Protokolant wołał: „*Wstat! Wierchownyj Sud!*”. Wstaję z ociąganiem.

Czy przyznajecie się do pierwszego, drugiego, trzeciego i czwartego punktu? Odpowiadam: NIE. Następuje długie przemówienie o nadzwyczajnej mojej winie i społecznej szkodliwości mego postępowania. Tłumaczą, że lepiej się przyznać, bo albo zwolnią albo wymiar kary będzie bardzo łagodny. Myslę wtedy: śledztwo skończone, a czy 10 lat, czy 15 lat to różnica? „Ostatni raz pytamy: czy przyznajecie się?” — NIE! — od-

powiadam. Macie ostatnie słowo, co powiecie na swoją obronę? Ja: NIC! Sąd udaje się na naradę i po dłuższej nieobecności ogłasza salomonowy wyrok: „Za to wszystko dobro, któreście wyświadczyli naszym partyzantom pod okupacją niemiecką dziękujemy. A za całą waszą akcję przeciw Związkowi Sowieckiemu — 10 lat obozu na Dalekim Wschodzie i 5 lat pozbawienia praw”.

Gdy się ma człowieka za kratą, można z nim zrobić co się chce. Można mu przypisać każdy paragraf. Według ich powiedzenia: „*Dawaj człowieka, a statju najdiom*”. W latach 1917-27 wymordowali lub zniszczyli w więzieniach 33 miliony ludzi. We więzieniu pyta się pewnego razu Sowiec: Jaka Polska duża, ile liczy mieszkańców? Mówię na to: 32 miliony. A on: Co...?, co to za kraj?, u nas 32 miliony siedzi w więzieniach!

Po wyroku umieszczono mnie w kamerze tych, którzy byli przeznaczeni na dalszy etap. Tutaj atmosfera całkiem inna. Skończyło się śledztwo, skończyła się bojaźń, a została niewiedza. Teraz — dokąd? Uzmysławiam sobie zsyłki Polaków po powstaniach. Niekończące się stopy syberyjskie, katorgę biednych i niewinnych rodaków i myślę sobie: Polsko, niech i ja zginę za ciebie. Nie było bowiem żadnej nadziei na przetrwanie. Czekam kilkanaście dni na dalszy bieg spraw. Aż wreszcie 4 sierpnia 1945 r. we wczesnych godzinach rannych zbiórka na podwórzu więziennym i wymarsz na stację kolejową w Równem. Tam kilkuset więźniów, między innymi i mnie, umieszczono w wagonach typu stołypinowskich. Z zewnątrz podobny do naszego wagonu pociągu pośpiesznego, wewnątrz ma trzy kondygnacje pryczy. W tym szeregu, gdzie w naszych wagonach są drzwi do poszczególnych separatek, biegnie przez całą długość gruba krata, tworząc korytarz między pryczami a oknami. W tym korytarzu spaceruje strażnik. Gdy ktoś chce wyjść, dozorca otwiera jedną z kilku bram. Wszyscy stale są w pozycji leżącej, tak jak u nas w wagonie sypialnym. Teraz pytanie — dokąd nas los zapędzi?

Do Charkowa

Dwa razy dziennie dają po misce zupy i kawałeczkę chleba. Po czterech dniach dojechalśmy do Kijowa, gdzie nastąpiła przesiadka do zwyczajnych wagonów towarowych. Takı wagon przeznaczony był dla 40 osób. Nauczony doświadczeniem w celi więziennej, zajmowałem miejsca w najdalszym kącie, a to dla

tego, aby mi nie chodzono po głowie np. do WC, tzn. do beczki. Szukam takiego kąta.

Z Kijowa do Charkowa podróż trwała aż sześć dni. Były takie dni, że wtaczano nas na pośredniej stacji na ślepy tor i tam staliśmy kilkanaście godzin. Wreszcie dojechaliśmy. Ze stacji pędzą nas prawie biegiem przez całe miasto do łagru, leży on na tzw. Chłodnej Górze. Są tam zakłady ślusarsko-mechaniczne. Fabryka otoczona murem, straża na wieżach, produkcja wojskowa: miny.

Postawili mnie przy tokarni, gdzie obtaczałem jakiś detal. Po kilku miesiącach pracy takich „specjalistów” jak ja, oddział technicznej kontroli „zbrakował” 10 tys. sztuk. Tak były precyzyjnie wykonane.

Zmieniono przedmiot produkcji. Fabrykujemy sieczkarnie, mamy wykonać 86 sztuk miesięcznie. Pracuję jako „specjalista” od składania bębnow, na których są noże do krajania słomy. Trzeba zaznaczyć, że w tym zakładzie wyrabiano dosłownie wszystko. Począwszy od małego gwoździka a skończywszy na kole rozmachowym: wszystko rękami więźniów, między którymi byli i inżynierowie i technicy, ale zawsze niewinni więźniowie, którzy nie mieli specjalnego zapasu do pracy. Wyrabialiśmy normę, nieraz i ponad normę. Przy końcu miesiąca następował rozruch każdego egzemplarza. Precyzja wykonania była taka, że cztery maszyny nie mogły wykonać nawet jednego obrotu: zatem jeden zgrzyt, tarcie zardzewiałego żelaziwa. Protokół spisany. Norma wykonana. Po odbiorze szedł jeszcze „fachowiec” z wiadrem olejnej farby. Pomalował nie tylko detale zewnętrzne, ale i wlał ją obficie między tryby. Przypuszczam, że cztery konie zaprzężone w kierat nie zdołałyby jej rozruszać. Raczej rozleciałaby się w drodze na kawałki.

Jakie były warunki bytowe w obozie na Chłodnej Górze? Mieszkaliśmy w dużym dwupiętrowym bloku. Na parterze i drugim piętrze byli rozmieszczeni mężczyźni, a na pierwszym piętrze kobiety. Co się działo w dni wolne po pracy, to „mądrej głowie dość po słowie”...

W każdym pomieszczeniu były trzy kondygnacje prycz. Zaduch, krzyk, gwar. Posiłek był dwa razy dziennie: miska zupy i kawałek chleba. Zupa była „ciekawa”: cuchnęła i działała na pęcherz, tak że trzeba było w nocy wstawać cztery, pięć razy. Niejednokrotnie szło się do WC już tak mechanicznie, bez całkowitego przebudzenia. Ludzie zderzali się na korytarzach w półśnie. Nieraz ktoś pośliznął się i wpadł do betonowego pisuaru: basen płytki o powierzchni 6×6 metrów.

Apel na podwórzu dwa razy dziennie, rano i wieczorem. Dokładne sprawdzenie stanu liczbowego trwało wieczorem nawet dwie godziny. W tych warunkach z braku pożywienia, snu a przy tym wytężonej pracy ludzie nie chodzili, a snuli się po warsztatach i korytarzach.

Na wiosnę 1946 roku w grupie około 200 ludzi zostaliśmy odprawieni do wioski Andrejewka dla wydobywania torfu.

Przy torfie

Praca była cięższa niż w Charkowie, ale na świeżym powietrzu i odżywianie było nieco treściwsze. Wykorzystano nas też do sadzenia ziemniaków i okopywania marchwi. Na Ukrainie jedna działka ziemniaków czy marchwi w kołchozie obejmuje kilometr kwadratowy. Ustawiono nas w trzy szeregi: pierwszy miał motyki i robił dołki na ziemniaki. Drugi szereg szedł z koszykami pełnymi ziemniaków i miał wrzucać po dwa ziemniaki do jednego dołka. Trzeci szereg szedł z motykami, aby te ziemniaki zakopywać. W rzeczywistości było tak: pierwsi robili dołki, drudzy wsypywali cały koszyk do jednego otworu, trzeci zakopał i zdeptał wszystko.

Odkopujemy marchew. Brygadier oświadcza: dojdziecie do tego a tego punktu i odpoczniecie. Ruszamy z miejsca jak szarańcza. Nie patrzymy czy to chwast czy marchew. Gdyśmy doszli do wyznaczonego punktu, nie pozostała za nami żadna żywa trawka. I tak się pracuje w kołchozach. I dlatego wszystkiego w Związku Sowieckim „*mnogo*”, więcej niż gdzie indziej. Takie kołchozy nazywają się w Rosji dla upamiętnienia różnych działaczy bolszewickich albo kołchoz „*Naprasnyj trud*” (daremnny trud).

Gdyśmy sadzili ziemniaki, nie zapomnieliśmy o sobie. Każdy chował w zanadrze, do spodni po kilkadziesiąt sztuk. Poroobiliśmy sobie z nich też epolety. Bardzo niewygodnie było z takim balastem pracować i maszerować do łagru. Miny mieliśmy jednak zadowolone. Upieczemy je we wiórach, które stolarze palili na podwórzu i raz przed śmiercią — marzyło się każdemu — najemy się do sytości. Zbliżamy się do łagru, a na nasze spotkanie wychodzi naczelnik i kilku strażników. Myśleliśmy, że chcą nam podziękować za wykonanie normy w skróconym terminie, a oni z wielkim krzykiem „*razdziewajties sukinysyny*” i wytrzęśli nam całą zdobycz. Wywiad szpiegowski, domyślił się, działał sprawnie.

W stolarni

W naszym obozie brygadierem stolarzy i cieśli był Polak Stocki: starszy pan urodzony i wychowany w Rosji, bardzo solidny człowiek, też więzień. Gdy się z nim zapoznałem, przedstawiłem się kim jestem, natychmiast wycofał mnie z brygady torfowej i przydzielił do stolarzy. Było to jesienią. Cała moja praca polegała na wygrabywaniu wiór spod warsztatów i odnoszeniu ich kilkadziesiąt metrów na stos. Przezornie nie ubijałem tych wiór w koszu, nastroszyłem tylko, tak że obciążenie było znikome. Nie trwało to jednak długo.

Po komisji lekarskiej w listopadzie 1946 roku wytypowano mnie i kilkadziesięciu na dalszy etap. W Charkowie był punkt zborny, dokąd zwożono więźniów z innych miejscowości. Sformowano kilkanaście wagonów towarowych.

4 grudnia 1946 roku ruszamy — kierunek KOŁYMA.

Na Syberię

Nie orientuję się, jakie jest położenie geograficzne tej miejscowości. W wagonie towarowym, prawie całkowicie ciemnym, są czterdzieści trzy osoby. Na środku piecyk żelazny, w którym mamy palić miałem węglowym z lokomotywy. Pisuar z wylotem na zewnątrz, a beczka jako WC. Zimno. Na dworze było chyba do minus 15 stopni. Jedziemy w kierunku Penzy na północ, dalej w kierunku wschodnim na Kujbyszew.

Pierwszy dzień jazdy. Zbliża się wieczór, jak tu przetrwać noc bez miski zupy, w lodowatym wagonie. Wreszcie około godziny 18-ej z wielkim zgrzytem otwierają się drzwi. W naszym kierunku, do wnętrza wagonu skierowane lufy karabinów, wściekłe szczekanie psów. Wchodzi dwóch żołnierzy z kotłem zupy i z miskami. Szybko nalewają jakąś lurę i rozkazują pić „bystro!”. Były to liście buraczane zalane wrzątkiem. Rzucili 43 kromki chleba i z przekleństwem odeszli. Zasunęli z wielkim hukiem drzwi. Za chwilę znów łomot otwieranych drzwi. Ta sama historia: karabiny skierowane w naszym kierunku i rozwścieczone psy policyjne. Wsuwają wiadro miału węglowego. Zapaliliśmy w piecyku. Ściany momentalnie okryły się szronem, odczuliśmy miłe ciepło. Kładziemy się na spoczynek na gołej podłodze, w ubraniu. Mnie ratuje futro, które rozciągam na podłodze i dla najbliższego towarzysza. Wybrany dyżurny podtrzymuje w nocy ogień w piecyku. Rano żaden nie

może wstać: jesteśmy przymarznięci do podłogi. Co się stało? Dyżurny podrzucił więcej miału do pieca, szron na ścianach stopniał i spłynął na nas. I tak było stale. Nieraz miał węglowy zatykał wszystko, dusił się jakiś czas, wreszcie wybuchnął na zewnątrz, obsypując wszystkich popiołem. Dwa razy dziennie powtarzała się ceremonia spożywania posiłku w wyżej opisanej scenerii i raz dziennie pod wieczór roznoszenie po wagonach miału węglowego.

Wreszcie po dwudziestu dniach dojechalismy do Irkucka nad jeziorem Bajkał, nad granicą mongolską. Tu skierowano nas do łaźni. Po dwudziestu dniach z rozkoszą napilismy się do syta wody i jako tako umyli. Z powrotem do pociągu. „Bystro!!!”. Znów niekończąca się jazda. Podróż 18 dni przez Czytę, Chabarowsk do Władywostoku — w sumie 38 dni podróży w warunkach jak opisałem wyżej.

We Władywostoku, w oczekiwaniu na statek, który miał nas przewieźć do Magadanu, umieszczono nas w barakach przepełnionych przez obywateli wszystkich republik sowieckich. Prawdziwa demokracja. Warunki bytowe niżej wszelkiej krytyki. Spanie na gołej ziemi w ścisku niesamowitym. Dwa razy dziennie miska cuchnącej, rybiej zupy. Krzyki, wrzaski, przekleństwa, awantury. Wreszcie po dwu tygodniach przyprowadzili nas do portu. Zimno, wiatr lodowaty. Stoimy na otwartym polu kilka godzin. Na skutek głodu, zimna, wycieńczenia dziwne wrażenie, zdaje mi się, że nie istnieję. Nie mogę przypomnieć sobie na przykład imion siostr moich, czy imienia prowincjała.

Przed nami olbrzymi statek towarowy „Dzierżyński”. Wchodzimy bardzo powoli po trapach, bo wszystko jest oblodzone. Mnie przypadło miejsce na drugim piętrze w dole. Aby się tam dostać, trzeba było zejść z górnego pokładu po drabinie na pierwsze piętro. Z tego po drabinie przez otwór ok. 2×2 metry na drugie piętro w dół. Na każdej kondygnacji ogromne hale na towary. Załadowano w nich około 2,5 tysiąca więźniów, na pryczach czteropiętrowych. Wyobraźmy sobie stężenie powietrza w każdym pomieszczeniu.

Na morzu

Z poczekalni statku spływało przez owe dwa otwory powietrze na pierwsze i stąd na drugie piętro w dół. Na burcie statku zainstalowano 90 szaleatów. W dzień i w nocy przepełnione, ko-

lejki czekających. Najgorsze było pokonać te dwie drabiny, niektórzy nie zdążyli... W drugim dniu zaczął się sztorm o bardzo wysokiej fali. Płyniemy morzem w kierunku Sachalina. W nocy czekam między innymi w kolejce do WC. Temperatura około minus 10 stopni, wiatr porywisty. Trzymamy się burty, aby nas nie zwało do morza. Wtem straszny łomot, szaleły się zachwiały i runęły w głębinę morza, a wraz z nimi 90-ciu więźniów...

Co teraz będzie z potrzebami fizjologicznymi? Postawiono w każdej „kabinie” kilka beczek, które napełniały się bardzo szybko. Więźniowie chorzy na laksyrkę załatwiali się w nocy koło beczek. Ekskrementy w miarę kołysania się statku płynęły pod pryzami od jednej ściany do drugiej. Z powodu braku powietrza i odoru fekalii każdy był całkowicie odurzony. Zaczęli ludzie umierać. W przeciągu dziesięciu dni wyrzuciło się do morza 260 trupów. Za okrętami całymi gromadami płynęły rekiny (!!!). Ciała zmarłych nie zanurzały się wiele; szczęki rekinów porywały je prędko.

Pewnego dnia już koło Sachalinu okręt o coś zawadził i stanął. Zabrnął między wielkie kry lodowe. Czekaliśmy cały dzień, aż przybył znajdujący się przypadkowo w pobliżu lodołamacz, który uwolnił nas z tej opresji i przeprowadził na Sachalin. Tam staliśmy kilka godzin dla zatankowania paliwa. Wreszcie płyniemy dalej przez Morze Ochockie, kierując się na Magadan. Kamczatkę mijamy z lewej strony (niewidoczna).

W naszej „kabinie” wszyscy leżą. Nikt nie ma siły utrzymać się na nogach. Brak powietrza, dusimy się formalnie. Każdy ma wrażenie, że to jego ostatnie godziny życia. Podajemy najbliższemu z sąsiadów swoje adresy w ojczyźnie. Może ktoś przeżyje i zakomunikuje rodzinie, że jego towarzysz niedoli znalazł grób w paszczy rekina.

Dopłynęliśmy pół żywi do Magadanu. Pada rozkaz opuszczenia statku. Nikt nie wstaje, nie ma siły. Wchodzą żołnierze z konwoju, zatykają nosy i wywołczą każdego na pokład. Tu przy nagłej zmianie powietrza dostajemy zawrotu głowy i padamy na śnieg. Styczniowa, syberyjska aura. Około minus 40 stopni. Bici, kopani wlecemy się do obozu.

(dokończenie nastąpi)

O. Remigiusz KRANC
kapucyn

OKRUCHY HISTORII

Tadeusz WYRWA

WYWIAD I POLITYKA W STOSUNKACH POLSKO-FRANCUSKICH PRZED 1939 ROKIEM

Zmienne koleje losu, jakie charakteryzowały w okresie dwudziestolecia stosunki między Polską i Francją odbiły się siłą rzeczy na współpracy wywiadów tych krajów, z dużą szkodą dla lepszego zrozumienia gmatwającej się wówczas coraz bardziej sytuacji w Europie. W archiwum wojskowym w Forcie Vincennes¹ znajduje się jeden z egzemplarzy tajnego raportu, z dnia 15 maja 1935 roku, odnośnie współpracy wywiadu francuskiego z wywiadem polskim. W nagłówku raportu figuruje: *Ministère des- deux armées, État-Major de l'Armée de terre, 2^e Bureau, 2^e Section*.

Treść tego dokumentu brzmi:

„I. Umowa z 1926 roku przewiduje współpracę wywiadu polskiego z wywiadem francuskim celem bardziej skutecznego śledzenia machinacji Niemiec i Rosji.

Współpraca ta oparta jest na następujących podstawach:

1. Polska działa na wschód a Francja na zachód od linii Szczecin - Berlin - Lipsk.

1. *Archives du Ministère de la Défense, État-Major de l'Armée de terre, Service historique.*

2. Śledzenie Rosji ciąży na wywiadzie polskim.
3. Francja bierze na swoje barki śledzenie innych krajów niż Rosja, z których Niemcy mogą czerpać surowce (przemysł wojenny).
4. Informacje o charakterze alarmującym odnoszące się do Niemiec, Rosji lub Litwy są przekazywane jak najszybszymi drogami.
5. Zebranie przedstawicieli 2-gich Oddziałów sztabu polskiego i sztabu francuskiego ma w zasadzie miejsce co sześć miesięcy, ażeby porównać i ustalić ich wzajemny punkt widzenia na wojсковą sytuację Niemiec i Rosji.

II. Umowa z 1926 roku dotycząca śledzenia Niemiec funkcjonowała prawidłowo przez wymianę dokumentów i periodyczną łączność między przedstawicielami 2-go Oddziału polskiego i 2-go Oddziału francuskiego do czerwca 1934, daty, kiedy pułkownik Koeltz i major Baril udali się do Warszawy.

Od tej daty wymiana informacji była znacznie skromniejsza, zwłaszcza z naszej strony. W okresie od sierpnia 1934 do kwietnia 1935 roku, przekazaliśmy sztabowi polskiemu jedynie trzy dokumenty, podczas gdy Polacy przysłali nam ponad trzydzieści. Byliśmy więc od roku w tej dziedzinie bardzo powściągliwi.

Natomiast szef 2-go Oddziału polskiego winien był normalnie przyjechać do Paryża w grudniu 1934. Jego podróż była kilkakrotnie odraczana pod różnymi pretekstami, które pozwalały domyślać się jak mało gorliwości sztab polski wykazał we współpracy ze sztabem francuskim. Podróż ta jest obecnie rozważana na drugą połowę czerwca. W tym sensie skierowano propozycję na początku kwietnia do sztabu polskiego, który jeszcze nie odpowiedział”.

Nie jest mi wiadome, czy sztab polski wówczas odpowiedział. W wyżej cytowanym archiwum znajdują się jednak sprawozdania z dwóch wizyt, jakie złożył w Paryżu — jedną w maju 1936 a drugą rok później — szef 2-go Oddziału polskiego sztabu głównego, którym był wtedy pułkownik Tadeusz Pełczyński. Z uwagi na charakter polityczny zawartych w sprawozdaniach wypowiedzi ówczesnego pułkownika Pełczyńskiego oraz jego późniejszą rolę w dowództwie Armii Krajowej przytaczam najważniejsze dane z przebiegu jego służby wojskowej. Dane te — które otrzymałem za pośrednictwem p. Haliny Czarnockiej, kierowniczki archiwum Studium Polski Podziemnej w Londynie — pochodzą z zeszytu ewidencyjnego generała T. Pełczyńskiego i w dużym skrócie są następujące: od czerwca 1915 do sierpnia

1916 roku — 6 pp. Leg. na froncie wołyńskim; od sierpnia 1916 do kwietnia 1918 roku — internowany przez Niemców w Benjaminowie; od marca do września 1919 roku — 6 pp. Leg. na froncie północnym; od 1929 do 1931 roku — szef Oddziału 2-go sztabu głównego, później dowódca 5 pp. Leg i następnie ponownie, od października 1935 do stycznia 1939 roku — szef Oddziału 2-go; od lutego do października 1939 roku dowódca piechoty dywizyjnej 19 P.D.; od czerwca 1940 do lipca 1941 roku — Związek Walki Zbrojnej (ZWZ), komendant Okręgu Lublin; od sierpnia 1941 roku — szef sztabu ZWZ i AK, a od lipca 1943 roku również zastępcą dowódcy AK; w 1943 roku mianowany generałem brygady; od października 1944 do maja 1945 roku — niewola niemiecka. Od uwolnienia z niewoli znajduje się w Londynie, gdzie pracował na różnych stanowiskach w sztabie głównym.



Pierwsze sprawozdanie jest z dnia 26 maja 1936 roku.

W nagłówku: Sztab armii, 2-gi Oddział. Sprawozdanie podpułkownika Gauché, szefa 2-go Oddziału sztabu armii ze spotkania z pułkownikiem Pełczyńskim, szefem 2-go Oddziału głównego sztabu polskiego.

Tajne

„Pułkownik Pełczyński jest pięknym typem oficera; umysł otwarty na wszystkie problemy dnia dzisiejszego, rozległa kultura, charakter zimny, spokojny i rozważny. W czasie rozmowy pułkownik zmierza prosto do celu i wyraża swoją myśl z zupełną otwartością i szczerością; żadnej przezorności z jego strony, żeby zmniejszyć zasięg swojej myśli lub złagodzić pewne drażliwości; jedynie troska o przedstawienie swojego punktu widzenia, bez ogródek i z pełnym obiektywizmem.

Opinie wyrażone przez pułkownika przybierają zatem znaczenie niezaprzeczalne z uwagi na wartość i stanowisko tego oficera; doniosłość ich wzrasta jeszcze bardziej skutkiem tego, iż są one na pewno inspirowane przez główny Sztab polski, który jest znany z decydującego wpływu na kierowanie sprawami Kraju.

Po tym koniecznym wprowadzeniu do przedmiotu, zasadnicze punkty do zachowania z rozmowy dwóch szefów mogą być podzielone na trzy części:

- Opinie pułkownika Pełczyńskiego o ogólnej sytuacji politycznej i wojskowej.
- Wyrażone życzenia.
- Najważniejsze punkty wynikające z dyskusji odnośnie armii niemieckiej.

OPINIE O OGÓLNEJ SYTUACJI

ROSJA

Przewodnia myśl, ciągle ta sama, która panuje nad wszystkim: nienawiść do Rosji bolszewickiej i obawa przed nią.

Komunizm sam w sobie nie byłby bardziej groźny niż każda inna doktryna polityczna, gdyby jego kierownictwo nie znajdowało się w Moskwie. Francja nie powinna była wprowadzać Rosji bolszewickiej w politykę europejską; w tym punkcie Polska wyraźnie separuje się od Francji. Dlaczego nie zadowolić się, przy trzymaniu Niemców w szachu, zorganizowaniem bloku i frontu europejskiego, rozciągającego się od państw bałtyckich do Francji i obejmującego wszystkie państwa pośrednie (Mała Ententa i Włochy).

Każda próba Rosjan przekroczenia granicy będzie zbrojnie odparta; w normalnym czasie stosunki między tymi dwoma krajami są ściśle ograniczone: tylko cztery lub pięć punktów granicznych, które są dokładnie pilnowane i kontrolowane, umożliwiając kontakt; wszędzie indziej granica jest hermetycznie zamknięta i przejście jej oraz wszelki obrót handlowy są zabronione.

Propaganda rosyjska usiłuje przeniknąć do krajów bałtyckich, Rumunii i przede wszystkim do Czechosłowacji. Polska czuje się osaczona i groźbie tej przeciwstawi się wszelkimi środkami.

W razie wojny przeciwko Niemcom pomoc Rosji nie jest pożądana. Nawet w beznadziejnym wypadku postępowania Niemców na Warszawę Polska nie chciałaby za żadną cenę zawdzięczać Rosji swego ocalenia; więcej nawet, usiłowałaby odeprzeć zbrojnie każdą tego rodzaju zachciankę.

Na wypadek gdyby siły rosyjskie weszły przez terytorium państw bałtyckich do Prus Wschodnich w tym samym czasie, gdy siły polskie przyszłyby z południa, pułkownik nie widzi innej możliwości kontaktu między tymi dwiema armiami jak wymiana strzałów.

NIEMCY

Niebezpieczeństwo niemieckie pozostaje drugą z rzędu troską Polski. Kilka charakterystycznych stwierdzeń:

— Jeżeli Niemcy usiłowałyby zrobić najmniejszy nawet **krok**

przeciwko Gdańskowi, armia polska natychmiast przeciwstawi się.

— Traktat między Niemcami i Polską niczego nie uregulował, stanowi dziesięcioletnie zawieszenie broni. Dziwne jest, że Francja, która od dawna skarży się na złe stosunki między Polską i Niemcami, niepokoi się tym.

— Polska wobec niebezpieczeństwa niemieckiego zostaje wierna, bez żadnej ukrytej myśli, przymierzu z Francją. Pułkownik nie wierzy w wywołanie wojny przez Niemców przed upływem półtora roku lub dwóch lat.

Ale Polacy nie czują do Niemców nienawiści i odrazy, jakie okazują Rosjanom; w związku z tym charakterystyczna opinia: Polska zawdzięcza dowództwu i żołnierzowi niemieckiemu wyzwolenie z jarzma rosyjskiego. Oczywiście, że całkowita niepodległość Polski nie byłaby urzeczywistniona bez zwycięstwa sprzymierzeńców, ale to niemiecka okupacja wojenna przepędziła z Kraju wszelki żywioł rosyjski, przygotowując w ten sposób młodemu państwu polskiemu sytuację całkowicie jasną.

Pułkownik przyznaje zresztą, że Niemcy mnożą w stosunku do Polski zabiegi:

Ofensywa polityczna i ekonomiczna. Wizyty powtarzane przez Göringa, które źle usposabiają wojsko. Zaofiarowanie usług przez jedną z firm, otrzymującą subwencje od rządu niemieckiego, która zaproponowała różnego rodzaju materiały począwszy od rewolweru a skończywszy na pancerniku.

Zaproszenie uczynione przez niemieckiego *attaché* wojskowego w Warszawie, żeby wysłać oficerów polskich, specjalistów od wystawy automobilowej, jako gości *Kriegsministerium*. Zaproszenie zostało zaakceptowane, ale w charakterze prywatnym; oficerowie polscy pojechali do Berlina w cywilu i nie składali żadnej oficjalnej wizyty w Ministerstwie wojny, pozostają pod władzą polskiego *attaché* wojskowego w Berlinie.

Siedmiu oficerów niemieckich z 25 końmi przyjedzie do Warszawy na przyszły konkurs hippiczny, wykorzystując do maksimum zaproszenie Polaków (zostało powiedziane, że każda ekipa będzie mogła mieć najwyżej ośmiu oficerów).

Niemiecki *attaché* wojskowy w Warszawie mnoży zaproszenia do siebie oficerów polskich na kolację lub herbatę; szef 2-go Oddziału usiłuje ukrócić te przyjęcia.

Żaden oficer niemiecki nie uczęszcza na wykłady polskiej Szkoły Wojennej, ani żaden oficer polski na kursy *Kriegsakademie*.

Polityka Polski odnośnie Niemiec została taka, jak ją wytyczył Marszałek Piłsudski: 'oparta na przymierzu z Francją i odgrywająca rolę czynnika równowagi, zależnie od wypadków'.

CZECHOSŁOWACJA

Wobec tego kraju istnieje nieporozumienie całkowite i nabrzmiałe pasją. Powody:

— Twierdzenie, że nie istnieje naród czechosłowacki (pułkownik marzy niewątpliwie o Słowakach, których pokrewieństwo rasowe mogłoby wejść w grę tak na korzyść Polaków jak i Czechów).

— Wątpliwość co do wartości wojska czechosłowackiego, któremu brak jest jedności.

— Uderzenie w plecy Cieszyna w momencie, kiedy Polska zmagала się z bolszewikami.

— W końcu i przede wszystkim fakt, że Czechosłowacja jest krajem wybranym przez propagandę rosyjską; to jest bolszewizm wprowadzony do serca Europy; w czasie pokoju to jest baza działalności agentów bolszewickich przeciw Polsce. Rząd czechosłowacki proszony przez rząd polski o położenie kresu temu stanowi rzeczy miał odpowiedzieć, że ta kwestia jest sprawą prywatną i że nie ma mowy o przedsięwzięciu oficjalnych środków, żeby temu zapobiec.

Pułkownik przyznał uczciwie, że niemiecka akcja przeciwko Czechosłowacji może mieć pewną szansę powodzenia jedynie w wypadku neutralności Polski; przyznał również, iż koalicja przeciw Niemcom będzie mogła przynieść pełny efekt tylko wtedy, jeżeli zostanie utworzony front polsko-czechosłowacki. Zwyczajne stwierdzenie teoretyczne z jego strony, które nie zostawiło po sobie jasno określonego życzenia zastosowania zaradczego środka do stosunków między tymi dwoma krajami.

KRAJE BAŁTYCKIE

Rosja rozwija w tych krajach bardzo dużą aktywność. Oto przykład: świeża podróż do Moskwy 3 szefów sztabu Estonii, Łotwy i Litwy nie była wspólnie ustalana. Każdy z tych rządów był poufnie sondowany przez Moskwę i szefowie trzech sztabów byli zdziwieni, iż znaleźli się zebrani w Moskwie.

Polska chce niepodległości krajów bałtyckich, to jest interesowność. Nie będzie ona tolerowała w tych krajach żadnego innego wpływu oprócz swojego. Z dwóch niebezpieczeństw, nie-

mieckiego i rosyjskiego, obawia się ona najbardziej drugiego i zdecydowana jest przeciwstawić mu się. Polska w toku swojej nieszczęsnej historii była istotnie zagrożona dopiero od momentu, kiedy Piotrowi Wielkiemu udało się narzucić krajom bałtyckim panowanie rosyjskie; takie samo niebezpieczeństwo zjawia się teraz ponownie, tym bardziej, jeżeli w tym samym czasie bolszewizm usadowi się w Czechosłowacji.

W związku z tym pułkownik zarzuca lekkomyślność francuskiemu *attaché* wojskowemu w Rydze, który opowiada wszędzie gdzie chcą go słuchać, że Polska jest związana z Niemcami i że kraje bałtyckie będą mogły być uratowane jedynie przez Rosję... Pułkownik domaga się, żeby położyć kres akcji antypolskiej francuskiego *attaché* wojskowego w Rydze [paragraf ten został w sprawozdaniu z nieznanym mi powodów przekreślony — T.W.].

WĘGRY

Polacy darzą Węgrów szczerą sympatią, której nie ukrywają (powody historyczne, kulturalne jak również przychylna postawa Węgrów w czasie wojny przeciwko bolszewikom). Pułkownik oznajmia, że Węgry zostały poświęcone w Traktacie Pokoju i że ich żądania terytorialne są uzasadnione.

JAPONIA

Pułkownik szczerze przyznaje, że istnieją stosunki między sztabem polskim i japońskim celem wymiany informacji o Rosji. Jest to analogiczna łączność, jaka istnieje ze sztabem francuskim.

Pułkownikowi zwrócono uwagę na fakt, że Japończycy utrzymują prawdopodobnie stosunki tej samej natury z Niemcami; nie zaprzeczył temu i oznajmił, że sztab (polski) będzie pilnował, żeby nie wyjawić sztabowi japońskiemu informacji o Francji.

W k o n k l u z j i

Punkt widzenia Francuzów odpowiada punktowi widzenia Polaków odnośnie niebezpieczeństwa niemieckiego, jakkolwiek dla Francuzów niebezpieczeństwo to stanowi główną troskę, podczas gdy dla Polaków zajmuje ono drugie miejsce po niebezpieczeństwie Rosji.

Pod względem innych punktów, różnica poglądów:

— Niemożliwość przekonania Polaków, żeby dopuścili udział

- Rosji w jakiegokolwiek by to nie było formie.
- Wrogość Polaków w stosunku do Czechosłowaków.
 - Sympatia dla Węgrów.
 - Łączność w wymianie informacji z Japonią.

Co do tych wszystkich punktów, trzeba to jasno przyznać, punkt widzenia polski styka się z niemieckim punktem widzenia.

W świetle tych faktów okazuje się, że polityka polska rezerwuje sobie możliwość postępowania w dwu przeciwnych kierunkach: jeden odpowiadający tendencji francuskiej i drugi (czy ona tego chce czy nie) tendencji niemieckiej; Polska wybierze dopiero kierunek w zależności od tego, jak będzie się w danym momencie układać ogólna sytuacja i interes Kraju.

Znaczna poprawa na korzyść pierwszego kierunku mogłaby być osiągnięta przez zbliżenie Polski i Czechosłowacji. To zbliżenie, tak bardzo pożądane z punktu widzenia francuskiego, jest chyba możliwe, ale nie trzeba liczyć na Polskę, że zrobi pierwszy krok. Tego rodzaju starania winny wyjść od strony Czechosłowacji i żeby dawały pewną szansę powodzenia, trzeba byłoby jeszcze aby kraj ten zaniechał wszelkiej współpracy z Rosją sowiecką”.

Na ostatnich dwu stronach sprawozdania mowa jest o stanie polskiej armii i jej potrzebach.



Niżej cytuję najważniejsze ustępy z kopii pisma generała Maurice Gamelina, szefa głównego sztabu armii francuskiej. Pismo to, z datą 10 czerwca 1936 roku — a więc w dwa tygodnie po wizycie płk. Pełczyńskiego w Paryżu — skierowane było do francuskiego ministerstwa Spraw Zagranicznych.

„W czasie niedawnej wizyty w sztabie armii, pułkownik Pełczyński, szef 2-go Oddziału polskiego sztabu głównego, rozwinął na temat ogólnej sytuacji i aktualnej polityki pewną ilość idei, podkreślił pewne fakty i sformułował pewne opinie, które wydaje mi się należy Wam podać do wiadomości z uwagi na osobistość autora.

Pułkownik Pełczyński zajmował w ciągu 4 lat, od 1928 do 1932, stanowisko szefa 2-go Oddziału polskiego sztabu głównego, gdzie został ponownie powołany w październiku 1935 roku.

Dawny legionista i współpracownik od pierwszych chwil Marszałka Piłsudskiego i generała Rydza-Śmigłego, ma całkowite zaufanie tego ostatniego. Jego żona od września 1935 jest posłem w Sejmie w Warszawie. Opinie wyrażone przez pułkownika Pełczyńskiego mają więc duże znaczenie...”.

Następnie jest streszczenie wyżej przytoczonego sprawozdania pułkownika Gauché. Z pisma generała Gamelina warto jeszcze zacytować jeden paragraf:

„Z powodu znaczenia jakie odegrałby czynnik polski w konflikcie europejskim, znaczenia, które Polska zawdzięcza swojemu położeniu geograficznemu i wzrastającej sile wojskowej, wydawałoby się bardzo pożądane, ażeby poprawa na korzyść tendencji polityki francuskiej mogła być w Polsce osiągnięta i w szczególności, aby zbliżenie między tym krajem a Czechosłowacją mogło być zrealizowane. Zbliżenie to, jedynie z punktu widzenia wojskowego, przedstawiałoby tak duże korzyści, uznane zresztą przez główny sztab polski, iż naprawdę wydaje się, że żaden wysiłek nie powinien być szczędzony, żeby dopiąć celu”.



Drugie sprawozdanie, również pułkownika Gauché, z dnia 30 maja 1937 roku, opatrzone jest wzmianką: *Ścisłe tajne*.

„Pułkownik Pełczyński był w Paryżu od 24 do 29 maja, ażeby utrzymać periodyczną łączność, której głównym celem jest wymiana i konfrontacja informacji o armii niemieckiej.

Z pułkownikiem Pełczyńskim miałem oczywiście rozmowy, które przekraczały techniczny zakres armii niemieckiej i które poruszały postawę Polski wobec niektórych problemów ogólnej polityki. Tendencje, na które pułkownik Pełczyński zwrócił uwagę pozostają w zarysie te same, jakie przedstawiłem już dawniej na podstawie wcześniejszych kontaktów, ale odznaczają się one bardzo wyraźnym zaakcentowaniem przez sztab polski postawy antyrosyjskiej. Dlatego też poczuwam się do obowiązku złożenia sprawozdania z tego co najistotniejsze.

Przewodnią myślą marszałka Rydza-Śmigłego jest zbudowanie, w obliczu niebezpieczeństwa bolszewickiego, zapory idącej od Bałtyku do Morza Czarnego. Pułkownik Pełczyński powtórzył mi, że Rosja nie może być uważana za kraj europejski i że winna ona pozostać skierowana ku Azji. Wszelka pomoc, pośrednia lub bezpośrednia, mogąca przyczynić się do utworzenia

i wzmocnienia zapory przeciwko Sowietaom będzie pożądana. Dlatego też współzawodnictwo rosyjsko-japońskie przychylnie jest przyjęte przez dowództwo polskie i Japonia oddaje pośrednio usługi interesom Polski.

Polsce grożą dwa niebezpieczeństwa: niebezpieczeństwo rosyjskie i niebezpieczeństwo niemieckie:

a) Niebezpieczeństwo rosyjskie jest najgroźniejsze i najbardziej natarczywe. Rosja — oznajmia pułkownik Pełczyński — skorzysta z pierwszej nadarzającej się okazji, żeby wtargnąć do Polski i pozostać w niej; armia czerwona jest już groźnym narzędziem i bezustannie się wzmacnia. Czerwone dowództwo trzyma, nieustannie skoncentrowane na naszej granicy, 10 do 15 dywizji. To czego chce Rosja, to zupełne zniknięcie państwa polskiego; czerwoni zostawiliby nam może nazwę Polaków i nasz język, ale z punktu widzenia duchowego byłibyśmy całkowicie wchłonięci.

Granica polsko-rosyjska jest ciągle szczelnie zamknięta, oprócz trzech punktów, gdzie możliwa jest wymiana, ale pod ścisłym dozorem i kontrolą.

b) Niebezpieczeństwo niemieckie nie ma tego charakteru ani też tego samego zasięgu co niebezpieczeństwo rosyjskie. Jest ono ograniczone do żądań terytorialnych, których zakres jest znany, 'ono nie zmierza, jak niebezpieczeństwo rosyjskie, do całkowitego zniszczenia państwa polskiego'.

Stanowisko zajęte przez Polskę wypływa logicznie z tej różnicy oceny niebezpieczeństwa rosyjskiego i niemieckiego i w rozmowie pułkownik Pełczyński sprecyzował kilka aspektów:

a) Polska nie chce mieć żadnego kontaktu z wojskiem rosyjskim; w żadnym wypadku nie odwoła się do jego pomocy. Pułkownik Pełczyński przyznaje, że Rosja nastęrcza duże możliwości w dziedzinie materiału wojennego, ale 'nawet przeciwko Niemcom, mówi on, nie możemy dopuścić materialnej pomocy Rosji, gdyż trzeba byłoby tolerować u nas obecność inżynierów, techników i robotników sowieckich; to byłby na pewno koniec niepodległości'.

b) Przeciwko inwazji sił rosyjskich na Polskę, jakikolwiek byłby jej powód, płk Pełczyński przyznaje, z pewnym zresztą zażenowaniem, że siłą rzeczy dowództwo polskie mogłoby być zmuszone do przyjęcia militarnej pomocy niemieckiej. Przyznaje on również, iż trzeba byłoby zapłacić tę pomoc bardzo drogo przez ustępstwa terytorialne, lecz niepodległość kraju byłaby oca-

lona. Przy tej okazji pułkownik podkreśla, że istnieje wiele wspólnych cech (*points communs*) między mentalnością polską i mentalnością niemiecką i że w płaszczyźnie duchowej nic podstawowego nie odgradza tych dwóch krajów.

Wobec rozwoju kwestii Gdańska pułkownik Pełczyński jest mniej nieprzejednany niż przed sześcioma miesiącami [brak w archiwum sprawozdania z tej wizyty i nie wiadomo, czy w ogóle miała miejsce; raczej jest to chyba aluzja do spotkania z maja 1936 roku — T.W.]. Wówczas pułkownik istotnie przedstawił dowództwo polskie jako zdecydowane na zareagowanie siłą; obecnie nie ma o tym mowy. Uregulowanie ustroju Gdańska interesuje jedynie Niemców i Polskę, żaden inny kraj nie chciałby zaryzykować wojny, żeby bronić statutu ustalonego przez Traktat Pokojowy. Sama naprzeciw Niemiec, Polska będzie więc zmuszona do zrobienia ustępstw, zadowalając się pozorną satysfakcją, na przykład utrzymaniem przedstawiciela Ligi Narodów, nawet gdyby nie posiadał on żadnej istotnej władzy.

Pułkownik Pełczyński nie wierzy w możliwość zbliżenia niemiecko-sowieckiego teraz; przede wszystkim Hitler jest temu całkowicie przeciwny. Przyznaje on, że takie wydarzenie byłoby bardzo niebezpieczne, gdyż pierwszym aktem tajnego porozumienia niemiecko-sowieckiego byłby nowy rozbiór Polski.

Uwagi osobiste

Z pułkownikiem Pełczyńskim utrzymuję stosunki pełne ufności i bardzo serdeczne. Rozmawiał ze mną z całą szczerością. Dodaje, że pułkownik jest ważną osobistością głównego sztabu polskiego. Był on wiernym towarzyszem Marszałka Piłsudskiego i obecnie związany jest z losem marszałka Rydza-Śmigłego. W obecnym ustroju Polski, gdzie nie ma miejsca na opinię publiczną, wypowiedź tego oficera posiada zatem istotne znaczenie; to jest dużo więcej niż wypowiedź osobistych myśli, jest to co najmniej odbicie opinii wyrażanych powszechnie w głównym sztabie polskim.

Wrażenie osobiste, jakie zachowuję z tych rozmów może być ujęte, z całkowitym obiektywizmem, w następującą syntezę:

a) Jedyne śmiertelne niebezpieczeństwo dla Polski: niebezpieczeństwo rosyjskie; cała polityka polska polega na realizacji szczerzego frontu przeciw temu niebezpieczeństwu.

Obawa niebezpieczeństwa niemieckiego utrzymuje się w stanie uprzednio już określonym, ale obawa ta zmniejsza się w miarę jak niebezpieczeństwo rosyjskie wzrasta i staje się bardziej groźne z uwagi na rozwój sił rosyjskich.

b) W razie konfliktu europejskiego, w którym Rosja wzięłaby udział w jakiejkolwiek formie i z jakiegokolwiek by to nie było powodu, Polska byłaby niechybnie zmuszona, jeżeli czułaby się zagrożona, złączyć swoje siły z siłami, które zwalczałyby Rosję. Gdyby sowieckie siły zbrojne dokonały bezpośredniej inwazji Polski, mogłaby ona, aczkolwiek niechętnie z powodu ceny do zapłacenia, być zmuszona zwrócić się do Niemiec o poparcie.

c) Przeciwno Niemcom Francja może liczyć na poparcie Polski, ale pod warunkiem, że Rosja nie wmiesza się w żaden sposób do konfliktu europejskiego i że kraj ten ograniczy swoją działalność i swoje ambicje do Azji.

To właśnie dla rozpatrywania tej ewentualności kontynuowane są kontakty między 2-gim Oddziałem polskim i 2-gim Oddziałem francuskim.

Składając to sprawozdanie dowództwu, proszę — w razie gdyby zrobiony był z niego szerszy użytek — żeby osobistość pułkownika Pełczyńskiego nie została ujawniona”.



Przytoczona wyżej dokumentacja, ażeby mogła obejmować całokształt poruszonych problemów, winna być uzupełniona raportami i uwagami ze strony polskiej. Niestety stan zdrowia generała Pełczyńskiego nie sprzyja ostatnio możliwościom otrzymania od niego informacji. Nie znalazłem też dotychczas żadnych konkretnych na ten temat opracowań. Niemniej jednak poglądy polityczne wyrażone przez gen. Pełczyńskiego, zwłaszcza w odniesieniu do Rosji, zostały potwierdzone przez fakty i stąd nie ma wątpliwości, że Francuzi streścili je w sprawozdaniach bez zniekształceń. Poglądy te — pokrywające się z polityczną postawą rządu polskiego — posiadają w ustach gen. Pełczyńskiego specjalną wymowę, gdyż jak wiadomo miał on duży wpływ na decyzję rozpoczęcia Powstania Warszawskiego i na stosunek dowództwa Armii Krajowej do Rosji sowieckiej, problemów które długi jeszcze czas będą tematem namiętnych dyskusji i polemik.

Tadeusz WYRWA

RAPORT AMBASADORA FRANCJI W BUKARESZCIE O POLAKACH INTERNOWANYCH W RUMUNII JESIENIĄ 1939 ROKU

Do ciągle nie rozpracowanych problemów z najnowszej historii Polski należy internowanie rządu polskiego w Rumunii, zwłaszcza rola, jaką odegrała wówczas Francja i niektórzy Polacy, polityczni przeciwnicy tego rządu¹. Jeśli chodzi o Francję, to jej ambasador w Bukareszcie, Adrien Thierry wysyłał raporty do Daladier w Paryżu odnośnie sytuacji członków przedwrześniowego rządu i w ogóle Polaków na terytorium Rumunii. Raporty te — jak twierdzi personel archiwum francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych — zostały zniszczone podczas nagłej i chaotycznej ewakuacji w czerwcu 1940 roku. Dziwną jednak wydaje się być rzeczą, że w zachowanych papierach E. Daladier i jego następcy P. Reynaud również nie ma żadnego nawet śladu tych raportów. Można się jedynie domyślać, że Francuzi nie byli zbyt dumni z odegranej roli i albo rzeczywiście zniszczyli te raporty, albo też nie chcą ich udostępnić; pierwsza hipoteza jest bardziej prawdopodobna. Gorzej jednak bo i archiwa polskie w Londynie też niewiele posiadają na ten temat dokumentów, co jest również bardzo wymowne.

Niżej podaję tłumaczenie raportu z 5 listopada 1939 roku, który ambasador Thierry wysłał z Budapesztu do Daladier. Jest to dotychczas jedyny raport, jaki udało się odnaleźć. Chodzi właściwie o kopię tego raportu zachowaną w archiwach ambasady francuskiej w Londynie, która w 1939 roku — po kampanii wrześniowej — była informowana o losie Polaków w Rumunii.



„Obecność uchodźców polskich powoduje w dalszym ciągu poważne kłopoty rządowi rumuńskiemu. Odpowiedzią na te kłopoty są narzekania i skargi, których uchodźcy nie omieszkują wyrażać odnośnie sposobu ich traktowania w Rumunii.

Polacy skarżą się na nadzór, jaki nad nimi rozciągnięto i na ograniczenia ich swobody ruchu. Irytują się szykanami, jakie mają w stosunku do nich stosować funkcjonariusze policji, którym zarzucają przekupność i oburzają się na oszukańcze transakcje, jakich niektórzy z nich mieli się dopuścić, zwłaszcza z okazji sprzedaży samochodów, które sprowadzili do Rumunii.

Rumuni natomiast skarżą się na złe wyposażenie uchodźców polskich, z jakiegokolwiek by oni nie pochodzili klasy społecznej. Oświadczają, że wśród tych uchodźców znajdują się elementy wywrotowe, między innymi komuniści, którzy są dla ludności rumuńskiej powodem kłopotów i których wpływ stanowi prawdzi-

1. Vide: *Zeszyty Historyczne* Nr 52, str. 215 i nast., oraz Nr 64, str. 223 i nast.

we niebezpieczeństwo. Zwracają nadto uwagę, że obecność kilkudziesięciu tysięcy Polaków stwarza wszelkiego rodzaju trudności, chociażby tylko z punktu widzenia aprowizacji. Faktem jest, że nagły napływ uchodźców spowodował takie właśnie trudności. Wysiłki ich, ażeby Polacy mogli żyć w znośnych warunkach, komplikacje i wydatki, jakie są tego wynikiem, zasługiwałyby na coś innego, mówią oni, niż niewdzięczność ich gości.

Uczucia wzajemnego rozgoryczenia — które zresztą są zasadą w stosunkach między uchodźcami a tymi, którzy ich przysparzają — znalazły swój wyraz w stosunkach dawnego rządu polskiego z rządem rumuńskim.

Ministrowie dawnego rządu polskiego od początku protestowali przeciwko systemowi nadzorowanego pobytu, jaki został wobec nich zastosowany. Od tego czasu oburzenie ich wzrasta coraz bardziej. Jakkolwiek kilku z nich ma się niewątpliwie wahać co do podpisania dokumentu, w którym uznaliby utratę wszelkich uprawnień oficjalnych, chętnie dowodzą wobec władz rumuńskich, iż z uwagi na fakt, że są niczym, nie dziwią się, że zostali uprzejmie zaproszeni do zamieszkania w Brasov a nie w innym mieście a zwłaszcza w stolicy. Rząd rumuński ze swojej strony twierdzi, że traktuje członków gabinetu Składkowskiego jako wybitnych gości; daje im bezpłatnie schronienie i napełnia nawet benzyną zbiorniki w ich samochodach. Tyle względów pociągających za sobą konieczną obecność kilku aniołów stróżów, którzy jednak rażą polskich gości.

Wśród dawnych ministrów polskich specjalną wzmiankę należy poświęcić p. Beckowi. Arogancja i pretensje Becka pozbawiły go sympatii, jaką dawniej posiadał w Rumunii. P. Gafenco mówił mi z goryczą o tym osobie, wspominając wizyty, jakie on i jego żona złożyli państwu Beckom, którzy nie wykazali im żadnej za to wdzięczności. Kiedy przed miesiącem p. Beck był proszony o opuszczenie Slanic odmówił i dodał, kładąc rewolwer na stole, że kule z niego będą dla tych, którzy przyjdą zmusić go do wyjazdu a ostatnią z kul zostawi dla siebie. Tym którzy go odwiedzają, p. Beck ukazuje się pełen wyniosłości, nie wypierając się niczego ze swojej przeszłości, usprawiedliwia swoją politykę wobec Czechosłowacji, we wrześniu 1938 roku, pewnością, iż wiedział, że Chamberlain był zdecydowany na dokonanie wszelkich kapitulacji przed Niemcami. Gdy się go pyta czy nie żałuje zaufania, jakie położył w Hitlerze, odpowiada że *Führer* niestety zwariował: „Do tego czasu, mówi on, zawsze myślałem, że było dwóch *gentlemen*’ów wśród europejskich mężów stanu. Odtąd pozostał tylko jeden”. Nie wydaje się on również odczuwać najmniejszego żalu za to, że od marca do września tego roku korzystał z każdej okazji — według tego co zostało mi oznajmione — żeby donieść rządowi niemieckiemu, iż w żadnym wypadku nie zgodzi się na przymierze z ZSSR zwrócone przeciwko Niemcom ułatwiając w ten sposób zbliżenie Berlina i Moskwy.

Podczas gdy jest on zadowolony z siebie, p. Beck nie jest rad ze swojej sytuacji. Mimo złego stanu zdrowia, ciąży mu bezczynność. Toteż, jak doniosłem w moim telegramie nr 1316 (telegramu tego dotychczas nie odnalazłem — T.W.), dąży on do odzyskania wolności, ażeby udać się do Anglii i tam, przy pomocy przyjaciół, których — jak się przechwala — posiada w tym kraju, oddać się intrygom przeciwko nowemu rządowi polskiemu. Z tego powodu niejeden Polak — nawet wśród jego dawnych przyjaciół — daje do zrozumienia, że obecna sytuacja p. Becka jest korzystna tak dla Polski jak i jej aliantów.

Z wszystkich kwestii, które wyłania pobyt uchodźców polskich, najbardziej niepokoi rząd rumuński obecność wojskowych i mężczyzn zdolnych do noszenia broni. Rząd rumuński, jak to już wie departament (francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych — T.W.), jest dręczony natrętnymi zabiegami Niemców, którzy oświadczają, że każdy mężczyzna w wieku mobilizacyjnym winien być zatrzymany na terytorium Rumunii i skarżą się, że środki internowania zastosowane wobec wojskowych nie są skuteczne. W odpowiedzi na te interwencje, rząd rumuński ogłasza dekrety i zarządzenia wzmacniając dozór nad Polakami i kontrolę pasażerów przy wyjeździe z Rumunii. Ostatnim z tych środków jest ustanowienie komisji lekarskiej, przez którą winni przejść wszyscy Polacy w wieku mobilizacyjnym, którzy pragną otrzymać wizę wyjazdową.

Interweniowałem — i będę interweniował tak często jak będzie to konieczne — zaznaczając rządowi rumuńskiemu, że obowiązki wypływające z neutralności nie polegają jedynie na dawaniu satysfakcji życzeniom rządu Rzeszy. Ale nie możemy rozsądnie liczyć na to, że strach przed Niemcami przestanie działać w Bukareszcie. Nadto, kiedy ostatnim razem interweniowałem na temat Polaków u p. Gafenco, minister spraw zagranicznych zauważył, że podczas gdy ogłoszone w Rumunii przepisy dały istotnie mniej więcej satysfakcję Niemcom, winniśmy, z naszej strony, być zadowoleni ze sposobu stosowania tych przepisów. Nie ukrywał mi, że rząd rumuński był doskonale poinformowany o działalności istniejącej wokół obozów i w niektórych portach i że nie trzeba go prosić, żeby zrobił w przyszłości więcej niż uczynił dotychczas: on w dalszym ciągu będzie zamykał oczy pod warunkiem, że działalność ta będzie się odbywać dość dyskretnie, co mu pozwoli zachować tę postawę”.



Raport ambasadora Thierry nie wymaga komentarzy. Warto jednak i należy poświęcić kilka przynajmniej słów zawartej w raporcie opinii o ministrze Becku. Trudno chyba o bardziej wymowny przykład wrogiej postawy w stosunku do Becka oficjalnych czynników francuskich, które zawsze znalazły usłużnych informatorów. Bez względu bowiem na to czy sposób bycia i polityka Becka komuś odpowiadają czy też nie, nikt rozsądny nie uwierzy

w rzekomą jego wypowiedź o Hitlerze i dwu *gentlemen*'ach. Jak pisał Stanisław Mackiewicz: „Nie można postawić Beckowi zarzutu, żeby w swej polityce wobec Niemiec był bardziej ugodowy, czy ustępliwy, aniżeli ministrowie Francji i Anglii. Pomimo niechętnego stosunku Francji do Becka i na odwrót, Beck przez cały czas swego urzędowania bardziej dbał o interesy Francji, aniżeli Francja o nasze”².

W grudniu 1942 roku, kiedy Józef Beck walczył z gruźlicą na wygnaniu w Rumunii, w jednym z organów konspiracyjnej prasy wydawanej pod okupacją w Polsce, w artykule krytycznym pod adresem przedwrześniowego rządu autor przyznał: „...Przed wszystkim istnieje fakt, że znaleźliśmy się w obozie zwycięzców, że za Gdańsk i Pomorze podjął walkę Anglik, Francuz i Amerykanin. I fakt ten jest niczym innym, jak tylko konsekwencją rozgrywki politycznej pamiętnego okresu, na którym osoba ministra Becka wycisnęła niezatarte piętno. Naszym dziś obowiązkiem z tej rzeczywistości jest wyciągnąć pewne wnioski”³. Obecnie aktualne jest zwłaszcza wyciągnięcie wniosków z przegranej po tej wojnie „pokoju”, czego nie zrobi już Józef Beck, który zmarł 5 czerwca 1944 i pochowany został na cmentarzu bukaresztańskim, „twarzą zwróconą ku Polsce”, zgodnie z wyrażonym przed śmiercią życzeniem⁴.

Tadeusz W Y R W A

2. Stanisław Mackiewicz, *Polityka Becka*, Instytut Literacki, Paryż 1964, str. 185.

3. *Znak* Nr 52-53 z 23 grudnia 1942 roku, str. 2.

4. Vide: Doman Rogoyski, „Pułkownik Józef Beck więźniem w Rumunii” w *Zeszytach Historycznych* Nr 18, str. 84 i nast., oraz fotografia grobu Józefa Becka w *Zeszytach Historycznych* Nr 20, między stroną 80 i 81.

RECENZJE

Jerzy J. LERSKI

MONOGRAFIA O GENERALE SIKORSKIM*

Pod precyzyjnym, choć nie oryginalnym tytułem — *Poland's Place in Europe* (Miejsce Polski w Europie) ukazała się ostatnio najważniejsza moim zdaniem, solidna monografia o zapoznanych koncepcjach politycznych generała Sikorskiego w czasie drugiej wojny światowej. Autorką jest uczona amerykańska prof. Sarah Meiklejohn Terry, która obrała, jako politolog, specjalizację w polskiej historii dyplomatycznej najnowszych czasów. Książkę jej wydała Princeton University Press, pod auspicjami której ukazała się trzydzieści lat temu inna wartościowa dla nas pozycja, a mianowicie biografia Księcia Adama Czartoryskiego pióra generała Mariana Kukiela.

W ostatnich latach ukazuje się *nota bene* w krajach anglosaskich coraz więcej poważnych książek o tematyce polskiej, pisanych niekoniecznie przez polskich lub polonijnych autorów. Ludzie tacy są dla nas niezmiernie cenni. Tym więc smutniejsze, że spotkał młodą dr Terry nie było jaki afront w Warszawie. Nie

* Sarah Meiklejohn Terry, *Poland's Place in Europe; General Sikorski and the Oder-Neisse-Line, 1939-1943* (Princeton, New Jersey, Princeton University Press, 1983), str. XVI, 394. Identycznego tytułu, *Poland's Place in Europe*, użył po raz pierwszy historyk reżymowy prof. Zygmunt Wojciechowski w zredagowanej przez siebie, a wydanej przez poznański Instytut Zachodni książce w roku 1965.

tylko odmówiono jej dostępu do państwowych archiwów Ministerstwa Spraw Zagranicznych, ale co gorsze, jak we wstępie opisuje — nie dopuszczono jej do głosu w 1976 roku — na Seminarium Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk dla specjalistów drugiej wojny. Opuścili oni gremialnie sesję, gdy zaproszona uczona amerykańska miała zapoznać zebranych z wynikami swych badań koncepcji politycznych generała Sikorskiego jako Premiera na wygnaniu. Tłumaczyli się jak jeden mąż, że wyjść m u s z ą z powodu „uprzednich zobowiązań”. Chwały to ni im, ni ówczesnym kierownikom tej placówki nie przynosi. Ów przykry incydent potwierdza niestety moje podejrzenia, że oficjalne zajmowanie się najnowszą historią gromadzi oportunistyczny chłam wyjątkowo słabych charakterów, predestynowanych do fałszowania naszej niedawnej przeszłości w myśl partyjnych zaleceń.

Nie znając jeszcze mych ostatnich dwóch publikacji, a mianowicie artykułu „Szkocka kontrofensywa Zachodniej Słowiańszczyzny” w londyńskim *Symposiones* Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie (1981 roku) oraz artykułu recenzyjnego „Spór o wielkość Sikorskiego” w tegorocznym tomie *Niepodległości* — dogrzebała się Pani Terry w londyńskich archiwach emigracyjnych rewelacyjnego kompletu dziewięciu numerów *Biuletynu Zachodnio-Słowiańskiego*, redagowanego w latach 1940-1942 przez zmarłego niedawno profesora dr. Tadeusza Sulimirskiego i śp. inż. Zygmunta Sławińskiego, ukrywających się wówczas (ze względu na bezpieczeństwo rodzin) pod nierozszyfrowanymi przez autorkę pseudonimami Józef Zasławski i Zbigniew Stachowski. Na tych to bowiem materiałach oparł właśnie Premier Sikorski swoje plany federacji polsko-czechosłowackiej i granicy zachodniej na Odrze oraz Nysie Łużyckiej. Jest zatem kłamstwem historyków reżymowych, którym przewodził słusznie przez dr Terry kwestionowany Włodzimierz T. Kowalski, twierdzenie, że to Józef Stalin wymyślił przesunięcie Polski aż po obecną zachodnią granicę. W oparciu o przygotowane przez nasz Ruch Zachodnio-Słowiański mapy i opracowania mógł się Premier Sikorski dopominać w Waszyngtonie od Prezydenta Roosevelta w trakcie swych trzech wojennych wizyt poparcia Stanów Zjednoczonych zarówno dla planowanego związku państw we wschodnio-środkowej Europie, jak i powrotu Polski na dawne piastowskie ziemie. Było więc niedogodne dla Polskiego Instytutu Historycznego, by prawda ta wyszła na jaw dzięki skrupulatnym badaniom amerykańskiej uczzonej.

Podtytuł jej pracy wskazuje, że dotyczy ona przede wszystkim roli generała Sikorskiego w otwarciu całego zagadnienia obecnej zachodniej granicy. Poświęca tej sprawie najdłuższy, środkowy rozdział swej książki „Toward a New Central Europe” (Ku nowej Europie środkowej), a we wstępie publikuje znaleziony w Instytucie Polskim i Muzeum Sikorskiego w Londynie memoriał złożony przez Generała dnia 5 grudnia 1942 roku, w czasie swej

ostatniej wizyty w Ameryce, na ręce Prezydenta Stanów Zjednoczonych. Dokument ten zawiera argumentację rządu R.P. na wygnaniu zarówno w sprawie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej jak w kwestii niezbędnej dla trwałego pokoju w Europie federacji polsko-czechosłowackiej, odpowiednio poszerzonej o Litwę, Jugosławię, Grecję i Węgry. Zdaniem autorki jest niepowetowaną szkodą, że przywódcy anglosascy nie podjęli wówczas polskiej inicjatywy. Mniej przekonująco brzmi natomiast wywody dr Terry na temat podstawowej reorientacji Sikorskiego odnośnie jednostronnego oparcia się o stalinowską Rosję kosztem zasadniczych terytorialnych koncesji — ustępstw skompensowanych przesunięciem Polski nad Odrę. Domysły te opiera bowiem o źródła pamiętnikarskie płk. Leona Mitkiewicza, redaktorów Stanisława Strumph-Wojtkiewicza i Józefa Winiewicz. Teza o rzekomo daleko posuniętej ustępliwości Sikorskiego wobec terytorialnych apetytów rosyjskich nie znajduje żadnego poparcia ani w dokumentach, sumiennie przecie przebadanych zarówno w archiwach brytyjskich (*Public Record Office*) jak i amerykańskich (Narodowe Archiwa w Waszyngtonie, Prezydencka Biblioteka Franklina D. Roosevelta, a zwłaszcza coraz bogatsze zbiory Instytutu Hoovera w kalifornijskim Stanford), ani w obszernych instrukcjach, które jako ostatni emisariusz Premiera i Naczelnego Wodza do podziemnych władz krajowych odbierałem w lutym 1943 roku bezpośrednio od gen. Sikorskiego — o czym piszę szczegółowo w swych wojennych pamiętnikach pod tytułem „Emisariusz 'Jur'”, przygotowywanych właśnie do druku przez Polską Fundację Kulturalną w Londynie.

Zdaniem autorki tragiczny brak konsekwentnych długofalowych planów powojennych ze strony Waszyngtonu i Londynu miał fatalnie zaważyć już w roku 1942, a więc grubo przed odkryciem katyńskiej zbrodni i przed katastrofą gibraltarską, na dzisiejszych losach wschodniej Europy. Zgadzam się całkowicie z tą oceną pozytywnej roli międzynarodowej naszego wojennego przywódcy jak i krótkowzrocznej naiwności nie tylko oficjalnych kół anglo-amerykańskich, ale i naszego sprzymierzeńca, prezydenta Czechosłowacji Edwarda Beneša.

Mam jednak zastrzeżenia do niepgłębionego, mimo wszystko, wysiłku badawczego ze strony dr Terry. Mimo bowiem niezłej znajomości oficjalnych struktur odpowiedzialnych za wojenną dyplomację autorka mylnie klasyfikuje właściwych sprawców takich czy innych pociągnięć lub koncepcji. Nie zdaje sobie np. sprawy z istnienia zespołu specjalnych doradców Premiera Churchilla, jak złowrogi dla narodów Europy środkowo-wschodniej profesor E. H. Carr (polityczny redaktor londyńskiego *Times'a*), Lord Cherwell (który jako profesor Frederic Lindemann został specjalnym referentem dla spraw technologii wojennej) oraz minister Informacji Brendan Bracken, którzy — a nie dyplomaci jak Sir Stafford Cripps, Anthony Eden i Lord Halifax — mieli naj-

większy wpływ na szefa koalicyjnego gabinetu. Autorka wydaje się też nieświadoma istnienia związanej z *Biuletynem Zachodnio-Słowiańskim* czeskiej opozycji wobec prosowieckiego Prezydenta Beneša, składającej się z generała Prchali, bizantologa księdza profesora Dvornika, B. Ecera i dr. Lochera, a spośród Słowaków ambasadora Osusky'ego, braci Pridavok i dr. Sidora. Pominięcie tej propolskiej grupy jest jednym z niedociągnięć badawczych książki. Błędem jest również przypisywanie Józefowi Winiewiczowi roli pośrednika pomiędzy wymaginowaną „szkołą zachodnią” na emigracji z Premierem Sikorskim, skoro dr Terry identyfikuje tę nieistniejącą ekipę z redakcyjnym zespołem *Biuletynu Zachodnio-Słowiańskiego*, z którym i ja byłem od samego początku ściśle związany. Zazdrosny, a na Anglików wówczas zezujący, redaktor Winiewicz próbował nas publicznie ośmieszyć jako nieodpowiedzialnych „nacionalistów” (jakim nikt z nas nigdy nie był), głoszących rzekomo, że „nie może być Polski bez Hamburga”. On to właśnie był głównym hamulcem w sprawach granicy na Odrze i Nysie w kierowanym przez dr. Mariana Seydę Ministerstwie Prac Kongresowych. Autentycznym natomiast współpracownikiem *Biuletynu* był istotnie dr Władysław Pałucki, pisujący wówczas pod pseudonimem „Antoni Błoński”. Jego popularną książkę „Wracamy nad Odrę”, podobnie jak wznowione dzieło Józefa Kisielewskiego pt. „Ziemia gromadzi prochy” szeroko propagowaliśmy w *Biuletynie*. O kluczowym zetknięciu naszego ruchu z Wodzem Naczelnym już w lecie 1940 roku w szkockim obozie Crawford pisałem parokrotnie w emigracyjnej prasie, której autorka najwidoczniej nie studiowała, skoro skarży się, że uczeni polscy na uchodźstwie milczeniem te ważne sprawy zbywają. W sztabie generała Sikorskiego popierał nas natomiast jego osobisty przyjaciel ppłk dypl. Antoni Bogusławski, a pośrednio także dowódca Pierwszego Korpusu w Szkocji gen. dr Kukiel oraz jego referent oświatowy, również historyk, mjr dr Otto Laskowski.

O wszystkim tym mogła się była dr Terry bez wielkiego trudu dowiedzieć, gdyby zastosowała popularną dziś metodę tzw. ustnej historii, polegającej na przeprowadzeniu odpowiednich wywiadów z pozostałymi przy życiu świadkami danych wydarzeń. Nie pisałaby wówczas np., że emigracyjni przywódcy Polskiej Partii Socjalistycznej, a więc byli więźniowie brzescy poseł Adam Ciołkosz i dr Adam Prager „pozostali lojalni wobec Piłsudskiego”, by wraz z „sanacją” uprawiać opozycję w stosunku do Sikorskiego. Ich przejściowy wspólny front z gen. Sosnkowskim i b. ministrem Spraw Zagranicznych Augustem Zaleskim, a nawet wojennym przywódcą endecji dr. Tadeuszem Bieleckim miał przecie zupełnie inny, tzn. bynajmniej nie wewnętrzno-polityczny charakter. Wbrew bowiem zapewnieniom Sikorskiego i jego najbliższego otoczenia, stanowczo się sprzeciwiali polityce ustępstw wobec stalinowskich zakusów. No i jak się w „praniu” okazało, to oni właśnie wraz z Prezydentem Raczkiewiczem i kierownic-

twem krajowego Podziemia, a nie czeski Beneš i Sikorski mieli niestety rację.

W przypadku źródeł polskojęzycznych autorka przyjmuje zbyt łatwowiernie relacje późniejszych reżymowych funkcjonariuszy Stefana Litauera, Ksawerego Pruszyńskiego, Stanisława Strumpha-Wojtkiewicza i Józefa Winiewicza. Nie są to przecie miarodajne źródła dla ustalenia skomplikowanej historycznej prawdy. Trzeba się było, chociażby dla równowagi, zwrócić poza ambasadorem Raczyńskim w Londynie także do innych aktorów tej epoki, np. dr Lidii Ciołkoszowej, Rowmunda Piłsudskiego oraz generałów Maczka i Rudnickiego. Uniknęłoby się wówczas krzywdzących oskarżeń o obstrukcję gen. Andersa oraz londyńskiej i krajowej opozycji w stosunku do kontrowersyjnej polityki Premiera Sikorskiego wobec rosyjskich i anglosaskich nacisków.

Rewelacyjne są domysły p. Terry odnośnie odpowiedzialności za katastrofę gibraltarską. Fakt, że kierownikiem placówki wywiadu brytyjskiego był tam wówczas zdemaskowany grubo po wojnie agent sowiecki Philby rzuca pewne światło na prawdopodobnych sprawców tragedii.

Mimo pewnych zastrzeżeń książkę prof. Terry o „Miejscu Polski w Europie” oceniam bardzo pozytywnie, w nadziei, że po przeprowadzeniu niezbędnych poprawek ukaże się ona i w polskim języku.

Jerzy J. LERSKI

San Francisco, lipiec 1983

Jerzy J. LERSKI

ŻENUJĄCA MASKARADA

Niełatwa to sprawa pisanie recenzji z kiepskiej książki człowieka, którego się osobiście ceni i szanuje. Już kiczowaty tytuł tych zbeletryzowanych wspomnień — „W Splotach Czerwonego Pytona”* — powinien był ostrzec recenzenta, że zbyt niewdzięcznego podejmuje się zadania, obiecując solennie paru przyjaznym osobom, że omówi w *Zeszytach Historycznych* tę książeczkę kolegi. Popęlił ją autor, jak wyjaśnia we wstępie, na pokładzie statku, którym płynął z Suezu do Południowej Afryki w drodze do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie w 1942 roku. Zgłosił się wkrótce w Wielkiej Brytanii do tzw. „cichociemnych”, a zrzucony na spadochronie jako „Litwos” (porucznik piechoty Czesław Trojanowski) w nocy z dnia 19 na 20 maja 1944 roku powtórnie zapisał piękną kartę żołnierską, będąc dwukrotnie ranny w Warszawskim Powstaniu.

Chciałoby się więc jak najlepiej przedstawić tę gorąco patriotyczną rela-

cję w angielskim języku — lecz byłoby to zarówno nieszczerze jak nieuczciwie nie tylko wobec czytelników ale i wobec, najlepsze intencje posiadającego, autora. Uczynił to bowiem niestety w sposób niedopuszczalny w świecie anglosaskim a według zapowiedzi zamierza wkrótce wydać następny tom wspomnień pokrywający ostatnie lata wojny. Trzeba mu więc pomóc, by ta druga część autobiografii wolna była od rażących błędów pierwszej, która wyszła — jak rozumieć należy — własnym sumptem autora by dać amerykańskim ignorantom lekcję pogładową na to, czym jest w istocie straszliwy system policyjny zrodzony na „niehumanitarnej ziemi”. Cel na pewno godny pochwały, choć wynika częściowo z pogardliwej oceny gustów literackich zachodniego odbiorcy. Żyjąc na intelektualnej pustyni, jaką musi być stan New Mexico, Trojanowski zapomina, że nawet prymitywni *cowboy*’e w tej zapadłej części Stanów Zjednoczonych posiadają pewne elementarne wymagania, gdy chodzi o techniczno-językową stronę zakupowanych książek. Musimy więc przestrzegać w tej naszej polskiej biedzie obowiązujących reguł gry w zakresie poprawnego słownictwa i do perfekcji doprowadzonej korekty, aby końcowy produkt nie robił wrażenia pośpiesznego niechlujstwa.

Wadą kardynalną omawianej książki jest jej zbyt mocno fikcyjny charakter nadany autentycznym przeżyciom po-wrześnieowym w nienazwanym miasteczku pod sowiecką okupacją. Nie można co prawda odmówić autorowi umiejętności stopniowego fascynowania czytelnika interesującą choć prymitywną fabułą zniweczonego przez NKWD wiosennego romansu „Jureczka” z „Krysienką”, podpatrywanego przez „Lulusię”. Wprawdzie najlepsze nawet powieści nierzadko posiadają autobiograficzne podłoże, ale wymaga to pióra Pasternaka (*Dr Żiwago*) lub Miłosza (*Dolina Issy*). Wyjątkowym arcydziełem o pokrewnej tematyce była nie-autobiograficzna powieść Arthura Koestlera *Darkness at Noon*. Nawet tak wybitni pisarze emigracyjni jak Józef Czapski, Gustaw Herling-Grudziński, Anatol Krakowiecki i Beata Obertyńska woleli nie fantazjować, lecz przeżycia swe w ramach sowieckiego systemu podawać po prostu, bez maskarady, choć w doskonałej literackiej formie. Mało wybredne wymyślanie wrednym enkawudystom lub cukierkowe upiększanie polskich postaw heroicznych à la hollywoodzkie dzielenie typów na „bad” i „good guys” nawet amerykańskiemu czytelnikowi z Dziśkiego Zachodu nie trafią do przekonania jako zbyt grubo ciosane.

Czy nie lepiej poprzestać na żołnierskiej nagiętej prawdzie, która mocniej przemówić może do obcej wyobraźni swą wstrząsającą oczywistością? Znam zresztą podobny wypadek z popsuciem fascynującego materiału faktograficznego, i to o dużym historycznym znaczeniu, przez niepotrzebne zbeletryzowanie świetnej fabuły. Chodzi mi o dwutomowe dzieło zmarłego w Los Angeles Generała-pilota Stanisława Karpińskiego i jego dzielnej małżonki Barbary z Wojtulanisów, którzy uparli się, by występować w niewątpliwie autobiograficznej relacji na temat wkładu lotnictwa polskiego w zwycięstwo Sprzymierzonych pt. *Na Skrzydłach Huraganu* jako gruchająca para zakochanych — Juliusz Braniewski i Jolanta Skrzydłowska. Kiziu Miziu. Ni to powieść ni historia!

Stosunkowo najlepiej wychodzi w książce Trojanowskiego nie tak łatwa do oddania groza polskiego życia pod „bolszewikami” w okresie ich dwuletniej kolaboracji z hitlerowską Rzeszą. Atmosferę tę znam z autopsji, więc wiem, że jest wiernie oddana. Ale pisać o swej prawdziwie bohaterkiej służbie w ostatniej fazie wojny błagam, Kolego Trojanowski, bądźcie *sobą*.

* James C. Troyanowski, *In the Coils of a Red Python*. Albuquerque, New Mexico: Adobe Press, 1982, str. vi, 143.

Macie przecie ważną i ciekawą historię do opowiedzenia w pierwszej osobie, — i to nie jako „Jureczek Lechicki”. Żyd polski Jerzy Glicksman uczy- nił to ongiś bezpretensjonalnie pod kapitalnym tytułem „*Tell the West!*” (Powiedz Zachodowi!), bo tylko w podobny sposób mamy szanse czegoś Anglosasów nauczyć i wstrząsnąć ich sumieniami.

Nie rozumiem też, jakiemu celowi ma służyć „szyfrowanie” znanych dat historycznych. Wiadomo przecież, że sławetne „wybory” przeprowadzone przez sowieckiego okupanta na Ziemiach Wschodnich miały miejsce już w jesieni 1939 roku, a nie, jak pisze Trojanowski, na Wielkanoc roku następ- nego. Dlaczego akcja powieści toczy się w Białej Rosji (*White Russia*), a nie na Białorusi; dlaczego Brześć nad Bugiem nazywany jest stale „Bresc”, Ryga — Rydzem a Łuniniec Lumincem i skąd Bogu ducha winien amerykański odbiorca ma wiedzieć, kim była Wanda Wasilewska lub Pan Zagłoba albo co oznaczają akronimy LOPP i P.C.K.? Po co, przemilczając Podhalańską Brygadę, wspominać o nieistniejących polskich pilotach i marynarzach spod Narwiku? Jeśli już chcemy Amerykanów pouczyć o naszym wkładzie wojennym — czynmy to ściśle i właściwie.

Jerzy J. LERSKI

LISTY DO REDAKCJI

Paryż, 25 grudnia 1983.

Drogi Panie Redaktorze,

W związku z deklaracją „W sprawie stosunków polsko-żydowskich” (*Kultura* nr 443 z grudnia 1983) Witold Babiński porusza (*Kultura* nr 435 z grudnia 1983) m.in. problem obozu w Jabłonce i przytacza fragmenty własnego artykułu pt. „Z materiałów archiwalnych” (*Zeszyty Historyczne* nr 30, Paryż 1974). Pisząc tu o tym jego liście, nie czynię tego jako jeden z sześciu sygnatariuszy wspomnianej deklaracji, lecz w imieniu własnym. (Tekst rzeczowej deklaracji, opublikowanej co najmniej w sześciu językach, na kilku kontynentach i w wielu czasopismach, wywołał dużo odgłosów i dalej je wywołuje. Z zasadniczą odpowiedzią należy więc poczekać). List otwarty tak poważnego autora jakim jest Witold Babiński zafrapował mnie jednak na skutek spontanicznych i nieodpartych porównań, które we mnie wywołał. Oto bowiem jego artykuł „Z materiałów archiwalnych” czytałem bezpośrednio po jego ukazaniu się, tzn. już w roku 1974. Pojąłem go wówczas jako cenną, lecz wyłącznie obiektywną i n f o r m a c j ę o zawartości „tek belwederskich” (znajdujących się w Instytucie im. Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku). Chociaż podane w tym artykule wyjątki z teki o Jabłonce od razu skojarzyłem w myśli i skonfrontowałem z obszernym szkicem nieodżałowanego Adama Ciołkosza, o czym za chwilę, nie widziałem żadnej przyczyny do wtrącania się do cudzego sporu (którego w artykule zresztą nie było).

Tym razem Szanowny Autor zaleca jednak teczkę o Jabłonce w „tekach belwederskich” jako źródło do gruntu wyczerpujące i rozstrzygające. Na dodatek — już poza cytatami — twierdzi, że w deklaracji sześciu zdania o „ochotnikach Żydach”, internowanych w Jabłonce są „nieporozumieniem”, albowiem w stosunku do Żydów-ochotników „o żadnej dyskryminacji nie było mowy”. I w ogóle, że z tą Jabłoną — czego według niego dowodzą

„teki” — wszystko było w największym porządku: teka locuta, causa finita.

Uwaga wstępna. „Teki belwederskie” dają wersję oficjalną, tzn. pisaną lub dyktowaną przez te same osoby, które Jabłonnię zarządziły: jakże więc miały o niej pisać? Oświadczenie ministra? Oklaski (dodajmy — tylko części) posłów w Sejmie? Wiadomo powszechnie, że nawet w krajach najbardziej demokratycznych i to także w czasach pokojowych oświadczenia ministrów mają na celu wybielanie decyzji rządu. Cóż dopiero w tamtym okresie wrzenia i namiętności. Czy z „tek belwederskich” można się np. dowiedzieć o proteście przeciw Jabłonce, podpisanym przez 72 wybitne polskie osobistości, w tym przez pisarzy (Andrzej Strug, Stefan Żeromski), profesorów i uczonych (J. Baudouin de Courtenay, L. Petrażycki, dr Zofia Daszyńska Golińska, dr Natalia Gąsiorowska), posłów na Sejm (Mieczysław Niedziałkowski, Zygmunt Żuławski) etc.? Albo że gen. Weygand (o którym pogłoski mówiły, że był inicjatorem lub współautorem Jabłonnym), zapytany o to przez korespondenta *Journal de Pologne*, odparł z oburzeniem: *C'est complètement faux!* Albo że, już po rozwiązaniu Jabłonnym, zamiast odesłać internowanych do ich odnośnych pułków, wysłano jednych do Krakowa, innych do Lublina, przy czym — w tym ostatnim transporcie — w rezultacie niewyswietlonej katastrofy kolejowej pewna ilość internowanych poniosła śmierć, a dużo większa ich ilość odniosła rany? Szanowny Autor listu wie chyba lepiej ode mnie, że w tamtych i następnych latach ten paralelizm oskarżeń w gazetach¹ z jednej strony i wybielających oświadczeń rządu z drugiej strony, był dosyć częsty. Gazety mogły oczywiście, w roznamiętnieniu i bólu, przesadzać w podawanych ilościach czy innych szczegółach. Czyżby dlatego gładkie oświadczenia rządów należało brać za słowa ewangelii?

Przejdźmy z kolei do (choćby bardzo ogólnikowych) zestawień. W 20-tym numerze tych samych *Zeszytów Historycznych* ukazały się (w 1971, więc trzy lata wcześniej niż artykuł Witolda Babińskiego o „tekach belwederskich”) dwie prace o Jabłonce: artykuł Maurice’a Adusa pt. „Na marginesie pamiętników Witosy. W pięćdziesiątą rocznicę Jabłonnym” i obszerna rozprawa Adama Ciołkosza (str. 178-200) pt. „Dzielnica (! — M.B.) żydowska obozu w Jabłonce”. Fakt ukazania się obu tych prac w tym samym numerze *Zeszytów Historycznych* świadczy, że Redaktor *Zeszytów* w chwalebnej trosce o pogłębienie tematu przekazał otrzymany manuskrypt Ciołkoszowi do komentarzy i rozwinięć.

Maurice Adus, który spędził kilka tygodni jako internowany Jabłonna, sam był w 1920 roku ochotnikiem. Na czym więc opie-

1. Głównie zagranicznych. W Polsce pisywał o tym tylko (często, mimo wicepremierstwa Daszyńskiego, konfiskowany) *Robotnik* i rozkrzyczanie antysemita *Dwugroszówka*.

ra się kategoryczne twierdzenie W. Babińskiego o „nieporozumieniu”, jako że niby w stosunku do ochotników-Zydów „o żadnej dyskryminacji nie było mowy”? Tenże M. Adus (w tymże artykule występującym przeciw autorom wyolbrzymiającym liczby czy inne szczegóły!) wspomina, iż „co się tyczy studentów, to ci byli bardzo rozgoryczeni”. Również o zachowaniu się pilnujących internowanych żandarmów i policjantów „poznaniaków”, których nie potrafił poskromić „porucznik Słowik, komendant obozu i człowiek zacy”. Minister Spraw Wojskowych w liście oznajmującym likwidację Jabłonna podał równocześnie przyczynę i cel założenia obozu: w Jabłonie skoncentrowano nadwyżkę procentową Żydów żołnierzy, celem ich podziału na różne DOG. M. Adus ze zrozumiałą ironią komentuje: „Z jednej strony oskarżano Żydów, że się dekuja, a z drugiej — że procentowo jest ich zbyt wielu w wojsku. W takim razie należałoby im podziękować za patriotyzm, ale nie Jabłonną”. Powstrzymuję się od cytowania innych faktów w przekonaniu, że autor omawianego listu sam sięgnie do 20-go numeru *Zeszytów Historycznych*².

Uznany za najbardziej umiarkowany (powiedzmy: minimalistyczny) w stosunku do wcześniejszych relacji o Jabłonie, artykuł Adusa dał Adamowi Ciołkoszowi odskocznię do przeszło dwudziestostronicowej pracy „Dzielnica żydowska obozu w Jabłonie”, gęsto przeplatanej cytatami, faktami, datami, cyframi, interpretacjami, hipotezami, zawierającej próbę charakterystyki określonych osobistości i wreszcie niesłychanie cenne jego własne wspomnienia. A. Ciołkosz sprawdził nawet artykuły o Jabłonie w dawnych rocznikach żydowskich czasopism (w języku angielskim), by wykazać niezgodności, sprzeczności. Spośród różnych relacji określał jako prawdziwe te, które podawały najniższe ilości internowanych, krótszy okres trwania tego obozu, najmniejszą ilość zabitych i rannych w katastrofie pociągu wiozącego część zwolnionych internowanych akurat do Lublina. Tak samo jeśli chodzi o warunki itp. Znając głęboką sumienność A. Ciołkosza, jestem święcie przekonany, że wierzył w słuszność każdego zdania, które tam napisał. Pisał jednak tę pracę — to widać! — na pewno ze szczerą, ale z pasją wybronienia czego się da. Stąd ta niezmiernie ciekawa rozprawa jest owocem raczej erupcji niż konstrukcji. Niepodobna jej nawet streścić, tak bardzo wywód o sprawach i wypadkach przytłoczony jest — często fascynującymi — dygresjami. Mocując się z faktami i własną myślą, Ciołkosz nie rezygnuje — w toku dochodzeń — nawet z takich sformułowań jak: „Wolno i należy przypuszczać, że Witos wcale nie wiedział o ustanowieniu obozu w Jabłonie”; lub: „Zapewne wiedział o tych żydowskich barakach (? — M.B.) generał Sosnkowski, ale i to nie jest pewne”; zaś kilka wierszy dalej: „Musimy więc postawić znak zapytania

2. Zwłaszcza, że numer ten otwiera... jego własna, 30-stronicowa praca („Prasa angielska w sprawach polskich na przełomie lat 1949-1944”).

nad osobą oficera, który wydał rozkaz wyizolowania żołnierzy Żydów i możliwe jest, że już nigdy nie uda się jego nazwiska z całą pewnością ustalić". Po zgromadzeniu wszystkich możliwych okoliczności łagodzących, właściwa mu sumienność dyktuje wszakże Ciołkoszowi osąd: „Dzielnica (? — M.B.) żydowska w Jabłonce musi być potępiona, nie ma dla niej żadnego usprawiedliwienia”³.

Skoro już mowa o tej obszernej pracy Ciołkosza, kilka słów o uwadze Witolda Babińskiego, dotyczącej Henryka Erlicha. Nic we wspomnianej deklaracji sześciu nie wskazuje, że autor zdania o Erlichu łączy (jak to pisze Babiński) śmierć Erlicha bezpośrednio z wypadkami w 1917. Zdanie to następuje po przypomnieniu udziału Żydów w insurekcji kościuszkowskiej i w obu powstaniach — 1831 i 1863 roku — oraz ochotników żydowskich walczących o wolność Polski w Legionach i innych formacjach ochotniczych. Wniosek Erlicha domagający się dla Polski „prawa do całkowitej niepodległości” (w rezolucji Delegatów Robotn. i Żołnierskich) ma jednak, sędzę, prawo do pamięci historyka, chociaż rezolucja ta nie miała (w tym związku) być urzeczywistniona. Natomiast wzmianka o zastrzeleniu Erlicha z rozkazu Stalina, w czasie drugiej wojny światowej, jest — o ile umiem czytać — jedynie dopełnieniem wiadomości, jakie każdemu literatowi (historykowi czy publicyście) wydają się często wskazane („zginął później w...”, „zmarł w roku...”, „padł następnie ofiarą...” itp.). Tym bardziej, że tym razem owo dopełnienie samo dla siebie jest wymownym szczegółem historycznym. A może Witold Babiński pragnął tą uwagą wyrazić wątpliwość co do przywiązania przedwojennego Bundu do Polski?

Tak się złożyło, że przed wojną często rozmawiałem, a nieraz nawet zapalczywie sprzeczałem się z A. Ciołkoszem, występując przeciwko Bundowi (ściślej: przeciw roszczeniom Bundu do wyłączności żydowskich kontaktów z PPS). Ciołkosz, który początkowo (to pochodziło u niego jeszcze z Tarnowa) godził się na tę wyłączność, znuansował później swoje stanowisko, poszerzając kontakty także np. z „Poalej-Sionem”, prawicą. W pracy o Jabłonce (chyba gwoili zwięzłości określenia w danym ustępie) wrócił do dawnego jaskrawego podziału. Warto jednak, sędzę, by Witold Babiński przeczytał na nowo i ten ustęp, jak zresztą obie prace o Jabłonce (M. Adusa i A. Ciołkosza) w tamtym, 20-tym numerze *Zeszytów Historycznych*, otwartym jego własnym artykułem.

Michał BORWICZ

3. Podkreślenie moje. Praca, o której mowa przedrukowana jest w cennym tomie A. Ciołkosza, wydanym ostatnio pt. „Walka o prawdę” i obejmującym wybór jego artykułów z lat 1940-1978 (wyd. Polonia, Londyn, str. 235-258).

PROSTOWANIE HISTORII

W Londynie ukazała się książka pt. „O Narodowych Siłach Zbrojnych”. Napisana przez ppłk. dypl. Stanisława Żochowskiego, miała ona duże trudności z ukazaniem się w druku, bo autor pozwolił sobie na pisanie prawdy tam, gdzie została ona starannie zakamuflowana przez czynniki odpowiedzialne za politykę polską czasu wojny jak również okresu międzywojnia.

Niestety wszystkie archiwa zawierające dokumenty tego okresu są na Zachodzie w rękach ludzi odpowiedzialnych za błędy polityki polskiej tego okresu i niewygodne dla nich dokumenty nie są dostępne ludziom z zewnątrz. Podobnie w Polsce archiwa są dostępne tylko dla wybranych członków partii. I tu i tam ogłasza się tylko to, co jest wygodne dla „właścicieli” archiwów. Przykładem niech będzie, że ośrodek NSZ-u od lat próbuje dostać kopie dokumentów wysłanych przez NSZ do Anglii. Przewiół je w postaci filmów Tadeusz Salski. W archiwach ich jakoby nie ma. Podobnie prośba o kopię „jedwabiu”, rozkazu przywiezionego do Polski przez Jerzego Michalewskiego (patrz nr 26 *Zeszytów Historycznych*), spotkała się z odpowiedzią, że tego rodzaju dokumenty nie wracały do Londynu. Czyżby gen. Sikorski nie zachowywał w swoim archiwum kopii wysyłanych do Polski rozkazów?

Udało się odzyskać z archiwum w Polsce niektóre dokumenty z tych co były przeniesione na mikro-filmy zabrane do Londynu przez Salskiego. Niektóre z nich wylicza ppłk. Żochowski w swojej książce (str. 204-213), przytaczając kilka w pełnym tekście. Inne podaje w streszczeniu, gdyż podanie pełnych tekstów podwoiłoby objętość książki i koszt jej wydania.

Książka zawiera dużo opinii, które odbiegają od postawy środowiska politycznego, które zorganizowało ZJ i NSZ. Trzeba specjalnie podkreślić pogląd autora, że fakt iż Anglicy zwlekali pięć miesięcy z podpisaniem w 1939 roku sojuszu z Polską powinien być „skierować rząd polski do aliansu z Rosją lub Niemcami”. Czy alians z Rosją nie skończyłby się tym, co mamy obecnie, a alians z Niemcami nie dałby nam w najlepszym razie Polski w formie Generalnej Guberni? A co by było, gdyby wojnę wygrała nie ta strona, z którą bylibyśmy w aliansie?

W sprawach okresu okupacji krytyczne poglądy autora na działalność ośrodka politycznego, który stworzył ZJ, NSZ i SCN są jego prawem. Był on początkowo w NOW (organizacja wojskowa Stronnictwa Narodowego), a następnie, od kwietnia do czerwca 1943 roku, szefem sztabu NSZ, po czym wy dostał się

z kraju. Nie mógł więc mieć wpływu na postawę kierownictwa politycznego i nieraz nie jest też w stanie znać powodów takich a nie innych jego decyzji.

Należy podziwiać, że przebywając w Australii, z dala od wszelkich archiwów, zdołał on zgromadzić taką ilość materiałów, szczególnie z okresu swego pobytu poza Polską. Oczywiście błędów w przedstawianiu faktów i w ich ocenie nie dało się uniknąć. Autor liczy, że uzyska poprawki i dodatki od czytelników książki, którzy brali udział w opisywanych wypadkach. Umożliwi mu to może wydanie drugiego, poprawionego wydania książki.

Zasługą książki jest przede wszystkim to, że wykazuje ona fałszywe w publikowanej historii okresu walki podziemnej i wykazuje, że mimo dobrej woli środowiska ZJ i NSZ do porozumienia z szefostwem AK nie mogło dojść. Celem ludzi stojących na czele AK było przygotowanie do objęcia władzy w kraju przez środowisko sanacyjne, po zakończeniu wojny, a tzw. Gruba Czwórka, czyli cztery przedwojenne partie polityczne zgrupowane przy Delegacie Rządu, też liczyła na rządzenie Polską po wojnie.

Jest też zasługą książki wykazanie, że NSZ i jego zaplecze polityczne dobrze zdawały sobie sprawę z niemożności liczenia na współpracę z Rosją dla osiągnięcia niepodległości Polski, wówczas gdy wodzowie AK polecali swoim oddziałom ujawnianie się i współpracę z bolszewickimi oddziałami.

Książka ppłk. dypl. S. Zochowskiego ukazuje się wkrótce po książce Z. S. Siemaszki pt. „Narodowe Siły Zbrojne”. P. Siemaszko w Polsce pod okupacją nie był, zdołał jednak zebrać dużo informacji o ZJ i NSZ i stara się przedstawić je bezstronnie. Korzysta jednak czasem z informacji otrzymanych od ludzi niezbyt godnych zaufania, jak np. Z. Stypułkowski, Bębenek, Pilański itd. Stąd wiele opinii i informacji wątpliwych.

Książka ppłk. dypl. Zochowskiego jest w pewnej mierze uzupełnieniem książki Siemaszki. Nieraz poprawia jego błędy lub daje naświetlenie podstaw działalności ruchu, który stworzył NSZ.

Poza dwiema wymienionymi książkami ukazała się niedawno książka Lesława Jurewicza pt. „Zbrodnia czy początek wojny domowej”, która naświetla bezstronnie postawę środowiska NSZ w stosunku do Rosji. Wkrótce ukaże się nakładem Veritasu pamiętnik dowódcy Brygady Świętokrzyskiej NSZ. Książki te, łącznie z książką Wł. Żbik-Kolacińskiego pt. „Między młotem a swastyką”, szeregiem wypowiedzi ludzi NSZ na łamach *Kultury* i *Zeszytów Historycznych* oraz innych pism emigracyjnych dają obraz tej strony walk z okupantem, która tak starannie jest ukrywana, jeśli nie fałszowana, przez tak zwane czynniki oficjalne. Czy pisać oficjalną historię PZP, ZWZ, AK, nie należało wspomnieć że korzystały one z informacji dostarczanych przez

wywiad ZJ i NSZ i przekazywały je do Anglii, otrzymując za to pomoc finansową? Czy nie należało też wspomnieć o kłopotach z różnymi ludźmi w rodzaju Stefana Witkowskiego, wodza Muszkieterów, Mocarza, Tysiąca i innych?

Ppłk dypl. S. Zochowski tych rzeczy nie wspomina. Ale książka jego warta jest przeczytania.

W. M. MARCINKOWSKI



Londyn, 23 stycznia 1984.

Szanowny Panie Redaktorze!

Uwagi i refleksje Jana Ciechanowskiego na marginesie „Polski w drugiej wojnie światowej” Józefa Garlińskiego (*Zeszyty Historyczne* nr 65), ujęte na 3 stronach (wobec 508 stron omawianej książki), są z konieczności skondensowane, ale nie wydaje mi się, by były zawsze obiektywne. Na przykład zarzut, jakoby Garliński pisał „o wydarzeniach dyplomatycznych” bez znajomości „różnorodnych źródeł” i „głębokiej analizy wydarzeń”.

Dyskusja ze wszystkimi wypowiedziami Ciechanowskiego przekroczyłaby ramy listu do redakcji. Ograniczę się do dwu tylko.

1. Ciechanowski cytuje dosłownie zdanie z rozdziału książki Garlińskiego o Powstaniu Warszawskim: „Już dziś widzi się wielkie, moralne zdobycze osiągnięte krwią młodych powstańców ówczesnej, walczącej Warszawy” i dodaje od siebie: „To bardzo ładnie brzmi, ale co to znaczy?”. Pytanie to nie dziwi u Ciechanowskiego, historyka, który problematykę Powstania i swoją ocenę ludzi i wydarzeń przedstawił w pracy swojej „Powstanie Warszawskie”.

Sądzę, że nie bez znaczenia w tej różnicy poglądów dwóch autorów, piszących o Powstaniu poza krajem, będzie głos z kraju. Ostatnią rocznicę wybuchu Powstania krakowski *Tygodnik Powszechny* (nr z 6. VIII. 1983) uczcił następującymi słowami:

„39 lat temu, 1 sierpnia 1944, Warszawa powstała przeciwko okupantowi. 63 dni walki i cierpień, dla których brak przymiotników, zamknęły się tylko cmentarzami ofiar i ruiną stolicy. A jednak, obchodząc co roku dzień wybuchu Powstania Warszawskiego, nie mamy najmniejszych wątpliwości, że w jego kartach odnajdujemy dziedzictwo bez ceny, godne najwyższego hołdu i najtrwalszej pamięci”.

Oczywiście, i o tym oświadczeniu zespołu redakcyjnego *Tygodnika Powszechnego* też można powiedzieć: „Ładnie brzmi, ale...” itd.

2. Pisze dalej Ciechanowski, że w latach 1939-1945 „brakowało nam polskiego Churchilla, de Gaulle’a czy Tity”.

Z tych trzech tylko de Gaulle działał poza swoim krajem, w Anglii, tak jak i Sikorski. Miał nad Sikorskim tę przewagę, że mógł jednak, gdy chciał, przenieść się na część wolnego terytorium francuskiego — poza metropolią — gdzie nie uznawano Vichy. Dla Sikorskiego jedyną częścią

nieokupowanej Polski były pokłady polskich okrętów wojennych. De Gaulle miał poza tym wielkie szczęście, że jego kraj leżał nad Sekwaną a nie nad Wisłą i że uwalniali go Amerykanie i Brytyjczycy, a nie — jak Polskę — „sojusznicy naszych sojuszników”. Nie sztuką było w tych warunkach być de Gaullem!

Łączę wyrazy poważania

Antoni RAWICZ-SZCZERBO



Poznań, 8 stycznia 1984.

Do
Redaktora *Zeszytów Historycznych*.

Łatwo o mnożenie strat żołnierzy służb specjalnych, gdy znaleźli się w ogniu jednego frontu, następnie frontów dwóch, by swój wysiłek bojowy zakończyć często na drugim. Włączanie poległych do ustalonej listy strat wymaga jednak ściśle ustalonych kryteriów i największej pewności. Chciałem dać świadectwo prawdzie w moim „Znaku cichociemnych” — nie sądzę bym podważył ten zamiar. Nie jest winą autora, że listy poległych żołnierzy cichociemnych nie mógł opublikować. Z niepełnej zrezygnowałem. Zawiera ona 112 nazwisk, wśród których są i te, o których pisze Jerzy R. Krzyżanowski, autor uwag „Na marginesie 'Znaku cichociemnych'” (*Zeszyty Historyczne* nr 66, 1983 r.).

Uważam, że tylko poległych na polu walki i zmarłych w więzieniu można na takiej liście umieścić. Pozostają zaginieni — skłaniają do szukania dowodu oraz okoliczności ich śmierci.

Prof. J. R. Krzyżanowski w swoich uwagach zajmuje się m.in. tymi, którzy stracili życie w tragicznych okolicznościach w PRL, po wojnie. „Stracili życie w tragicznych okolicznościach” to eufemizm pozorny: formuła ta obejmuje i straconych z wyroków sądów za przestępstwa niepopołnione i zamęczonych w badaniach lub zmarłych z bezpośredniego powodu pobytu w więzieniu. Druga formuła: zaginieni, dotyczy tych o których nie wiemy, czy zginęli i jak. Pozostają więc przy „oddaniu życia w tragicznych okolicznościach”. I wedle obecnego stanu wiedzy o sprawie, listy tej nie jestem w stanie wydłużyć. Oto oni:

1. rtm. Andrzej Czaykowski „Garda”, stracony w r. 1953, bodaj na Mokotowie;
2. ppor. Hieronim Dekutowski „Zapora”, stracony w r. 1948, bodaj na Mokotowie;
3. ppor. Stefan Górski „Brzeg”, stracony 27 września 1948 r. na Mokotowie;
4. mjr Bolesław Kontrym „Żmudzin”, stracony 2 stycznia 1953 r. na Mokotowie;
5. por Aleksander Kułakowski „Rywal”, rozstrzelany na przełomie 1944/1945, być może z wyroku sądu wojskowego;
6. ppor. Czesław Rossiński „Kozioł”, stracony 14 kwietnia 1945 r. w Lublinie;
7. por. Mieczysław Szczepański „Dębina”, stracony 12 kwietnia 1945 r. w Lublinie.

Poza granicami Polski zmarł w więzieniu w Moskwie pod koniec r. 1946 gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek”.

Zdaję sobie sprawę i wyczuwam intuicyjnie, że lista ta jest niepełna. Być może powiększy się o 3-5 nazwisk. Pewne nazwiska (np. mjr Witold Uklanński „Herold”, por. Stanisław Winter „Stanley”) w miarę badań zyskują tragiczną kwalifikację.

Ze względu na czystość metody obliczeń gdzie indziej umieszczam tych, którzy zmarli mniej lub bardziej bezpośrednio po powrocie z ZSSR lub po wyjściu z więzień krajowych, jak i tych, którzy jak ppłk Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz”, kpt. Franciszek Cieplik „Hatrak”, rtm. Jan Skrochowski „Ostroga” lub kpt. Michał Wilczewski „Uszka”, zginęli po prostu na polu walki. Oni wszyscy w „Znaku cc” zostali objęci ostatecznie nie zamieszczoną listą poległych. Chciałbym, by ew. II wydanie „Znaku” uzupełniło tę lukę.

Na marginesie: 1° — według moich informacji por. Tadeusz Starzyński przynajmniej do roku 1978 mieszkał w Wielkiej Brytanii;

2° — prawie wszyscy skoczkowie mieszkający w kraju siedzieli po wojnie w więzieniu.



Dziękuję prof. Jerzemu R. Krzyżanowskiemu za poświęcenie czasu i uwagi mojej książce. Do najlepszych myśli dołączam mniemanie, że wspólnym naszym, tuszę, poglądem będzie ufność w potoczną sprawdzalność naszego jako tako uporządkowanego świata.

Przemysław BYSTRZYCKI



Londyn, 8 grudnia 1983.

Szanowny Panie Redaktorze,

W *Zeszytach Historycznych* Nr 66 ukazał się artykuł Piotra Wandycza pod tytułem „Polonica na amerykańskim rynku wydawniczym”, w którym stwierdził on, że o moich książkach nie wspomina, ponieważ ukazały się tylko w Londynie.

Informacja ta nie jest zgodna z prawdą, ponieważ trzy moje książki ukazały się na terenie Stanów Zjednoczonych nakładem tamtejszych wydawców. W roku 1975 firma Holmes and Meier wydała mój *Fighting Auschwitz* a popularna wersja, wydana w tym samym roku przez Fawcett Publications osiągnęła 200.000 nakładu. W roku 1978 The New York Times Book Company wydała *Hitler's Last Weapons* równolegle z kanadyjską firmą Fitzhenry and Whiteside Ltd. Wreszcie w roku 1979 firma Charles Scribner's Sons wydała *The Swiss Corridor*. Firmy te znajdują się w New Yorku i wydane

przez nie książki polskiego autora o tematyce związanej z Polską są typowymi polonicami.

Z wyrazami szacunku

Józef GARLIŃSKI

New Britain, 27 stycznia 1984.

Drogi Panie Redaktorze!

Z prawdziwą przyjemnością przeczytałem w *Zeszytach Historycznych* Nr 66 „Sprawę ppłk. Romana Umiastowskiego”, autorstwa Jana Nowaka.

W okresie heroicznych zmagañ naszego narodu z obydwoima wrogami i okupantami kraju, władze zabawiały się selekcyjonowaniem ludzi według ich przedwojennych zapatrywań. Pod tym kątem widzenia, w znanej ogólnie sprawie ppłk. Umiastowskiego, nie rozpatrywano motywów dla których nakazał on mężczyznom zdolnym do noszenia broni opuszczenie Warszawy, lecz go za to potępiono, nie dopuszczając do rozprawy sądowej.

Nie ulega wątpliwości, że podobne sprawy nie znajdują aprobaty w oczach naszych przyszłych historyków. Dlatego z ulgą trzeba powitać fakt, że już teraz znajdują się ludzie, którzy kierując się poczuciem sprawiedliwości i uczciwości, rozpoczynają akcję przywracania czci tym Polakom, których bezzasadnie i bezcelowo skrzywdzono, łamiąc im życie. Ciężko jest dziś myśleć o ludziach, którzy w zamian za swoje oddanie sprawie polskiej — wysłużyli sobie klątwę, rzuconą na nich przez władze Polski czasu wojny.

Janowi Nowakowi należy się uznanie za jego inicjatywę przywrócenia czci tendencyjnie potępionemu Polakowi.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Jan WÓJCIK

SPRAWOZDANIE

Paryż, 24 stycznia 1984.

Szanowny Panie Redaktorze,

Upieramie prosimy Pana o zamieszczenie następującego sprawozdania.

W roku 1974 zawiązał się w Paryżu na prośbę Władysława Zelenieckiego — przed wojną wiceprokuratora S.A. w Warszawie — Komitet złożony z niżej podpisanych profesorów. Komitet ten podjął się udzielenia mu pomocy w wytoczonym przed władzami sądowymi w Hamburgu postępowaniu, zmierzającym do wykrycia sprawców mordu popełnionego przez hitlerowców w lipcu 1941 we Lwowie na tamtejszych profesorach, ich rodzinach i domownikach. Pomoc nasza miała objąć: 1) starania wśród jak najliczniejszych uczonych wszelkich narodowości o wspólne wystąpienie do władz

zachodnioniemieckich z żądaniem pełnego wyjaśnienia tej zbrodni, a w szczególności domagania się, by dochodzenie objęło b. oficera SS Hansa Krügera, który przyznał się w czasie wojny wobec aresztowanej doc. dr Karoliny Lanckorońskiej do udziału w tej egzekucji, a którego mimo to niemieckie władze prokuratorskie wyłączyły z wytoczonego przez W. Żeleńskiego postępowania karnego pod pretekstem, że Krüger już jest i tak skazany na najwyższą karę dożywotniego więzienia za morderstwo popełnione na tysiącach Żydów w Stanisławowie; 2) roztoczenie opieki i kontroli nad wpłatami i wydatkami na rzecz akcji podjętej przez W. Żeleńskiego w związku z rozpisaniami na ten cel zbiórki przez inż. Zdzisława Pęgowskiego w Szwajcarii.

W wykonaniu pierwszego zadania rozesłano staraniem Komitetu kilkaset listów w trzech językach do naukowców i profesorów wyższych uczelni w Europie Zachodniej, Ameryce, Australii i Izraelu. W liście tym przedstawiono tę zbrodnię — ujawnioną już w roku 1946 przed Międzynarodowym Trybunałem w Norymberdze — i wezwano do solidarnego zgłoszenia podpisów pod apelem do Prezydenta Republiki Federalnej Niemiec, Waltera Scheela. Apel nasz znalazł poparcie 221 uczonych z 16 krajów, w tym Niemiec i Austrii, nie dał jednak niestety wyniku i Krüger nadal pozostał wyłączony z oskarżenia. Niemniej wystąpienie to miało przynajmniej ten skutek, że przywołało pamięć tej haniebnej zbrodni, skrzętnie od lat pokrywanej milczeniem.

Również zbiórka pieniężna, bez której zresztą zebranie wspomnianych podpisów nie byłoby możliwe, przybrała szerokie rozmiary, zwłaszcza wobec głośnego echa, jakie sprawa znalazła w prasie polskiej, w Kraju i na emigracji, na obu półkulach. Ofiary pieniężne wpływały równolegle na dwa adresy: do Komitetu Profesorów w Paryżu i do Komitetu w Winterthur w Szwajcarii, zawiązanego w tym celu przez inż. Pęgowskiego, który zbiórkę otworzył wpłatą 5.000 fr. szw. Niemal wszystkie wydatki były scentralizowane w Paryżu, skąd W. Żeleński, ustanowiony w dochodzeniu jako strona skarżąca, prowadził osobiście całą akcję i z której następnie zdał wszystkim zainteresowanym sprawę w obszernym sprawozdaniu w lipcu 1980 roku. Za radą i staraniem dr. Stanisława Gombińskiego, b. adwokata w Warszawie, pozyskany został jako rzecznik oskarżenia jeden z najgłośniejszych adwokatów niemieckich, dr Robert W. Kempner, do czego przyczynił się również inż. Szymon Wiesenthal, zainteresowany sprawą kierownik wiedeńskiego Biura Dokumentacji Żydowskiej. W roku 1976 do sprawy przyłączył się bezinteresownie adwokat polski w Hamburgu, Witold Broniwoj-Orliński. (Należy zaznaczyć, że adw. Kempner poprzestał na przyjęciu skromnych kwot tytułem zwrotu wydatków). Obaj wyposażeni zostali w pełnomocnictwa wystawione przez ponad 20 osób spośród rodzin pomordowanych profesorów. Po nawiązaniu z tymi rodzinami styczności wydajnej pomocy udzielił W. Żeleńskiemu prof. Akademii Medycznej we Wrocławiu dr Zygmunt Albert, b. asystent zamordowanego prof. dr. Witolda Nowickiego, od początku centralizujący z poświęceniem dokumentację o tej tragedii. Dzięki adw. Mieczysławowi Chmielewskiemu w Londynie uzyskano poparcie w Światowym Związku Deportowanych. Za podjętą akcją wstawiły się wobec władz niemieckich wszystkie polskie instytucje i stowarzyszenia naukowe na Zachodzie. Do postępowania przyłączyła się z Warszawy doc. dr Helena Krukowska, wdowa po zamordowanym profesorze Politechniki lwowskiej dr. Włodzimierzu Krukowskim. Ona to już w roku 1959 pierwsza zgłosiła skargę do władz niemieckich, w wyniku której dochodzenie zostało wówczas wszczęte, ale po pewnym czasie umorzono je wobec uznania, że żaden ze znanych sprawców przestępstwa już nie żyje. Dopiero dzięki skardze zgło-

szanej później przez W. Żeleńskiego, który powołał się na ujawnione od od tego czasu świadectwo dr Lanckorońskiej o poczynionym jej wyznaniu Krügera i spowodował tym wznowienie dochodzenia, wyszło na jaw, do jakiego stopnia to pierwsze dochodzenie było niepełne, niedbałe i zakończone błędnymi konkluzjami, na dobitkę skrzętnie ukrytymi przed dr Krukowską.

Wszystkie te zespolone wysiłki doprowadziły do rozszerzenia badań i wzbogacenia ich dodatkowymi, istotnymi ustaleniami. Prokuratura uznała wreszcie, że mord był z góry przygotowany, a ofiary zawczasu wskazane na listach imiennych. Wszelako i tym razem dochodzenie nie wyświetliło kulisów i współsprawców zbrodni, natrafiając na znowu milczenia podkomendnych SS Kommanda, nieżyjącego już SS Brigadenführera dr. Schöngartha, wykonawcy tej egzekucji. Krüger nie został skonfrontowany z dr Lanckorońską, przesłuchany zaś przez prokuratora wykrętnie zaprzeczył temu, co swego czasu przyznał. Drugi koronny świadek, b. oficer SS Walter Kutschmann, który również potwierdził w czasie wojny badanej przez siebie dr Lanckorońskiej, że „był przy tym”, wykryty w toku dochodzenia przez inż. Wiesenthala w Argentynie, uchylił się od wypowiedzi, choć prokurator hamburski parokrotnie usiłował uzyskać jego wyjaśnienia zarówno za pośrednictwem ambasady niemieckiej jak i władz argentyńskich, stawiających zresztą temu żądaniu bierny opór.

W lecie 1983 roku nowomianowany naczelny prokurator w Hamburgu, który przejął prowadzenie dochodzenia, postanowił je umorzyć wobec niewykrycia pozostałych jeszcze przy życiu sprawców przestępstwa. Obaj adwokaci zgłosili odwołania, domagając się dalszego prowadzenia dochodzenia, przy czym dr Kempner w szczegółowym wywodzie wytknął błędy i braki w przyjętych ustaleniach. Prokurator uwzględnił tylko niektóre ze zgłoszonych sprostowań, niemniej postanowił postępowanie wznowić celem podjęcia w drodze pomocy prawnej jednej jeszcze próby przesłuchania W. Kutschmanna w Argentynie. Istotnie, wobec zaszytych ostatnio w tym kraju zmian politycznych miejscowe władze odniosą się może teraz do tego życzenia z większym zrozumieniem, nadal jednak jest mało prawdopodobne, by Kutschmann, niczym nie przymuszony a zapewne hamowany lękiem przed zemstą swych b. kolegów, zdecydował się wyjawić prawdę. Wszystko więc wskazuje, że trwające od ponad 10 lat dochodzenie będzie ostatecznie umorzone, po częściowym tylko spełnieniu swych zadań.

Ponieważ i fundusz zarządzany przez nas w Paryżu został całkowicie wyczerpany, dochodzimy do wniosku, że rola nasza jest skończona i przedstawiamy poniżej obliczenie wpływów i wydatków, zamknięte w dniu 31 grudnia 1983. Z żalem przypada nam zaznaczyć, że pomocni w tej sprawie dr Krukowska, adw. Chmielewski i szczególnie czynny dr S. Gombiński nie dożyli zakończenia postępowania.

Obliczenie nasze wymaga paru uwag. Wszystkie wpłaty i większość wydatków dokonane były na początku całej akcji, trzeba więc w ich ocenie wziąć pod uwagę dawniejszą ich wartość walutową. Pierwszy przekaz pieniężny dla dr. Kempnera dokonany był wprost z Komitetu szwajcarskiego, nie jest więc objęty naszymi obliczeniami. W lecie 1980, kiedy w dochodzeniu prokuratorskim zaznaczył się dłuższy zastój i wszystko wskazywało, że wydatki w związku z całą akcją dobiegają końca, użyliśmy części zarządzanego przez nas funduszu na pomoc dla rodzin strajkujących w Polsce robotników (Nr 10/397 *Kultury*, str. 173). Lista podpisanych pod apelem do Bonn profesorów wydrukowana została w londyńskich *Wiadomościach* (nr 1533 z 18 sierpnia 1975), co pociągnęło za sobą konieczność pokrycia odnośnego rachunku. A oto szczegółowe zestawienie wpływów i wydatków.

WPLYWY:

Przekazy z Komitetu w Winterthur:
26. 7. 1974: 100 fr.sz. = F. 157,00
12. 2. 1974: 2.000 fr.sz. = F.3.433,47
9. 7. 1975: 1.500 fr.sz. = F.2.398,08
8. 6. 1976: 2.000 fr.sz. = F.3.777,14

F.9.765,69

Wpłaty ofiarodawców do Komitetu w Paryżu:

M. Miż-Miszyn, Monachium F.500,00
M. Wyderko, Winterthur F. 50,00
M. Klimkiewicz, Maywood F. 97,60
S. Markiel, Jerozolima F.170,00
J. Jakubowski, zbiórka w Księgarni Polskiej w Paryżu F.130,00
P. Strelczyn F. 60,00
SPK, Federacja Światowa Londyn F.200,00
T. Sędzimir, Caterbury F.500,00
J. Kalinowski, Orsay F. 20,00
A. Komornicka, Londyn F.192,00
J. Markiewicz, Montreal F.250,00
W. Siemieński, Montreal F. 50,00
K. Lanckorońska, Zürich:
2.000 fr.sz.w. = F.3.940,00
NN. Paryż F.479,56

F. 6.639,16

O g ó ł e m : F.16.404,00

WYDATKI:

Wydatki pocztowe, telefoniczne, biurowe, fotokopie F.3.672,85
Koszty przejazdów do Niemiec z interwencjami i dla badania akt F.5.332,00
Wpłata dla dr. Kempnera F.1.200,00
Ogłoszenie listy apelujących profesorów w Wiadomościach F. 350,00
Koszty tłumaczeń i przepisywania F.2.850,00
Pomoc dla rodzin strajkujących w Polsce w roku 1980 F.3.000,00

O g ó ł e m : F.16.404,85

Kończąc wyrażamy podziękowania wszystkim osobom i instytucjom, które udzieliły w tej sprawie pomocy.

Prof. dr Jerzy LANGROD
Przewodniczący

Prof. dr Józef MODRZEJEWSKI

Prof. dr Jerzy KALINOWSKI

SPIS TREŚCI

Władysław Bartoszewski: <i>Rozważania o Powstaniu Warszawskim</i>	3
Z. S. Siemaszko: <i>Płk Prawdzic-Szlaski, organizator AK na Nowogródzczyźnie</i>	17

DOKUMENTY

Trzy dokumenty ujawniające mechanizmy przemocy i gwałtu w Polsce w latach 1947-1955	33
Notatka w sprawie nadużyć w śledztwie w organach Informacji	37
Sprawozdanie Komisji powołanej dla zbadania przejawów łamania praworządności przez pracowników Generalnej Prokuratury i Prokuratury m.st. Warszawy	70
Sprawozdanie Włodzimierza Lechowicza z przebiegu śledztwa, jakiemu go poddano w latach 1948-1956	93
Władysław Michniewicz: <i>Monte Cassino w świetle dokumentów</i>	126

WSPOMNIENIA

Polacy znad Wilii, Niemna, Narwi i Bugu w łagrach sowieckich w latach 1944-1947 (praca anonimowa) ..	155
Rozdział I: Masowe aresztowania dokonane przez NKWD w jesieni 1944 roku na Białostocczyźnie i w okolicach Białej Podlaskiej	155
Rozdział II: Transport z Białegostoku do Ostaszkowa	162
Rozdział III: Za drutami ostaszkowskiego łagru (od 19. X. 1944 do 15. IV. 1945)	164
Rozdział IV: Spektakier w Riazaniu w latach 1945-1947	172
Rozdział V: Powrót do Polski w początku roku 1946 oraz w końcu roku 1947	184
O. Remigiusz Kranc: <i>Byłem skazany na 10 lat Syberii (wspomnienia, cz. I)</i>	188

OKRUCHY HISTORII

Tadeusz Wyrwa: <i>Wywiad i polityka w stosunkach polsko-francuskich przed 1939 rokiem</i>	203
Tadeusz Wyrwa: <i>Raport ambasadora Francji w Bukareszcie o Polakach internowanych w Rumunii jesienią 1939 r.</i>	215

RECENZJE

Jerzy J. Lerski: <i>Monografia o generale Sikorskim</i>	219
Jerzy J. Lerski: <i>Żenująca maskarada</i>	223

LISTY DO REDAKCJI

Michał Borwicz: Uwagi nt. obozu w Jabłonie w związku z art. W. Babińskiego (<i>Kultura</i> nr 12/1983)	226
W. M. Marcinkowski: <i>Prostowanie historii</i> (dot. książki ppłk. St. Żochowskiego „O Narodowych Siłach Zbrojnych”)	230
Antoni Rawicz-Szczerbo: Uwagi dotyczące artykułu J. Ciechanowskiego na marginesie „Polski w drugiej wojnie światowej” J. Garlińskiego (<i>Zeszyty Historyczne</i> nr 65)	232
Przemysław Bystrzycki: Uwagi wyjaśniające kryteria, na podstawie których sporządzona została lista poległych w książce „Znak cichociemnych” (w związku z art. R. Krzyżanowskiego na ten temat w <i>Zeszytach Historycznych</i> nr 66)	233
Józef Garliński: Sprostowanie artykułu P. Wandycza „Polonica na amerykańskim rynku wydawniczym” (<i>Zeszyty Historyczne</i> nr 66)	234
Jan Wójcik: Uwagi do artykułu J. Nowaka „Sprawa ppłk. Romana Umiastowskiego (<i>Zeszyty Historyczne</i> nr 66)	234
<i>Sprawozdanie Komitetu Profesorów d/s wykrycia sprawców mordu na profesorach lwowskich</i>	235

Achévé d'imprimer le 20 février 1984
sur les presses de l'Imprimerie Richard, 24, rue Stephenson, Paris 18^e,
Dépôt légal : 1^{er} trimestre 1984.

